

CATHERINE COOKSON

WIECZERZA Z ZIÓŁ 1

przełożyła

Dorota Jankowska Lamcha

bis

Warszawa 1997

Prolog

1

Peter Greenbank odchylił głowę, wciągnął powietrze do płuc i popatrzył na małego chłopca, którego trzymał za rękę:

- Na Boga! To właśnie ten zapach - powiedział. - Tak, to ten sam obrzydliwy odór, którego nawąchałem się, kiedy byłem chłopcem. Wytapiany ołów śmierdzi stokroć gorzej niż pył węglowy, mało nie udusi człowieka. A oni wybudowali mur wokół huty, myśląc, że w ten sposób uda im się zatrzymać ten smród w środku. Czy słyszałeś kiedy coś równie niedorzecznego?

- Daleko jeszcze do tego miejsca, tato?

- Czy daleko do Langley, pytasz? Jesteśmy na miejscu, chłopcze. Stoisz oto w hrabstwie Langley, choć chyba wiem, dlaczego nie rozpoznajesz go z moich opowieści. Zmieniło się tu. Ba, i to jak jeszcze! - pokiwał głową. - Jak okiem sięgnąć było tu pustkowie - pokazał palcem dal - a teraz porastają je drzewa. Ładnie tu będzie, kiedy urosną, ale nie nastąpi to za rok ani nawet za dwa.

- Daleko jeszcze do tego domu, tato?

- Czemu pytasz? Jesteś zmęczony?

- Nie, nie - zaprzeczył gorliwie chłopczyk, spoglądając na wysokiego mężczyznę z widoczną na buzi mieszaniną lęku i podziwu. Oto jego ojciec, który zjawił się w jego życiu niespełna trzy dni temu i właśnie prowadził go w szeroki, nowy świat. Widział go po raz ostatni, gdy miał pięć lat, lecz wyraźnie pamiętał scenę rozłąki. Stał z matką na nabrzeżu w Newcastle i gorliwie machał rączką na pożegnanie. Statek płynął w dół rzeki ku Shields, skąd miał wyruszyć na otwarte morze. Teraz miał siedem i pół roku, a ojciec był taki, jakim

go zapamiętał przy pożegnaniu - wysokim mężczyzną o ogromnych ciemnobrązowych oczach, silnym i tryskającym pewnością siebie. Matka zawsze mawiała, że on ma oczy ojca i pewnego dnia będzie dokładnie taki sam. Bardzo chciał być taki jak ojciec. Dlatego teraz zapewnił:

- Mogę przejść jeszcze i dziesięć mil... więcej, dwa-dzieścia.

Ojciec trzepnął go lekko po głowie, strącając chłopcu czapkę. Równocześnie się po nią schylili, zderzyli się czołami, popatrzyli sobie w oczy i wybuchnęli śmiechem. Za chwilę trzymając się znów za ręce, maszerowali w milczeniu wąską, nierówną ścieżką.

- A zamek, tato, czy zobaczę zamek? - zagadnął ponownie chłopiec.

- Już za parę minut ujrzysz go, synku.

Dokładnie po paru minutach Peter Greenbank zatrzymał chłopca i wskazał palcem przed siebie:

- Oto i on, tam... zamek.

Chłopiec długo i z natężeniem wpatrywał się w piętrzące się stopy kamieni i gdy nic nie mówił, ojciec spytał:

- No i co o nim sądzisz?

- Jest stary.

- Prawda, chłopcze, bardzo stary.

- Trzeba go naprawić.

Wysoki mężczyzna wybuchnął śmiechem. - Masz słuszność, trzeba go naprawić - odparł.

- Czy ktoś w nim mieszka?

- Od dawna tu pusto. Rozczarowany jesteś widokiem swojego pierwszego zamku?

- To nie jest mój pierwszy zamek, ojcze. W Newcastle jest też zamek. Piękny.

- Tak, masz słuszność. - Peter Greenbank znowu lekko uderzył syna w głowę. Tym razem chłopczyk złapał czapkę oburącz, co wywołało kolejną salwę śmiechu.

- No cóż, w drogę - rzekł ojciec. - Widzę, że nie zrobił na tobie wrażenia. Ciekawe, jak ci się spodoba huta.

- To tam pracowałeś, tato?

- Tak, tam właśnie pracowałem. - Peter Greenbank przytaknął i kiwał głową jeszcze przez następne dziesięć kroków,

podczas gdy jego myśli krążyły wokół dni, które spędzał w hucie. Poszedł tam do pracy jako szesnastoletni chłopak, kiedy rzucił pracę w kopalni na wzgórzach. Jak się potem okazało, była to zmiana ze złego na gorsze. Mieszkali wówczas w Allendale, każdego ranka musiał wędrować do pracy cztery mile, ulewa, śnieżyca czy wichura, i każdego wieczoru włókł się cztery mile z powrotem. Przez sześć dni w tygodniu nie robił nic więcej poza pracą, jedzeniem i spaniem. W tamtych latach nie upijał się jak inni robotnicy, z których wielu miało jeszcze dalej do pracy, niektórzy nawet chodzili aż z Hexham. Byli tacy, którzy nigdy nie docierali do domu, bo w połowie drogi stała gospoda, a kufel piwa dodany do fizycznego wyczerpania dosłownie zwał ich z nóg. Tak więc zasypiali tam, gdzie padli, w najlepszym razie w jakiejś stodole, aż do następnego dnia. Nie musiał jednak chodzić aż tak daleko jak jego ojciec, który pracował w szybach na górze w kierunku Allenheads do dnia, kiedy poniesiono go w trumnie na cmentarz jako jeszcze jedną ofiarę ołowiu.

Po śmierci ojca przeprowadzili się z matką bliżej Catton. Nadal miał dwie mile drogi do pracy, co jednak wydawało się niczym. Po stracie ojca Peter nie mógł zaznać spokoju, zaczęło go dręczyć niezwykle pragnienie: ciągnęło go morze. Wiedział jednak, że nie wolno mu uczynić zadość temu pragnieniu, gdyż był dla matki jedyną podporą.

Kiedy pewnego razu zwierzył się panu Makepeace, najbliższemu sąsiadowi, starszy człowiek powiedział: - To szaleństwo, chłopcze. Wydaje ci się, że praca w szybach czy w hucie jest okropna, ale pracować tutaj to dziecinna igraszka w porównaniu z tym, przez co musisz przejść na pokładzie statku. - Mówił to na podstawie swego doświadczenia, bo dziesięć lat młodości spędził na morzu.

Peter nie słyszał nigdy, by jakikolwiek mężczyzna w jego rodzinie ruszył na morze. Wszyscy przychodzili na świat na łądzie i tam umierali, początkowo jako robotnicy rolni w wielkich posiadłościach, potem - pragnąc bardziej niezależnego, lecz bynajmniej nie łatwiejszego życia - szli do szybów. Nie miał więc pojęcia, skąd się u niego wzięł ten pociąg do morskich wędrówek. Wkrótce po śmierci matki spakował się, sprzęty domowe oddał Kate Makepeace, która do tego czasu

zdażyła już owdowieć, resztę zaś Billowi Lee, który właśnie się ożenił i zamieszkał w jednoizbowej chatce po drugiej stronie kamieniołomu, naprzeciwko Kate. Peter udał się do Newcastle, sądząc, że wszystko, co należy uczynić, to pójść do biura żeglugi i zaciągnąć się na statek. Niestety, wymagało to całej procedury.

Niemniej w dziewięć miesięcy później popłynął statkiem handlowym w swój pierwszy rejs. Chociaż ciągnęło go do morza, nie chciał się zaciągać do marynarki, bo dość się nasłuchał opowieści o losie nowo zaakrętowanych majtków. Do tego czasu zdażył się ożenić z córką właściciela małego domku, w którym wynajmował izdebkę. Podczas przeszło ośmiu lat zaledwie trzy razy zawijał do portu w ojczystym kraju. Przerwy między rejsami były dwa razy tylko kilkudniowe, a mężczyzna, który całe lata musi obywać się bez kobiety, nie będzie tracił czasu na wędrowkę do miejsca, gdzie spędził dzieciństwo. To był właśnie powód, dla którego zjawił się tu po raz pierwszy od dnia, kiedy stąd wyjechał. I też nie była to taka sobie zwyczajna wycieczka.

- Tato...

Drgnął i popatrzył w dół. Z roztargnieniem spytał: - Tak?

- Jak daleko jest do domu tej starej kobiety?

- Nie wolno ci tak o niej mówić. To pani Makepeace.

- Ale ty nazywasz ją starą Kate.

- Co mnie wolno, a co wolno tobie, to są dwie zupełnie różne rzeczy. Pytasz, czy to daleko. Jeśli skrócimy sobie drogę idąc koło huty, nie będzie wcale tak daleko.

Za kilka minut doszli do pierwszej huty, potem przekroczyli drogę i otwartą przestrzeń. Przed nimi ukazało się skupisko kamiennych budynków. Z niektórych dachów sterczały kominy, inne domy wyglądały jak stajnie, jeszcze inne jak kantory, a dookoła panował ruch. Słychać było pokrzykiwania, turkot wozów, dzwonenie uprzęży.

Ojciec najwyraźniej miał zamiar ominąć to wszystko, lecz chłopiec zapytał: - Nie pokażesz mi huty, tato, przecież obiecałeś?

- Kiedy indziej, chłopcze. Chodź z tego smrodu. Ominie my ją. - Wyciągnął rękę, by pomóc chłopcu przejść przez szyny. Minęli kilka rozproszonych po okolicy chat, przedarli

się przez chaszczę i weszli na ścieżkę biegnącą brzegiem strumienia.

- Popatrz, tato! Ale tu ślicznie! - wykrzyknął z zachwytem chłopiec.

- Tak, chłopcze, zawsze tu było pięknie. Za hutą płynie potok, a na nim jest mały wodospad. Zobacysz go któregoś dnia, ale teraz musimy iść dalej. Tędy będzie krócej - wskazał palcem na szczyt wzgórza - wyciągajmy więc nogi, dobrze?

Gdy dotarli na koniec zbocza, chłopiec zaczął w widoczny sposób powłóczyć nogami i z nadzieją w oczach patrzył w stronę, gdzie widać było skupisko domków.

- Czy to tutaj mieszka pani Makepeace? - zapytał.

- Nie. To jest Langley Top. Obejrzyś je sobie kiedyś, innego dnia. A teraz wskakuj! - Przykucnął, a chłopiec wdrapał się na jego plecy.

Gdy już przeszli kawałek drogi, minawszy domy. Peter zatrzymał się i odwrócił, przyglądając się wgłębieniu terenu i rozciągającej się na jego dnie tafli wody. - Nie wierzę własnym oczom. Mówiono o tym, ale widzę, że wreszcie to zrobiono - mruknął do siebie. Postąpił kilka kroków naprzód, żeby lepiej się przyjrzeć. - Musi płynąć ze Stublick, a spływa w dół do huty przepustem. - Pokiwał głową. Poprawił chłopca na plecach i wrócił na ścieżkę, by za chwilę gwałtownie przystanąć i wyprostować się tak szybko, że chłopiec musiał mocniej się uchwycić ojca, by nie spaść. - Dobry Boże! A to musi być komin odprowadzający gazy! - Wskazał ręką coś, co wyglądało jak leżący na ziemi zbudowany z kamienia komin. Powiódł wzrokiem wzdłuż niego ku hucie. - Tak, to musi odprowadzać gazy. Nic dziwnego, że drzewa i trawa wyglądają teraz bardziej świeżo.

- Czy mam zejść z twoich pleców, tatusiu? Nie jestem za ciężki?

- Skądże, synku, jesteś jak piórko.

Syn wcale nie był jak piórko. Szczupły jak ojciec, miał silną budowę kości, a te przecież waży niemało. Lecz Petera radował ten ciężar, cieszyła go bliskość ukochanego dziecka, bo przez ostatnich parę dni czuł się bardzo samotny. Przez długie miesiące na morzu, przez lata całe, także nawiedzało go uczucie samotności, niemalże przyprawiające o szaleństwo.

Lecz teraz to była inna samotność. Wówczas wiedział, że ma żonę na ładzie, która na niego czeka, a także syna. Teraz miał tylko syna i nie będzie mógł się nim długo cieszyć.

Ponownie zagłębili się w las. Tam przystanęli i Peter pozwolił chłopcu ześlizgnąć się z pleców, bo nad prawie całkiem zarośniętą ścieżką zwieszały się gałęzie drzew. - Jeszcze pół mili i będziemy na miejscu - powiedział.

- Czy to o tym lesie mi opowiadałeś, tato?

- Tak, to las nad kamieniołomem.

- Jak wygląda kamieniołom, tato?

- Zobaczysz go już za chwilę przez prześwit w drzewach. To po prostu duża dziura. No, już doszliśmy. Tutaj, popatrz, tylko nie podchodź za blisko krawędzi, bo ziemia może się obsunąć. - Sam jednak postąpił bliżej urwiska i rozejrzał się.

- Tak, trochę skały się oderwało, od czasu kiedy ostatni raz zdarłem portki, zjeżdżając stąd na łeb na szyję.

- Zjeżdżałeś stąd, tato?

- A jakże, chłopcze, a jakże. To była nasza ulubiona niedzielna zabawa. I robiliśmy sobie małe jaskinie, żeby się w nich chować. Wspaniałe miejsce do zabawy. Teraz ledwie można zobaczyć skałę, tak porosła mchem i chwastami. Chodź, ruszamy.

Poszli dalej, zostawiając kamieniołom za sobą. Peter zatrzymał się w pewnej chwili, by lepiej przyjrzeć się ścieżce.

- Jest nadal uczęszczana. Powiedziałbym, że bardziej niż za moich czasów - zauważył.

Ścieżka dochodziła do drogi, za którą ziemia opadała, tworząc małą zieloną dolinkę, na której dnie stała chata. Miała kształt kwadratu i po jednym małym okienku po każdej stronie drzwi, a pod głębokim okapem jeszcze jedno okienko, które teraz lśniło, odbijając popołudniowe słońce. Chata stała wśród zdziczałego ogrodu, a z jego boku płynęła wąska struga.

- To tutaj, tato? Czy to dom pani Makepeace?

- Tak. I to jedyne miejsce, które nie zmieniło się przez te wszystkie lata. Mam nadzieję, że zastaniemy... - nie skończył jednak myśli, która przemknęła mu przez głowę: - starą Kate przy życiu.

Ile miała lat, kiedy stąd odszedł? Chyba blisko sześćdziesiąt. Nikt nie znał jej prawdziwego wieku, bowiem ta

kobieta zachowywała się pod każdym względem inaczej niż wszyscy i nie nosiła stosownego do swoich lat nakrycia głowy.

Zbiegli pośpiesznie ze stoku, weszli przez furtkę i podążyli nierówną kamienną ścieżką do drzwi wejściowych. Były zamknięte, kiedy Peter przyglądał się chacie z góry, teraz stały otworem. Wydawało się jednak, że nikogo nie ma w pobliżu. Zapukał dwa razy w dębowe drewno i odczekał chwilę, zanim wetknął głowę do wnętrza chaty. - Czy jest tutaj pani Kate Makepeace? - zawołał.

Nadal nie było odpowiedzi. Lecz kiedy usłyszał skrzypnięcie drzwi, zawołał znowu: - Dzień dobry!

Z głębokiego cienia w przeciwnym końcu izby wynurzyła się kobieta. Była średniego wzrostu i tęgiej postury. Miała na sobie spódnicę i bluzkę z niebieskiej bawełny, która rozchylając się pod szyją, ukazywała obwisłą skórę równie pomarszczoną jak skóra twarzy. Włosy miała rzadkie i zaczesane na tył głowy. Nie były białe ani nawet przyprószone siwizną, lecz tak ciemne jak cień, z którego przed chwilą wyszła. Wpatrując się w dwie postacie stojące w drzwiach, otworzyła ze zdumienia usta. - O Boże! - A Peter odparł: - Niechaj będzie pochwalony za to, że zastaję cię w dobrym zdrowiu.

- Peter Greenbank!

- Ten sam, Kate, ten sam.

Popatrzyła w dół. - A to kto? Twój chłopak?

- Mój chłopak, syn, za pół roku będzie miał osiem lat.

- Kiedy dziś się obudziłam, wiedziałam, że to będzie niezwykle dzień. I to wcale nie z powodu spiekoty. Wejdźcie, wejdźcie, czemu tak stoicie? Niespodzianki nigdy mnie nie zaskakują, ale tym razem jest inaczej. Ja... myślałam, że nie żyjesz. Nie miałam od ciebie ani słowa. Wiedziałam, że się ożeniłeś, ale to było już dawno. Newcastle leży daleko, a South Shields jeszcze dalej. Powiadali, że stamtąd pochodziła.

- Zgadza się, była stamtąd.

- A gdzie jest teraz?

Zwiesił głowę i usiadł na twardym drewnianym krześle przy palenisku, w którym płonął ogień, choć dzień był bardzo

gorący. - Mam nadzieję, że jest tam, gdzie, jak wierzyła, się znajdzie, wśród swoich, o ile nie wśród aniołów - powiedział.

Staruszka odezwała się po dłuższej chwili: - Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie... Kiedy to się stało?

- Minęło sześć miesięcy.

- Sześć miesięcy! A chłopaczek?

- Został na łasce boskiej i dobrych sąsiadów. Z tego, co zobaczyłem, nie takich znów dobrych. Dlatego tutaj jestem.

- Ach, dlatego tutaj jesteś. Cokolwiek cię tu sprowadziło, ciesz się, że cię widzę, Peterze. Nigdy nie myślałam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę, bo morze jest takie zdradzieckie. Ale do licha z krakaniem, przejdźmy do rzeczy bardziej przyziemnych. Jedliście coś?

- Zjedliśmy uczciwy obiad w Hexham, ale kilka godzin temu, a potem przekąsiliśmy co nieco w Haydon Bridge. Chętnie się czegoś napijemy, prawda? - Chłopiec przytaknął.

- Syrop z dzikiej róży. Będzie mu smakował mój sok z dzikiej róży.

- Z pewnością.

- A ty? Mam piwo ziołowe, ale myślę, że wolałbyś się napić wina z tarniny. Trzymam ten najlepszy trunek na ważne okazje, a już bardzo długo nie było takiej okazji, więc podam go teraz. Będzie wino z tarniny, Peterze.

- Nie mogę się doczekać.

Kate rozciągnęła pomarszczoną twarz w szerokim uśmiechu i, opuściwszy głowę, prześlizgnęła wzrokiem po chłopcu, zanim się odwróciła i poszła do przeciwległego końca izby, większej niż można było z zewnątrz sądzić.

Kiedy znikła za drzwiami, chłopiec popatrzył na ojca, który skrzywił się zabawnie. - Oto i ona, pani Makepeace. Co o niej sądzisz? - szepnął.

- Ona... - chłopiec zawahał się - jest miła, ale... ale...

Głowa Petera pochyliła się niżej, jego oczy znalazły się na poziomie oczu chłopca i popatrzyły w nie uważnie. Błysnęła w nich wesoła iskierka, kiedy dokończył: - Można się jej przestraszyć, ciarki przechodzą po plecach.

- No właśnie, tato, ciarki przechodzą po plecach. - Chłopiec uśmiechnął się, potakując.

- To bardzo dobra kobieta, dzielna i mądra. - Twarz Petera

spoważniała, a chłopiec wyczuwając coś, co nie zostało powiedziane, przestał się uśmiechać i poważnie pokiwał głową. Wydawało się, że coś zaczyna rozumieć.

Po chwili gospodyni wróciła do izby, niosąc w obu rękach kubki, większy i mniejszy. Większy wręczyła Peterowi. - Ta odrobina trunku odbyła długą drogę. Nastawiłam to wino jeszcze przed twoim wyjazdem.

Ojciec i syn pociągnęli po łyku, każdy ze swojego kubka. Chłopiec zamrugał oczami i popatrzył na dziwną kobietę: - To dobre - stwierdził.

- A pewnie, że dobre. Nigdy nie słyszałam niczego innego o moim syropie z róży. A co ty sądzisz? - Popatrzyła na Petera, który westchnął głęboko. - O, gdybym tylko miał kropelkę tego, kiedy palce przymarzały mi do oblodzonych lin, czułbym się jak w niebie. Jest mocne i tak przejrzyste jak woda - rzekł ze śmiechem.

- A teraz - usiadła naprzeciwko nich - opowiedz mi, co się z tobą działo przez te wszystkie lata, a potem zrobię wam coś do jedzenia. Zostaniecie tu, mam nadzieję?

- Przenocujemy i może spędzimy tu jeszcze jeden dzień, jeśli nas przyjmiesz.

- Tak krótko?

Peter zerknął na chłopca. - Jeśli o mnie idzie, tak. Chciałbym cię o coś prosić, Kate. - Znowu jego oczy prześlizgnęły się po chłopcu.

- Dobrze, dobrze, lecz teraz opowiadaj - rzekła Kate i pokiwała głową.

- A co tu jest do opowiadania? Pot i ciężka harówka, a także - zacisnął zęby - okrucieństwo, jakiego nigdzie indziej nie spotkasz.

- Oho! Trochę widziałam, wiesz przecież.

- Wiem. Ale to inne okrucieństwo, Kate, takie, które czyni z ludzi krwawiące kawałki surowego mięsa. Ech! - zmarszczył się i wzdrygnął.

- Czemu więc tam jesteś?

- Doprawdy nie umiem ci na to odpowiedzieć, Kate.

- Nie pomyślałaś, żeby pójść do roboty tutaj?

- Gdzie? Do szymbów albo do huty? O nie! Nigdy więcej! Na morzu masz jedną rzecz, oprócz tego wszystkiego, czego

ci brak - świeże powietrze, przynajmniej na pokładzie, no i światło. Powinienem być powiedzieć - dwie rzeczy. Lecz moje życie będzie wyglądać odtąd inaczej. Porzuciłem starą łajbę i w przyszłym tygodniu zaciągam się na statek pewnego Norwega. Ma on jeszcze przed sobą dwa rejsy, zanim nadejdą sztormy i łód skuje morze. W zimie poszukam sobie zajęcia na lądzie. Tak czy inaczej mam dosyć pieniędzy, żeby utrzymać się przez te parę miesięcy, z pracą czy bez pracy. Zaoszczędziłem trochę. To, z czym przychodzę do ciebie, Kate - rzucił okiem na syna - to ten oto chłopiec. Widzisz, mój dom był całkiem przyzwoitym miejscem, kiedy go opuszczałem. Trzyizbowy i oddalony od brzegu, okazał się jednak nie dość oddalony dla hołoty, która się do niego wprowadziła, kiedy chłopak został sam. Pewna sąsiadka pod pozorem opieki nad nim zamieszkała tam z całą czeredą swojej dzieciarni. A on biegał wśród nich, nieledwie w łachmanach na grzbiecie. Nigdy nie widziałś niczego podobnego. A ja nigdy wcześniej nie używałem swoich butów do tego, do czego użyłem ich tym razem. Przez jakiś czas na pewno omijać będą moje drzwi z daleka. To mój dom, jestem jego właścicielem. Naturalnie dzięki Betsy. Wynajmowałem pokój u matki Betsy, kiedy stąd wywędrowałem. Ojciec Betsy był kapitanem statku żeglugi przybrzeżnej i ten dom był owocem pracy jego życia. Teraz wart jest sto dwadzieścia funtów, a wart będzie więcej, jeżeli go odnowię, żeby sprzedać albo wynająć. Będzie to zależeć od tego, co mi poradzi adwokat, bo akt własności trzyma w swojej kancelarii. Byłem u niego wczoraj. Siedziałaś kiedyś twarzą w twarz z prawnikiem, Kate? Ależ są wyniośli! Ten był dość uprzejmy, choć też wyniosły. Tacy już są. W każdym razie powiedziałem mu, że udaję się do ciebie, i dałem mu adres twojej chaty.

- A co by było, gdyby się okazało, że nie żyję?

- Ha! No cóż, Kate, pomyślałem i o tym. Ale pomyślałem też o Billu Lee, że jego na pewno tu zastanę, bo dopiero się ożenił, kiedy stąd odchodziłem. Mając matkę w Allendale, nie powinien myśleć o przeprowadzce. A ona, myślę o Jane, pochodzi przecież z Haydon Bridge, tam ma rodzinę. Liczyłem więc także na nich i zostawiłem adwokatowi adres Billa. Ale, ale, czy nadal tu mieszka?

- A jakże. Zrobił całkiem niezły dom z tamtej chałupy.

Dobudował dwie izby i stajnię dla konia. Mało tego, przyznali mu cztery działki.

- Cztery działki!

- Tak. Nie uwierzyłybyś, jakie tu ludziom trafiły się gratki, odkąd wyjechałeś. Pamiętasz, jakie typy pracowały w hucie razem z tobą? I w kopalni? Pijaczyny co do jednego. No więc ci z Greenwich Hospital wpadli na pomysł, że można by ukrócić to pijaństwo, bo przez pijaństwo wielu robotników spóźniało się do pracy, a w niej też się do niczego nie nadawali, kiedy kręciło im się w głowach. No i wiesz, co zrobili? - Nie uwierzysz: wybudowali dla nich piękne domki i dali im działki. Dostając kawałek gruntu, ludzie dostali także pozwolenie na trzymanie inwentarza: krowy, kurczaków, świń, owiec czy co tam chcą, zależy tylko jak duża jest ich działka.

- No, no! Mają głowę na karku. Wiedziałem o tym, jeszcze kiedy tu pracowałem. Wtedy przedstawicielem Greenwich Hospital był pan Fawcett, nadzorca w hucie. To prostolinijny, uczciwy człowiek, tak uczciwy, jak tylko może być człowiek na tak wysokim stanowisku. Czy jest tu nadal?

- William Fawcett pracuje tu nadal, ale wydaje mi się, że to Mulcaster jest teraz na jego dawnym miejscu, a nadzorcą w hucie został pan Wardle. Ale powiedz mi, bo tego nigdy nie mogła pojąć moja głupia głowa, czy ten Greenwich Hospital* to naprawdę miejsce, gdzie zawozi się chorych, czy co innego?

- Nie, Kate, nie. To rodzaj... nie jestem zupełnie pewien, lecz wyobrażam sobie, że to coś w rodzaju towarzystwa, tak jak towarzystwo żeglugowe czy spółka właścicieli kopalni, lecz o wiele większe, skoro wykupuje posiadłości. To oni wykupili całe hrabstwo Langley, od końca do końca. Nie, nie jest to szpital, o jakim ty mówisz, to wiem na pewno, ale co to jest dokładnie, nie umiem ci wytłumaczyć.

W ciągu całej tej rozmowy chłopiec siedział, przypatrując się dorosłym i popijając swój sok. Kiedy skończył, odstawił kubek na podłogę, po czym złożył głowę na wysokim oparciu drewnianego krzesła i spokojnie zapadł w sen.

Oboje spostrzegli to w tej samej chwili i oboje przyjrzeni mu się.

*Hospital - szpital (ang.)

- Ładny chłopczyk. Podobny do ciebie, kiedy byłeś w jego wieku. Jak wyglądała jego matka? Ma coś po niej? - zapytała Kate.

- To była zacna dziewczyna, może odrobinę zbyt pobożna, ale miała otwartą głowę, nie była dewotką z klapkami na oczach. Miała to po swoim ojcu. I była niewinna...

Kate wydała z siebie skrzekliwy chichot. - Niewinna! Wcześniej też uganiałeś się za taką jedną niewinną? Pomyślałeś kiedyś o Nell Feeler?

- Nie, nigdy.

- A ja myślałam, że wygnała cię stąd tęsknota do morza, ale także chęć uwolnienia się od niej.

- Być może, ale były też inne powody, i ty o tym wiesz.

Wymienili głębokie spojrzenia, po czym Kate odparła miękkiem głosem: - Tak, wiem. - I jakby pragnąc zmienić temat, powiedziała: - Nie sądzę, żeby ona kiedykolwiek ci wybaczyła, mam na myśli Nell. Miała później dziecko.

- Co?

- Powiedziałam... No, słyszałeś przecież, co powiedziałam, urodziła dziecko chyba osiem miesięcy po twoim odejściu.

- Na Boga! Kate, czy wiesz, co mówisz?

- Mówię tylko jak było. Wyszła za Artura Poultera, i to bardzo prędko. To był jeden z ludzi Bannamana. Dziecko przyszło na świat w siedem miesięcy po weselu. No, ale mogło urodzić się za wcześnie.

- Och, Kate.

- Nie mów „Och, Kate” takim zgorszonym tonem, jakbyś był mnichem z klasztoru.

- Bannaman. Co on teraz robi?

Staruszka podniosła się i podeszła do czarnej dębowej szafki naprzeciwko kominka. Wyjęła tacę z chlebem, talerz sera i postawiła je na drewnianym, nie nakrytym obrusem stole stojącym na środku izby.

Wróciła do szafki i przyniosła z niej także trochę kurczaka i miskę zieleniny.

- Przez ostatnie parę lat było dość spokojnie. Ha, mówiąc „spokojnie”, nie wiem właściwie, co miałam na myśli. Może to, że mnie dał wreszcie spokój. Ale zdarzają się tajemnicze wypadki. Z pięć lat minęło od tego, jak wrzało w całej okolicy,

bo dyliżans wiozący pieniądze na wypłaty do huty został po drodze napadnięty, a strażnik ranny. Nie zginął, ale do dzisiaj nie może chodzić wyprostowany. To miała być wypłata przed Bożym Narodzeniem, drogi były wtedy oblodzone. Dyliżans wioził wtedy trzysta gwinei, jak powiadają. Człowiek z banku i Gabriel Roystan, urzędnik z huty, zostali pobici.

- Znalaziono winowajców?

- Właściwie nie. Tamtej nocy padał gęsty śnieg i sypał jeszcze potem przez tydzień. Kiedy stopniał, złapali Falszy'ego Reada. Nie wiem, czy go pamiętasz. Nikt nie mógł go oskarżyć, że miał coś wspólnego z tym napadem, bo nie znaleziono przy nim pieniędzy. Poza tym zatrzymano go blisko skraju kamieniołomu, a to spory kawałek od drogi. Ale teraz, trzy dni temu, Gabriel Roystan, ten sam, którego napadnięto tamtej nocy, zniknął razem z pieniędzmi na wypłatę. Oni stosowali najrozmaitsze sposoby przewożenia pieniędzy. Przez pewien czas wynajmowali nawet eskortę, lecz przez ostatni rok woził je konno jeden człowiek i za każdym razem obierał inną drogę. O wyborze drogi decydowano w ostatniej chwili, to był taki środek ostrożności. Pamiętasz Gabriela Roystana, zawsze miał fantazję ponad swój urzędniczy stan, lecz kiedy stracił żonę, chodził bardzo przybity.

- I powiadasz, że Roystan zniknął?

- Założę się, że jest już na tym twoim morzu, bo zgadnij, gdzie znaleziono jego konia? W Newcastle. Wiem to od Billa, który zasłyszał to od furmana, tego co przyjeżdża z Hexham koło południa. W Newcastle. A co mamy w Newcastle? Statki, co wypływają na pełne morze. Bill powiada, że jakiś człowiek odnalazł konia uwiązanego na nabrzeżu. Jednej tylko rzeczy nie pojmuję, może on i zadzierał nosa, ten Gabriel Roystan, może i był z rodzaju ludzi, których nie znoszę, ale na pewno był z tych, co wiedzą, co to bojaźń boża. Był pracowity i nad życie kochał syna. Chłopak jest rok czy coś koło tego starszy od twojego. - Pokazała palcem śpiące dziecko. - Jak go wołają? - spytała.

- Roddy. Pełne imię to Rodney Percival Greenbank - uśmiechnął się. - Po dziadku. Można język połamać na Rodneyu Percivalu, ale matka życzyła sobie, by tak się nazywał.

- Można język połamać. - westchnęła. - Ale dalej, przejdźmy do celu twojej wizyty, Peterze. Co zamierzasz zrobić z chłopcem? Bo myślę, że to dlatego tutaj jesteś. Mam słuszość?

- Tak, masz rację.

- Pozwól mi powiedzieć najpierw coś, nim zaczniesz. Jestem już za stara, żeby niańczyć dzieci, a poza tym w tym domu dzieciak naprawdę niewiele użyje, bo jedynym dzieckiem w pobliżu jest Mary Ellen Lee, która ma zaledwie pięć lat, ale tak cięty języczek, że gotów byś przysiąc, że do czynienia masz z dziesięciolatką. Nie wiem po kim ona to ma, bo żadne z rodziców nie jest wygadane. Są z tych, co to z mozołem ślęczą nad swoją robotą, zupełnie inaczej niż sprytna Mary Ellen. Od kiedy nauczyła się mówić, powiadam, że brakuje jej tylko pewnej części ciała, by była chłopcem.

Roześmiała się, pokazując poźółkłe, lecz zdrowe zęby, a Peter jej zawtórował. - Jesteś mądrą kobietą, Kate - rzekł. - Chciałbym go u ciebie zostawić. Ale rozumiem, jak się czujesz. Jeśli na jakiś czas wezmą go Jane i Bill, nie zabraknie im grosza w kieszeni, mogę to obiecać. Chciałbym, żebyś mimo wszystko miała na niego oko. Możesz nauczyć go rzeczy, których nie nauczy się od nikogo innego. Nauczyłaś ich mnie, a było to trzydzieści lat temu; przez ten czas zgromadziłaś pewnie jeszcze więcej mądrości. Rad bym żywić nadzieję, że z nich skorzysta.

- No, cóż. Mogę ci obiecać, że będę na niego uważać, prostować ścieżki w jego myślach, i powiem mu, jak się zbiera uzdrawiające zioła. Ale tyle tylko będę w stanie dla niego uczynić. Podobnie jak ty pójdzie własną drogą. A teraz obudź go i zjedzcie coś. I pozwól, że powiem ci to jeszcze raz, Peterze - moje oczy są rade, że cię widzą.

*

Zbliżała się szósta po południu, kiedy Peter odezwał się do Kate: - Przespacerujemy się do Billa i zapytamy, czy będzie uprzejmy wziąć sobie jeszcze jeden drobiazg na wychowanie. Właściwie nie widzę powodu, dlaczego by nie. Co o tym myślisz?

- To zależy od nich. Gdyby twój chłopak był dziewczynką, na pewno z radością powitaliby towarzystwo dla małej, bo na mój rozum za dużo przestaje ona z dorosłymi i jest trochę jak stara malutka. Jednak Bill jako mężczyzna może widzieć

to inaczej. - Popatrzyła na Roddy'ego ze śmiechem: - To jedyna rzecz, jakiej nie możesz w życiu zmienić, chłopcze - tego, kim cię stworzono.

- Zawsze jest taki małomówny? - przeniosła wzrok na Petera.

- Nie, skądże. Przynajmniej nie zauważyłem. Teraz wszystko wokół wydaje mu się nowe i obce.

- No tak, tak. Ruszajcie w drogę, żebyście zdążyli wrócić przed zmrokiem, chyba że weźmiesz ze sobą latarnię.

- Ja miałbym chodzić po kamieniołomie z latarnią, żartujesz, Kate?

- Nie, nie żartuję, ścieżki pozmieniały się od twojego wyjazdu. Dwa lata temu po ulewnych deszczach osunął się duży kawał skały po wschodniej stronie - z tamtej strony wybrali dużo więcej kamienia, żeby zbudować kanał odprowadzający gazy. Z tej strony skały też obsuwały się parokrotnie, a teraz krawędź przesunęła się prawie do samej ścieżki. A na dnie stoi woda, czego też przedtem nie było.

- Zauważyłem, że ścieżka jest uczęszczana. Czy wielu ludzi przychodzi do ciebie po zioła i leki?

- Wcale nie. Jeśli zauważyłeś tyle, mogłeś spostrzec i to, że ścieżka skręca w odwrotną stronę, łącząc się ze ścieżką dla koni, dokładnie tam, gdzie prowadzane są gallowaye* do szybów. Ciągłe je tędy przeprowadzają. Większość tutejszych farmerów wzbogaciła się, handlując na boku końmi. Nawet ci, którzy mają tylko działki, także się tym zajmują. A tej ścieżki używają głównie Cyganie. No, jak macie iść, to obudź chłopca i idźcie. Do waszego powrotu przygotuję posłania i coś gorącego w garnku, bo nocami panuje już przejmujący chłód.

Stanęła w drzwiach i spojrzała na niebo. - Noc powinna być księżycowa. Nawet jeśli się zasiedzisz, nie będziesz potrzebował latarni - stwierdziła.

Peter rozejrzał się po obejściu i uśmiechnął się: - Widzę, że nadal trzymasz kury liliputy.

- Tak, dodaj do tego jeszcze sześć gęsi i dwie kozy, dzięki których nie brakuje mi mleka ani sera.

* galloway - drobny koń pochodzący z okręgu Galloway w Szkocji - przyp. tłum.

- Bystra z ciebie kobieta, Kate. Zawsze to mówiłem.
Skinął jej głową na pożegnanie, wziął chłopca za rękę i wyszedł z podwórza.

Przeszli dolinkę i wspięli się po zboczu na szczyt kamieniołomu, lecz dopiero kiedy zagłębili się w cieniste zarośla, chłopiec się odezwał: - Tato... ja nie chcę tutaj zostać. Ja... chcę wrócić z tobą.

Peter westchnął ciężko. - Nie masz pojęcia, jakie spotyka cię szczęście. Poczekaj, aż dojdziemy do miejsca, w którym pewnie zostaniesz. To bardzo mili ludzie. Mała Mary Ellen będzie wspaniałą towarzyszką zabaw dla...

- Nie lubię dziewczynek, tato. Kiedy bawiłem się na nabrzeżu, zawsze bawiłem się z chłopcami.

- Tak - głos Petera zabrzmiał surowo. - Z jakimi chłopcami? Łobuzami, hołotą. Gdzie byś wylądował, gdybym cię z nimi zostawił? Gdybym wrócił na morze i tam cię zostawił, wiesz, gdzie byś najpewniej wylądował? W domu poprawczym, a wiesz, co to jest za miejsce, prawda?

Chłopiec przełknął ślinę i bąknął: - Ja tylko chcę być z tobą, tato...

Głos Petera złagodniał. - Wiem - odparł. - I ja też chcę być z tobą, ale to niemożliwe. Muszę zarabiać na życie, a nie mogę zarabiać na łądzie, taka już jest moja natura. Ale moje rejsy będą teraz krótsze, niektóre z nich tylko parotygodniowe. A kiedy nadejdzie grudzień, rzeki skuje lód, będę musiał wracać na ląd, a wtedy w każdą niedzielę będę cię odwiedzał - dodał weselszym tonem.

- Będziesz przychodził w każdą niedzielę?

- Będę.

- A kiedy to będzie, tato?

- Już niedługo, za kilka tygodni. Wkrótce nadejdzie październik, potem listopad, a po nim nie będzie już więcej rejsów do Norwegii. - Ucisnął małą rączkę i szli dalej w milczeniu, aż Peter zatrzymał się nagle. Popatrzył w głąb ścieżki wijącej się między wysokimi zaroślami i bardziej do siebie niż do chłopca powiedział: - No, no, jak to drzewa mogą urosnąć przez osiem lat... Dawniej mogłem widzieć to, co jest za nimi, a także przejść przez nie, a teraz, popatrz, jakie są gęste. A ścieżka dla koni... - Cofnął się o parę kroków i zmrużył

oczy, patrząc pod zachodzące słońce. - Ścieżka dla koni, jak twierdzi Kate, może i jest używana do dziś, ale nie ma nawet połowy tej szerokości co za moich czasów. No cóż, czas nie stoi w miejscu - westchnął. - To stare porzekadło, ale zawiera szczerą prawdę. - Uśmiechnął się do syna. - Mój stary kapitan zwykł mawiać: „Do roboty, chłopcy, do roboty. Czas nie stoi w miejscu, lecz ucieka. Więc ruszać się i łapać! Dalej, ruszajcie! Łapcie go, zanim wejdzie na czubek masztu!” Był ludzki - surowy, ale ludzki. Jednak dzięki Bogu, że nie będę już pod jego komendą.

Najwidoczniej go to rozweseliło, bo zawołał: - Dalej, ścigamy się do wierzchołka. Widzisz tam na górze ten duży stos kamieni? Kiedyś stała tam stodoła. Raz - przybrał pozycję do biegu, a chłopiec poszedł w jego ślady. Obaj pobiegli wyboistą ścieżką. Widząc, że chłopiec trzyma się dostatecznie daleko krawędzi, Peter pozwolił mu się prześcignąć.

Przy zburzonej stodole obaj oparli się o resztkę muru, a Peter dysząc ciężiej, niż to było konieczne, zawołał: - Ojej! Masz nogi nie od parady. Chyba się starzeję. Nikt nigdy wcześniej mnie nie pokonał.

- Nigdy, tato?

- Nigdy. Masz na to moje słowo.

Dziesięć minut później dotarli do chaty Billa Lee. Peter znów się zatrzymał, kiedy uświadomił sobie następną zmianę, która dokonała się w ciągu jego nieobecności, bowiem zaniebana jednoizbowa chałupa była teraz schludnym małym domkiem z zabudowaniami gospodarczymi. Pomyślał z uznaniem, że to dobra robota. Co uczyni jeden, może także i drugi, lecz czy przed laty ktokolwiek zwracał sobie głowę powiększaniem swojego domostwa? Nie działało się tak z powodu niedostatku materiału, wokół było dosyć kamienia. Trzeba było go tylko zebrać i przewieźć, a do tego potrzebny był koń i wóz, podczas gdy w owych czasach dla wielu ludzi jedynym środkiem transportu były własne nogi i grzbiet.

Pośpiesznie podszedł do drzwi domku, lecz zastał je zamknięte. Zastukał mocno, wołając rubasznie: - Wyłaż stamtąd i pokaż się, Billu Lee! Albo ty, Jane!

Czekał z uśmiechem na twarzy, lecz kiedy nie było odzewu, zwrócił się do chłopca: - Nic tylko musieli gdzieś wyjść.

Spróbował otworzyć drzwi, lecz nie ustąpiły pod naciskiem dłoni. - Zaryglowane. Zdecydowanie wyszli gdzieś dalej. To coś nowego w tych stronach, zaryglowane drzwi. Trzeba mieć coś wartego kradzieży, żeby tak zamykać - powiedziała. - Wróć chybą przed zmrokiem. Pewnie pojechali odwiedzić swoich. Bill wziął ranną zmianę, żeby mieć czas po południu. Chodźmy, przejdziemy się tymczasem po polu, ale przedtem zobaczymy, co Bill ma w obejściu - dodał.

Zobaczyli, że Bill Lee trzyma tuzin kurczaków i dwie świnię. U jednej zanosiło się na prosięta. Pokazał ją chłopcu i zapytał: - Jak myślisz, ile prosiaczków ma tam w środku?

- Dwa, tato.

- Dwa? Skądże, dziesięć albo nawet dwanaście.

- Niemożliwe, tato.

- Tak, tak. Jeśli tu zamieszkas, będziesz je widział, jak przyjdą na świat. To śliczny widok - nowo narodzone zwierzątka. A tutaj jest owieczka. O, nawet cztery. Ho, ho! Nieźle mu się powodzi. A zobacz ten ogród, rośnie tu agrest... i jabłonie. Ho, ho!

Spędzili pół godziny na oglądaniu podwórza i jego mieszkańców. Właściciele nadal się nie zjawiali, mimo że zaczęło się szybko ściemniać.

- Być może wyjechali gdzieś na całą noc, ktoś z ich bliskich pewnie zachorował albo umarł - powiedział Peter.

- Tak czy inaczej, jutro też jest dzień. Chodź, wracamy do domu. Słyszałeś, co powiedziałem, synku? Chodźmy do domu. To zabawne, że o chacie Kate mogę myśleć jak o domu. Z drugiej strony nie takie to znów dziwne, bo spędziłem wiele dni w tej chacie, trzymając się spódnicy Kate i zbierając dla niej zioła.

Kiedy weszli do lasu, półmrok ustąpił miejsca całkowitym ciemnościom i chłopiec szedł, trzymając się blisko boku ojca, ściskając mocno rączką jego wielką dłoń. Cisza i ciemność wzbudziły w nim lęk, a Peter wyczuł to natychmiast. Przyciągnął chłopca bliżej siebie. - Nigdy nie obawiaj się ciszy, synu, naucz się ją lubić; nie bój się także ciemności, bo w ciemności jedynie ostrzej widzisz strachy, które siedzą w środku ciebie - powiedział.

- Tak, tato - potwierdził chłopiec, nie pojmując jednak

nic prócz tego, że gdyby nie było przy nim ojca, wzięłby nogi za pas i czym prędzej wiałby z ciemności do światła.

- Spójrz. - Peter pokazał ręką niebo. - Jak przepowiedziała Kate, wschodzi księżyc. Nigdy się nie myliła co do tego. Wiesz, że ludzie przychodzili do niej pytać, jaka pogoda będzie w święta? A swoimi ziołami wyleczyła więcej ludzi i zwierząt, niż da się zliczyć. Chociaż niegdyś... no, ale teraz ludzie są bardziej oświeceni, przynajmniej niektórzy. Zobacz! Czyż to nie piękny widok!

Wyszli z lasu i znaleźli się na krawędzi kamieniołomu, której nie porastały zarośla. Peter pokazał chłopcu dno kamieniołomu, gdzie księżyc odbijał się w lustrze wody:

- To przepiękny widok - księżyc kąpiący się w wodzie. Wielekroć podziwiałem, jak galopuje odbity w morskich falach. I przesłaniające go białe obłoki. Muszę jednak przyznać, że przeżywałem chwile, kiedy nie doceniałem piękna tego widoku, gdyż bywało, że mój żołądek głośno upominał się o porządne jedzenie, bez rojącego się w nim robactwa. Albo też byłem taki przemarznięty, że marzyłem, by umrzeć. Tak. - Popatrzył na ukrytą w cieniu twarz chłopca i dodał: - Uwierzyłbyś w coś takiego, że twój ojciec pragnął umrzeć, bo był taki zziębnięty i głodny? Mam nadzieję, że nigdy nie zapragniesz pływać po morzu, chłopcze. Ale chodź, popatrz, usiądźmy na chwilkę i nacieszmy się tym widokiem, bo nie będzie trwał długo. Księżyc schowa się za chwilę za ciemną chmurą. - Ściszył głos do szeptu, sadwiąc się na trawie. - Chciałbym tę chwilę zapamiętać. Ciebie i mnie siedzących tutaj, na skraju kamieniołomu, gdzie sam wielekroć siadywałem jako chłopiec, podziwiając podobny widok. Nigdy bym nie pomyślał, że któregoś dnia będę miał takiego wspaniałego syna. - Przytulił główkę chłopca do piersi i siedzieli w milczeniu, wpatrzni w księżyc, który zdawał się zanurzać w wodzie.

Peter pierwszy usłyszał odgłos stąpania podków końskich. Delikatnie odsunął od siebie głowę chłopca i obrócił się na trawie w stronę odległego krańca ścieżki dla koni, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność. Wstał po paru sekundach. - Zbliży się koń albo konie. Lepiej uważajmy, żeby nas nie stratowały. Chodź - postawił chłopca na nogi - ukryjemy się w zaroślach, dopóki nie przejdą.

Popchnął syna w chaszczę na drugą stronę ścieżki i czekał, aż jeździec ich minie. Koń szedł stępa, wolno, lecz ucho Petera, w młodości wyczulone na leśne odgłosy, usłyszało, że obok jeźdźca ktoś idzie pieszo. Zdecydował, że na wszelki wypadek nie będzie się odzywał, żeby nie spłoszyć przybyśzów. Przyszło mu do głowy, że jeździec może mieć broń. Mógł to być na przykład wybierający się na polowanie kłusownik i wziąć Petera za strażnika leśnego.

Gdy niedaleko od nich odgłos kopyt końskich i kroków ustał, Peter ostrzegawczo ścisnął ramię chłopca. Sam zaś zwrócił głowę w tamtą stronę i nastawił uszu. Przysłuchiwał się cichym głosem, dochodzącym prawdopodobnie z odległości nie większej niż dwanaście stóp. Rozmawiali dwaj mężczyźni, lecz początkowo nie mógł rozróżnić słów. Wystawił nieco głowę i usłyszał, jak ktoś mówi:

- Pewien jesteś, że to tutaj?

- Oczywiście że tak. Jakżeby inaczej. Trzy godziny spędziłem wczoraj w nocy na kopaniu. To ledwie parę kroków od tego prześwitu. Zamaskowałem dziurę - zabrzmiała odpowiedź.

Do uszu Petera dotarło ciche besztanie: - Nie mów do mnie tym tonem.

Zapadła cisza, a po niej Peter usłyszał niezrozumiałą odpowiedź:

- To niedobra pora.

- Na mój rozum przeciwnie. Lepszej nie mogłoby być. Wszyscy są na tańcach w stodole.

Tańce w stodole. To tam musieli pójść Bill i Jane, zabierając ze sobą dziecko. No tak, naturalnie. Lecz czemu Kate nie wiedziała, że się tam wybierają? Ale niby dlaczego miałyby wiedzieć? Widywali się tylko w niedziele.

Głos rozległ się teraz z prawej strony:

- To tutaj, po lewej. Sam poszerzyłem trochę polankę, wyrwałem trochę krzaków, żeby było trochę więcej światła.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, zamiast tego słysząc było odgłosy kroków i ruch, jakby coś niesiono. Wówczas zniemacka Peter przycisnął do siebie mocno buzię chłopca, a sam wsunął głowę w gęste poszycie. Liście ostrokrzewu drapały go w policzek.

Dreszcz grozy przeszedł Peterowi po ciele, kiedy ciemne sylwetki niemal otarły się o niego, taszcząc jakiś ciężar. Gałęzie krzewów, w których byli schowani, poruszyły się trącone przez ludzi schodzących ze ścieżki.

Minęła chyba minuta, po czym Peter usłyszał głos.

- Przeprowadź tu konia.

- W nocy nikt tędy nie chodzi. Druga zmiana kończy pracę dopiero o dziesiątej - zabrzmiała odpowiedź.

- Zabierz konia ze ścieżki, mówię - wycedził cicho pierwszy głos.

Znów zabrzmiał odgłos kroków i postać przesunęła się tuż obok Petera, ale on nie podniósł głowy, żeby na nią spojrzeć. Prowadzony koń przeszedł tak blisko, że Peter poczuł zapach jego potu.

Kiedy zdał sobie sprawę, że to, co słyszy, jest odgłosem odgarnianej łopata ziemi, znalazł się na ścieżce. Chłopiec trzymał się jego boku, trzęsąc się ze strachu przed czymś, o czym nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że ojciec jest zaniepokojony. Poczuł na ramieniu rękę, a jej uścisk powiedział mu, że ma zostać na miejscu. Lecz kiedy ojciec wyszedł na mały prześwit w zaroślach, chłopiec rzucił się za nim, a trzask uschniętej gałązki pod jego stopą rozległ się w martwej ciszy jak strzał z rewolweru.

Peter nie przystanął, by skarcić syna, nie miał już na to czasu. Na poły przesłonięta latarnia na ziemi oświetlała następującą scenę. Na małej polance stało dwóch mężczyzn, każdy z innej strony wykopanego dołu. Dół nie był zbyt głęboki, gdyż Peter mógł zobaczyć leżące w nim ciało. Było częściowo zasypane ziemią, lecz odsłonięta twarz wyglądała uderzająco blado, mimo że padał na nią cień.

- Mój Boże! - wyszeptał cicho, bo już wiedział, że patrzy na ciało pana Roystana, urzędnika z huty, człowieka, który - jak przypuszczano - uciekł z pieniędzmi przeznaczonymi na wypłatę. I wtedy rozpoznał człowieka stojącego w pobliżu.

- Feeler! Ty cholerny łotrze! - wykrzyknął głośno.

Kiedy łopata już się unosiła, by opasać na głowę Petera, cios jego pięści ugodził Feelera w podbródek, a kopnięcie w dolną część brzucha pozbawiło go równowagi. Gotowy jak zwierzę do skoku, Peter nie spuszczał z oka postaci stojącej

po drugiej stronie dołu. Człowiek ten krył się w cieniu, poza kręgiem światła roztaczanego przez latarnię. Peter nie mógł rozpoznać jego twarzy, przynajmniej w pierwszej chwili. Lecz kiedy księżyc wyszedł zza chmur, oświetlił postać na tyle, że Peter poznał wysoką sylwetkę. Wpierw otworzył usta ze zdziwienia, zanim zamknął je i zazgrzytał zębami.

- Ty! Ty podły morderco!

Chłopiec ujrzał, że ojciec cofa się parę kroków, by sprężyć się do skoku. - Tato! Tato! Tatusiu! - zawołał. Zaczął krzyczeć jeszcze przeraźliwiej, gdy ciśnięta przez wysokiego człowieka łopata trafiła ojca w szyję. Włożył palce do buzi i gryzł je mocno, widząc jak ojciec pada na małego człowieka, który właśnie, chwając się, stawał na nogi.

Podbiegł do ojca, wołając rozpaczliwie: - Tato! tato! - lecz czyjaś ręka podniosła go z ziemi za kołnierz. Wrzeszczał i kopał wysokiego człowieka, dopóki nie zatkano mu ręką ust i nie złapano mocno za ręce. Usłyszał głos: - Trzymaj się. Kończ go zakopywać, a potem załatwimy się z tym drugim. Mój Boże! Że też musiało do tego dojść. Słyszysz? Weź się w garść! Mówię do ciebie! Niech dotrze do twojej tępej głowy, że masz skończyć tę robotę, jeśli nie chcesz zawisnąć na szubienicy.

- Nie... nie mogę. Prawie mnie zabił.

- Zaraz ja cię zabiję. Weź tego tutaj i trzymaj go za gębę, żeby nie wrzeszczał. Boże! Ale z ciebie mięczak. - Kiedy uścisk na chwilę zelżał, chłopiec ponownie spróbował krzyczeć, lecz zanim zdążył wydobyć z siebie głos, coś znowu zakryło mu usta. Tym razem nie ręka, a raczej ręka, tyle że nie zwyczajna. Uścisk przechylił jego głowę do tyłu, mógł więc widzieć twarz swego prześladowcy - chudą, z półotwartymi ustami, z których kącika sączyła się krew. Kiedy zaczęła kapać na jego buzię, chłopiec zamknął oczy i ponownie jął wierzcąc nogami. Jęk mężczyzny zachęcił go do podwojenia wysiłku, lecz ostatnią rzeczą, którą usłyszał, zanim ogarnęła go wielka ciemność, był głos wzywający drugiego mężczyznę po imieniu i słowa, których sens zamykał się w stwierdzeniu, że czuje się źle i nie może dłużej utrzymać chłopca. Wtedy na głowę dziecka spadł cios, który pozbawił je przytomności.

Wysoki człowiek stał, kipiąc ze złości, i patrząc na małą

bezwładną figurkę, kłął towarzysza. - Że też ze wszystkich partaczy musiałem zaufać właśnie tobie.

Drugi mężczyzna zbuntował się przeciwko temu. Cicho mamrotał, a jego słowa świadczyły o służalczości połączonej z potrzebą odwetu: - Dotąd był pan zadowolony. Nie spartaczyłem tej roboty, pan sam ją spartaczył. Powiedział pan, że wie, którą drogą on pojedzie, ale pana przechytrzył. Już zdołał pan zapomnieć, że nie jechał drogą z Newcastle? Rozpuścił takie pogłoski, żeby zbić ludzi z tropu. Wygląda na to, że można pana przechytrzyć. Jechał otwartą drogą przez wrzosowisko i to ja go dostrzegłem. Gdyby nie ja, w ogóle byśmy nic nie mieli. Niech pan to zapamięta.

- Pamiętam, pamiętam - zacharczał wysoki mężczyzna.

- I co z tego mamy, jak dotąd? Odpowiadaj. Nic prócz trupa.

- Nie był wcale martwy. Ja... po prostu go ogłuszyłem.

- głos mniejszego mężczyzny zadrżał. Zerknął w stronę dołu na częściowo pogrzebanego człowieka - To samo, co z Hel-
lierm. Nie powinien pan zapędzać się tak daleko. Nie było potrzeby - dokończył, wydając z siebie płaczliwy odgłos.

- A czyja to wina? - naskoczył drugi. - Widział ciebie, prawda? I co by się stało, gdyby wyszedł żywy? A ty, mój wierny sługo, pozwól, że cię zapytam: utrzymałbyś język za zębami? Nie, skądże. No więc on jest już martwy i Bóg jeden wie, czy doczekamy następnego dnia, jeśli krzyki tego człowieka i jego chłopaka dotarły do czyichś uszu. Przynieś trochę gałęzi. Ruszaj się, jeśli nie chcesz poczuć mojej nogi na swoim tyłku.

Obaj mężczyźni jęli zasypywać grób, po czym pozbierali trochę krzaków i powtykali je w świeżą ziemię. Następnie porzucali beładnie między krzewami kamienie.

- A co będzie, jeżeli ziemia się wypłucze? - spytał z lękiem niższy.

- Przyjdiesz i dołożysz trochę kamieni. Jasne?

- A co będzie, jeśli ktoś mnie tu zobaczy? - W głosie mężczyzny słychać było drżenie. - Rzadko tu przychodzę. Może to kogoś zaciekać...

- Na litość boską, zamknij tę swoją bojaźliwą jadaczkę. A teraz zajmij się tymi. - Pokazał dwa nieruchome ciała leżące na ziemi. - Co myślisz z tym zrobić? Pochować ich? Wiesz chociaż, kto to jest?

- Rozpoznałem go, to młody Greenbank.
- Ano, młody Greenbank. Dobrze, że to on, inaczej byłoby już po nas. Rozumiesz, co mam na myśli? - Mówił o wiele ciszej, a niższy człowiek wpatrywał się w niego w bladym świetle księżyca, lecz nie odpowiadał. Opuścił brodę na piersi i słuchał towarzysza. - Jest jedna rzecz, za którą powinniśmy dziękować Bogu - ulewy często powodują osuwanie się kawałków skały i ziemi, zwłaszcza w tej dziurze. No, zrzucamy go.

- Co takiego?

- A co mamy zrobić? Zostawić go tutaj, żeby doszedł do siebie, i chłopaka razem z nim? Wyciągaj nogi!

Minęło sporo czasu, zanim przenieśli ciało przez wąską ścieżkę do krawędzi przepaści. Upuścili je i czekali pochyleni nad urwiskiem, wpatrzeni w lustro wody na dole.

Doszedł ich rumor i odgłos osuwania się kamieni. Trwał tylko parę sekund.

Zdążyli zawrócić znad przepaści, kiedy dźwięk zdławionego płaczu chłopca i głosów dobiegających z oddali nakazał im się przycisnąć. Starając się czynić jak najmniej hałasu, półzgięci, szybko dotarli do chłopca. Duży mężczyzna zobaczył, że małe próbuje czmychnąć czołgając się. Chwycił go i trzymając tak, jakby dziecko kołysał, ręką mocno zasłonił mu usta.

Głosy przybliżyły się, lecz słów nie można było odróżnić. Ścichły, oddalając się swoją drogą.

Szeroko otwarte oczy chłopca patrzyły na twarz trzymającego go człowieka. Była inna niż tamta chuda twarz, którą widział poprzednio. Wielka, z ogromnymi krzacastymi brwiami, z brodą i z dużymi oczami. Nie osłonięte kapeluszem czarne włosy sięgały uszu.

- Prędko! - mężczyzna syczącym głosem ponaglił towarzysza, a sam wyprostował się i nie zdejmując dłoni z ust chłopca, drugą ręką wymierzył mu cios w głowę za uchem. Gdy drobne ciało znowu zwisło bezwładnie, zaniósł je nad brzeg kamieniołomu i tam upuścił. Nie czekał na odgłos upadku, lecz zrobił dwa kroki w prawo i począł wyrwać młode drzewko korzeniami wczepione w ścianę kamieniołomu. Poruszał nim w lewo i w prawo, w końcu wyrwał je i odskoczył ze ścieżki.

Poczuł, jak ziemia drży mu pod stopami i raz jeszcze odskoczył, w samą porę, gdyż w ciągu zaledwie paru sekund poruszona ziemia i kamienie runęły w dół na dno przepaści.

Dwaj górnicy idący do High Stublick byli właśnie na ścieżce wiodącej do chaty Kate, gdy usłyszeli z oddali łoskot. Przystanęli na chwilę.

- Posłuchaj tylko. Kamieniołom znowu przemówił. Dobrze, że nie przemówił, kiedy byliśmy tam na górze, czyż nie? - powiedział jeden z nich.

- Ano - odparł drugi. - Moglibyśmy mieć kłopoty. Chyba bezpieczniej jest pod ziemią. - I obaj się roześmiali.

2

Kate była zła. Ugotowała pełen garnek rosółu i zagniotła kluski, które czekały, by je wrzucić do garnka w chwili, gdy goście przestąpią próg. Mimo że dni były jeszcze dość ciepłe, wieczorem dobrze już kasał chłód. Kiedy półmrok przeszedł w całkowitą ciemność, a goście nie zjawiali się, domyśliła się, że Bill Lee pewnie nagrzał swojego słynnego piwa, które musiało rozwiązać im języki, tak że pograżyli się bez opamiętania we wspomnianiu dawnych czasów. Kiedy jednak nadeszła dziesiąta, Kate zaczęła się niepokoić. Dawno minęła jej zwykła pora udawania się na spoczynek, bo miała zwyczaj chodzić spać o zmroku, a budzić się o świcie.

Przygotowała dla Petera i jego syna postanie na podłodze przy ogniu. Położyła tam stary, grubo wypchany siennik, który powinien wydać się im wygodny po całym dniu wędrówki. Kiedy jednak zbliżała się północ, a oni nadal się nie zjawiali, jej zmartwienie ustąpiło miejsca zagniewaniu. Pomyślała bowiem, że najwidoczniej Peter musiał wypić tyle, że uznał, iż lepiej będzie przespać się w chacie Billa niż wędrować nocą przez kamieniołom z małym chłopcem. Tak czy inaczej - zlekceważył ją.

Leżała w łóżku i nie mogła zasnąć. Rozsądek podpowiadał, że trudno sobie wyobrazić, by piwo warzone przez Billa Lee

mogło zwalić z nóg Petera, bo jako marynarz musiał być przyzwyczajony do rumu i innych mocnych trunków.

Drzemała z przerwami i zanim jeszcze się rozjaśniło, usiadła na brzegu łóżka. Poruszała wąskimi wargami, co świadczyło o zaniepokojeniu. Gnębiło ją dziwne przeczucie, takie, jakiego doświadczała zawsze, gdy działo się coś niedobrego. Czy mogło im się przytrafić coś złego? Czy coś złego mogło się przytrafić komukolwiek w tej okolicy? Wprawdzie robotnicy byli skorzy do chuligańskich wybryków, lecz ostatnio jakoś się o nich nie słyszało, od kiedy większość z nich zamieszkała w porządnym domach z działkami.

Zazwyczaj wypadki zdarzają się w dni wypłat, kiedy chadzają do Hexham i do Allendale, do której gospody komu bliżej. A poza tym taki mężczyzna jak Peter z pewnością umie się o siebie zatroszczyć - myślała.

Wstała z łóżka i podsycała drewnem dogasające płomyki ognia. Podgrzała trochę koziego mleka, wkruszyła doń odrobinę chleba i koziego sera. Zjadłszy tak przygotowany posiłek do połowy, odkryła, że straciła zupełnie apetyt. Ubrała się i wzięta chustę zza drzwi. Owinęła nią głowę, krzyżując rogi pod obwisłymi piersiami i wiążąc w supeł na plecach. Do ręki wzięta wiklinowy koszyk i wyszła. Umyśliła sobie, że przejdzie się trochę w kierunku chaty Billa Lee, ale jeśli spotka Petera wracającego z chłopcem, nie da po sobie poznać zaniepokojenia ani gniewu. Będzie udawać, że wybrała się jak zwykle zbierać zioła.

*

Naturalnie niewiele było ziół do zbierania przy ścieżce biegnącej szczytem kamieniołomu. Żadna wartościowa roślina nie rosła na poszyciu w tak uczęszczanym od lat miejscu. Lecz nieopodal lasku, za którym położona była chata Billa Lee, rozciągał się kawałek łąki, na której dość często - o ile tylko nikt nie wypuścił tam koni na popas - udawało się jej zebrać całe naręczka ziół. W razie czego powie swoim gościom, że tam właśnie się wybierała.

Słońce ukazało się nad wierzchołkami wzgórz, kiedy idąc ścieżką wzdłuż urwiska, natknęła się na coś, na widok czego stanęła jak wryta. Osunęła się skała, zabierając ze sobą część ścieżki. Wczoraj wieczorem słyszała odległy łoskot, ale nie

zwróciła na niego uwagi, gdyż podobne odgłosy często dochodziły z szybów czy z huty. Żartowano nawet, że któregoś dnia górnicy przebiją dno kamieniołomu.

Aby obejść zapadlisko, musiała przejść po trawie i mchu. Wreszcie dotarła do miejsca wydeptanego przez wiele nóg. Wszędzie leżały rozrzucone kamienie i widniały ślady świeżo zrytej ziemi. Pomyślała, że nie mogli to być Cyganie, bo inaczej byłby tu także ślad ogniska. Chociaż nie byłiby takimi głupcami, żeby palić ognisko wśród mchu i zarośli. Przedarła się przez głóg i jeżyny na drugą stronę. Stanęła na skraju i popatrzyła w dół na rumowisko. Osunęła się skała i duży kawał ziemi, większy niż zazwyczaj. Proszę, co robią deszcze.

Już miała się odwrócić i pójść dalej, gdy wtem jej oczy zwięziły się i postąpiła ostrożnie ku przepaści, usiłując lepiej przyjrzeć się temu, co zdawało jej się, że widzi. Nie na samym dnie, ale wyżej, po lewej stronie, zobaczyła bowiem coś, co sprawiło, że bezwiednie złapała się ręką za szyję i wyszeptała: - Nie, Boże jedyny, nie! - Po chwili ze zręcznością kogoś o połowę młodszego pobiegła z powrotem ku szczytowi kamieniołomu i stamtąd - ześlizgując się po drodze wyjeżdżonej przez niezliczone wozy i końskie kopyta - dotarła nad lustro wody. Idąc brzegiem, potykała się o głazy i grudy ziemi. Kiedy dotarła na miejsce, spojrzała do góry i zobaczyła wyraźniej to, co widziała przedtem ze szczytu - małą bezwładną rączkę wystającą z czarnego rękawa. Teraz dostrzec mogła także ciało uwięzione w gałęziach dużego krzewu.

- To chłopak. Tak, to jest chłopak - usłyszała swój własny głos wydobywający się z piersi głośnym krzykiem. Jakby wznosząc do Boga modlitwę o pomoc, uniosła oczy ku górze, gdzie na szczycie kamieniołomu dostrzegła dwie usmolone twarze.

Uniosła ramiona, machając do nich rozpaczliwie, i krzyczała: - Na pomoc! Tu jest uwięzione dziecko! Na pomoc!

W odpowiedzi obaj mężczyźni rzucili się w dół kamieniołomu. Skacząc po kamieniach, wywołując gdzieś osuwanie się kamieni i żwiru, w parę sekund byli już przy niej. Popatrzyli w górę i jeden z nich powtórzył słowa Kate: - Boże wszechmogący! Musiał tędy przechodzić, kiedy to się stało. Słyszeliśmy łoskot, kiedy zśliśmy z pracy wczoraj wieczorem.

- Czy dacie radę zabrać go stamtąd?
- Wydostaniemy go, Kate, wydostaniemy.

Przyglądała się im, jak gramolą się pod górę do krzaka i delikatnie wyplątują chłopca spośród gałęzi. Jeden z mężczyzn wziął drobną postać w ramiona, gdy tymczasem drugi przytrzymywał go za pas i pomagał utrzymać równowagę przy schodzeniu w dół.

Kiedy położyli ciało u stóp Kate, natychmiast ukłękła przy nim, przyłożyła dłoń do piersi chłopca i chwilę przytrzymała. Spojrzała na mężczyzn, którzy w milczeniu przyglądali się temu pytającym wzrokiem. - Ledwie się kołaczę - powiedziała.

- Znasz go? Czy to chłopak z sąsiedztwa?
- Nie. - Potrząsnęła głową. - Przyszedł z ojcem mnie odwiedzić... wczoraj.
- Z ojcem?

Potaknęła głową i popatrzyła na rumowisko.

Mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia. Jeden z nich zapytał: - I myślisz, że on...?

- Nie może być nigdzie indziej - odrzekła. - Nie zostawiłby chłopaka samego. Przyprowadził go do mnie, żebym się nim zaopiekowała. Poszli do chaty Billa Lee na pogawędkę. Czy... moglibyście zrobić to dla mnie i go wydostać?

- Pewnie, Kate. Ale będziemy musieli wezwać pomoc. Sami nie odwalimy tego wszystkiego.

- Nasza zmiana rozeszła się już do domów - rzekł drugi mężczyzna.

- Ale są konie pociągowe.
- Racja. Najpierw jednak zanieśmy chłopaka do Kate.
- Odwrócił się do starej kobiety. - Dostaniemy go, jeśli tylko tu jest - powiedział. - Ty wracaj i przyprowadź pomoc, a ja zaniósę malca do Kate - zwrócił się do towarzysza.

*

Słońce stało dokładnie ponad głowami, kiedy ciało Petera przyniesiono do chaty. Jednym z czterech mężczyzn dźwigających nosze był Bill Lee z twarzą równie bladą jak twarz nieboszczyka. Chociaż głowa Petera była rozcięta z tyłu, twarz miał białą, jakby przed chwilą umył ją w morskiej wodzie.

Kiedy mężczyźni wyszli, ściszonymi głosami składając wyrazy współczucia, w chacie pozostali tylko Bill Lee i jego

żona Jane. Bill patrzył na zwłoki starszego zaledwie o cztery lata człowieka, przyjaciela z lat chłopięcych.

- Jestem wstrząśnięty. Jestem naprawdę bardzo wstrząśnięty - wymruczał. - Pomyśleć tylko, że wydarzyło się to, kiedy szedł, by nas odwiedzić. Mówisz, Kate, że chciał, żebyśmy zaopiekowali się chłopcem? - Zerknął w stronę rozciągniętego na drewnianej ławie malca, który także wyglądał jak martwy.

- Tak. Wczoraj zdawało mi się, że jestem za stara, by się nim zająć. Ale teraz jakoś... No cóż, zobaczymy. Jeśli tylko chłopak przeżyje, zobaczymy.

- Dobrze, Kate. Ale wiedz, że my też jesteśmy chętni. Prawda, Jane?

- Tak, Kate, jesteśmy gotowi wziąć go w każdej chwili.

- Zobaczymy, zobaczymy - jeszcze raz powtórzyła Kate.

- Oczekuję, że zjawi się tutaj sam pan Mulcaster, bo to on jest odpowiedzialny za kamieniołom. Powinni byli już wiele lat temu zrobić barierki wzdłuż urwiska. Stale to powtarzałam, bo wiecznie wpadały tam krowy i owce. Ale po raz pierwszy kamieniołom zabrał życie ludziom. I pewnie nie ostatni, bo droga się osuwa - dodała.

- Nie będę zdziwiony, jeśli przyprowadzą tutaj władze.

- Może i tak. W każdym razie chcę go umyć, zanim przyjdą.

- Pomóc ci, Kate?

- Nie, sama się tym zajmę. Wolę zrobić to sama. Jakoś...

- przerwała i popatrzyła na pobrudzone ziemią ciało. - On był dla mnie jak syn - dokończyła ciszej.

Wszyscy milczeli przez chwilę. - Pójdziemy na razie. Ale niebawem wrócimy - rzekł Bill.

- Dobrze - zgodziła się, nie patrząc na nich. Wyszli, zamykając cicho drzwi.

*

Kate rozebrała Petera i umyła, po czym nakryła go białym prześcieradłem. Ubranie, z wyjątkiem pasa, wrzuciła do małej pralni za chatą. Z płaszcza wyjęła zawiniątko, w którym Peter trzymał swoje marynarskie papiery razem ze srebrnym łańcuszkiem, na którym wisiało drewniane serduszeko, wypolerowane jak szkło. Był także zegarek w metalowej kopercie, ale

zepsuty. Wróciła do kuchni, gdzie przysiadła na ławie. Otworzyła jedną z kieszeni pasa, skąd wyciągnęła mały irchowy woreczek. Wytrząsnęła na rękę zawartość i oczom jej ukazał się mały stosik suwerenów. Trzy z nich spadły na derkę okrywającą chłopca. Te zebrała na końcu, licząc: - ...dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy.

- Dwadzieścia trzy złote suwereny. - Musiał je długo zbierać - wymruczała na głos. W drugiej kieszeni pasa było trochę srebra, wszystkiego trzy funty. Jeśli odda to razem z resztą rzeczy władzom, co się z tym stanie? Czy chłopak, jeśli przeżyje, coś z tego dostanie? Pewnie tylko małą część, bo reszta przejdzie przez wszystkie sądy i prawników. Położą na tym swoje łapy. A przecież to należy się chłopcu. Ale z drugiej strony - rozejrzała się po izbie, jakby ktoś poddawał w wątpliwość słuszność jej rozumowania - pewnie będą się spodziewali, że coś miał w portmonetce, czyż nie? Zostawi dwa suwereny, co stanowi całkiem słuszną sumę, i funt srebra, a resztę zatrzyma dla chłopca, jeśli przeżyje. A jeśli malec nie przeżyje? No cóż, wtedy zostawi to sobie. Któregoś dnia może wróci jej syn i rad będzie z dwudziestu jeden złotych suwerenów i dwóch srebrnych funtów, bo sama nie uszczknie z tego ani pensa.

Podeszła do komina, z tej strony, gdzie mieścił się piekarnik, włożyła rękę w głąb i ścisnęła kamień, poruszając nim do przodu i do tyłu, póki się całkiem nie wysunął. Pokrywała go sadza, co dowodziło, że przez długi czas nikt nie ruszał go z miejsca. Włożyła rękę do dziury większej niż zasłaniający ją kamień i wsypała tam garść suwerenów i srebrnych monet. Umieściła kamień z powrotem, starym zwyczajem pogładziła go ręką, ścierając sadzę, tak że gdyby ktoś tu zajrzał, nie dostrzegłby odcinającego się wyraźnie konturu ruchomego kamienia.

Otrzeptała ręce i rękawy z sadzy i poszła do pralni się umyć. Gdy wróciła do kuchni, pochyliła się nad chłopcem. Nie poruszył się ani nie dał żadnego znaku życia, odkąd górnicy położyli go w tym miejscu. Jej zioła leczyły wiele dolegliwości, ale należało je wypić albo żuć, więc po pewnym wahaniu poszła za radą Billa i poprosiła furmana jadącego do Haydon Bridge, by dał znać doktorowi, żeby przyjechał jak najprędzej.

Umyła chłopca, jak przedtem ciało jego ojca, i posmariowała maścią sińce i zadrapania. Chociaż twarz chłopca była pokryta zakrzepłą krwią, nie miał na ciele żadnej otwartej rany, świadczącej, że to on krwawił. To było bardzo dziwne. Ponownie zaczęła się zastanawiać, dlaczego chłopiec i ojciec leżeli w tak dużej odległości. Petera znaleziono o dwadzieścia stóp od miejsca, gdzie tkwił chłopiec zaplątany w gałęzie. Powinni byli iść obok siebie, trzymając się za ręce. Nawet jeśli tak nie było i chłopiec wyrwał się do przodu, odgłos osuwającej się ziemi powinien był ich ostrzec. Zwyczajne osunięcie się ziemi w kamieniołomie miało zwykle zasięg jakichś pięciu kroków. Zwrócił na to uwagę jeden z górników i wyjaśnił, że widocznie główna siła uderzenia zmiotła ojca, a chłopca odrzuciła na bok. Ale Kate nie mogła się z tym zgodzić - odległość była za duża. Coś innego musiało się tu zdarzyć. Męczyło ją jedno z jej dziwaczkich przeczuć. Z drugiej strony, gdyby to było czyjeś zbrodnicze dzieło, celem byłaby najpewniej grabież. Nie pozostawiono by Peterowi jego pasa. Większość ludzi wie, co marynarze zwykle noszą w swym pasie. Nie dawało jej to spokoju.

Chłopiec poruszył się, a Kate prędko chwyciła jego rękę. - Cicho, cicho - powiedziała półszepem. Dotknęła jego czoła. Było gorące i perlił się na nim pot, jakby chłopiec miał gorączkę. Spędziwszy chłodną noc na dworze, mógł dostać gorączki. Jeśliby mogła podać mu lekarstwo, wkrótce by go z tego wyleczyła. Mały jęknął, otworzył oczy i popatrzył na Kate. Znowu je zamknął i wydawało się, że zapada w sen.

*

Chłopiec spał z przerwami trzy dni. Zbudziwszy się trzeciego dnia, popatrzył na mężczyzn, którzy podnosili ze stołu trumnę, by wynieść ją na zewnątrz, lecz nie okazał żadnego zainteresowania. Doktor powiedział, że to jest spowodowane wstrząsem - co oznaczało, że musi minąć trochę czasu, nim chłopak przyjdzie do siebie i że żaden lek Kate nie może przyspieszyć wyzdrowienia. Miała tylko pilnować, by leżał spokojnie, poić go mlekiem i karmić ubitymi jajkami, najlepiej surowymi, gdyż surowe białko wzmacnia mięśnie. Miało to pomóc chłopcu prędko stanąć na nogi.

Kate nigdy wcześniej nie słyszała o niczym podobnym, niemniej ubijała surowe jajka i podawała chłopcu łyżeczką.

Czwartego dnia wydarzyły się dwie rzeczy: chłopiec odzyskał przytomność i Kate z przerażeniem odkryła, że stracił pamięć.

Kiedy wreszcie usiadł, wyprostował się i rozejrzał się po izbie, Kate powiedziała: - No, no, moje dziecko, czujesz się lepiej. - Poruszył ustami bezgłośnie, nim wydobyły się z nich słowa: - Co? - a potem: - Gdzie jestem?

- Pamiętasz mnie, jestem Kate - odparła łagodnie. - Tak mówił do mnie twój tato, lecz tobie kazał nazywać mnie panią Makepeace, pamiętasz?

Chłopiec wykonał lekki ruch głową i ze zdziwieniem rozejrzał się po izbie.

- Nie pamiętasz, co się stało, kiedy osunęła się skała w kamieniołomie i spadłeś?

- Ja spadłem? - powtórzył i pokręcił z niedowierzaniem głową.

Kate wyprostowała się, spojrzała na chłopca z ukosa i zmrużyła oczy.

- Jak się nazywasz? - zapytała

- Jak się nazywam? - spuścił wzrok w poczuciu winy. Paluszkami chwycił jakąś wystającą nitkę i skubał ją, zanim podniósł na Kate oczy i niemo otworzył usta.

- Masz na imię Roddy.

- Roddy? Nie wiem.

- Pamiętasz swojego tatusia? - zapytała łagodnie.

Zatrzepotał rzęsami, wyraźnie czyniąc wysiłek, by coś sobie przypomnieć, a potem bliski płaczu odparł: - Nie. - Buzia zadrgała mu powstrzymany szlochem. Kate poklepała go lekko dla dodania mu otuchy. - Wszystko będzie dobrze. To dlatego, że uderzyłeś się w głowę. - Pogłaskała jego ciemne włosy. - Nie martw się, nie martw. Pamięć powróci, kiedy tylko odzyskasz siły.

Przez chwilę zadawała sobie w duchu pytanie, czy powiedzieć mu, że jego ojciec nie żyje; może szok mógłby pomóc chłopcu odzyskać pamięć. Zrobiłaby jednak malcowi więcej krzywdy niż pożytku. O wiele lepiej pozostawić rzeczy takimi, jakie są. Natura sama leczy, potrzebuje tylko czasu...

Kiedy później w ciągu dnia przyszedł doktor, jego słowa wstrząsnęły nią jeszcze bardziej. - Może być i tak, że nigdy nie odzyska pamięci - powiedział. - Zdarzają się takie wypadki. Spadając, musiał uderzyć się w czułe miejsce głowy. To spowodowało - jak my to nazywamy - amnezję.

- Co takiego?

- Amnezję - powtórzył doktor. - To rodzaj utraty pamięci. Może się wyleczyć z tego choćby jutro, ale też może nigdy nie odzyskać pamięci.

- Boże drogi! - westchnęła Kate.

A doktor będąc człowiekiem - jak ona sama - nader często wątpiącym we Wszechmogącego, odpowiedział żartem: - To trafne słowo, drogi! Drogo każe nam, maluczkiemu, płacić za swoją dobroć.

Był dziwakiem ten stary doktor, ale dał się lubić.

Nie mogła powiedzieć tego samego o następnym gościu, którego nienawidziła jak nikogo na świecie. Był nim Dan Bannaman.

Ten czterdziestopięcioletni mężczyzna, wysoki i przystojny, miał w sobie coś odpychającego. Był farmerem, któremu co roku udawało się wyjść na swoje. Podczas gdy zbiory innych farmerów cierpiały wskutek suszy czy powodzi, jemu pogoda zawsze zdawała się sprzyjać. Jego stada stawały się z roku na rok liczniejsze, a dom obszerniejszy. Dziewięcioletnia córka Dana odbierała wykształcenie stosowne dla damy, a ośmioletni jedyny syn uczył się w elitarnej szkole w Hexham. Odkąd Bannaman jako młody chłopiec zamieszkał ze swoim wujem Johnem na farmie Rooklands, wszystko mu się darzyło.

Johna Bannamana powszechnie lubiano i szanowano, chociaż wszyscy wiedzieli, że więcej czasu spędzał na pijatykach i polowaniach niż na prowadzeniu farmy. Kiedy umarł bezdzietnie i pozostawił tysiąc akrów ziemi, w większości kiepskiej, bo położonej w wyższych partiach wzgórz, pozostawił także niezliczone długi, które musiał pospłacać jego sióstrzeniec Dan. Odkąd jednak Dan Bannaman wszedł w posiadanie farmy, zaczął opływać w dostatki. Ożenił się z Rosalie Fountain, która pochodziła z dobrej rodziny. Poza tym, gdy inni farmerzy tylko od czasu do czasu sprzedawali konie do

kopalni i huty, on robił to stale i na szerszą skalę. Sądzone, że na posag Rosalie musiała złożyć się cała jej rodzina, Fountainowie nie byli bowiem zamożni.

Było troje, najwyżej czworo ludzi, którzy wiedzieli dobrze, że zamożność Dana Bannamana nie wzięła się z posagu jego żony. Niegdyś było ich sześcioro, lecz teraz jeden już nie żył, a drugi był w Ameryce.

Kate, nie wypuszczając klamki z rąk, stała i wpatrywała się w mężczyznę, który się do niej uśmiechnął.

- Witaj, Kate. Nie zaprosisz mnie do środka? - zagadnął.

- Nie, nie mam zamiaru - powiedziała po prostu.

Uśmiech spętał z jego twarzy: - To wielka szkoda, Kate - odparł.

- Nie nastraszy mnie pan, niczym mnie już pan nie nastraszy.

- Możesz się zdziwić, Kate.

- Na pewno się zdziwię.

- Mam wszędzie wielu przyjaciół.

- Może pan sobie mieć albo i nie mieć, ale Ameryka to wielki kraj, a on nie mieszka w jednym miejsku.

- Skąd wiesz? Nie masz skąd się o tym dowiedzieć.

- Może się pan zdziwić.

Wtem przyszło jej coś do głowy.

- Odwiedził mnie wczoraj marynarz, biedak, który zginął w nocy na dnie kamieniołomu - dodała. - Może słyszał pan o tym?

- Tak, słyszałem - odparł głucho.

- Pewnie go pan pamięta, to Peter Greenbank. Chłopak, który się tutaj urodził i wychował, a potem pracował. Przed dziesięciu laty poszedł na morze, żeglował po całym świecie, a Ameryka była jednym z krajów, do których zawijał. Przyniósł mi wieści, na które czekałam długo. - Zmusiła się do uśmiechu. - Moja kolej teraz, by pana ostrzec, panie Bannaman, bo wytropienie mojego syna może zająć całe życie, podczas gdy sprowadzenie sędziego z Newcastle zajmie tylko godzinę.

Popatrzyli na siebie tylko przez krótką chwilę.

- A co z twoją własną skórą, Kate? Ukrywanie to też przestępstwo - odezwał się Bannaman.

- O to już się nie troszczę. To nie ma znaczenia, bo i tak stoję nad grobem. Ale przed panem najlepsze lata. Ma pan piękny dom, wielką farmę i pozycję w hrabstwie, panie Bannaman. Ma pan wiele do stracenia, pan i pańscy totumfacycy. I ostrzegam, nie próbuj pan na mnie tego, co wypróbowałeś na Lesie Carterze...

- Nie miałem nic wspólnego z Lesem Carterem. - Głos Bannamana zabrzmiał ponuro. - Wiesz dobrze, czyja to była wina.

- To tylko pan tak mówi. Przez te wszystkie lata miałam swoje wątpliwości.

- Gdyby nie ja, twój chłopak by wisiał.

- To pan tak mówi, ja zaś twierdzą co innego, tak samo jak Pat. Powiem panu jedno - zostawiłam swoje zeznanie. Jeżeli umrę gdziekolwiek poza moim łóżkiem, będzie powód, by znowu zacząć przepytwać ludzi. Zostawiłam to w dwóch miejscach w zabezpieczonych kopertach, jak testament. Mój Pat, jak pan wie, umie czytać i pisać. To nie byle nieokrzesany hutnik czy wiecznie pijany górnik z szybów ołowiowych czy węglowych, to rozgarnięty młodzieniec. Wykorzystał go pan i ukuł przeciwko niemu intrygę. Lecz zanim odszedł, powiedział mi - jak się przed panem zabezpieczyć, co też zrobiłam. A teraz, panie Bannaman, po prostu panu to mówię.

Dan Bannaman wbił wzrok w ziemię i pokręcił głową.

- Nie wierzysz, że uczyniłem w życiu kiedykolwiek coś dobrego, prawda? - zapytał.

- Mówię o tym, co widzę, a nie widzę niczego takiego. Podejrzany jest dla mnie każdy pana krok, więc teraz pytam, co pan robi tak daleko od swojego pałacu?

- Coś nader podejrzanego, Kate. Przywiozłem człowieka, żeby zebrał młode sadzonki sosen i jodeł. Chcę zalesić kawałek ziemi i dostałem zezwolenie od Jamesa Mulcastera. Cóż więc złego znajdziesz tym razem?

- Jodły i sosny? Dlaczego musi pan wyprawiać się po nie tak daleko? Z tej strony rosną same mizerne. Ledwie zaczęły rosnąć tu na szczycie.

- Mizerne, jak powiadasz, duszą siebie nawzajem. Jeśli się je zostawi, urosną jak pałki, bez gałęzi. Przy twojej wrodzonej mądrości, Kate, myślałem, że wiesz, co to jest przecinka.

Drzewa są jak ludzie, jeśli trzymać je w ścisłości i tłoku, rosną jak chwasty, pogięte, pajęczce. Trzeba dać im więcej powietrza i światła, wtedy potężnieją.

Przyglądała się mu spod przymrużonych powiek: - Mądra mowa nie wychodzi gładko z twoich ust, Danie Bannamanie. Trzymaj się lepiej tego, na czym znasz się najlepiej, na pogroźkach i temu podobnych rzeczach.

Hałas z wnętrza izby odwrócił uwagę Kate. Na brzegu ławy siedział chłopiec i chwiały się lekko. Puściła drzwi, wołając:

- Nie ruszaj się, chłopcze. Zaraz do ciebie idę.

- To ten mały, który spadł w przepaść?

Odwróciła się, by przytrzymać drzwi, ale Bannaman już je pchnął i przypatrywał się chłopcu, który także patrzył na niego. Przyglądali się sobie dobrą minutę, a Kate bacznie ich obserwowała. Dopiero kiedy chłopiec stanął na nogach, podbiegła do niego i podprowadziła do krzesła.

Po chwili, nie spuszczać z chłopca oka, Bannaman zapytał:

- Jest ciężko ranny?

- Podrapany tu i ówdzie.

- Biedny malec. - Wszedł do izby i stanął o parę kroków od dziecka: - Dzień dobry. - Chłopiec patrzył na gładko ogoloną twarz, lecz nie odzywał się ani też nie dał żadnego znaku. - Nie może mówić? - zapytał Bannaman.

- Może, lecz doktor powiada, że na jakiś czas stracił pamięć, ale... to się cofnie. Tak powiedział doktor, pamięć powróci - odpowiedziała z wahaniem.

- Biedactwo. A jego ojciec zginął.

- Tak.

- Rozmawiałem o kamieniołomie z panem Mulcasterem. Myślę, że wreszcie coś z nim zrobią. O ile wiem, od lat już obrywają się w nim skały.

- To nie powinno pana niepokoić, to przecież nie pana teren.

- Kate, przyznaj mi prawo do odrobiny ludzkich uczuć.

- Znowu patrzył na chłopca. - Co z nim będzie teraz? - zapytał w końcu.

- Będę się nim opiekować.

- Ty?

- Tak. Nikogo poza mną nie ma, o ile mi wiadomo.

- No, no, w twoim wieku, brać na wychowanie dziecko. No, przypuszczam, że mógł trafić gorzej, niż pod twoją opiekę. Ale... powiem ci coś, tylko nie pytaj, co się za tym kryje. Słyszysz? Jeżeli chcesz dać chłopakowi coś na początek.... Ile on ma lat?

- Niedługo skończy osiem.

- Więc niedługo już będzie dość duży, by pójść do pracy i uczyć się popołudniami. Ale chciałbym coś dla niego uczynić. Niechby przyszedł do mnie na farmę. Nauczy się wiele. Pozwól, bym uczynił tę jedną dobrą rzecz, Kate - pochylił się nad nią.

Wyrażała w przekonaniu, że w każdym tkwi choć odrobina dobra, że nikt nie jest całkowicie zły, miała więc ochotę odpowiedzieć: „Dobrze, będę trzymała pana za słowo”. Jeżeli ktokolwiek mógłby pomóc chłopcu takiemu jak ten, bez ojca i bez żadnej dobrej przyszłości, oprócz tej w hucie lub w szybach, to tylko Bannaman. Powiedziała jednak tylko: - Nie zabraknie mu wykształcenia. Zajmę się tym w odpowiednim czasie. A co do pracy, na to także przyjdzie czas.

- Nie zmieniasz się Kate.

- Nie, nie zmieniam się.

- To wielka szkoda.

- Dla kogo?

- Dla nas obojga.

- Zobaczymy. Życzę panu dobrego dnia, panie Bannaman.

Mężczyzna popatrzył raz jeszcze na chłopca, który siedział nieporuszenie, nie spuszczać z niego oczu. Odwrócił się i poszedł.

Kate chwilę odczekała, podeszła do drzwi, otworzyła je i patrzyła, jak Bannaman konno oddala się od jej chaty. Zamknęła je i powoli zbliżyła się do chłopca.

- Pamiętasz tego człowieka?

Popatrzył na nią i odparł: - Nie.

- Nigdy go wcześniej nie widziałeś?

- Nie.

Wyprostowała się, a potem z uśmiechem spytała: - Czujesz się trochę lepiej?

Zamiast odpowiedzieć położył rękę na głowie. Widząc to, zapytała: - Boli cię głowa? Dam ci zaraz coś, co uśmierzy ten ból.

Przedtem jednak jeszcze raz podeszła do drzwi i uspokoiła obawę, widząc, że Bannaman rzeczywiście odjechał. Stała zamysłona, wpatrując się w dal. Dlaczego zgolił brodę? Ale brodę nosił wszystkiego trzy czy cztery lata. Przedtem zawsze chodził gładko ogolony. Ale czemu zgolił ją właśnie teraz? I ta jego mowa o zbieraniu młodych drzewek!

Później pójdzie do lasu i rozejrzy się trochę.

*

Pod wieczór Kate weszła na szczyt kamieniołomu i stanęła w miejscu, skąd przed czterema dniami zauważyła rączkę chłopca. Przeszła też przez małą polankę, gdzie krzaki były pogniecione. Od tamtej pory krzewy podeptano jeszcze bardziej, więc nie było nic więcej do oglądania prócz porozrzucanych kamieni. Górnicy z szybów powycinali trochę zarośli, żeby zrobić nową ścieżkę łączącą oba krańce kamieniołomu.

Kate poszła dalej, bacznie obserwując drzewka, lecz choć dostrzegła dołki powstałe po wyrwaniu młodych drzewek, nie było ich znowu tak wiele, z pewnością nie dosyć, by zasadzić całą plantację.

Nadal dręczyło ją dziwne przeczucie. Gdyby tylko chłopiec mógł sobie przypomnieć, co naprawdę się tu wydarzyło. Wszystko, co mogła zrobić, to czekać, lecz kiedy sobie przypomni, z całą pewnością będzie mogła stwierdzić, że jej przeczucie nie było bezpodstawne.

Część pierwsza

Dzieciństwo

1

- Powiadam ci, Mary Ellen, chociaż wiesz to równie dobrze jak ja, twojemu ojcu nie spodoba się, że zdejmujesz niedzielne ubranie i wybierasz się hasać po lesie.

- To jedyny dzień, kiedy mogę sobie pobiegać, mamó.

- Nie bądź zuchwałą.

- Nie jestem, mamó. Ale nie rozumiem, dlaczego nie mogę zdjąć najlepszych bucików i sukienki i przespacerować się po lesie.

- Przespacerować? Raczej pogalopować. - Jane Lee strofowała swoją małą córeczkę z półuśmiechem na twarzy:

- Widzę, że nie urodziłam dziewczynki, lecz coś pośredniego między zającem a lisem. Wierzę, że gdyby to tylko było możliwe, zamieszkałybyś w ziemnej norze.

- Zające siadają w miejscu, mamó, kiedy myją sobie pyszczki i nie poruszają się też, kiedy patrzy na nie lis.

- Cóż za zuchwalstwo! - Ręka matki opadła, wymierzywszy córce lekkie klepięcie w policzek. Mary Ellen jęła prosić: - Och, mamusiu, pozwól mi się przebrać, tato nie wróci z Haydon Bridge wcześniej niż za dwie godziny. A poza tym - objęła matkę w pasie rączkami - wrócę na długo przed nim, szybciotko się znów przebiorę i będę siedzieć na krzesełku - pokazała głową siedzenie, które przed chwilą opuściła - położyła grzecznie ręce na kolanach, a kiedy zapyta: - Co robiłaś, panienko, kiedy mnie tu nie było? - ja odpowiem: - Nic, tatusiu. Siedziałam tutaj i czekałam na ciebie.

Matka wymierzyła Mary Ellen niezbyt delikatny szturchaniec, lecz roześmiała się rozbrojona. - Wiem, gdzie to się

skończy - w domu poprawczym za życia, a w piekle po śmierci - powiedziała.

- Ee tam, mammo.

- Nie pozwalaj sobie na takie „ee tam, mammo!”. Jesteś przebiegła jak ten lis, o którym mówiłam.

Popatrzyły na siebie przez chwilę i Jane odezwała się, tym razem już poważnie: - Wiesz, Mary Ellen, że masz już dziesięć lat i w przyszłym tygodniu idziesz tam, gdzie będziesz musiała skończyć ze swoim hasaniem.

- Och, mammo. - Mary Ellen pokręciła głową i z widocznym zniecierpliwieniem powiedziała: - To tylko farma pana Davisona, gdzie i dawniej chodziłam. Znam tam wszystkich.

- Tak, panienko, może i znasz wszystkich, ale znasz ich jako ktoś, kto nosi mleko, a teraz idziesz do pracy w kuchni. Pani Davison będzie ci płaciła i oczekiwała, że będziesz posłuszna i nie będziesz pyskować.

- Ja nie pyskuję... - wydeła usta i w oczach zamigotał jej filuterny błysk - tylko tobie i... - zacisnęła usta w cienką linię - i tacie.

- Właśnie, twój tato. To on ponosi winę za to, jaka jesteś. Nakładł ci do głowy pomysłów ponad stan.

- Tak, mammo, tak. Na przykład każe mi nosić przez cały dzień niedzielne ubranie. Sarah i Mary Roberts nie muszą tego robić.

- Sarah i Mary Roberts - rzekła Jane zjadliwym tonem. - Ciekawe, że w ogóle mają na grzbiecie jakiś przyodziewek, zważywszy na to, w jaki sposób prowadzi się ich ojciec. A poza tym wiesz, że twojemu ojcu nie podoba się, że się z nimi zadajesz. A co do zadawania się, mam ci do powiedzenia jeszcze jedno, i mówię to najpoważniej w świecie - Jane pogroziła córce palcem - musisz przestać latać za chłopakami jak dzikus.

- Nie latam, mammo. - Mała figurka wyprostowała się dumnie, loki na jej główce zatrzęsły się, podbródek wysunął do przodu, a w oczach zapłonęło święte oburzenie: - Nie latam za nimi jak dzikus. To oni zawsze do mnie przychodzą.

- To nieprawda, o czym dobrze wiesz. Nigdy nie trzymasz się z dala od Kate, kiedy pewna jesteś, że Roddy jest w domu.

- Roddy to zupełnie co innego. Zawsze bawiłam się z Roddym.

Jane mówiła dalej z niezmaconą cierpliwością:

- Tak, zawsze bawiłaś się z Roddym, ale było to wtedy, kiedy byliście jeszcze mali, ale teraz ty masz dziesięć lat, a on jest już młodzieńcem. Wkrótce będzie miał trzynaście lat, a wygląda na szesnaście. Skończyły się dla ciebie czasy zabaw, Mary Ellen. Chodzi tu poza tym nie tylko o niego, ale także o Hala Roystana. Ma czternaście lat, choć wcale na to nie wygląda - wprost przeciwnie - nie ma bowiem ani wzrostu Roddy'ego, ani jego budowy. Zawsze cię ostrzegałam przed Halem, prawda? To dziwny chłopak, bardzo zgorzkniały. Naturalnie ma powód, żeby takim być. Było w porządku, kiedy bawiliście się jako dzieci, lecz teraz już podrosliście i są pewne rzeczy, które powinnaś wiedzieć...

- Mamo, nie chcę niczego wiedzieć, proszę.

Prośba w głosie córki i widoczna na jej małej twarzyczce uciszyła Jane. Popatrzyła na zmartwioną dziewczynkę. Czasami to dziecko zdumiewało ją i przerażało zdolnością pojmwania rzeczy, których sama nie umiała wyrazić. Usłyszała słowa córki: - Mówiłam ci, mammo, że nie lubię Hala, ale tak jakoś mi go żal. Czasem jestem na niego wściekła, że bez przerwy chce być z Roddym. Myślę, że to dlatego, że Roddy znalazł go śpiącego w lesie i przyprowadził do Kate...

Jane poprawiła: - Pani Kate - a Mary Ellen natychmiast zaprotestowała: - Już nie, mammo. Kate powiedziała, że nie muszę nazywać jej panią, skoro jestem już taka duża, że idę do pracy. Powiedziała mi to wczoraj. A co do Hala, mammo, nie bawimy się razem, bo on też mnie nie lubi. Tyle że tam gdzie Roddy, jest także i Hal. Tylko dlatego, że razem pracują, Roddy musi z nim chodzić na króliki i na ryby.

- A co z pływaniem?

- Och, mammo. - Dziewczynka ponownie się nastroszyła. - Nigdy nie podchodzę do nich, kiedy płyną. A poza tym woda w zalewie jest lodowata. Wystarczy zamoczyć nogi na skraju. Mamo - jeszcze raz małe rączki objęły Jane w pasie, twarzyczka uniosła się do góry, a w głosie zadźwięczał błagalny ton: - Nie martw się o mnie. Będę się dobrze sprawować u pani Davison i robić, co do mnie należy, i nie będę pyskować, ale nie zabraniaj mi pójść do Kate i spotkać się z Roddym, bo... bo ja go tak bardzo lubię.

Jane zamknęła oczy. - Mary Ellen, nie pozwól nigdy, żeby ktokolwiek się dowiedział ani nawet pomyślał, że lubisz Roddy'ego - powiedziała łagodnie. - Dziewczęta nie powinny mówić takich rzeczy. Przynajmniej dopóki nie skończą piętnastu, szesnastu lat, a do tego jeszcze ci sporo brakuje.

- Ale... ale ja nie mogę przestać lubić Roddy'ego, mamusi.

Jane westchnęła i uwalniając rączki obejmujące ją w pasie przytrzymała je złączone przed sobą. - Nikt cię nie prosi, żebyś przestała lubić Roddy'ego, ale nie musisz o tym głośno mówić - powiedziała. - Rozumiesz, o co mi chodzi? Nie lataj dookoła powtarzając, że lubisz chłopców, nawet takiego jak Roddy... Nie powiedziałaś mu chyba, że go lubisz?

- Nie, mamusi.

- Nie powiedziałaś?

- Nie, nie powiedziałam.

- Nie rób tego nigdy.

- Nigdy, mamusi?

- Och, dziecko! Przynajmniej dopóki nie dorośniesz, a wtedy upatrzysz sobie pewnie kogo innego i zapomnisz o Roddym.

- Nigdy nie zapomnę Roddy'ego.

Jane miała właśnie wrócić do pieczenia ciasta, lecz popatrzyła jeszcze na córkę i w spojrzeniach, które wymieniły, po jednej stronie widać było pewność, po drugiej zaś obawę, która niemal skłoniła Jane do krzyku: - A co będzie, jeśli odzyska pamięć i przypomni sobie, że jego ojciec był marynarzem, ogarnie go tęsknota za morzem i pójdzie w daleki świat? Co będzie wtedy?

- Rozmawialiśmy o tym i Roddy powiedział, że to może się zdarzyć, ale niekoniecznie. Odpowie na to czas. Wszystko się zmienia - odparła cichutko Mary Ellen.

*

- Czemu uparłeś się, by rysować moją twarz, kiedy ładniejsze rzeczy można znaleźć choćby w chlewiku, tego nie pojmuję.

- Nie ruszaj się i przestań kręcić nosem.

- Spociałam się, pot spływa mi po karku. - Kate spojrzała z ukosa tam, gdzie siedział chłopak z tabliczką na kolanach

i z kredą uniesioną w powietrzu. W jej wzroku malowały się miłość i podziw. Gdyby sama urodziła tego chłopaka, nie mogłaby go szczerzej kochać. Patrząc w przeszłość, coraz słabiej przypominała sobie własnego syna. Zdawało się, że życie zaczęło się dla niej w dniu, w którym w kamieniołomie ujrzała rączkę chłopca wystającą spośród gałęzi. Od tamtej pory pokochała go. Czasami ją samą zaskakiwał fakt, że nie nosiła go pod sercem, tak głęboka była jej miłość do niego i tak byli sobie bliscy. Pragnęła tylko jednego: żeby los okazał się łaskawszy i żeby chłopak nie musiał pracować w cuchnącej hucie, gdyż pomimo nowych tuneli i kominów odprowadzających gazy, przebywanie tam po dwanaście godzin przez sześć dni w tygodniu wszystkim skracało życie.

Przesunęła wzrok ku drugiemu chłopcu obecnemu w izbie. Jego także darzyła ciepłymi uczuciami, lecz przeważało w nich współczucie, jako że chłopak nie miał łatwego życia. Jego ojciec, urzędnik z tęgą głową, zwiózł z pieniędzmi na wypłaty. Chłopak musiał wiele przejść. Dwa razy oddawano go do przytułku i dwa razy stamtąd uciekał. Wreszcie któregoś dnia Roddy przyprowadził do niej brudnego, głodnego i przypominającego raczej dzikie zwierzątko chłopca. To ona wybrała się przez wzgórza do Abla Hamiltona, bezdzietnego wdowca i człowieka przeciwnego porządkowi panującemu na tym świecie. Utrzymywał się z tego, co dawała mu jego działka i zwierzęta, które na niej trzymał. Namówiła go, by przyjął chłopca. Hal pracował dla niego odkąd skończył jedenaście lat, kiedy to poszedł najpierw do szybu, a potem, dla większych pieniędzy, do huty.

Czasami myślała, że chłopak jest ponad wiek dojrzały, rozważny, zamknięty w sobie i nie marnuje niepotrzebnie słów. Jedyny raz pofolgował swojemu językowi wtedy, gdy przyszedł do niej po maść na obrażenia, sprany na kwaśne jabłko przez łobuzów z Haydon Bridge. Powiedział wówczas: - Do śmierci będę płacił za to, co uczynił mój ojciec. Nikt nie pozwoli mi o tym zapomnieć. Ale coś pani powiem, pani Kate, mam przeczucie, że któregoś dnia on wróci. Czasami to bardzo mocne uczucie. - Zapłakał z głową na skrzyżowanych ramionach, kiedy smarowała jego posiniaczone ciało

swym niezawodnym balsamem. Recepturę tego leku zdradziła jej matka przed śmiercią i Kate sporo na nim zarobiła.

Następnego dnia chłopak przyniósł torbę torfu i powiedział, że jej maść ma czarodziejską moc.

- Tak, tak, ma moc - przyznała. - To zostało udowodnione już wiele razy. - Receptę zachowywała wyłącznie dla siebie, a ciekawskim odpowiadała: - Och, to głównie olejek różany i ziele świętojańskie. - Innym zaś mówiła: - Wystarczy rozetrzeć trochę liści dziurawca w moździerz razem z jakąś maścią. - Nigdy nie wspomniała o terpentynie, o kropli wosku lub żywicy, która nadawała właściwą gęstość, ani też o proporcjach. Ci, którym częściowo zdradziła sekret, zawsze do niej wracali. - Zrobiłem, co mówiłaś, Kate, ale to nie działa tak jak twoja maść - mówili.

Jedna rzecz złościła ją w Halu, choć nie tak bardzo jak odczuwała to Mary Ellen: nie dawał Roddy'emu chwili spokoju. Ale z drugiej strony nie miał żadnego innego przyjaciela, nie zawracał też sobie głowy dziewczętami.

Hal dostrzegł jej wzrok, lecz nie odpowiedział uśmiechem. Z trudem próbując mówić bez poruszania głową, spytała:

- Czy Roddy rysował kiedyś ciebie, Halu?

- Nie - brzmiała odpowiedź.

Nadal starając się nie poruszać głową, skierowała wzrok na Roddy'ego. - Dlaczego nie narysujesz Hala? - spytała.

- Bo ma trudną twarz - odpowiedział.

Odrzuciła głowę do tyłu i poczęła się śmiać.

- No, to już koniec! Dobrze, dokończę później - zawołał Roddy.

Wstał i odwrócił tabliczkę. Gdy zapytała, czy może popatrzeć, otrzymała odpowiedź, że dopiero kiedy skończy i przerysuje na papier.

- Najpewniej do tego czasu zdążę umrzeć. To już trzecia próba.

- Nie zdziwiłbym się, bo nie jestem mocny w rysowaniu portretów.

- Chciałeś powiedzieć raczej, że nie jesteś mocny w rysowaniu mnie. Po tym siedzeniu jak kołek chce mi się pić: A wam?

Zanim zdążyli odpowiedzieć zerknęła przez otwarte drzwi i rzekła: - O, a oto ktoś, kto nigdy nie odmawia picia.

Kiedy do izby weszła Mary Ellen, Kate przywitała ją słowami: - Właśnie mówiłam, że chce ci się pić.

- O, tak, Kate, dziękuję, jest bardzo gorąco. - Mary Ellen odpięła guzik bawełnianej sukienki pod szyją. Popatrzawszy, że Roddy wkłada tabliczkę i kredę do płóciennego worka, zagadnęła chłopca: - Znowu rysowałeś?

- Nie, był na rybach.

Skierowała surowe spojrzenie na chłopca siedzącego przy kominku i natychmiast odparowała: - Tak, widzę właśnie, a twój język posłużył mu za haczyk, taki jest ostry. Powinieneś nałożyć sobie sznur na szyję i - już miała dokończyć „i powiesić się”, ale pomyślała, że to będzie nieładnie, odwzajemniła więc tylko uporczywe spojrzenie jego stalowoszarych oczu.:

- Hej, wy dwoje! A ty, dziewczyno, wejdz do izby zanim zaczniesz sprzeczkę - wtrąciła pojednawczo Kate.

- Ale - Mary Ellen rzuciła głową - to on zaczyna, nie ja.

- Nieważne, kto zaczyna, koniec z tym. Chcesz piwo imbirowe czy ziołowe? Ale po co w ogóle pytam, wolisz imbirowe, prawda?

- Tak.

Nie zapytała chłopców, czego się napijają; z wysiłkiem wstała z miejsca i wyszła.

Pozostawieni sami sobie milczeli, dopóki Mary Ellen nie zagadnęła Roddy'ego:

- Idziesz dzisiaj na groblę?

- Nie - Roddy potrząsnął głową. - Pójdę do huty.

- Do huty? - zmierzyła go wzrokiem. Miał na sobie niedzielne ubranie. - Będę rysował jej widok z hałdy - wyjaśnił zwięźle.

- Będziesz rysował hutę? Po co chcesz rysować hutę?

- Bo nie dość mu, że spędza w niej całe dnie, chce ją jeszcze mieć w domu, kiedy wraca.

- Ale gładka odpowiedź! - pokazała Halowi język, po czym dodała: - Założę się, że zamiast noża do smarowania chleba używasz swojego języka.

- A ja założę się, że wiem, kto go tego nauczył - odparł Roddy. Dał jej sójkę w bok, a Mary Ellen roześmiała się wysokim piskliwym śmiechem.

- Mogę iść z wami? - zapytała.

- E, nie. Twój tata zakazał ci tam chodzić, prawda? A teraz będzie stamtąd wracać nocna zmiana.

- Mówią brzydkie słowa.

Popatrzyła na Hala, ale udała, że nie słyszy jego uwagi. Wiedziała, że głupio robi, pytając, gdyż nie tak dawno dostała lanie za chodzenie do huty.

Żarliwie tłumaczyła ojcu, że wyszła tylko na jego spotkanie, lecz powtórzył jej po raz setny, że sobie tego nie życzy. Inne dzieci nie tylko wychodziły na spotkanie ojcom, lecz pracowały przy żużlu. Często zadawała sobie pytanie, czemu jej ojciec tak się uparł, żeby ją inaczej wychowywać. Nie było zabawne odróżniać się od innych. Nawet kiedy chodzili na tańce w stodole, nie pozwalał jej bawić się z innymi. Co innego mama, lecz ona nie miała decydującego głosu w żadnej sprawie. Mama w takich wypadkach mówiła tylko: - Zachowuj się jak należy, bo będziesz czarna jak ten żużel koło huty.

- Mary Ellen nie bardzo wiedziała co to znaczy, nigdy bowiem nie widziała żużlu, wiedziała tylko, że jest to coś, co pochodzi z pieców w hucie. Nie cierpiała huty i była pewna, że ojciec nie cierpi jej także. Pewnego razu ośmieliła się zapytać ojca: - Czemu nie pracujesz na farmie, tato?

- A lubisz jadać mięso co niedziela? - zabrzmiała zagadkowa odpowiedź.

- Tak - potwierdziła.

- Wolisz chodzić w butach zamiast w drewniakach?

Ponownie potaknęła.

- Chcesz dostać nową sukienkę na Wielkanoc?

- Och, tak, uwielbiam dostawać nowe sukienki.

Wówczas odparł: - Na to wszystko potrzebne są pieniądze, więcej, niż zarobiłbym, pracując na farmie. Lecz zapamiętaj - nigdy nie pragnij zbyt wielu pieniędzy, tylko tyle, by mieć trochę wygody, bo one częstokroć powodują nieszczęścia i niezgodę. Naucz się zadowalać porządnym przyodziewkiem i dobrym jedzeniem, wygodnym łóżkiem i pomyślnością, która odpędzi precz zimowe wiatry.

Jej tato to śmieszny człowiek. Nie było to może najstosowniejsze słowo, ale w głowie miała na nie zadowalające wyjaśnienie.

Kiedy skończyli pić, chłopcy skierowali się do wyjścia. Roddy odwrócił się na chwilę i popatrzył na nią: - Przyjdę

dzisiaj wieczorem do ciebie do domu - powiedział. - Twój ojciec obiecał dać mi parę rad, bo jutro na rannej zmianie idę pracować przy piecach. A ty idziesz na służbę u Davisonów, prawda? - Mary Ellen skinęła głową, Roddy uśmiechnął się do niej i pobiegł ścieżką, by dogonić przyjaciela.

Stała w drzwiach, przyglądając się dwóm postaciom: jednej wysokiej i smukłej, drugiej ledwo sięgającej ramienia, lecz dwukrotnie cięższej. Zadała sobie pytanie: Czy kiedykolwiek nadejdzie czas, że będę miała Roddy'ego tylko dla siebie? Dawniej więcej ze sobą przebywali, zanim poszedł pracować do huty.

- A więc jutro zaczynasz pracę?

Odwrociła się do Kate i z roztargnieniem odparła: - Tak. I... nie wiem, czy mi się tam spodoba.

- No cóż, skarbie, nie możesz się zawsze trzymać maminej spódnicy.

Nie odpowiedziała na to, bo wiedziała, że i tak miała dużo szczęścia. Nigdy nie wysyłano jej, by zbierała kamienie, torf czy też by odstraszała ptaki. - Będzie mi tęskno - powiedziała po prostu.

Kate roześmiała się. - Nie będziesz tam przez cały czas. Trafiaś szczęśliwie, jak powiedziała mi twoja matka, bo będziesz miała pół dnia wolnego co niedziela i cały dzień wolny raz na miesiąc. Zazwyczaj służące mają pół dnia wolnego co miesiąc, przynajmniej te z dużych domów, i wychodne na pół popołudnia w środku tygodnia.

- Czy byłaś kiedyś na służbie, Kate?

- Nie, nigdy, dziecko, nie w tym znaczeniu. Byłam zawsze wolna. Do szesnastego roku życia pracowałam w warsztacie stolarskim ojca. Wtedy właśnie warsztat się spalił i to go zrujnowało. Potem wyszłam za mąż za Daveya, który terminował u ojca. Po śmierci ojca razem z matką sprowadziłyśmy się tu, do tej chaty, gdzie matka przyszła na świat. Opuściła ją, wychodząc za mąż. Mieszkam tu, jak widzisz, cały czas od tamtej pory.

- Czy twoja matka znała się na ziołach?

- Tak, i jej matka, a jeszcze dawniej babka. Skoro przy tym jesteśmy, pora nazbierać dziewanny. Znasz to ziele - znajdziesz je w rowie na brzegu lasu. Weź ten koszyk i nie przepuść też żadnej pokrzywie.

Mary Ellen wzięła koszyk z rąk Kate i uśmiechnęła się:
- O, tak, gotowa jestem zbierać dla ciebie choćby i pokrzywy, bo przepadam za słodkościami, które robisz z kwiatów, a mój tata uwielbia twoje lekarstwa.

- Nie on jeden. Ale powiem ci coś, Mary Ellen. Każdy, kto przyjdzie do mnie tej zimy po leki, będzie musiał za nie płacić. Nie będę już ich rozdawała darmo, tylko twojemu tacie i mamie. Wielu ludzi przychodzi do mnie z daleka po pomoc, a płacą mi najwyżej pensa, kiedy cukier kosztuje dwa razy więcej. No, uciekaj już, dość tego paplania, bo nie zdążysz do domu na kolację. A co wtedy będzie? Przybiegnie do mnie twój ojciec, żądając wyjaśnienia, czemu zatrzymałam cię tak długo.

- On nigdy by na ciebie nie krzychał, Kate. I wie, że nic mi się nie stanie, kiedy jestem u ciebie. Poza tym - westchnęła - to już ostatni raz.

- Rzeczywiście, ostatni raz! Idźże sobie. Mówisz jak stara baba - masz głowę o wiele starszą niż ciało. Zawsze tak było, panienko. No, uciekaj już. - Przepędziła Mary Ellen z izby gestem, którym przepędzała kurczaki. Trzepnęła fartuchem, a Mary Ellen przyłączyła się do zabawy i uciekła, naśladując gdakanie.

Zwolniła jednak kroku przed miejscem, gdzie ścieżka dla koni rozdawała się: jedna, kręta, pięła się stromo w górę kamieniołomu, druga stopniowo wznosiła się do góry, lecz omijała las, który znacznie zgęstniał przez ostatnie pięć lat - młode drzewka rozrosły się, a poszycie porosło gęsto ongiś puste miejsca.

Wiedząc, że po ziele dziewanny musi zawrócić drogą koło chaty Stubbsa, zdecydowała, że rzuci najpierw okiem na bagno, by sprawdzić, czy nie rosną na nim jakieś spóźnione pierwiosnki. Odpędziła myśl, że ojciec surowo zabronił jej zbliżać się do bagna od czasu, kiedy wpadła w nie po kolana. Dobrze, że było to na samym brzegu. Gdyby wpadła w nie krok dalej, z pewnością utonąłaby. To się zdarzyło, kiedy miała siedem lat. Lecz do tej pory ojciec czasami ją ostrzegał:
- Jeśli wybierzesz się tamtędy ścieżką dla koni, panienko, radzę ci trzymać się z dala od bagna. - Wprawdzie zdarzało się to tylko wtedy, kiedy lato było mokre. Teraz dokuczała

spiekota - strumienie wyschły, a nawet woda w zbiorniku Langley opadła dużo poniżej zwykłego poziomu.

Przedarła się przez niskie chaszczce, przekroczyła zwalony konar i weszła na wąską ścieżkę, która ongiś biegła wzdłuż drogi dla koni. Po lewej stronie miała już wyschnięte bagno, które rozciągało się na niewielkiej powierzchni. Bujna roślinność teraz całkiem wyschła, błoto w niektórych miejscach popękało i rzut oka wystarczył, żeby wiedzieć, że nie ma tu żadnych kwiatów. Zamiast tego uwagę jej przykuło coś, co wyglądało jak rączka torby wystająca z zeschniętego błota.

Z natury ciekawska, natychmiast uklękła na zeschniętej na kamień ziemi i pochyliwszy się, dotknęła półkolistego kształtu. Poczowała, że jest twardy jak drewno. Wzięłaby go za spadłą gałązkę, gdyby nie zobaczyła, że kawałek tego przedmiotu był czarny, w miejscu gdzie odpadło zeń zeschnięte błoto. Brzeg tej czerni okolony był miedzią, stałą czy innym metalem. Złapała teraz rączkę mocno i poczęła ją ciągnąć, przypuszczała bowiem, że było pod nią coś jeszcze.

Zapomniała na chwilę, że ma na sobie niedzielną sukienkę, położyła się na brzegu i wyciągnawszy obie ręce, chwyciła rączkę z całej siły. Mocując się, próbowała poruszać nią na wszystkie strony. Zeschnięte błoto nieco ustąpiło i do jej uszu dobiegł cichy bulgot. Nie ustępowała, a kiedy błoto odpadło zupełnie, jej oczom ukazała się rzecz, której częścią była owa wystająca rączka. Przerwała i ze zdumieniem patrzyła na wierzch skórzanej torby. Natychmiast rozpoznała jej rodzaj, ponieważ była tego samego kształtu co torba starego doktora Cranwella, którą zabierał ze sobą, ilekroć śpieszył do huty czy do szybów, kiedy zdarzył się tam wypadek.

Gorączkowo zacisnęła ręce na uchwycie i wznowiła kołyszące ruchy.

Nagle rozległ się odgłos podobny do głuchego dźwięku korka wyciąganego z butelki i Mary Ellen niemal zaryła buzią w ziemię. W wyciągniętych dłoniach trzymała coś, co było istotnie kopią torby doktora, tyle że nieco większą.

Wciągnęła torbę na brzeg i zauważyła, że jej dno oblepione jest mokrym błotem. Pomyślała, że cała jest przesycona wilgocią. Lecz co w sobie kryje?

Wstała i próbowała ją podnieść, okazało się jednak, że jest dla niej o wiele za ciężka. Pomyślała, że to z powodu oblepiającego ją błota, zerwała więc trochę uschniętej trawy i, pomagając sobie patykiem, oskrobała ją prawie do czysta.

Okazało się, że skórzana torba stwardniała jak stal - zbyt długo leżała w błocie. Była zamknięta na zamek, ale kluczyka nie było, Mary Ellen nie mogła więc zobaczyć, co jest w środku. Ale coś tam niewątpliwie było. Kiedy przewróciła ją na bok usłyszała, że wewnątrz coś brzęknęło.

Kłęcząca przy torbie i przyglądała się jej w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Może pójdę - powiedziała do siebie - i powiem Kate. Ale Kate nie da rady tutaj dojść. Nie mogła także pójść i powiedzieć ojcu, bo bez względu na to, co kryła torba, dałby jej bez wątpienia w skórę za to, że śmiała zbliżyć się do trzęsawiska.

Kiedy przyglądała się swemu znalezisku, wydało jej się, że dostrzegła literę. Wytarła więc skórę jeszcze dokładniej i zobaczyła wyraźnie, że to litera „B”. Czyszcząc torbę dalej, ujrzała następne trzy litery, które ułożyły się w słowo: „Bank”. Teraz jakby z oczu jej spadła zasłona, a w pamięci otworzyła się furka. Przypomniała sobie ojca, kiedy pewnego razu wrócił z targu w Hexham i powiedział do matki: - Ten Hal któregoś dnia zrobi komuś krzywdę, bo gdybym go dziś w samą porę nie wyciągnął, pobito by go okrutnie. Tłukł się z trzema innymi. Widocznie dokuczali mu z powodu kradzieży popełnionej przez ojca. Drażnili się z nim, mówiąc, że ojciec żyje wygodnie za granicą z ukradzionych pieniędzy. Wziąłem go ze sobą na wóz i podwiozłem kawałek. I wiesz co, dziwny jest ten chłopak, bo już miał odejść, lecz odwrócił się i, patrząc na mnie, powiedział tonem starego człowieka: „Mój ojciec nigdy by tego nie zrobił”.

Patrzyła na torbę i nie miała już wątpliwości. Ale co z nią zrobić? Pieniądze sprowadzają same nieszczęścia - tak zwykle mawiał jej tata. Gdyby był tutaj Roddy, wiedziałby, jaki z tego zrobić użytek. Ale gdyby był tutaj Roddy, byłby także i Hal. Hal z pewnością nie oddałby torby nikomu, tak jak zrobiliby to jej tata czy Roddy. Mógłby pomyśleć, że należy się jemu, skoro jego ojciec tyle przez nią wycierpiał. Słyszała często opowieść o koniu znalezionym daleko, w Newcastle, co mogło

tylko oznaczać, że Gabriel Roystan wyprawił się w podróż statkiem. Dlaczego więc w takim razie nie wziął ze sobą zdobywcy?

Rozum Mary Ellen nie umiał znaleźć na to odpowiedzi, zadawał tylko pytanie: co teraz począć? Wrzucić torbę z powrotem do błota? Nie, nie. Ten pomysł z miejsca został odrzucony. Torba nie utonie, bo błoto przecież wyschło. Poza tym cokolwiek miała zrobić, musiała działać szybko, żeby zdążyć nazbierać ziół i dotrzeć do domu przed powrotem ojca.

Po drugiej stronie kamieniołomu była dziura, którą odkryła, zbierając jeżyny zeszłego roku. Kiedy wdrapywała się po stoku, chcąc zerwać najpiękniejsze i najdojrzałe owoce, osunęła się pod nią ziemia i Mary Ellen znalazła się w czymś, co było najpewniej tunelem odprowadzającym gaz z huty. W każdym razie było tam sucho. Tak, to dobry pomysł. Wsadzi tam na razie torbę, dopóki nie wymyśli, co z nią zrobić. Ale czy ją udźwignie?

Przewiesiła koszyk przez ramię, wstała i ujęła torbę obiema rękami - w ten sposób mogła ją zanieść. Uszła nie więcej niż trzy kroki i zadała sobie pytanie, co zrobi, jeżeli kogoś spotka.

Obrała więc znaną sobie drogę przez gęstwinę. Gdy dotarła na miejsce, zostawiła koszyk na ziemi i ostrożnie zeszła po zboczu. Zarośla porosły tu każdy skrawek ziemi, nie mogła więc przez nie niczego dostrzec. Wreszcie jej stopa natrafiła na otwór i Mary Ellen wczołgała się do środka. Przez chwilę przyzwyczajając oczy do ciemności i poczołgała się dalej. Tam już nic nie było widać.

Zostawiła torbę i zawróciła. Na zewnątrz energicznie otrzepała sukienkę, zadowolona, że jest wzorzysta, bo nie znać było na niej brudu. Zrobiwszy to, zawróciła do lasu, w miejsce, gdzie rosły dziewanny. Cały czas myślała, komu by tu powiedzieć o swoim odkryciu.

Tymczasem Roddy i Hal siedzieli na hałdzie nad hutą. Ponieważ była niedziela, koło warsztatów prawie nic się nie działo.

Hal siedział po lewej stronie, nieco za Roddym, i przyglądał mu się przez jakiś czas. - Dlaczego zawsze rysujesz ją z zewnątrz? - zapytał.

- Żeby oddać nastrój.

- Nastrój czego?

Chłopiec przerwał, wyprostował plecy i popatrzył w dół na grupę budynków. - Tak naprawdę to nie wiem, prócz tego, że gdybym rysował ją od środka, byłbym w stanie lepiej oddać to, co się tam dzieje.

- Co niedziela masz okazję rysować wewnątrz, skoro tak się uparłeś.

- Pewnie, i mieć wytargane uszy. Pan Holden, Coates czy Lance Ritson nie próżnowaliby.

- Co masz przeciwko nim?

Roddy odwrócił się i popatrzył na swego towarzysza. - Bo oni myślą, że to głupie babskie zajęcie - stwierdził.

- Willa Campbella nie uważają przecież za głupca, a on wyczynia z drewna różne cudeńka.

Roddy coś sobie ważył przez chwilę, pokiwał głową i odparł: - To prawda, rzeźbi. Jest w tym bardzo zręczny. Ale jakoś tak się dzieje, że szydą zawsze ze mnie.

- Tylko sobie żartują. A pan Mulcaster nie uważa, że jesteś głupcem. Dodaje ci odwagi. Dlaczego go nie poprosisz, żeby cię wpuścił do środka? Wystarczyłoby, żebyś tylko pisał słówko.

- Ano tak, wystarczy, że powiem słówko i wpuści mnie do środka, kiedy się tam nie pracuje. Ale ja nie tego chcę. Chcę tam wejść i przyglądać się, jak wytapia się ołów, chcę widzieć, jak ludzie ładują węgiel do żeliwiaka, jak kaszlą od dławiącego ich pyłu, chcę widzieć, jak odśaniają klapy i wpuszczają powietrze do środka. Chcę zobaczyć ołów wypływający do kadzi. Och, nie rozumiesz, człowieku, chcę widzieć, jak to wszystko się dzieje, jak się porusza.

- No cóż - Hal przysunął się bliżej. - Możesz to oglądać co dzień.

Roddy milczał chwilę. Ociężałe, ze zniechęceniem rzucił tabliczkę na trawę i odparł zrezygnowanym tonem: - Pewnie, kiedy biegam tam i z powrotem jak kot z pęcherzem i pcham wózek z żużlem, oślepiony przez pot zalewający oczy i na wpół uduszony.

- A co, nie będziesz na wpół uduszony, kiedy będziesz tam stał i rysował?

- To będzie inaczej.

- Wiesz, co myślę?
- Wyobrażam sobie.
- Ale ci powiem - ty masz po prostu fioła.

Roddy wyprostował się. Uklęknął, wziął tabliczkę i skoczył na równe nogi. - Więc czemu, do diabła, uczepiłeś się kogoś, kto ma bzika? - zawołał. - To prawda, co mówi Mary Ellen, że nie dajesz mi oddychać.

Ten nieoczekiwany atak, pierwszy, którego doświadczył, sprawił, że oczy Hala pociemniały, a wargi się zacięły. W mgnieniu oka odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać. Roddy pobiegł za nim. Dopadł go jednak dopiero na brzegu naprzeciw zbiornika. Złapał rękę kolegi, by go zatrzymać, lecz ten prędko ją wyrwał. - Nie miałem zamiaru tego mówić, Hala - rzekł tonem pełnym skruchy. - Nie mam żadnego kumpla prócz ciebie, wiesz o tym. - Hal rozchylił usta, lecz zęby nadal miał zaciśnięte. - Z zewnątrz może i tak, ale w głębi myślisz to, co cała reszta - wycedził.

- To nie w porządku! - krzyknął teraz Roddy. - Stałem przy tobie zawsze na dobre i na złe. I nie tylko ty jesteś pokrzywdzony, obaj straciliśmy ojców w tym samym czasie.

- Tak, to prawda - głos chłopca zabrzmiał spokojnie. - Ale w nieco odmiennych okolicznościach.

- Może i tak, ale ty masz tę przewagę nade mną, że pamiętasz, co się stało, a ja nie.

- Chętnie bym się z tobą zamienił i nie rozczulałbym się tak nad sobą.

- Kto się nad sobą rozczula?

- Ty, zawsze tak było, bo cię rozpieszczano, Kate zmieniała ci pieluszki, nianczyli cię oboje Lee i ta ich pyskata dziewczucha...

W tej samej chwili Roddy odrzucił na bok tabliczkę, a drugą ręką zaciśniętą w pięść ugodził Hala w kość policzkową. W następnej chwili obaj turlali się po ziemi, kopiąc się i okładając pięściami.

Powstrzymał ich dopiero koszyk, który spadł im na głowy, i zielsko, które się na nich posypało. Odsunęli się od siebie i chwilę leżeli bez ruchu, Roddy na plecach, Hal wsparty na łokciu. Przyglądali się czerwonej z oburzenia buzi. Usłyszeli głos: - Co się z wami dzieje? Zbzikowaliście? I to do tego w świętą niedzielę!

- Zamknij się! - Roddy poderwał się na nogi i, patrząc ponuro na skamieniałą Mary Ellen, dokończył: - A co do ciebie, zostaw mnie wreszcie w spokoju, słyszysz? - A kierując wzrok na Hala, dodał: - Oboje przyczepcie się do kogo innego!

Błyskawicznie zabrał swoją tabliczkę i odmaszerował, pozostawiając dwoje kochających go przyjaciół, którzy patrzyli za nim.

Oczy Mary Ellen były pełne łez, a jej usta drżały. - Co mu zrobiłeś? - ostro zwróciła się do Hala.

- Co ja mu zrobiłem? Co on mi zrobił! Przewrócił mnie na plecy, zanim się spostrzegłem, co się w ogóle dzieje.

- Musiałeś mu coś powiedzieć.

- A pewnie, powiedziałem.

Mary Ellen czekała.

Wytarł ślady krwi z twarzy i powiedział wolno, tonem, który zawsze wyprowadzał ją z równowagi, bo akcentował każde wypowiedziane słowo: - Powiedziałem mu, że jesteś pyską dziewczuchą i latasz za nim jak kwoka za kurczęciem.

- Och, ty! - Drobną jej pierś unosiła się ciężkim oddechem i przez chwilę Mary Ellen nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. - Skoro mowa o lataniu za kimś, to i ty nie dajesz mu chwili spokoju - krzyknęła wreszcie. - Po prostu cię znosi, bo nikt inny nie może. Nikt cię nie lubi. Nikt nigdy cię nie pokocha!

Widać było, że uderzyła w czuły punkt. Wyraz jego twarzy mówił, że zraniła go bardzo boleśnie. Jego policzki, zazwyczaj rumiane, zrobiły się blade, a krew sącząca się ze skaleczenia odcinała się od tej bladości ciemnym szkarłatem.

Czekała na kąśliwą uwagę. Ale żadna nie padła. Patrzył na nią przez chwilę, a potem odwrócił się i odszedł. Nie śpieszył się tak jak Roddy, lecz szedł powoli, jak ktoś głęboko pogrążony w myślach lub głęboko zasmucony.

Mary Ellen stała ze zwieszoną głową, wpatrując się w leżący na ziemi koszyk i porozrzucane wokół niego zioła. Czemu czuła się tak okropnie? Inaczej niż parę minut temu, kiedy nakrzyczał na nią Roddy. Wygarnęła Halowi i czuła się strasznie.

Gdy pozbierała najlepsze zioła i włożyła je z powrotem do koszyka, stała chwilę, patrząc tam, gdzie krępa postać zniknęła za zakrętem ścieżki. Dwa razy powtórzyła do siebie: - No, no! - Zawróciła i ruszyła z powrotem do Kate.

Same zmartwienia. Przede wszystkim, kiedy wróci do Kate, będzie musiała jej wytłumaczyć, czemu przyniosła tak mało ziół; w ten sposób wyda się bijatyka między Roddym a Halem. A skoro wyjdzie na jaw bijatyka, wyjdzie na jaw powód i Kate będzie miała do niej żal, bo współczuła Halowi. A kiedy to dojdzie do uszu taty, trzeba będzie tłumaczyć się jeszcze gęściej. Czekaj ją przeprawa.

Zostawi torbę tam, gdzie ją schowała, i pozwoli jej zgnić, co na pewno i tak by nastąpiło, gdyby pozostała w bagnie. Dość strapien jak na jeden dzień.

Część druga

Młodość

1

- Naprawdę myśli pan, że im się spodobają, panie Mulcaster?

Nadzorca popatrzył na młodego człowieka, który przez dziesięć lat dorastał na jego oczach. Roddy, choć dopiero co obchodził dwudzieste urodziny, mógł być uznawany za dojrzałego mężczyznę w sile wieku.

Nikt nie znał dokładnej daty urodzin Roddy'ego. Wymyśliła ją stara Kate. Znalazł się pod jej opieką ostatniej soboty września 1807 roku, kiedy miał siedem i pół roku. Ponieważ chłopiec nigdy nie odzyskał pamięci, dołożyła jeszcze pół roku, tak żeby obchodził urodziny w ostatnią sobotę marca następnego roku.

- Te rysunki są wspaniałe - odpowiedział pan Mulcaster.
- Pewien jestem, że pan MacPherson będzie tego samego zdania. To może być twoja życiowa szansa, Greenbank. Nie bój się śmiało zabierać głosu. Pamiętaj, że mimo wszystko jesteśmy takimi samymi ludźmi, każdy z nas.

A pan jest z nich najlepszy, powiedział w duchu Roddy i uśmiechnął się do nadzorcy. I pomyśleć, że byli ludzie, którzy go nie lubili. Inna sprawa, że byli też ludzie, którzy nie darzyli sympatią nikogo, kto miał władzę, i na ogół byli to ci, którzy nie umieliby zrobić z niej właściwego użytku, nawet gdyby ją posiadali. Byli to ludzie, którzy nie potrafili spojrzeć na żadną sprawę z różnych punktów widzenia.

- Co będzie, jeśli nie będę mógł wrócić tego samego wieczoru? - spytał.

Pan Mulcaster uśmiechnął się. - Cóż, znajdziesz sobie jakiś nocleg - odparł. - Jutro jest piątek i świat się nie zawali, jeśli

cię tu nie będzie przez jeden dzień... czy nawet dwa. Roześmiał się, co czynił niezwykle rzadko; zmusiło to Roddy'ego do spuszczenia głowy. Sarkazm nie był zamierzony, nadzorca nie chciał urazić Roddy'ego. Choć wiedział, że był to robotnik tak samo dobry jak wielu innych, wiedział też, że nie był on urodzonym hutnikiem, nie wkładał w swoją pracę tyle serca co Hal.

Zainteresowania Roddy'ego skupiały się wyraźnie wokół uzyskiwania ołowiu i srebra z rudy. Nie istniał ani jeden fragment maszynierii pominięty przez niego przy rysowaniu, od kiedy jako mały chłopiec dobrał się do tłoka chłodzonego wodą i zobaczył, jak przepływający przezeń strumień wody chłodzi rolki.

W miarę upływu czasu naszkicował koło wodne z każdej strony, nie pomijając żadnej łopatki. Sporządził tuziny rysunków najdrobniejszych szczegółów, nawet takich jak mieszała w kadzi. Miał szkice rudy, żużlu, pieca odlewniczego.

Nie wygląd zewnętrzny fascynował go najbardziej, lecz to co było w środku. Jeśli tylko czyszczono piec hutniczy, był na miejscu i rysował jego części i przekroje. Pewnego dnia któryś z robotników zagadnął go, dlaczego to robi, przecież dno paleniska służyć będzie tak samo, jak służyło od lat, bez tych rysunków. Czy spodziewa się coś ulepszyć? Odparł wtedy, że właściwie nie wie, czy chciałby cokolwiek ulepszać, po prostu chce tylko rysować wnętrza urządzeń i dowiadywać się, dlaczego działają tak a nie inaczej. Większość robotników wyśmiewała się z niego, nawet pan Mulcaster nie był zachwycony szkicowaniem części maszyn, powiedział, że towarzystwo ma pod dostatkiem mechaników i inżynierów. Lecz kiedy lata mijały, a chłopak niestrudzenie rysował, w niedziele chodząc nawet do kopalni ołowiu w Alston i Allendale, nadzorca pojął, że ma do czynienia z talentem wartym wsparcia. Stało się to nie za sprawą rysunków technicznych, lecz szkiców opactwa w Hexham, które wzbudziły jego szczere zainteresowanie.

Skończyło się na tym, że opowiedział o młodym człowieku i o jego niezwykłym talencie przyjacielowi z Newcastle. Umówione zostało spotkanie Roddy'ego z panem MacPhersonem z Newcastle, członkiem pewnej grupy interesującej się sztuką.

- Jeśli pan MacPherson tak sobie życzy, powinieneś pójść na to spotkanie. Będziesz tam mógł poznać pana Richardsona i pana Parkera, obaj są znakomitymi artystami, każdy w swoim rodzaju. Chciałbym ci jednak coś poradzić. Rzecz jasna, zależy to od tego, ile pieniędzy będziesz mógł wydać. Odrożyłeś cośkolwiek?

- Tak, proszę pana, trochę.

- Czy dosyć, żeby sprawić sobie nowe ubranie i buty? Nie twierdzę, że wyglądasz nieporządnie. Powiedziałbym nawet, że przyzwoiciej niż inni, lecz to ubranie jest wieśniacze. Nadażasz za mną?

Po chwili Roddy poruszył głową i potaknął: - Tak, proszę pana.

- Nie mam zamiaru namawiać cię na zakup czegoś ponad stan i drogiego, lecz nieco innego. Nie chcę, byś czuł się dotknięty. Rozumiesz?

- Tak, proszę pana, rozumiem to dobrze i jestem tego samego zdania.

- Świetnie, świetnie. Cóż, ponieważ spotkasz się z panem MacPhersonem jutro o trzeciej po południu, będziesz miał dość czasu, by to załatwić. - Wyciągnął rękę. - Nie wiem, co z tego wyniknie, lecz mam nadzieję, że to spotkanie otworzy przed tobą nową drogę.

- Dziękuję, proszę pana. Naprawdę bardzo dziękuję. Na zawsze pozostanę pańskim dłużnikiem.

Skłonili się sobie, po czym Roddy odwrócił się i wyszedł z biura. Zszedł w dół po schodach i wyszedł na podwórze, mijając robotników, którzy wyciągnęli mieszadła z kadzi i teraz tłukli w nią młotami, która to czynność pozwalała cięższej rudzie powoli osiąść na dnie, a oczyszczonemu, lżejszemu metalowi wypłynąć na wierzch. Potem wylewano z kadzi wodę, wyrzucano żużel na hałdę, a oczyszczoną rudę pozostawiano do składowania.

Ileż to razy pchał wózek z żużlem na hałdę od najmłodszych lat. Teraz miał gorącą nadzieję, że już więcej nie będzie walił młotem w kadź.

Robotnicy podkpiwali z niego, kiedy ich mijał. Paul i Johny Fowler krzyknęli za nim: - Podwoił ci zarobki, co, Greenbank! Zapłacisz za to głową, lizusie. - Will Campbell jedynie się

wyprostował i długo za nim patrzył; nikt nigdy nie okazał zainteresowania jego rękodziełem, a przecież pięknie rzeźbił. Faworyzowanie, wyłącznie faworyzowanie.

Roddy wiedział o mieszanych uczuciach, jakie żywili do niego robotnicy w hucie. Większość nie lubiła zmian, obawiała się ich, i każdy, kto chciał cokolwiek zmienić, zostawał okrzyknięty burzycielem porządku. Mieli oni swój wzorzec życia, ciężko pracowali; wielu z nich stale się upijało, choć teraz nie pozwalano, by picie przeszkadzało w pracy; zostawiali je więc na sobotnie wieczory i święta.

Roddy wszedł między nich jako cudak, który nie pamiętał swojej przeszłości. Teraz jednak był już dorosłym mężczyzną, który wprawdzie ciągle niczego z przeszłości nie pamiętał, ale żył intensywnie terażniejszością, myślał o przyszłości i gorąco pragnął odmiany. Nie tylko rysował, ale także, opierając się na znajomości abecadła, którą zdobył w dzieciństwie, nauczył się biegle czytać i pisać.

Nie był wprawdzie jedynym, który to potrafił. Oprócz niego czytać i pisać umiał również Hal Roystan. Powiadano, że miał całą półkę książek w chacie starego Abła Hamiltona. Oczywiście zgromadził je po jego śmierci. Abel Hamilton nie miałby pożytku z książek - jego narzędziami były kilof i łopata.

Powszechnie uważano, że Hal Roystan był przeciwieństwem Roddy'ego Greenbanka. Ich charaktery różniły się jak woda i ogień. Mimo to trzymali się razem i obu łączył związek ze starą Kate. To z kolei nakazywało ostrożność. Należało się trzymać po właściwej stronie, inaczej można się było ocknąć z czyrakami na szyi, a nawet w dolnych partiach ciała. Wystarczyło przypomnieć sobie, co się przytrafiło Benowi Fowlerowi tej nocy, kiedy upił się niemal do nieprzytomności, poszedł do domu niewłaściwą drogą i kopnął kundla Kate, który przebiegł mu drogę. Następnego ranka nie mógł się poruszyć, zeszytniał jak kłoda. Całe tygodnie minęły, zanim mu przeszło. A co było z Jedem Pierce? I to tylko dlatego, że zaczepił Mary Ellen Lee na drodze do domu. Chciał się do niej pozalecać, przyznał to otwarcie. Powiedział to też Kate, kiedy spłoszona dziewczyna schroniła się w jej chacie. I co odpowiedziała stara Kate? - Zachciało ci się Mary Ellen! Nie potrafisz wytrzeć zasmarkanego nosa! Jeśli zbliżysz się

do niej choćby na milę, nie będziesz mógł usiąść przez miesiąc, powiadam ci! - I co? To właśnie się stało! Miał wrzód wielki jak podwójne jajko. Omal nie zwariował od kuracji, gdyż jego brat Roger z pomocą dwóch siostr musiał go trzymać, kiedy starszy brat Billy przykładał mu do bolącego miejsca butelkę wypełnioną ukropem, żeby wrzód szybciej pękł. Jed potrzaskał połowę naczyń w kuchni, zanim udało im się go złapać.

Tak więc Kate Makepeace miała magiczną moc i lepiej było z nią trzymać, tak jak trzymało z nią tych troje.

Powodziło im się, każdemu w inny sposób. Roddy Greenbank był w dobrych stosunkach z kierownictwem, Hal Roystan osiągnął to, że był jednym z najlepiej opłacanych robotników, jeśli zaś szło o Mary Ellen, farmer Davison i jego żona traktowali ją jak własną córkę. Ano, dobrze jest trzymać z wiedźmami!

Takie myśli zapełniały głowę Roddy'ego, gdy wracał do domu. Wyciągał nogi, jakby śpieszył się na poranną zmianę, a nie dopiero co skończył dziesięciogodzinną harówkę w spiekocie i pyłe. Myślał nie tylko o spotkaniu z artystami, głowę miał zaprzątniętą jeszcze czymś ważniejszym nawet od rysowania. W pewnym sensie rzecz ta wiązała się z pierwszą, pomyślną jej zakończeniem mogło zależeć od wyniku spotkania.

Kate powitała go jak zazwyczaj. - No jak tam? Kolejna dniówka z głowy?

- Tak, Kate. - Stanął i popatrzył na małą, skurczoną postać o twarzy tak pomarszczonej jak wysuszony orzech, lecz z głosem, który wciąż przeczył starości.

- Wszystko umówione? - spytała.

- Tak, Kate, wszystko umówione. Jadę o brzasku. Tu jest list - poklepał kieszeń kapoty. - Mam spotkać się ze znakomitymi ludźmi. Takie wrażenie odniosłem z rozmowy z panem Mulcasterem. Właśnie, Kate, czy mógłbym wziąć trochę pieniędzy?

- Czy mógłbyś wziąć trochę pieniędzy? Czemu pytasz, chłopcze? To, co tu jest - odwróciła się i pokazała wykrzywionym palcem komin - to wszystko twoje.

- Nie, nie. To już wyjaśniliśmy dawno temu.

- Wiem, co wtedy powiedziałaś, ale powtarzam: to, co tam jest, jest twoje. Pieniądze, które wyjęłam z pasa twojego ojca,

rozeszły się w chudych latach, ale pięćdziesiąt pięć funtów, które ci złodzieje urzędnicy przysłali po sprzedaniu domu, ciągle tu są, tak jak przysły. Pięćdziesiąt pięć funtów! Sprzedano dom za sto dziesięć. Ech! Rozbój w biały dzień. W każdym razie, chłopcze, weź je, na co tylko chcesz.

- Nie potrzeba mi pięćdziesięciu pięciu funtów, Kate. Mam dwa zaoszczędzone. - Podniósł głowę. - Wiem, że powinno to być dwadzieścia dwa, i byłoby, gdybym nie kupował tyle diabelnego papieru. Widzisz, pan Mulcaster powiedział - grzecznie, oczywiście - rzecz następującą. Ja wprawdzie nie widzę takiej potrzeby - skłamał - ale pan Mulcaster stwierdził, że ponieważ mam się spotkać z ludźmi z wyższej klasy, powinienem mieć nieco inne ubranie.

- Inne niż twoje niedzielne?

- Tak.

Kate przez chwilę ważyła coś w myślach.

- Pewnie ma rację - odezwała się po chwili. - Zna się na tym, co wypada; nie chce, żebyś pokazał się tam ze słomą sterczącą z butów. Dobrze uważaj, chłopcze, na tych ludzi. Nie możesz być pewny, co naprawdę myślą. Powiadają, że jeśli spojrzeć człowiekowi prosto w oczy, można zobaczyć, co w nim siedzi, ale nie wierz w to. Oczywiście niektórzy długo ćwiczą się w okłamywaniu, należą one do tych, co umieją się uśmiechać, kiedy podryniają ci gardło. - Odwróciła się i podniosła czarny garnek z ognia, potem znieruchomiała na chwilę. Ciągłe trzymając garnek, dodała: - Co będzie, jeśli cię tam wezmą? Jeżeli twoje rysunki spodobają się im i będą cię chcieli zatrzymać, żebyś dalej się uczył. Co wtedy zrobisz?

- Nie wiem. Myślałem o tym. Ale... - powstrzymał się, by nie powiedzieć: jeśli zdarzy się cud. Zamiast tego powiedział: - Jeśli coś takiego się stanie i będę musiał pracować w Newcastle, każdej niedzieli będę przyjeżdżał do domu.

Kate podeszła do stołu i postawiła garnek z poczerniałym od sadzy dnem na płaskim kamieniu. Zdjąwszy pokrywkę, powiedziała: - Londyn, z tego co wiem, jest właściwym miejscem dla artystów i podobnych im ludzi. Co będzie, jeśli cię tam wyślą?

Nie zdążyła dokończyć, bo zaprzeczył głębokim i zdecydowanym głosem: - Nigdy! Nigdy, Kate! Nigdy nie ruszę się z Newcastle. Ani o krok dalej. Nie.

Podniosła głowę i popatrzyła na niego. - Nie?

- Nie.

- Wygląda na to, żeś bardzo tego pewien.

Ściągnął szalik z szyi, zdjął płaszcz, przeszedł przez izbę i powiesił go na drzwiach. Odwrócił się i spojrzał na starą kobietę.

- Powinienem ci o tym powiedzieć, Kate, tyle że właściwie nie majeszce o czym mówić. To nic pewnego. Wiesz, upatrzyłem sobie dziewczynę i jeśli nie ty, to ona mnie tu będzie trzymać.

Na twarzy zaigrał mu lekki uśmiech zawstydenia.

- Powiedz mi, o czym nie wiem - odparła na to Kate.

Otworzył szeroko oczy, postąpił ku niej dwa kroki. - Nie możesz wiedzieć. Nikt... Ja sam nawet nie wiem. Ona...

Przechylił głowę i utkwiał spojrzenie w Kate. Mówiono, że jest czarownicą, ale to przecież niemożliwe. Cień przebiegł przez twarz Kate, ale spokojnie zapytała:

- To nie Mary Ellen?

Twarz mu się ściągnęła i w głosie zabrzmiała nuta niedowierzania.

- Mary Ellen? Dobry Boże! Kate. Nie, skądże. Ona jest dla mnie jak siostra...

Jej wybuch zmroził go. - Siostra, przeklęty! Nie jest twoją siostrą i wpadłeś jej w oko, kiedy po raz pierwszy leżałeś w tym łóżku. - Mój Boże! Człowieku, musisz być ślepy. Przecież zalecałeś się do niej.

- Co to, to nie, Kate. Nie mów tak. Zachowywałem się wobec niej tak samo jak zawsze. Kłóciłem się z nią i biłem, nawet w ostatnią niedzielę mieliśmy sprzeczkę. Ma cięty język i spryt jak przekupka.

Patrzac na tę starą kobietę, która była dla niego jak matka, i którą traktował z szacunkiem należnym matce za to, że go przygarnęła i wychowywała od czasu wypadku, odczuwał głębokie zatroskanie. Gdy wspominał dzieciństwo, pojawiały się w jego pamięci dziwne obrazy, oderwane fragmenty, których nie umiał dopasować do niczego, co pamiętał. Nawet teraz, gdy był już dorosłym mężczyzną, obrazy te budziły lęk. Kiedy usilnie próbował sobie coś przypomnieć, doznawał zawrotów głowy i czuł się bliski omdlenia.

- Przykro mi. Przepraszam, Kate. Nigdy bym nie pomyślał, że ty... - odezwał się, tym razem łagodnie.

Kate wygarnęła chochlą na talerz trochę duszonej baraniny z ziemniakami i cebulą. Posunęła talerz w jego stronę, ale Roddy siedział nieporuszony. Samo to, że nałożyła mu jedzenie, nie czekając, aż się umyje, świadczyło o wielkim zafasowaniu.

- Wybacz, Kate, ale... chyba mylisz się co do uczuć Mary Ellen. - powtórzył.

- Zamilcz, człowieku! Czyż nie wiesz, że jesteś dla niej jak choróbko? Zawsze byłeś niczym świerzb, którego nie umiała się pozbyć. No, ale skończmy z tym. Kim jest ta druga panna, która zawróciła ci w głowie? To któraś z sąsiedztwa?

Potrząsnął głową i zaczął mówić dopiero po dłuższej chwili: - Nie jest z tych stron. Właściwie ja... prawie jej nie znam. Spotkaliśmy się tylko trzy razy.

- I już wiesz, że jest tą jedyną, z którą chcesz spędzić resztę życia?

Uniósł brodę do góry i z poważną miną odpowiedział:

- Tak, Kate, to właśnie czuję. Nigdy nie zwracałem sobie głowy dziewczętami. Wiesz, że nie...

- Bo zawsze miałeś Mary Ellen pod bokiem.

- Nigdy nie pomyślałem o niej w taki sposób, nigdy. Ale z tą drugą jest inaczej. Gdy tylko na nią spojrzałem, od razu wiedziałem.

Kate powoli opadła na krzesło i bębniła palcami w stół.

- Jak jej na imię?

- Nie... nie wiem.

- Nie wiesz, jak ma na imię?

Zwiesił głowę zawstydzony. - Nie znam jej imienia.

- Nie znasz? Stoisz tutaj i opowiadasz, że spotkaliście się trzy razy, a ty nie wiesz, jak ją wołają?

- Tak właśnie jest.

- To musiały być bardzo krótkie spotkania.

- Tak było, Kate. Bardzo krótkie.

- Od dawna ją znasz?

- Dziewięć miesięcy.

- Dziewięć miesięcy! I widziałeś ją tylko trzy razy?

- Tak. Podczas dwóch pierwszych spotkań nie zamieniliśmy ani słowa. - I powiem ci jeszcze coś dziwnego. Pierwszy raz zobaczyłem ją przez okno, kiedy siedziała

w herbaciarni przy głównej ulicy w Hexham. Wszedłem tam i zamówiłem herbatę tylko po to, żeby na nią popatrzeć. Prawda, że dziwne? Drugim razem spotkaliśmy się na targu, znalazłem się blisko niej, przyglądaliśmy się sobie długo. Trzeci raz to było raptem tydzień temu w Haydon Bridge i wtedy zaczęliśmy rozmowę, niedługą, ale wystarczającą, by się dowiedzieć, że będzie jutro w Newcastle.

Nie wspomniał, jak wiele razy wystawał przed pewnym domem w Hexham, w którym, jak odkrył, bywała.

Kate przyglądała mu się w milczeniu.

- Czy to całe rysowanie to tylko wybieg, żeby spotkać się z nią w Newcastle? - spytała.

- Nie, to spotkanie było umówione dwa tygodnie wcześniej. Wiesz przecież. To tylko przypadek.

- I ciągle nie wiesz, jak ma na imię i gdzie mieszka?

- Nie, ciągle nie wiem. Nie było czasu zapytać, kiedy staliśmy na ulicy, bo nadjechał powóz. Jednej rzeczy tylko się dowiedziałem: odjechał drogą do Catton, w kierunku Old Town.

- Och, więc kiedy poznasz jej imię, dowiemy się wszystkiego. Catton nie leży na końcu świata.

- Jest dostatecznie daleko od wścibskich ludzi.

Nigdy nie zwracał się do niej w ten sposób, oboje dobrze o tym wiedzieli. Odwrócił się i poszedł do umywalni. Nalał pół wiaderka wody do miski, ściągnął kamizelkę i koszulę. Przy myciu wyrzucał sobie: - Nie powinienem był mówić do niej tym tonem. Co mnie napadło? - Gdzieś w zakamarkach świadomości odnalazł odpowiedź. Zawładnęła nim miłość i po raz pierwszy w życiu odkrył jej wszechpotężną siłę. Był oszołomiony, bo nigdy nie wyobrażał sobie, że mężczyzna może czuć coś takiego. Wiedział, co to znaczy chcieć mieć kobietę. I miał. W tajemnicy przed Kate dwa czy trzy razy pojechał do Hexham. To na to naprawdę stracił pieniądze, a nie na papier do rysowania. Ale teraz odczuwał coś innego. Chciałby wziąć w ramiona tę doskonałą istotę, która tak nagle pojawiła się w jego życiu, i kochać ją tak, jak mężczyzna kocha kobietę. Było też w tym coś więcej, czego jeszcze nie rozumiał do końca. Była taka piękna, że pozbawienie jej dziewictwa zdawało mu się czymś w rodzaju świętokradztwa.

Wiedział, że było to trochę głupie. Właściwie nie była aż taka piękna, rysy miała zbyt ostre, zbyt wyraziste jak na skończoną piękność. Ale jej oczy się śmiały i wyglądała jak księżniczka. Była kimś z innego świata.

Myśl ta ostatnio spędzała mu sen z powiek. Żeby wejść do jej świata, konieczne było przekonanie tych ludzi w Newcastle, że wart jest czegoś więcej niż losu robotnika w hucie przez resztę życia.

A Mary Ellen?... Mary Ellen zakochana w nim? Wytarł twarz szorstkim ręcznikiem. Zawsze na niego naskakiwała, ciągle się kłóciła. To by dopiero było, ożenić się z Mary Ellen. Boże w niebiosach! Nie zasnęłyby chwili spokoju. Ożenić się z Mary Ellen? Też coś. Kate nie miała o niczym pojęcia. Babskie gadanie - można się uśmieć. Mary Ellen też by się pewnie uśmieła. Rozumiał, dlaczego Lennie Davison, wnuk jej pani, był dla niej taki miły. Sama to powiedziała, a raczej dała do zrozumienia. Lennie teraz skończył dwadzieścia jeden lat, niedawno hucznie obchodzono jego urodziny. Roddy też został zaproszony. Mary Ellen tego wieczoru przetańczyła w stodole z Lennie'm więcej niż jeden taniec. Właściwie, z kim nie tańczyła? O tak, całkiem ładna z niej dziewczyna, i bystra. Jedyne, co w niej złe, to cięty język.

Och, Kate uroiła coś sobie. W każdym razie przywiezie coś z Newcastle, żeby udobruchać staruszkę.

2

Nigdy dotąd nie zapłacił więcej niż cztery szylingi za parę spodni, za marynarkę zaś więcej niż pięć szylingów i sześć pensów. Teraz stał w ubraniu, które kosztowało dwadzieścia trzy szylingi, nie licząc krawata, nowych butów i torby, którą musiał kupić, żeby mieć w co zapakować stare ubranie. Nie zdawał sobie sprawy, jak pospolity był jego dotychczasowy strój, dopóki krawiec nie rozłożył przed nim swoich towarów. Kiedy już dokonał wyboru, krawiec pokazał mu jeszcze cały garnitur, zamówiony podobno przez kogoś, kto odszedł. Nie

powiedział głośno - umarł. Ubranie to opinało ciasno sylwetkę nadając jej kształt litery T i trochę uwierało pod pachami. Ale to było do zniesienia i musiał przyznać, że tak wystrojony czuł się zupełnie kimś innym. Ubranie było jak zbroja na dzisiejsze popołudniowe spotkanie. Co więcej, mogło z pewnością wyrzucić wrażenie na niej. Może spojrzy na niego inaczej niż na chudopachołka, którego spotkała na targu. Takie ubranie odmieniało człowieka. Gdy wyszedł w nim ze sklepu na ulicę, poczuł, że cały świat należy do niego. Dziwne i podniecające uczucie!

Wyjął z kieszeni posrebrzaną kopertę i spojrzął na zegarek, ten sam, który Kate wyjęła z pasa ojca. Latami leżał zepsuty i bez szkiełka. Niedawno został naprawiony. Teraz zegarek powiedział mu, że do spotkania pozostało jeszcze dużo czasu, i równocześnie znowu obudził niepokojącą pustkę w głowie, odczucie, które ostatnio nawiedzało go coraz częściej.

Dwadzieścia minut później stał na chodniku naprzeciwko sali, gdzie tego popołudnia miał się odbyć koncert. Dziewczyna dała do zrozumienia, że prawdopodobnie na nim będzie. Było to w zeszłym tygodniu, kiedy powiedział jej, że ma pokazać swoje rysunki ważnym ludziom w mieście.

Przypomniał sobie, że uśmiechnęła się, uniosła brwi i powtórzyła łagodnie: - Ważnym ludziom? Gdyby wyszło to z innych ust, mogłoby być wzięte za kpinę, ale dla niego było nie do pomyślenia, żeby była zdolna kpić z kogokolwiek. Była taka inna. I taka żywa. Chyba „pełna życia” byłoby odpowiedniejszym określeniem. Tylko co to właściwie oznaczało? Sam nie wiedział. Wiedział jedynie, że jest zakochany po raz pierwszy w życiu i że ta miłość będzie trwała wiecznie.

Patrzył na zatrzymujące się powozy i wysiadających z nich ludzi, którzy powoli zapełniali salę koncertową. Czy ona także przyjedzie powozem? - Nie. - Na tę myśl pokręcił lekko głową - nie była tego typu osobą. Nie żeby nie myślał o niej jak najlepiej, ale nie była przecież damą, nie była szlachetnie urodzona. Mógł to wnioskować po sposobie mówienia. Nie wysławiała się, broń Boże, po prostaku, ale też nie była to mowa damy z pałacu, jakby to określił Hal... Trudno będzie opowiedzieć Halowi o uczuciu wobec tej dziewczyny, ponieważ Hal nie znosił dziewczyn. Wystarczyło widzieć, jak

dokuczał Mary Ellen. Chociaż ostatnio jakby mniej, wydawało się, że trochę dał za wygraną.

Och, och! Oto ona, przechodzi właśnie przez ulicę. Serce mu się ścisnęło - nie była sama, towarzyszyła jej jakaś kobieta. Czego się spodziewał? Że sama będzie przemierzała ulice Newcastle? To było prawdziwe miasto, nie takie jak Hexham. Widział, że śmieją się z czegoś. Trzymały lekko spuszczone głowy i patrzyły na siebie, zbliżając się do niego.

- Dzień dobry, panie...

Zdjął kapelusz i ukłonił się im po kolei. - Dzień dobry paniom - powiedział.

- To... to moja przyjaciółka, panna Freeman.

- Bardzo mi przyjemnie poznać panią.

Przyjaciółka uśmiechnęła się, ale zasznurowała usta i patrzyła na Roddy'ego niewidzącymi oczami.

- Czy wybiera się pan na koncert, panie...

- Greenbank. Rodney Greenbank.

- Greenbank. - Przechyliła głowę lekko na bok, usiłując sobie coś przypomnieć, po czym spytała, jak nakazywała uprzejmość:

- Jak rozumiem, przywiózł pan dzisiaj do oceny swoje rysunki?

- Tak - przytaknął i uśmiechnął się. Nastąpiła cisza; sądził że dlatego, iż dopiero teraz zauważona została zmiana w jego wyglądzie. Został oszacowany badawczym spojrzeniem od stóp do głów i usłyszał: - Jaka szkoda, że nie może pan być na koncercie.

- Tak, istotnie, wielka szkoda. Może innym razem. Czy... czy koncerty odbywają się co tydzień?

Miała właśnie odpowiedzieć, ale przesunęła wzrok z Roddy'ego na ulicę i szybko zakończyła: - To mój ojciec. Musimy już iść. Wszystkiego najlepszego, panie Greenbank.

- Wzajemnie. Do widzenia. - Znów się skłonił jednej i drugiej. Patrzył za oddalającymi się i widział, że podeszły do mężczyzny na przeciwległym chodniku. Z ust wyrwał mu się cichy okrzyk: - O Boże! To przecież Bannaman. Jej ojcem jest Bannaman? Boże Wszechmogący! To oznaczało kłopoty. Co powie na to Kate, która na sam dźwięk tego nazwiska trzęsła się z nienawiści? Czyż to nie on był tym człowiekiem,

który wysłał daleko jej syna, rzekomo robiąc mu przysługę? Nigdy nie mógł dociec prawdziwej przyczyny tego zdarzenia. Słyszał o przemyśle alkoholu i innych towarów, ale przecież nie ucieka się z kraju z takiego powodu.

Z drugiej strony, wszystko, co się zdarzyło, było już przeszłością, upłynęło od tego czasu wiele lat. Zdecydował już wcześniej, że tego dnia musi poznać jej nazwisko, a teraz, gdy już je znał, czuł się okropnie.

Nie widział tego człowieka od dobrych paru lat. Kiedy był młodszy, natknął się na niego, jak razem z leśnikiem wyrwali młode jodełki w lesie koło kamieniołomu. Później spotkał go dwukrotnie w Hexham. To, że sam rzadko bywał w Hexham w soboty rano, bo pracował zwykle na poranną zmianę, tłumaczyło, dlaczego nie spotkał jej wcześniej. Jedno było jasne - była córką farmera i w dodatku nie była jakiego.

Ojciec coś do niej mówił, po czym popchnął ją i jej towarzyszkę w kierunku sali koncertowej, lecz przedtem spojrział na drugą stronę ulicy, prosto na niego, surowym, badawczym wzrokiem.

Co się stanie, kiedy odkryje, że Roddy jest tylko hutnikiem? Znał życie na tyle, że wiedział, iż hutnicy i górnicy nie byli uważani za dobre partie dla farmerskich córek. Ale on nie będzie już długo pracował w hucie. Dumnie wyprostował ramiona i odszedł. Czuł na sobie spojrzenie Bannamana, który nie wszedł do środka, lecz stał ciągle w drzwiach, patrząc w jego stronę.

Wspiął się po schodach, przytrzymując się żelaznej poręczy, i zastukał do wyglądających niezbyt zachęcająco mahoniowych drzwi. Otworzyła je wyglądająca tak samo niezachęcająco służąca. - Pana nazwisko, sir? - spytała, wpuszczając go do środka, a kiedy się przedstawił, podeszła do drzwi na drugim końcu niewielkiego przedpokoju, otworzyła je i zaanonsowała: - Pan Rodney Green... bank. - Wymówiła jego nazwisko, jakby składało się z dwóch wyrazów. Ośmiu mężczyzn obecnych w pokoju odwróciło się w jego stronę. Jeden z nich wystąpił naprzód z wyciągniętą na powitanie ręką: - Jestem MacPherson. Witam pana. - Spojrzął na dwie torby, które Roddy postawił na dywanie, zanim wyciągnął rękę. - Proszę tylko nie mówić, że obie są pełne rysunków - rozciągnął usta w uśmiechu.

- O, nie - odparł Roddy i uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem. Wyciągnął płaskie pudło z torby z ubraniami.

- Byłem na zakupach. Nieczęsto bywam w mieście - powiedział.

- Proszę więc wziąć ze sobą najważniejszy pakunek i pojeść tu do nas. - Pan MacPherson poprowadził go w kierunku innych mężczyzn, mówiąc przy tym: - Szkoda, że pan Mulcaster nie może być tu dziś z nami. Ale ktoś z nas musi pracować - roześmiał się, a inni mu zawtórowali.

- To jest pan Richardson... a to pan Parker.

- Miło mi pana poznać. Cieszę się, że mogę pana poznać - powtarzał w kółko Roddy, a od świeżo usłyszanych nazwisk kręciło mu się w głowie. Kiedy prezentacja się zakończyła, odwiązał sznurek pudełka i zaczął wyjmować powoli duże rysunki i układać je na długim stole. Niektóre odwracał w drugą stronę, żeby mogli je dobrze widzieć ci, którzy siedzieli po drugiej stronie. Gdy skończył, stanął z boku, przysłuchując się cichej wymianie opinii.

Jeden z obecnych pochylił się nad rysunkami i w końcu odezwał się: - Obiecujące. Bardzo obiecujące. - Inny obok niego burknął: - Obiecujące to trochę za mało, Willie.

Słyszając to, Roddy oblał się rumieńcem. Zabrzmiało to jak okrutne potępienie. Wówczas ten, który wypowiedział te słowa, spojrzął nań spod przymrużonych powiek. - Od jak dawna się tym zajmujesz, synu? - zapytał.

W pierwszej chwili Roddy nastroszył się, że nazwano go synem - wprawdzie mężczyzna był starszy, ale on przecież nie wyglądał na chłopca. - Odkąd sięgam pamięcią - wymamrotał.

Mężczyzna wyprostował się, a po jego kolejnych słowach oblała Roddy'ego fala ciepła, która nasiliła jeszcze rumieniec na twarzy. - Cóż - rzekł - mogę tylko powiedzieć, że nie marnowałeś czasu. Doszedłeś do czegoś. Ten piec do prażenia rudy jest dobry. Nie pominąłeś ani jednej cegły, prawda? - Po czym dodał, sprowadzając Roddy'ego na ziemię: - Nie oznacza to, że nie musisz się jeszcze wiele nauczyć. Rozumiesz?

- Rozumiem, proszę pana.

Lecz światło nadziei na pomyślny wynik zgasił głos z końca stołu. - Ale to wszystko już nieraz widzieliśmy, nie zapominajmy o tym.

- Nikt o tym nie zapomniał, Jimie - odrzekł obrońca Roddy'ego. - Ale tu jest coś więcej, widać twórcze podejście, inicjatywę. Wiem doskonale, że rysunki konstrukcyjne powstawały już przedtem, także o tematyce hutniczej, sam widziałem ich dziesiątki, nawet setki. Ale ten kandydat nie poprzestanie na tym temacie. Mam rację, panie Greenbank?

Roddy usłyszał swój głos: - Tak, proszę pana - bąknął. Ciekaw był jednocześnie, dlaczego zostało użyte słowo „kandydat”. Jego ciekawość wzmożła się, kiedy jego obrońca mówił dalej: - Z tych trzech, ten chłopak zdobył mój głos.

- Dobrze. Zobaczmy - pan MacPherson włączył się spokojnie do dyskusji i ciągnął dalej, zwracając się do Roddy'ego. - Czy wykonywałeś prace o innej tematyce, czy rysowałeś ludzi, zwierzęta, krajobrazy? Roddy zawahał się.

- Niewiele, proszę pana. Trochę szkiców wzgórz i przedmiotów - odpowiedział.

- Nie rysowałeś portretów?

- Nie, niestety nie. Bardzo mało... Nie idzie mi to tak dobrze.

- Nigdy nie wiadomo. Rzekę sztuki zasila wiele strumieni. W każdym razie, panowie - ogarnął spojrzeniem wszystkich obecnych - porozmawiamy o tym później, teraz napijemy się herbaty z paniami.

Herbata z paniami. Roddy poczuł, że robi mu się gorąco.

Spotkanie z paniami okazało się jednak bardzo miłym wydarzeniem, a także dostarczyło mu wiele wiadomości. Odkrył, że wszystkie obecne panie to artystki, że wszystkie są zamożne. Co więcej, ku swojemu zaskoczeniu dowiedział się, że jest jednym z trzech kandydatów, których prace poddano ocenie. Wybrany szczęśliwiec będzie sponsorowany, to znaczy, że będzie miał zapewnione dwuletnie wyżywienie, zakwaterowanie i studia albo w Newcastle, albo w Londynie. To był gest wobec nie uprzywilejowanych, jak określiła jedna, mniej od innych taktowna dama. Podkreśliła też, że wynika on ze świadomości, iż gdzieś wśród klasy ludzi pracujących pojawiają się talenty, które trzeba rozwijać.

Kiedy godzinę później wychodził z tego domu, nie wiedział, czy się cieszy, czy wprost przeciwnie. Zgromadzenie było liczne, na co pan Mulcaster go nie przygotował. Roddy

sądził, że spotka się z paroma osobami zainteresowanymi rysunkiem technicznym. Z drugiej strony, myśl o tym, że mógłby przez dwa lata studiować sztukę, była jak objawienie. Do tych marzeń nigdy nie odważyłyby się przyznać, lecz nosił je głęboko od chwili, kiedy po raz pierwszy wziął ołówek do ręki. Jedna rzecz zaniepokoiła go podczas spotkania. Okazało się, że ma ubranie w niewłaściwym kolorze. Ta opinia wyszła z ust bardzo rozmownej pani, która najwidoczniej była portrecistką, gdyż przyjrzawszy mu się przez chwilę, orzekła: - Byłby pan dobrym materiałem. Jest pan świetnie zbudowany, ale nosi pan nieodpowiedni strój. Nie powinien pan nigdy ubierać się w szarości, przynajmniej nie w tym odcieniu. Jest zjasny do pańskiego kolorytu. Gdybym pana miała malować, ubrałabym pana w proste, robocze ubranie.

Czy to tak go widziała panna Bannaman? Jako kogoś, kto wyglądał jak robotnik pomimo ubrania dżentelmena?

Och, z radością zabierze się z powrotem do domu. Nie podobało mu się w Newcastle. Ale przede wszystkim musiał pójść i kupić coś dla Kate, chustkę na głowę czy coś w tym rodzaju, żeby ją udobruchać. Tylko czy ona jest osobą, która da się udobruchać? Nie. Pokręcił głową na tę myśl. A kiedy jeszcze powie jej, że zadurzył się w córce Bannamana, przykrość, jaką jej sprawił, mówiąc, że nie żywi żadnych uczuć do Mary Ellen, będzie niczym w porównaniu z tą wiadomością.

Dlaczego tak potoczyły się sprawy?

Odkrył - odczuwając przy tym coś w rodzaju zdziwienia - że jednak nie lubi zmian. Do dziś jego życie toczyło się gładko. Do dziś wiedział, na czym stoi. Teraz jednak, niech go diabli porwą, jeżeli wie.

3

- Narzuć chustę na czepek, wiatr jest bardzo silny - powiedziała Mary Davison. - I słuchaj, jeśli masz iść, idź już, bo nie zdążysz wrócić przed zmrokiem. Jeśli jednak masz

ochotę zaczekać, Lennie powinien być z powrotem w każdej chwili i może podwieźć cię wozem.

- E tam, psze pani, trafię choćby z zawiązanymi oczami. Bardzo martwię się o Kate, bo Jimmy mówił, że zastał ją w kiepskim stanie.

- Dobrze, rozumiem. Sama na pewno nie przyjdzie. Powinna się wyprowadzić z tej chaty i zamieszkać u kogoś, żeby mieć towarzystwo.

Mary Ellen nic nie odpowiedziała, zawiązała tylko ciasno chustę pod brodą. Ależ głupi pomysł. Kate za żadne skarby nie opuściłaby swojej chaty. I kto doglądałby Roddy'ego? Pani Davison była dobrą kobietą, ale czasami opowiadała najgłupsze rzeczy pod słońcem. Pewnie dlatego, że sama przepadała za towarzystwem. Powinna mieć dużo dzieci, a miała tylko jednego syna, ojca Lenniego. Była to naprawdę zacna kobieta, tyle że nieco bezmyślna.

- Tutaj masz koszyk. Kawałek wieprzowiny, bochenek chleba, pół tuzina prawdziwych jajek, nie tych byle jakich od karłowatych kur. Woreczek z cukrem i twaróg. To powinno ją trochę wzmocnić.

Mary Ellen popatrzyła łagodnie na małą pękatą kobietę i poczuła chęć, by ją objąć i pocałować. Często miała na to ochotę, ale nie wypadało tak się zachowywać wobec chlebowdawczyni. Powiedziała więc tylko: - Dziękuję psze pani, Kate będzie wdzięczna. - Myślała równocześnie, że Kate zapewne powie: „Czy ona sądzi, że my tu głodujemy? Powiedz jej, że jedzenia mam w bród”. Kiedy Mary Ellen będzie już wychodzić, odezwie się: „Podziękuj pani Davison ode mnie. Mimo wszystko jest bardzo miła”. Najpewniej doda też: „Chociaż jej czepek nie bardzo ma się na czym trzymać”.

Mary Ellen wzięła koszyk, wyszła z kuchni, przemierzyła wybrukowane podwórze i wysypaną ubitym żwirem z gliną drogę do furtki. Nie dbała o to, gdzie stąpa, gdyż podwiązała wysoko spódnicę, odstawiając trzewiki sięgające jej dobrze ponad kostkę. Nogi miała smukłe. W istocie cała była szczupła. Trapiła się tym. W wieku osiemnastu lat inne dziewczęta miały już biusty; nawet niektóre czternastolatki miały się czym pochwalić. Jej piersi jednak za żadne skarby nie chciały urosnąć. Ona zaś rosła, jak zauważyła, zamiast wszerez, jedynie

wzwyż. Nie było niczym dobrym dla dziewczyny być taką wysoką. Nie wypadało być wyższą od chłopca, którego miało się nadzieję poślubić. Nie była wyższa od Roddy'ego, była prawie jego wzrostu. Przynajmniej na razie. Oby już więcej nie urosła! Farmer Davison i pan Archie, jego syn, powiadali, że jest za chuda. Podśmiewali się z niej i żartowali na ten temat. Tylko Lennie jej nie dokuczał - zawsze brał jej stronę, utrzymywał przy tym, że któregoś dnia Mary Ellen pobije tych dwóch na głowę, przynajmniej w języku, a także w wielu pracach gospodarskich, z wyjątkiem może ujeżdżania koni, do którego jednak i tak wcześniej czy później się zabierze.

Farma Davisonów, gdzie pracowała, zdawała się być jej domem bardziej niż jej prawdziwy dom rodzinny. Kiedy jeszcze żyli jej rodzice, nigdy nie zaznała od nich tyle ciepła, ile od swej pani. Farmę traktowała więc jak dom i kochała wszystkich jej mieszkańców.

Kiedy mówiła, że ich kocha, była to szczerą prawdą. Nie kochała ich jednak miłością, o jaką chodziło Lenniemu. Lennie był przystojny i dobry jak jego babka, ale tak jak i ona mówił i robił najgłupsze rzeczy. „Zadowolone z życia głuptasy” - tak nazywała ich oboje Kate. Dobrze było być zadowolonym z życia głuptasem. Mary Ellen życzyła sobie z całego serca być kimś takim, zwłaszcza gdy miała ochotę zapomnieć o rzeczy, której pragnęła najbardziej na świecie, a która coraz częściej nie pozwalała jej zasnąć...

Kiedy dotarła do chaty, zastała Kate w łóżku. - Jesteś chora, Kate? - zapytała.

- Nie, nie jestem chora. Mogę chyba trochę sobie poleżeć, nawet kiedy nie jestem chora? - Porzuciła kwaśny ton i spytała: - Co się stało, że przyszłaś? Przecież nie masz dziś wychodnego?

- Pani przysłała mnie do ciebie z jedzeniem.

- Myśli, że przymieram znów głodem? A niby jak przeżyłam te wszystkie lata i wykarmiłam takiego wielkiego chłopca? A właśnie, która jest godzina?

Mary Ellen odwróciła się, spojrzała na drewniany zegar na gzymsie nad kominkiem.

- Minęło wpół do szóstej - powiedziała.

Kate uniosła się na łokciu, spuściła nogi z łóżka i powoli

wyciągnęła pokrzywione ręce. - No, skoro przyszłaś, rozbierz się i siadaj - rzekła.

- Nie mogę zostać długo, Kate. Wkrótce się ściemni.

- Zaczęła wyjmować jedzenie z koszyka i spytała bez ogródek: - O której Roddy miał wrócić?

- Nie powiedział. - Ton głosu Kate zmusił Mary Ellen do przyjrzenia się jej baczniej. Podeszła do łóżka i usiadła przy Kate. - Co się stało, Kate? Czy coś niedobrego? - spytała, ująwszy jej rękę.

- Można tak powiedzieć, dziewczyno, coś niedobrego.

- Martwisz się, że stąd wyjedzie, jeżeli jego rysunki się spodobają?

- Tak, troszeczkę, ale... nie tak bardzo. To nie o niego się martwię, martwię się o ciebie.

- O mnie? - Mary Ellen porwała się na nogi i popatrzyła w dół na pomarszczoną postać swojej ukochanej i bardzo bliskiej przyjaciółki. - Martwisz się o mnie? - powtórzyła.

- Dlaczego, Kate? Nigdy nie było mi lepiej. Mam pracę na stałe, a moi państwo nie mogliby być dla mnie lepsi, nawet gdybym była ich własną córką.

- Tak, wiem - pokiwała głową Kate. - To nie o dzisiaj się martwię, martwię się o przyszłość, twoją przyszłość i o to, co ci siedzi w głowie. Znasz mnie dobrze. Wiesz, że zawsze byłam otwarta i szczerą, nie owijałam niczego w bawełnę, pozwól więc, że zapytam cię wprost - lubisz Lenniego?

- Lenniego? - Mary Ellen nastroszyła się. - Lenniego Davisona?

- Ilu Lenniech jest w tej wsi, na Boga? Znam tylko jednego.

- Tak, masz słuszość. Pewnie, że go lubię. Jest dla mnie... Wychowywaliśmy się razem.

- Nie mów mi - Kate zamknęła oczy i pomachała sobie ręką przed twarzą, jakby odpędzała natrętą muchę - że lubisz go jak brata. Wszyscy wiedzą, że on ciebie nie kocha jak siostry. - Przerwała i przełknęła ślinę, po czym otworzyła oczy i gwałtownie odwróciła głowę ku Mary Ellen. Patrząc jej prosto w twarz, dokończyła: - Jak Roddy.

Patrzyła na tę kochaną, dobrą dziewczynę z widocznym w oczach bólem. Opadła powoli na łóżko. Widziała, jak Mary

Ellen mocno ściska ręce, wkładając je między kolana i przyglądając się im. - On... on nie myśli o mnie jak o siostrze, Kate - wybąkała.

- Tak myśli.

- Co się stało, że mi o tym mówisz?

- Bo to powiedział, w niewybrednych słowach. Wiele powiedział.

Mary Ellen podniosła się z łóżka Kate i powoli podeszła do stołu. Najpierw wyłożyła mięso z koszyka, potem postawiła dwie filiżanki z porcelany i deskę do krojenia chleba, a także talerz do sera. Przystawiała te rzeczy, jakby chciała je do siebie dopasować. Wreszcie nieledwie szeptem spytała: - Dlaczego mi o tym powiedziałaś?

- Dlatego, że powinnaś wiedzieć. Dowiedziałabyś się wcześniej czy później. Wpadła mu w oko inna dziewczyna.

Mary Ellen drgnęła i krzyknęła zduszonym głosem, podobnym do skowytu:

- Nie!

- Tak, dziecko.

- Tak powiedział?

- Przed wczorajszym wyjazdem. Przemówiliśmy się po raz pierwszy w życiu, naprawdę się przemówiliśmy.

Ogień przygasał. Mary Ellen wzięła trochę torfu z wiklinowego koszyka stojącego obok otwartego paleniska i wtknęła go pomiędzy gasnące płomienie. Zrobiła to błyskawicznie, jak ktoś, kto robił to wielokrotnie dzień po dniu. Następnie chwyciła dwie szczapy drewna, uklękła i wcisnęła po jednej z obu stron ognia. Otrzeпаła ręce, uniosła się z klęczek i, zbliżywszy się do stołu, zapytała. - Kim ona jest? Znam ją?

- Nie. Ja też jej nie znam. On także jej nie zna.

- Co? - głos Mary Ellen zabrzmiał ostro i donośnie.

- To ktoś, kogo zaledwie widział. Jeśli tak się sprawy mają, powtarzam sobie: to wkrótce minie. W Bogu pokładam nadzieję, że minie. Chyba robię słusznie, że cię ostrzegam, bo gdyby to wyszło od niego i zaskoczyłoby cię, byłoby jeszcze gorzej. Lepiej się przygotuj, zwłaszcza jeśli czujesz coś do niego. Od dnia, kiedy po raz pierwszy go zobaczyłaś, jest dla ciebie całym światem.

Mary Ellen czuła w gardle kulę wielkości jabłka, ale oczy miała suche. Wzięła chustę i nakładając ją podeszła do łóżka. Mrugając gwałtownie powiekami, zapytała: - Wydobrejiesz, prawda, Kate?

Ręce Kate wyciągnęły się do niej i uściśniły mocno jej dłoń. - Jest takie stare powiedzenie, że w morzu pływa więcej ryb niż ta jedna, która wymknęła się z sieci. Ale to zawsze o tej jednej się myśli, nie o pozostałych, przynajmniej przez pewien czas, póki nie nadejdzie dzień, kiedy znów wyciągasz sieć i widzisz w niej inną rybę. Czekając na ten dzień, wiele się uczysz. Uczysz się, że nie mogłaś złapać tej pierwszej ryby, bo nie miałaś doświadczenia.

- Ja - głos Mary Ellen się łamał - nie potrzebuję doświadczenia, Kate. Wiesz, że nie. Od kiedy byłam mała, wiedziałam, że jest mi pisany. I on też to wiedział, na pewno.

- Niestety, dziecko, nie. - Kate sękatymi rękami potrząsnęła dłońmi dziewczyny. - Musisz się z tym pogodzić. Nie wiedział. Byłaś zbyt blisko. Gdybyś była nieuchwytna, jak istota zesłana z nieba, byłoby inaczej. Ale byłaś za blisko, za blisko, żeby mógł cię dostrzec, głupiec jeden. Skończony głupiec!

Z oczu Mary Ellen popłynęły łzy. - Muszę... muszę już iść - wyjąkała. Czy wydobrejiesz, Kate?

- Pewnie że tak, dziecko. I ty także. Zobaczymy, co przyniesie nam przyszłość, ale z tobą w każdym razie wszystko będzie dobrze.

- Nigdy, Kate, nigdy. - Odwróciła się, nic nie widząc przez łzy, po omacku wzięła koszyk, wyszła i zamknęła cicho za sobą drzwi. Kiedy zesła w dół do łąki, zaczęła biec, potykając się. Dotarła do rozstaju dróg i wybrała tę, po której jeżdżono końmi. Cały czas biegła, aż znalazła się w miejscu, gdzie zbierała zwykle ziele wierzbowki i gdzie była mała, zaciszna polanka. Tam rzuciła się na ziemię i dała upust żalowi i bólowi. Płacząc, cały czas zadawała sobie pytanie, kim jest ta dziewczyna, która jej go odebrała? Bo przecież okazywał jej względy. Czy kiedykolwiek spojrział na jakąś dziewczynę w okolicy? Nie, nigdy, przynajmniej nic o tym nie wiedziała. Nigdy nie zawracał sobie żadną głowy. Mógł zatańczyć z tą czy inną na zabawie w stodole, ale z nią zawsze

tańczył większą część wieczoru. Dowodziło to, że ją wybrał i pokazywał wszystkim, że i ona mu sprzyja.

Ukryła twarz w trawie. Ziemia była wilgotna po dwóch dniach deszczu, ale Mary Ellen wiedziała tylko, że spotkało ją nieszczęście. Jak to znieść? Co robić? Co ma powiedzieć, kiedy się spotkają?

Wtem czyjaś ręka spoczęła na jej ramieniu. Krzyknęła i obróciła się na plecy, a rękami schwyciła się za gardło. Ujrzała nad sobą twarz Hala, na której malował się wyraz, jakiego nie widziała u niego nigdy przedtem. W tonie jego głosu także zadźwięczało coś, czego dotąd nigdy nie słyszała.

- Mary Ellen, co się stało? Czy ktoś zrobił ci krzywdę?
- Przykłęknął z boku, ujął ją za ręce, a ona uświadomiła sobie, że po raz pierwszy trzymają się za ręce, co było bardzo dziwne, znała go bowiem tak długo jak Roddy'ego.

Przez chwilę łapała tylko powietrze, po czym zdołała wykrztusić. - Przestraszyłeś mnie.

- Pewnie, ty też mnie przestraszyłaś. Co się stało? Co cię aż tak zmartwiło?

Spuściła głowę i potrząsnęła nią kilkakrotnie. - Nic, nic, zupełnie nic - szepnęła.

- Nie wmawiaj mi takich rzeczy. Jeśli beczysz jak dziecko, coś musiało się stać. Nie chcesz mi powiedzieć. Czy na pewno nikt ci nie zrobił krzywdy?

Znowu potrząsnęła głową. Wyrwała ręce z jego uścisku i wstała. Była trochę wyższa od Hala, ale przy jego tężyznie wydawało się, że są równi, a nawet że spogląda na nią nieco z góry.

- Dokąd idziesz? Do Kate czy z powrotem na farmę?
- spytał

- Na farmę.

- Wracasz od Kate?

- Tak.

- To tam musiało się coś wydarzyć! Czy Roddy wrócił?
Na dźwięk tego imienia odwróciła głowę.

- Nie - odparła.

Utkwił wzrok w ziemi, po czym rzekł spokojnie: - Powiedz, co cię aż tak zmartwiło? Znasz mnie, będę dotąd wścibiał nos, dopóki nie dotrę do sedna sprawy.

- Pewnie, że będziesz, jakżeby inaczej. - W tej chwili była już sobą, a on był Halem Roystanem, którego nie cierpiała. Jeszcze chwilę temu nie zachowywał się drwiąco ani szyderczo, lecz wykazywał troskę i wrażliwość, co było całkiem do niego niepodobne.

- Tak lepiej - powiedział i uśmiechnął się szeroko. - To bardziej podobne do Mary Ellen.

- Och, ty! - Był to jej ulubiony okrzyk, którego używała, kiedy nie mogła poradzić sobie z jego docinkami.

Szli obok siebie. - Nic mi nie jest. Znam drogę do domu - powiedziała Mary Ellen. - Pociągnęła nosem ostatni raz i wytarła policzki moką, zwiniętą w kulkę małą chusteczką. Hal sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął z niej czystą, złożoną we czworo chusteczkę i wręczył jej.

To, że nosił przy sobie czystą chusteczkę, było dla niej ogromnym zaskoczeniem. Przez chwilę patrzyła tylko na wyciągniętą rękę i to, co w niej trzymał. Bez słowa wzięła chusteczkę, wytarła sobie twarz, i zwracając ją Halowi, podziękowała słabym głosem.

Przeszli razem spory kawałek drogi, zanim Hal się odezwał: - Jak myślisz, czy coś wyniknie z wizyty jego lordowskiej mości u jego wysokich i wpływowych patronów w Newcastle?

Chwilę milczała, nim odparła: - Nie wiem, i... - pohamowała się przed dziecinnym stwierdzeniem: nic mnie to nie obchodzi. Lecz Hal wtrącił ze śmiechem, który nie był wesoły: - Nie mów tego, co chciałaś powiedzieć - że nic cię to nie obchodzi. Ach, więc dotarłem do powodu twoich łez. To nasz szlachetny przyjaciel, prawda?

- Och, ty! - Odwróciła się i stanęła, patrząc mu w twarz. - Mówisz tak o Roddym, jakbyś w głębi duszy go nie cierpiał. A przecież nie opuszczasz go ani na chwilę, jesteś jak jego cień. Wiem, jaki jesteś...

- Nie wiesz, jaki jestem. - Słowa te zabrzmiały twardo. - Nic o mnie nie wiesz. Słyszysz? Posłuchaj mnie choć przez chwilę, Mary Ellen Lee. Nie znasz mnie i, powtarzam, nie wiesz nic o mnie, co myślę, co robię, co chcę robić; niczego, niczego o mnie nie wiesz. Nigdy nie wiedziałaś. Jednego zawsze tylko chciałaś w życiu: osiąść Roddy'ego, jego umysł, jego duszę i jego ciało. Ale wybrałaś najgorszą drogę,

jaką mogłaś. Przyglądałem ci się. Przyglądałem ci się przez lata, jak własnymi rękami kopałaś sobie grób. Jak twój język trajkotał o nieistotnych, małych głupstewkach. Jak nie pozwalałaś mu na to, czego pragnął najbardziej - rozwijać się. Jak chodziłaś za nim, kiedy chciał, żeby dano mu spokój, jak mu dokuczałaś. Oto, co robiłaś! Tak jak powiedziałem, wykopałaś sobie grób, bo nie liczysz się dla niego. I o to właśnie był ten cały płacz, prawda?

Zacisnęła mocno zęby. Zazgrzytała, czego nie robiła nigdy przedtem, a kiedy wybuchnęła, na jej wargach pojawiła się piana: - Nienawidzę cię! Słyszysz, Halu Roystanie! Nienawidzę cię. Zawsze cię nienawidziłam i zawsze już tak będzie!

Przez twarz Hala przemknął wyraz, którego nie umiałyby nazwać. Ton jego głosu też zabrzmiał inaczej. - Dobrze o tym wiem - odparł. - Nie nowina to dla mnie. Ale teraz chcę ci coś powiedzieć - żal mi ciebie, gdy pomyślę, przez co musisz przejść, bo znam to wszystko dobrze.

Po tych słowach, które wprawiły ją w osłupienie, odwrócił się na pięcie i odszedł. Podążał cicho, z opuszczonymi ramionami, lekko pochylony do przodu, jakby miał zamiar puścić się pędem. Patrzyła w ślad za nim, dopóki nie zniknął na zakręcie. Potem odwróciła się i podążyła w swoją stronę. Ogarniały ją tak mieszane uczucia, że nie wiedziała, jak je nazwać. Cóż, coś w końcu wyszło na jaw. Ona powiedziała mu, co do niego czuje, i okazało się, że to nie jest dla niego niespodzianka. I coś usłyszała w zamian? Że wiedział, co ona przeżywa, bo sam już tego doświadczył.

4

Kiedy kolejny raz Mary Ellen wybrała się do chaty Kate, ujrzała Roddy'ego, który właśnie wychodził. Spotkali się przy furcie - przytrzymał ją otwartą.

- Witaj! - odezwał się pierwszy. Patrząc w górę, na jego twarz, odpowiedziała mu tym samym. Na twarzy Roddy'ego malowało się napięcie, zmusiła się więc, by nie dać nic po sobie poznać.

- Jak ci poszło? - spytała.

- Och, to było dziwne przeżycie, nic z tych rzeczy, których się spodziewałem. Tak czy inaczej, wynik będę znał nie wcześniej niż za miesiąc.

- Podobały się im twoje prace?

- Tego nie będę wiedział, dopóki nie dokonają wyboru. Jest nas trzech kandydatów, jeśli dobrze zrozumiałem.

- Jest was trzech! - powtórzyła. - A do czego?

- Temu, którego rysunki i możliwości uznają za coś warte, zaoferują dwa lata studiów nad sztuką. - Zawahał się przy tym słowie, nie brzmiało ono właściwie, było zbyt wykwintne jak na jego rysunki. Wyjaśnił je więc, dodając: - Chodzi nie tylko o studia nad rysunkiem technicznym, lecz nad wszystkimi - krajobrazami, portretami i martwą naturą. Choć nigdy dotąd się tym nie zajmowałem, jeśli zechcę skorzystać z tej oferty, będę się musiał tego uczyć.

- A jaka to oferta?

- Mówiłem już, dwa lata studiów. Płacą za mieszkanie i wyżywienie, zarówno w Newcastle, jak i - znów podniosł do góry brodę - w Londynie.

- W Londynie? - spojrzała pytająco. - Masz na myśli Londyn, gdzie jest król?

- Tak, ten Londyn.

- I ty tam pojedziesz?

Patrzył w drugą stronę, na wzgórze, po czym odwrócił jeszcze raz głowę i odparł, tym razem otwarcie:

- A jakże, pojedę.

- Czy nie będzie ci żal wyjechać? - głos Mary Ellen drżał, kiedy zadawała pytanie.

Znowu jego wzrok błąkał się ponad wzgórzami.

- Tylko w pewnym sensie - powiedział beznamiętnym głosem.

- Tylko w pewnym sensie - powtórzyła zjadliwie. Znajoma nuta kazała mu przybrać obronny ton.

- Tak myślę. Będzie mi brakowało Kate. Ale już na pewno nie będę tęsknił za hutą ani za wielu innymi rzeczami...

- Na przykład za mną, jak się domyślam. To chciałeś powiedzieć?

- Nie pleć głupstw.

- Nie plotę głupstw, ale też nie jestem głucha ani ślepa. Masz inną, prawda? - Zobaczyła, że rumieniec oblewa mu twarz. Ale to, co po chwili powiedział, było niczym pchnięcie nożem. - Nigdy nikogo przed nią nie miałem. Wbij to sobie wreszcie do głowy, Mary Ellen. Bardzo cię lubię, to prawda. Zawsze cię lubiłem i nigdy nie przestanę, ale nigdy jak... jako... Pozwól, że to powiem prosto z mostu: nigdy cię nie uważałem za swoją dziewczynę. Czy to rozumiesz?

Rozumiała, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Jego słowa zraniły ją boleśnie. Utkwiła w nim spojrzenie i myślała, że jest okrutny. Tak właśnie - okrutny. Nie musiał wcale mówić tego w taki sposób.

Roddy znów się odezwał, tym razem łagodniej: - Zawsze obnażasz gorszą stronę ludzi, zmuszasz ich, by mówili rzeczy, których wcale nie mieli zamiaru powiedzieć. To ten twój język. Eech! - Przerwał i zwiesił głowę. - Nie patrz tak na mnie, Mary Ellen, proszę cię. Nie ma nikogo, kogo lubiłbym bardziej niż ciebie, tylko że o tobie myślę jak o rodzonej siostrze, ale to nie jest ten rodzaj uczucia, które się żywi do kogoś, kogo się chce poślubić.

Zrozumiała aż za dobrze. Popatrzyli sobie bez słów prosto w oczy, a gdy dziewczyna odwróciła się i powoli poszła w stronę domku, Roddy zwinął dłoń w kułak i zanim ruszył w swoją stronę uderzył, się nim mocno w czoło.

Kiedy Mary Ellen weszła do chaty, Kate powitała ją słowami: - Widziałam, jak rozmawialiście. Sądząc po waszych minach, nie była to miła rozmowa. Co mówił?

Zanim odpowiedziała, postawiła koszyk na podłodze i usiadła na drewnianym stołku. Głos miała spokojny. - Powiedział mi o tym bez ogródek.

- Co ci powiedział?

- Co o mnie myśli.

- Ach tak. I nie opowiedział ci o tamtej?

- Nie. - Mary Ellen spojrzała na starą kobietę. - Kim ona jest?

- Wiedząc, kim ona jest, myślę, że źle się stało, że zmusiłaś go do mówienia wprost, bo nie widzę żadnej przyszołości dla ich związku. Wiesz, kim ona jest?

Mary Ellen pokręciła głową.

- Jedyłą córką Dana Bannamana. Jest od Roddy'ego starsza o trzy czy cztery lata, a może więcej, z tego co pamiętam. Dan Bannaman skłonny jest tak samo pozwolić na to, by imię jego córki wiązano z Roddym Greenbankiem - wskazała ręką za okno - jak skłonny byłby, gdyby chodziło o samego diabła. Wiem już teraz dość dużo. Myślałam o tym całymi latami, że cokolwiek się stało tej nocy, kiedy ojciec Roddy'ego zginął na dnie kamieniołomu, maczał w tym palce ten człowiek. Zjawił się tu wkrótce potem, z twarzą gładko ogoloną, choć przedtem przez całe lata nosił brodę. I widziałam jego minę, kiedy zobaczył, że chłopak leżący tutaj - pokazała palcem łóżko - nie rozpoznał go. Potem pewnego dnia przyszedł ty i powiedziałaś, że jego totumfacki kręci się tu w pobliżu i czegoś szuka. Cokolwiek to było, nie znalazł tego, ponieważ co rusz pojawiali się znowu. Przestali dopiero parę lat temu. Może wreszcie znaleźli. Nie wiem. Ale powiadam, Roddy ma takie same szanse jak czort z piekła rodem. Może zresztą diabeł miałby większe. Tak więc szkoda, że pewne słowa zostały wypowiedziane, bo ten związek i tak umarłby śmiercią naturalną. Miałabyś wtedy sposobność użyć swych sztuczek i popracować nad nim, zamiast tak nierozważnie postugiwać się swoim językiem.

- Nic by z tego nie wyszło, Kate. On mnie nie kocha i nigdy nie pokocha, wyczytałam to z jego twarzy.

- Bzdura! Mężczyźni się zmieniają. Jak pory roku, tak się zmieniają, nawet najlepsi z nich. O właśnie, spotkałaś może Hala?

Zawahała się. - Dzisiaj nie - odparła.

- Kiedy ostatnio go widziałaś?

- Wczoraj wieczorem.

- Nie było go tutaj, i to chyba pierwsza niedziela, kiedy się nie pokazał. Zaniepokoiło to nawet jego dostojność, bo poszedł go poszukać. Chociaż traktuje go szorstko, kłóci się z nim, bardzo się zmartwił, bo Hala nie było w pracy.

Podeszła do kominka i pogrzebaczem rozgarnęła palące się drewno, aż ogień buchnął wysoko. - Ciekawe jak Hal to przyjmie, że Roddy wyjeżdża na dobre, bo to właśnie ma zamiar zrobić, wiesz już chyba. - Tak czy inaczej, opuszcza

nas i musimy temu stawić czoło. Dla mnie to tak, jakbym drugi raz traciła ukochanego syna. Ty tracisz mężczyznę, którego kochałaś przez całe życie. Dlatego jest mi tak przykro, dziewczyno. A kogo traci Hal? Nikt nie ma pojęcia, co czuje ten chłopak, i wątpię, czy ktoś kiedyś będzie to wiedział. Ma w sobie więcej siły niż my troje razem wzięci. Szkoda, że nie może zrobić z niej użytku, bo serce ma dobre. Tak, dobre ma serce. - Pokiwała głową i znów zajęła się ogniem.

- Szkoda, że nigdy nie zdołasz tego dostrzec - dodała cicho.

*

Roddy był już spóźniony w drodze do Hexham. Uciekła mu furmanka, ale Bob Allen, kowal, podwiózł jego i Hala. Ostatniej niedzieli nie odnalazł przyjaciela. Spotkał się z nim dopiero w poniedziałek na porannej zmianie. Kiedy Hal nie wyjaśnił swojej nieobecności w niedzielę u Kate, postanowił go o nic nie pytać. Może zdobędzie wreszcie trochę swobody i będzie się mógł ruszyć bez Hala deptającego mu ciągle po piętach. Jakaś część Roddy'ego odczuwała jednak rozgoryczenie, że Hal nie uznał za stosowne podać żadnego usprawiedliwienia. Przez te wszystkie lata rozumiało się samo przez się, że wszystkie niedziele spędzają razem.

Dziś, kiedy zeszli już ze swej zmiany, nie mógł się powstrzymać, żeby nie spytać: - Idziemy dziś do miasta? - Hal odparł bez cienia entuzjazmu: - Wszystko jedno. - To znów wprawiło Roddy'ego w przykry nastrój.

Kiedy już Bobby Allen dowiózł ich do rynku i umówili się na powrotną drogę, Roddy oświadczył Halowi w najbezcześniejszy sposób: - Zobaczymy się za pół godziny, może trochę później. Spotkamy się tutaj - wskazał na stragan z owocami. Osłupiał, gdy Hal odparł: - Mogę nie zdążyć wrócić tu za pół godziny.

- Jeśli cię nie będzie, zaczekam. To jak?

- Dobrze.

Roddy odwrócił się i poszedł w swoją stronę. Przemierzył rynek i wszedł do przejścia mieszczącego się w wysokim murze naprzeciwko opactwa. Po drugiej stronie muru ruszył biegiem przed siebie, póki nie dotarł do żelaznej bramy i nie zajął swego miejsca na posterunku po przeciwnej stronie wąskiej drogi. Pod osłoną krzewów czekał.

Wyglądało na to, że jego wybranka ma zwyczaj stale odwiedzać kogoś w domu za żelazną bramą, skąd wychodziła zwykle o wpół do piątej. To, że była córką Bannamana, nie wydawało mu się już przeszkodą. Wiedział, co powinien zrobić - opowiedzieć jej o swoich planach na przyszłość i poprosić, by poczekała. Ani przez chwilę nie zastanawiał się nad jej uczuciami do niego. Sądził, że jeśli on kocha ją miłością, jakiej na świecie nigdy nie było, uczucie to nie może pozostać nie odwzajemnione.

Kiedy zegar na wieży opactwa wybił piątą, pomyślał, że pewnie się spóźnił i powiedział sobie z goryczą, że nie wie, jak zdoła przeżyć ten tydzień bez widoku jej twarzy. Nie mógł pozbyć się myśli o tej dziewczynie, jakby zadziały jakieś tajemnicze zioła Kate. Właściwie to już nie była dziewczyna, lecz piękna, pociągająca kobieta, która uśmiechnęła się do niego i oczami tyle mu zdążyła powiedzieć...

Serce prawie wrywało mu się z piersi, kiedy brama się otworzyła i pojawiła się w niej ona. Podskoczył jak wystrzelony z procy i bez wątpienia ją wystraszył, bo wyglądała na zalęknioną.

- Panie Greenbank, proszę - i wysunęła ramię z jego uścisku.

- Och, tak mi przykro, proszę pani. Ja... ja już myślałem, że pani nie zobacze. To radość na pani widok zmusiła mnie do takiego pośpiechu. - Dziewczyna ruszyła przed siebie. Zmierzała w stronę rynku, a Roddy dotrzymywał jej cały czas kroku, nie przestając mówić: - Musiałem panią ujrzeć. Czy pani rozumie? Jak pani na imię? Nieustannie nadaję pani nowe imiona.

Zatrzymała się na chwilę i bez uśmiechu w oczach ani też ciepła w głosie odezwała się: - Moje imię nie ma znaczenia. I nie rozumiem, czego pan ode mnie chce. Pozwoliłam panu rozmawiać ze sobą dwukrotnie i myślę teraz, że pan to wykorzystuje, panie Greenbank.

Roddy kompletnie osłupiał. Nadal jednak nalegał. - Wykorzystuję? - powtórzył. - Myślałem, że interesuje panią to, iż udaję się do Newcastle zaprezentować swoje prace kilku dżentelmenom. Ja... po prostu chciałem powiadomić panią o wyniku, i o wszystkim, co się wydarzyło.

- Dobrze mi wiadomo, co się wydarzyło, panie Greenbank. Tak się składa, że mój ojciec zna pana Mulcastera z huty.

Jest pan, jak mi wiadomo, robotnikiem z huty, hutnikiem, któremu dana być może sposobność rozwijania talentu do rysunku. Mój ojciec...

Przechodzili właśnie przez bramę prowadzącą na rynek, kiedy zatrzymał ją ponownie, chwytając za ramię. Zmusił ją, by spojrzała mu prosto w oczy. - To nie jest pani, to nie ta sama osoba, która mówiła do mnie przedtem. To pani ojciec, prawda? To on zabronił pani ze mną rozmawiać. „Nie zadawaj się z nędznym robotnikiem”, to właśnie powiedział, prawda? Ale proszę pozwolić mi oświadczyć, że nie pozostanę na zawsze hutnikiem... Wykluczone!

- Proszę puścić moje ramię.

- Puszczę, kiedy będę chciał. Teraz musi mnie pani wysłuchać. Słyszysz pani? Proszę mi powiedzieć - w głosie Roddy'ego pojawiła się błagalna nuta - jak ma pani na imię?

- Mary! - Padło głośno i wyraźnie, lecz nie z jej ust. Roddy odwrócił się i ujrzał Bannamana, który stał w cieniu bramy. Na jego twarzy malowała się ponura wściekłość. Wysyczał złowieszczo przez zaciśnięte zęby: - Jak śmiesz dotykać łapami moją córkę! Jeśli jeszcze raz ją tkniesz, jeśli zbliżysz się choćby na milę, dopilnuję, żeby cię żywcem obdarto ze skóry. - Słowa te, choć wycedzone ze złością, zostały wypowiedziane dość cicho, żeby nie usłyszał ich jakiś przypadkowy przechodzień. Wywołały one tak silną wściekłość Roddyego, że dosłownie odebrało mu mowę. Zbudziły także dziwne uczucie, którego doświadczał zawsze, ilekroć usiłował wydobyć z pamięci fakty ze swego dzieciństwa. Utkwił wzrok w oczach tego człowieka i poczuł zawrót głowy. W pierwszej chwili nie zdawał sobie sprawy, że Bannaman oddala się, uprowadzając ze sobą córkę. Dopiero gdy wyszli już z bramy, doszedł do siebie i doskoczył do nich. - Będę ją widywać, kiedy zechcę. Nie uda się panu zastraszyć ani mnie, ani jej - krzyczał.

- Nie bądź głupcem! - Spojrzał w bok i zobaczył tuż obok Hala, który spoglądał na niego ponuro. - A więc to taki klops. Musisz się z tego wydostać - ciągnął dalej. Nie dość, że jest córką Bannamana, to jeszcze - o ile wszystkie opowieści są prawdziwe - ma większy przerób niż kruszarka rudy. Dlatego w zeszłym roku zerwane zostały jej zaręczyny z Jimmym

Leaderem z Newcastle? Bo nakryto ją w stajni z jednym z jej towarzyszy konnej jazdy. Wszyscy o tym wiedzieli i ty, głupcze, też byś słyszał, gdybyś nie chodził z głową wysoko w chmurach...

Nie dokończył, ponieważ pięść Roddy'ego ugodziła go między oczy. Zatoczył się na mur. Został tam przez chwilę, potrząsając głową, po czym rzucił się na swego jedynego przyjaciela.

Natychmiast zebrał się wokół nich mały tłumek. - To nie do wiary - odezwał się jeden z mężczyzn. - Znam tych dwóch, są dla siebie jak bracia.

- Musieli się spić - powiedział drugi. - To się często zdarza. Boże! Jeszcze nie mają dość.

Część tłumu rozproszyła się nagle, żeby przepuścić konia zaprzęzonego do dwukółki. Dan Bannaman z wysokości siedzenia spoglądał w dół na kłębiące się sylwetki. Jego brodata twarz zadrzała. Zaciął konia batem tak wściekle, że ten stanął dęba zanim ruszył do przodu. Przez całą długą drogę do domu wyciskał z konia ostatnie poty.

Kiedy zajechali na podwórze farmy, rzucił cugle córce. Zaraz udał się do chaty leśnika, wywołał go na zewnątrz, porozmawiał z nim i zakończył słowami: - Jeśli chcesz ocalić swoją i moją głowę, ruszaj się. Widziałem jego twarz. To może nastąpić w każdej chwili, niemal już się stało. Weź świeże konie. Tych dwóch może wracać osobno albo razem. Jeśli zaborą się wozem do Allendale, to będzie gdzieś koło ósmej. Ruszaj, człowieku! Nie tkwij tu jak przerażony królik. Boże! Pomyśleć tylko, do czego to doszło po tak długim czasie! I wszystko przez tę cholerną dziwkę. Wybatożę ją, jeśli przeżyję. Ostatnie słowa wymówił do siebie, gdyż Pat Feeler pobiegł już w kierunku stajni, jakby gonił go sam diabeł.

*

Na rozstaju dróg Roddy i Hal zsunęli się z wozu kowala, zataczając się przy tym i wpadając na siebie, co było pierwszym cielesnym kontaktem, od kiedy zajęli miejsca w furmance. Półmrok zgęstniał i przerodził się w ciemność, która ukryła fakt, że obaj mieli pokancerowane twarze - Hal miał podbite oko, a Roddy rozciętą dolną wargę, z której sączyła się krew.

Musieli iść tą samą drogą aż do kopalni, gdzie Roddy skręcał do chaty Kate, a Hal szedł dalej prosto do siebie.

Roddy kroczył pierwszy. Złość ciągle w nim wrzała, lecz teraz pomieszana z uczuciem upokorzenia. Już samo starcie z Bannamanem sponiewierało jego dumę. Jakby tego było mało, wdał się w bójkę z Halem jak pierwszy lepszy prostak. I to on pierwszy podniósł rękę. Ale miał słuszność.

Mówić o niej takie rzeczy! W każdej chwili byłby gotów znów rzucić się na Hala. Jedynie niechęć do powrotu do domu na piechotę zmusiła go do zajęcia miejsca na furmance, gdzie siedział już Hal.

Szli w całkowitym milczeniu.

To się zdarzyło, gdy dotarli już do miejsca, w którym ich drogi się rozchodziły. W pierwszej chwili każdy z nich pomyślał, że został zaatakowany przez towarzysza, kiedy kolejne ciosy spadły na nich z ciemności i powaliły obu na kolana. Trzecie uderzenie rozłożyło ich na ziemi, gdzie zostali, leżąc obok siebie, na plecach, z twarzami zwróconymi ku sobie.

*

- Wejdz do środka i usiądź, Kate.

- Nie wejdę nigdzie i nie usiądę. Co powiadacie? Nie wierzę ani jednemu słowu. - Kate trzymała uniesioną w górze latarnię i wpatrywała się w dwie usmolone twarze. Górnicy wymienili spojrzenia.

- To prawda, Kate - odezwał się jeden z nich. - Żałujemy, że musimy ci to powiedzieć, ale to prawda. Chodź. - Wyciągnął rękę i wziął od niej latarnię, podczas gdy drugi człowiek wprowadził ją z powrotem do chaty.

- Usiądź, Kate.

Pierwszy górnik postawił latarnię na stole i zaczął swą opowieść: - Wracaliśmy z szychty drogą, którą zawsze chodzimy, i prawie potknęliśmy się o nich. Pomyślałem, że to najpewniej jakiś zwalony pień leży w poprzek drogi, ale pochyliłem się i zobaczyłem, że to ludzie. Tak jak już mówiłem, Kate, jeden miał nóż między żebrami, a obaj wyglądali... No, nie był to przyjemny widok. Prawie zatłukli się na śmierć.

- On nie... on... Roddy nie...

- Nie wiemy, Kate. Hal Roystan miał nóż w żebrach, ale jeszcze oddychał. Nie wiemy, czy Roddy także.

- Gdzie... gdzie oni są teraz? - spytała drżącymi wargami.

- Tam, gdzie ich znaleźliśmy. Przykryliśmy ich tylko, ale to poważna sprawa, i dlatego jeden z naszych pobiegł do doktora, a drugi po pana Wardle, szeryfa. Pomyśleliśmy, że on będzie lepiej wiedział, co robić, bo obawiam się, Kate, że to sprawa dla sądu, nie mówiąc już o tym, że jeśli wyjmemy ten nóż w niewłaściwy sposób, może to przynieść więcej szkody niż pożytku.

- Zabierzcie mnie do nich - powiedziała Kate, podniósłszy się.

- Nie, Kate. Noc jest zimna, możesz przeziębic się i umrzeć.

- Spodziewam się, że i tak umrę, wszystko mi więc jedno jak. Po prostu zaprowadźcie mnie tam.

Mężczyźni znowu spojrzeli po sobie. - Owiń się dobrze, bo ta noc prędko się dla ciebie nie skończy - rzekł jeden z nich. Najpewniej zabiorą ich do doktora w hucie. Dokąd ich wezmą stamtąd, Bóg jeden raczy wiedzieć. Spotkałem się w życiu z różnymi dziwnymi rzeczami, ale ci dwaj byli jak bracia, bliżsi sobie niż wielu rodzonych i nagle jeden zabija drugiego. To coś tak niespodziewanego, że wszyscy jesteśmy poruszeni. Znamy ich od dziecka. Dobrzy robotnicy, obaj lubiani w hucie, twój bardzo szanowano. Wiemy wszyscy, że opiekowałaś się nim jak własnym synem.

Kate popatrzyła na nich półprzymrużonym wzrokiem i powtórzyła: - Tak, opiekowałam się nim jak synem. Bo tym właśnie dla mnie był.

5

Człowiek pochylony nad żelaznym łóżkiem powiedział: - Cztery dni minęły. Jeśli doczeka jutra, wydobreje, jeśli nie, odejdzie. - A jego towarzysz stojący po drugiej stronie łóżka dodał: - Odejdzie i tak, kiedy tylko wyzdrowieje na tyle, żeby

mogli go przewieźć do Newcastle czy do Durham. I raczej będzie to Durham, jeśli ten drugi wykituje.

- Ten drugi jest w lepszym stanie niż ten. Ma tylko ranę od noża i trochę zadrapań, ale musiał nieźle dołożyć temu chłopakowi, zanim dostał nożem między zębra. Tylko jak ten tutaj zdołał to zrobić w stanie, w jakim się znalazł, jeden Bóg wie. Oho, znowu jęczy to samo, co przedtem, woła swojego ojca. To zły znak. Umierający wzywają swoich rodziców. Ta stara kobieta cały czas czeka?

- Nie. Jakiś gość przyjechał godzinę temu chłopską furmanką i zabrał obie, starą i tę młodą dziewczynę. No cóż, czuję się zwolniony z posterunku, jest twój.

I człowiek wyszedł. Ten drugi wyciągnął krzesło spod stolika, a sprzęty te były jedynymi meblami w tym pomieszczeniu, nie licząc żelaznego łóżka. Usadowił się tak wygodnie, jak było to możliwe, położył nogi na stole i po półgodzinie już spał, chrapiąc głośno.

Koło północy Roddy znowu podjął walkę z ogarniającą go ciemnością, starając się wydostać na powierzchnię świadomości. Był z nim jego ojciec, trzymał go za rękę i opowiadał mu jakąś historię, ale Roddy nie wiedział co to za historia, bo ojciec to przychodził, to odchodził, tylko jego dłoń ścisnąca jego rączkę pozostawała i cały czas ciągnęła go do góry. Czuł, że jest mu smutno, bo miał rozstać się ze swoim tatusiem i wiedział, że jeżeli puści jego rękę, tato odejdzie od niego i popłynie daleko statkiem i nie wróci przez długi, długi czas. I była tam stara kobieta, szła za nim blisko, aż za blisko, i pchała go do góry, a on bardzo chciał iść w górę. I był tam brodaty człowiek o zimnym spojrzeniu. Człowiek ten trzymał go nad dużym dołem, a w dole tym leżał jakiś mężczyzna. Wtedy tatuś krzyknął i puścił jego rączkę. Złapała go inna ręka, nie była to ręka, to było coś innego, ale nie ręka. Krzyczał ze strachu, jaki wzbudziła w nim ta rzecz, która zaciskała mu usta, i krzyczał, ile miał tchu w płucach. Krzyk ten cały czas rozbrzmiewał mu w głowie. Krzyczał bez przerwy, kiedy zobaczył, że jego tatuś skacze w powietrze i leci jak ptak. Znowu spojrzął w oczy brodatego mężczyzny. Brodata twarz zaczęła ogromnieć, aż zrobiła się tak wielka, że zakryła wszystko, ciemną ziemię i wielką dziurę, gdzie,

zanim się to wszystko zdarzyło, podziwiali światło księżyca odbijającego się w wodzie.

Ale tatuś znów złapał jego rękę i pociągnął przez warstwy lepkiej i gęstniejącej ciemności. I kiedy wreszcie jego głowa z niej się wynurzyła, zobaczył tego mężczyznę znowu. Stał w bramie, a obok niego stała jakaś kobieta. Człowiek mówił coś do niego, groził mu. Roddy zacisnął dłonie w pięści i zaczął okładać nimi mężczyznę, raz sypał się za razem. W rzeczywistości jedynym ruchem, który wykonywał, było poruszanie palcami na kołdrze. Z jego ust wydobywał się głos, który docierał do jego świadomości. Wzywał swojego ojca: - Tato, tato! To on, tato! - Silniejszym głosem zawołał znowu: - Tato, tato! Poznaję go, i tego drugiego też. To on! To on! Nie odchodź, tato! Zostań ze mną. Mówię ci, że to on. To on!

- O mój Boże! - mężczyzna podniósł się z krzesła. - Czy tak będzie przez całą noc? - Zdjął nogi ze stołu i zbliżył się do łóżka, po czym pochylając się nad więźniem, zapytał: - Co się dzieje? - Mój tato. - Tak, chłopcze, wkrótce zobaczysz swojego tatę. Zapadła cisza. Mężczyzna na łóżku leżał spokojnie, a strażnik pochylał się nad nim i przyglądał się mu uważnie. Pomyślał, że to światło świecy wywołuje przywidzenia, wziął ją więc ze stołu i przytrzymał nad podopiecznym. Ranny patrzył nań wzrokiem człowieka przywróconego życiu i cichym szeptem zapytał: - Gdzie jestem?

- Leżysz w łóżku - głos strażnika brzmiał przyjaźnie.
- Dlaczego? - znów wydobył się szept.
- O, to długa historia. Jak się czujesz?
- Żle.
- No cóż, tak musi być.
- Gdzie jestem?
- W łóżku, chłopcze. Wypoczywaj. Chcesz się napić wody? - Roddy nie odpowiedział, ale mężczyzna podszedł do stołu, wziął dzbanek i nalał trochę wody do kubka. Zaniósł go do łóżka i delikatnie unosząc głowę więźnia, dał mu się napić. - No, no, to wygląda obiecująco, choć nie wiem, czy ci wyjdzie na dobre - powiedział. - Tak czy inaczej, nie wygląda na to, żebyś tym razem miał się rozstać z życiem.
- Pozwolił głowie Roddy'ego opaść na poduszkę i dodał:
- Idę teraz spać. Rano bez wątpienia będziesz czuł się lepiej.

Roddy leżał, wpatrując się w mężczyznę. Pomieszało mu się od tego wszystkiego w głowie. Był pewien, że zaledwie przed chwilą był ze swoim ojcem, zanim... zanim rzucono go w przepaść. O Boże! Boże! Tak, to właśnie się stało. Ojca rzucono w przepaść i jego także. I ten człowiek w grobie, człowiek, którego grzebali.

Bannaman. Tak, to był Bannaman i drugi niski człowieczek, który miał dłoń z jednym palcem i kciukiem. To był Feeler, Patrick Feeler, leśnik Bannamana. O Boże! Boże! Przypomniał sobie. Kate! Kate! Próbował wstać - musi powiedzieć Kate, a ona musi pójść szukać sprawiedliwości.

- No, no, uspokój się. Przed chwilą czułeś się dobrze. Zaśnij teraz.

- Chcę... chcę zobaczyć się z Kate.

- Kate? To ta stara kobieta, co zastępuje ci matkę?

- Tak, to ona.

- Przychodziła tu co dzień, od kiedy cię przynieśli. Pewnie przyjdzie też jutro. Teraz zaśnij, sen doda ci sił.

Roddy leżał, nie czując bólu, nieświadomy, że jego ciało poranione było od stóp do głów, nieświadomy sytuacji, w jakiej się znalazł; wiedział tylko to, że odzyskał pamięć i że przeszłość jawiła mu się teraz jaśniej niż teraźniejszość, i że to, co miał do wyjawienia, wywoła burzę w całej okolicy. Nie mógł pozwolić sobie na zaśnięcie - musiał wszystko dokładnie przemyśleć. Ledwie zdążył to sobie nakazać, świadomość opuściła go i z powrotem pogrążył się w sennych majakach.

Ze snu wyrwało go uczucie ostrego bólu. Zaczął krzyczeć, gdy lekarz przekręcał go na bok, żeby opatrzyć zadrapania i skaleczenia na plecach. Odzyskał świadomość na tyle, by zauważyć, że słońce stoi dość wysoko i że strażnik się zmienił, a także by zapytać lekarza o swoje obrażenia.

Próbował też powiedzieć lekarzowi, co leży mu na sercu, ale ten pokiwał tylko głową i rzekł łagodnie: - Tak, tak. Dobrze, wszystko opowiesz później w sądzie. - Wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze strażnikiem i wychodząc, popukał się w czoło. Ten człowiek z pewnością cierpi na pomieszanie zmysłów.

6

- Jesteś głupia, dziewczyno... i w dodatku niewdzięczna.

- Och, pani Davison, proszę tak nie mówić. Odpracuję później w nocy i wstanę godzinę wcześniej. Będę w mleczarni o czwartej rano.

- Nie chcę, żebyś była w mleczarni od czwartej. Czy myślisz, że możemy nakazać krowom, by zmieniły porę dawania mleka?

- Mogę zacząć od sprzątania.

- Będzie już wysprzątana.

- Muszę jechać, pani Davison. Przykro mi, naprawdę, ale muszę jechać i zobaczyć się z Roddym.

- W zeszłym tygodniu trzy razy byłeś w Hexham. A teraz wybierasz się do Newcastle. Pomijając wszystko inne, wiesz w ogóle, na co się narażasz, jadąc sama do Newcastle?

- Jadę za dnia, pani Davison.

- Czy w dzień, czy w nocy pełno tam jest hultajów. Sama byłam w Newcastle dwa razy w życiu i nigdy więcej się tam nie wybiorę. Oszukują na cenie, są gburowaci. Ale o czym w ogóle mówię? Chodzi o to, że marnujesz czas, dziewczyno.

- Och, psze pani, skądże znowu. Jestem wdzięczna za wszystko, co pani dla mnie zrobiła. Ale on nie ma tam nikogo, a Kate nie zdoła tam dotrzeć, to za daleko. Dała radę dostać się do Hexham, ale nigdy nie będzie jej stać na dyliżans do Newcastle. Umiera z niepokoju, co się z nim stanie, co mu zrobią.

- Wszyscy wiedzą dobrze, co z nim zrobią. Zachciało mu się gwiazdki z nieba. Powinien zadowolnić się pracą w hucie, ale nie, musiał zabrać się za zabawę, za rysowanie. Wreszcie popił i pobił się z Halem.

Mary Ellen stanęła okoniem: - Roddy nie pije - powiedziała dobitnie i ciągnęła dalej coraz głośniejsze. - Napije się czasem trochę piwa, ale nigdy się nie upija. I wiem, o co pobił się z Halem w Hexham, bo Hal mi powiedział, kiedy go ostatni raz widziałam. Przysięga, że nie bili się na wzgórzach, mówi, że ich napadnięto. Tam na wzgórzach przepraszał Roddy'ego za to, co mu powiedział, bo przez to coś zaczęła się bójka.

- A co to było?
- To nie moja sprawa, pani Davison. Nie mogę powiedzieć.
- Martwi mnie, że tak bardzo przejmujesz się Rodney'em Greenbankiem, podczas gdy nasz Lennie świata poza tobą nie widzi. Dlaczego go nie lubisz?

- Ależ lubię, pani Davison, bardzo lubię. Myślę o nim jak najlepiej. Jest miły i dobry, ale...

- Właśnie... ale. Nie lubisz go tak jak trzeba i to mnie zasmuca, dziewczyno, bo nigdy nie dostanie ci się w życiu nic lepszego. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Choć przygarneiliśmy cię do rodziny i traktujemy jak własną córkę, jesteś ciągle tylko służącą. A mój wnuk zabiega o twoje względy od dnia, kiedy się zjawiłaś na farmie. Nawet jeszcze wcześniej wpadłaś mu w oko. Powiadam ci, nie mogłaś lepiej trafić, bo to przyzwoity chłopak. Nie pije, chyba że w święta i na zabawach w stodole. Jesteś głupia. Po prostu głupia.

- Tak, pani Davison. Wiem o tym i to mnie boli.

- Och, wynoś się już. Zabieraj się sprzed moich oczu.

Mary Ellen odwróciła się i wzięła koszyk, w który jej poczciwa, choć burkliwa pani zapakowała różne smakołyki. Wyszła z kuchni i ze zwieszoną głową szła przez podwórze. Chyba nie powinna była mówić, że jest głupia, dlatego że nie chce Lenniego. Przecież byłoby niegodziwością wyjść za niego za mąż bez miłości. Wyglądało na to, że połowa walki o przetrwanie polega na mówieniu rzeczy, których się nie myśli, jedynie dla świętego spokoju.

Dotarła do Haydon Bridge jedynie po to, by zobaczyć dyliżans znikający w tumanach kurzu. Stała nieruchomo, patrząc na opadający kurz, gdy wtem usłyszała pośpieszny stukot końskich podków. Odwróciła się i ujrzała jadącą na targ furmankę wyładowaną warzywami. Na siedzeniu z przodu jechał jakiś mężczyzna z kobietą.

Kiedy ją mijali, zawołała: - Czy jedziecie do Hexham?

- Mężczyzna, ściągając lejce i zatrzymując konia, odparł:

- Tak, tam właśnie się wybieramy.

- Czy będziecie tak dobrzy i podwieziecie mnie?

Mężczyzna popatrzył pytająco na żonę, która przysunęła się bliżej niego. - Nie jest ciebie tak dużo, zmieścisz się. Wsiadaj - powiedziała z uśmiechem.

Mary Ellen podziękowała, po czym wdrapała się na wóz i skuliła na brzeżku siedzenia. Wypytywali, dokąd się wybierają ubrana w najlepszą niedzielą suknię, a ona odpowiedziała, że do Newcastle. Nie musiała tłumaczyć się z celu swojej wyprawy, bo kobieta okazała się bardzo rozmowna. Urodziła się w Newcastle, znała tam każdą ulicę, przez całą drogę opowiadała o mieście. Dopiero kiedy Mary Ellen zsiadała z wozu na targu w Hexham, kobiecie przyszło do głowy zapytać ją o miejsce, które ma zamiar odwiedzić. Mary Ellen odpowiedziała bez namysłu: - Szpital więzienny.

Mężczyzna i kobieta spojrzeli po sobie i zaniemówili.

Dyżurni byli już prawie gotowi do wyruszenia na ostatni odcinek trasy do Newcastle, a woźnica wspinał się na siedzenie, kiedy Mary Ellen spytała, czy może wsiąść. - W środku jest już pełno, panienko, siedzi tam sześciu pasażerów - odpowiedział woźnica. - Ale może się panienka wcisnąć, jeśli taka wola. Kosztować będzie sześć pensów, jako że panienka szczuplutka.

Popatrzyła do góry, na ostatnie siedzenie, z którego spoglądało na nią z uśmiechem dwóch młodych mężczyzn. Nie wyglądali na ludzi pracujących, ale też nie na dżentelmenów. Kiedy się wahała, woźnica ponaglił: - Decyduj się, dziewczyno, musimy jechać.

Zdecydowała się. Czyjeś ręce wzięły koszyk, który uniosła nad głowę, po czym z głośnym: - Hop! Prosimy, milady! - młodzi ludzie wciągnęli ją na twarde siedzenie i posadzili między siebie.

Przez całe życie obcowała z mężczyznami: z Roddy'm i z Halem, najpierw jako dziecko, potem jako dziewczyna i teraz jako młoda kobieta; wdawała się w rozmowy z górnikami i robotnikami z huty; lecz nigdy, wyjąwszy ojca, który brał ją na ręce, gdy była mała, nie doświadczyła cielesnej bliskości z żadnym przedstawicielem płci odmiennej. Jeżeli Roddy dotykał jej ręki, to tylko po to, żeby pomóc jej gdzieś się wdrapać czy przeskoczyć kałużę. Teraz zaś siedziała ściśnięta pomiędzy mężczyznami i wyglądało na to, że specjalnie przysuwają się do niej, żeby nie mogła się ruszać. Obaj oparli ręce na jej ramionach. Kiedy zadrżała, czując na sobie ich dotyk, mężczyzna siedzący po lewej

stronie spytał: - Zimno ci, maleńka? - Miał pociągłą szczupłą twarz i duże usta, w których błyskały bardzo białe zęby,

- Nie! Nie jest mi zimno, proszę pana - wykrzyknęła, starając się, by zabrzmiało to stanowczo.

Ale kiedy ręka tego człowieka ścisnęła jej pierś, zareagowała odruchowo: sięgnęła ręką do kapelusza, wyciągnęła szpilkę i wbiła ją mocno w nogę dżentelmena.

Wrzask, który z siebie wydał, omal nie wysadził z miejsca wszystkich trojga. Dyliżans się zatrzymał, woźnica zajrzał do środka i gniewnie krzyknął: - Co się tam dzieje, u licha!

- Zaczął mnie obmacywać, ukłułam go więc szpilką od kapelusza - odpowiedziała.

Woźnica spoglądał to na jednego, to na drugiego i zawołał: - Gdyby nie strata czasu, przyszedłbym do panienki i jeszcze mu dołożył. No, wy dwaj! Jeśli jeszcze spróbujecie, to wyrzucę was na środku drogi, dżentelmeni czy nie dżentelmeni. Dżentelmeni się tak nie zachowują. Który to zrobił? - zawołał.

- To tylko dla zabawy - powiedział winowajca z ponurą miną.

- Wszyscy płacimy za swoje przyjemności. I pan zapłacił za swoją. Panienko, przesiądź się obok tego drugiego gościa. No, prędko. W razie czego będziesz się musiała bronić tylko przed jednym.

Mary Ellen wstała, drugi mężczyzna zrobił jej miejsce. Usiadła na krawędzi, przytulając się do żelaznej poręczy. Ledwo zdążyła się usadowić, woźnica zawołał: - Wio! - i pojechali dalej.

Przejechali parę mil, nie odzywając się. Mężczyzna siedzący obok niej odezwał się pierwszy: - Bardzo mi przykro. Chciałbym panią przeprosić. To było bardzo niewłaściwe z naszej strony.

Utkwiła wzrok w przestrzeń. To nie on powinien przeproszać, nie jego ręka posunęła się za daleko.

Mężczyzna mówił dalej: - Mój przyjaciel nie chciał pani urazić. Jesteśmy... jesteśmy bardzo podekscytowani: jedziemy do Newcastle, by objąć nowe posady. Widzi pani, jesteśmy początkującymi lekarzami.

Odwróciła się i popatrzyła na swojego rozmówcę. Miał miłą, sympatyczną twarz. - A mnie nie jest przykro, że to zrobiłam - rzekła.

- Ani przez chwilę nie sądziłem, że jest pani przykro - uśmiechnął się kwaśno - ale myślę, że koledze jest przykro i że pierwszym pacjentem, kiedy już dojedziemy na miejsce, będzie on sam.

- Czy jedzie pani na służbę? - zapytał po krótkiej przerwie.

Nie odpowiedziała, lecz utkwiała w nim wzrok. Czy jedzie na służbę? A więc wygląda jak młoda dziewczyna jadąca objąć posadę służącej. Mimo, że ma na sobie najlepsze ubranie... Zawsze uważała je za eleganckie, skrojone lepiej niż ubrania innych dziewcząt, ponieważ z wyjątkiem płaszczy szyła wszystko sama. Rozmówca najwyraźniej oczekiwał odpowiedzi, więc odparła potrząsnawszy głową: - Nie chodzi o posadę. Pracuję u rodziny na farmie. Jadę odwiedzić przyjaciela... Jest chory.

- Leży w szpitalu?

- Coś w tym rodzaju - potwierdziła z głębokim westchnieniem.

- Coś w tym rodzaju? - pochylił się lekko w jej stronę i zajął jej w twarz.

- W szpitalu więziennym.

- Dobry Boże!... Jakże mi przykro! Co takiego zrobił?

- Powiedzieli, że ugodził nożem przyjaciela, ale to nieprawda. Jestem pewna, że to pomyłka. Nigdy nie próbowałby nikogo zabić nożem. I lubił Hala, to znaczy tego przyjaciela. Darzył go szczerym przywiązaniem. - Nie wiedziała, dlaczego to wszystko mówi. Przed chwilą była na nich obu wściekła, a teraz opowiada jednemu z nich o swych osobistych sprawach. Ale ten, z którym rozmawiała, nie był podobny do swego towarzysza, który siedział jak gradowa chmura.

- Czy zna pani Newcastle?

- Nigdy tam przedtem nie byłam.

Wtem dyliżans podskoczył na wybojach i Mary Ellen straciła równowagę. Mężczyzna podtrzymał ją ramieniem.

- Jak spodziewa się pani znaleźć ten szpital?

- Myślałam, że wystarczy zapytać o drogę.

- Jest pani zbyt ładna, żeby pytać na ulicy o drogę. Ale szczęśliwie się składa, że dobrze znam to miasto i pokażę, jak trzeba tam iść.

- Dziękuję panu. - Kiedy dylizans dojechał do Newcastle, dowiedziała się, że obaj młodzi ludzie odbywali praktyki w szpitalu więziennym w Newcastle, a także przez rok praktykowali w Edynburgu. Obecnie mogli samodzielnie wykonywać zawód lekarza, ale, co wydało jej się bardzo dziwne, byli ludźmi bardzo biednymi.

Kiedy towarzysz podróży podał jej koszyk i pomógł wsiąść z dylizansu, nawet mu nie podziękowała. Odebrało jej mowę. Ogrom tego miasta wywierał wielkie wrażenie: tłumy ludzi, masa dorożek, furmanek. Odjęło jej mowę, lecz nie słuch. Usłyszała, jak mężczyzna, którego dźgnęła szpilką od kapelusza mówi: - Nie bądź głupi, puść ją, niech idzie. Znajdzie drogę, umie sobie radzić. Noga boli mnie jak diabli.

- Zasłużyłeś na to. Sam się o to prosiłeś. Zobaczmy się za pół godziny.

- Nie. Nie będę na ciebie czekał.

- Jak sobie życzysz. Ale on czeka, że zjawimy się razem - jeżeli dobrze pamiętam - nie spodobał ci się, ani ty nie przypadłeś mu szczególnie do gustu. Ale jak wolisz, możesz nie czekać. - Zwrócił się do Mary Ellen: - Proszę pójść ze mną. To dziesięć minut stąd na piechotę. Czy spodziewają się pani? Chciałem zapytać, czy to pora odwiedzin?

- Nie. Mam tylko nadzieję, że pozwolą mi się z nim zobaczyć.

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem zagryzł wargę. - W więzieniu nie pozwalają na to - powiedział. - Ale tak szczęśliwie się składa, że znam strażnika z izby chorych. Odbywałem tam praktykę, mówiłem pani. - Uśmiechnął się do niej i Mary Ellen pomyślała, że będzie z niego dobry lekarz. Już sama rozmowa z nim dodawała otuchy.

Mary Ellen nie wierzyła w anioły, nawet w anioła stróża. Kiedy jednak czekała w pustej kamiennej sieni na powrót swojego nowego przyjaciela - tak o nim myślała - czuła, że to jakieś dobre moce ułożyły jej spotkanie z młodym doktorem, gdyż nigdy nie znalazłaby sama tego miejsca, bo nie

zaczepiłaby nikogo na ulicy, żeby zapytać o drogę. Nawet kobiety wydawały się jej obcymi istotami - były krzykliwe i hałaśliwe, a niektóre tak nędznie odziane, że prawie w łachmanach. Oprócz nich widziała też wykwintne panie w powozach. Czego zaś była już absolutnie pewna, to tego, że gdyby nawet sama zdołała znaleźć to miejsce, nigdy nie wpuszczono by jej do środka.

Młody lekarz wrócił, a towarzyszył mu mężczyzna w mundurze. Był osiłkiem o wielkiej głowie i krótko ostrzyżonych włosach. Doktor powiedział: - To jest ta młoda kobieta, Pilling.

- To jest sierżant Pilling - przedstawił jej mężczyznę. - On pozwoli pani na krótkie odwiedziny u więź... u pani przyjaciela. Potem wytłumaczy, jak złapać dorożkę, która zawiezie panią na Cloth Market i wysadzi przy White Hart. Stamtąd o wpół do czwartej odjeżdża dylizans.

Ze łzami w oczach wyciągnęła do niego dłoń: - Jestem panu bardzo wdzięczna... Nie wiem, jak mam panu dziękować - powiedziała. - Teraz widzę, jaka byłam głupia, wybierając się na własną rękę do tego miasta. Nigdy nie trafiłabym tutaj bez pana pomocy. Będę... będę zawsze pamiętać o pana dobroci, sir.

Potrząsnął serdecznie jej dłonią. - Żałuję jedynie, że zawarliśmy znajomość w tak przykrych okolicznościach - rzekł. - Powiedziałbym, że było to raczej ostre zawarcie znajomości dla nas obojwóch, z tą tylko różnicą, że ja nie miałem zaszczytu zaznajomić się z pani szpilką do kapelusza. - Roześmiał się na widok jej spuszczonej głowy.

- Dziękuję. Do widzenia, Pilling. Zobaczymy się później - rzekł cicho do strażnika.

- Dobrze, sir. Bardzo się cieszę. - Strażnik skłonił lekko głowę, po czym powiedział do Mary Ellen: - Cóż, panienko, proszę za mną. Czas ucieka.

- Do widzenia, doktorze.

- Do widzenia.

Kiedy weszła do pomieszczenia podobnego do celi i zobaczyła Roddy'ego wyciągniętego na wąskim żelaznym łożku, chciało jej się krzyżeć. To ponure miejsce wywoływało okropne wrażenie. Nie tylko sam pokój, ale i panujący w nim

dziwny zapach. Nie był to smród odpadków ani brudu, nie umiała go nazwać, wiedziała jedynie, że napawa ją niepoko-
jem. Gdy Roddy wyciągnął do niej ręce, rzuciła koszyk na
ziemię, podbiegła do niego i chwytając je, jęknęła: - Och,
Roddy, Roddy!

- Dziesięć minut, panienko. To wszystko. Wrócę za dzie-
sięć minut.

Roddy szeroko otworzył usta i trzy razy je zamykał, zanim
wykrztusił jej imię: - Och, Mary Ellen.

- Już dobrze, dobrze, Roddy.

- Nigdy... Nigdy bym się nie spodziewał... - chwycił
powietrze. - Jak... jak się tu dostałaś?

- Przyjechałam dyliżansem. I przywiozłam ci trochę rze-
czy. Popatrz. - Sięgnęła po koszyk. Pokręcił głową. Uścisnął
mocno jej ręce i pociągnął do siebie, by usiadła na brzegu
łóżka. Zbliżył twarz do jej twarzy. - Nie mamy czasu. Słuchaj,
co mam do powiedzenia, Mary Ellen. Czy wysłuchasz mnie?

- Tak, Roddy.

- A więc przypomniałem sobie.

- Nie!

- Tak. Ale nie wszystko. Zdarzenia mi się płaczą, ale dwie
rzeczy są jasne: grób...

- Grób? - uniosła brwi.

- Tak. Grób. Leżący w nim człowiek. Widzę jego twarz.
Wystarczy, że zamknę oczy, a widzę jego twarz. I widzę
mojego ojca. - Opuścił głowę i wyszeptał: - Mary Ellen...
oni zrzucili go z urwiska. Widziałem, jak leciał w powietrzu.

- Kto zrzucił go z urwiska? Kto to był, Roddy?

- Bannaman.

- Bannaman? Pan Bannaman? - jej głos przepełniony był
grozą.

- Tak. Bannaman i jego leśnik.

- Nie! Nie! - kręciła głową. - To ogólnie szanowany
człowiek.

- Mary Ellen! - głos i zachowanie Roddy'ego uległy
gwałtownej zmianie. Nie wydawał się już chory. Rękami
chwycił ją za ramiona i potrząsał nią, powtarzając: - Po-
słuchaj! To bardzo ważne. Chodzi o moje życie. Rozumiesz?
Chodzi o życie. Idź do pana Mulcastera. Powiedz mu to, co

usłyszałaś ode mnie. Powiedz, żeby zawiadomił kogo trzeba, niech zaczną kopać w pobliżu miejsca, gdzie obsunęła się skała. Wiedzą, gdzie to jest, bo niedawno znowu się zarwała i zabrała kawałek ścieżki. To jest właśnie tam, w pobliżu. Wiem to. Wiem na pewno.

- Dobrze. - Zsunęła jego ręce ze swych ramion i trzymała je w swoich. - To poważne oskarżenie, Roddy - powiedziała.

- To prawda. Dlatego chcieli mnie zabić i obciążyć winą za to, co spotkało Hala. A właśnie, jak on się czuje?

- Nie wiem. Ostatnio słyszałam, że dobrze.

- Czy będziesz się z nim widzieć?

- Nie wiem, gdzie jest, przenieśli go w inne miejsce.

- Dowiedz się, gdzie jest. Zapytaj strażnika. Idź i zobacz się z nim, Mary Ellen, możesz to zrobić dla mnie? Powiedz mu, że nie zrobiłem tego.

- On wie o tym, Roddy. Ale inni...

- Właśnie, inni. Powiadają, że sprawa odbędzie się za dwa tygodnie. Do tego czasu stanę na nogi. Na samą myśl, że mógłbym dotrzeć do kamieniołomu, już teraz stanąłbym na nogi. Mary Ellen, nie oszalałem ani nie majaczę. Jeśli straciłem pamięć przez tych, którzy stracili mnie za moim ojcem w przepaść, to odzyskałem ją, kiedy Bannaman próbował mnie zabić po raz drugi. Zostawił mnie w takim stanie, że nikt nie dałby mi szansy na przeżycie. Ani Halowi. To cud, że żyję - tak powiedział doktor. Powtarza to stale: „cud, że żyjesz”. Ale żyję, Mary Ellen, a ten człowiek jest mordercą. Zamordował nie tylko mojego ojca, ale tego kogoś, kogo widziałem w grobie. I mam już swoją teorię na ten temat.

- Naprawdę?

- Hal zawsze utrzymywał, że jego ojciec wróci. Cóż, w pewnym sensie zobaczy ojca. Jeśli moje przecucia się sprawdzą, Hal go zobaczy.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Dziewczyna porwała się z łóżka, ale Roddy znowu ścisnął jej ręce. - Dopilnujesz tego, Mary Ellen? Zajmiesz się tym? I to zaraz? - spytał z błagalnym wyrazem twarzy.

- Tak, bądź spokojny. Jeszcze dziś. Jak tylko zajadę na miejsce. - Wysunęła ręce z jego uścisku, sięgnęła po koszyk

i wysypała jego zawartość na łóżko. Popatrzyła na strażnika.
- Już idę. Bywaj, Roddy - powiedziała. - Wrócę tu.

Nie odezwał się, ale wyraz jego twarzy powiedział jej wszystko.

Już na korytarzu zwróciła się do strażnika: - Czy jest tu jeszcze w pobliżu jakiś inny szpital?

- O jaki szpital chodzi? To jest szpital więzienny. Ogólny jest dalej.

- Czy to tam zabrano tego drugiego człowieka?

- Ma pani na myśli tego, którego ten więzień chciał zabić?

- Nigdy nie chciał, wykluczone. Byli bliskimi przyjaciółmi - zachnęła się, a głos jej zabrzmiał donośnie i ostro. - Dobrze, już dobrze - strażnik położył rękę na jej ramieniu. - Jak panienka chce. Nie próbował zabić. Tak w każdym razie utrzymuje. Sąd to rozstrzygnie. Jeśli szuka panienka tego drugiego, jest nie dalej niż o rzut kamieniem. Trzeba skrócić w lewo, wychodząc z głównej bramy. To czerwony budynek dokładnie na drugim końcu ulicy. Nie sposób go nie zauważyć. Ale doktor kazał mi dopilnować, żeby panienka złapała dorożkę.

- Złapię gdzie indziej. I przepraszam, że zachowałam się porywco, ale rozumie pan...

- W porządku, dziewczyno, rozumiem. - Poklepał ją po ramieniu. - Jest w tym kraju prawo; człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. Dobrze mu życzę, bo zachowuje się przyzwoicie.

Na końcu korytarza przekazała Mary Ellen innemu strażnikowi, który odprowadził ją do bramy. Skręciła w lewo i na końcu ulicy odnalazła budynek z czerwonej cegły.

Na dźwięk dzwonka drzwi otworzyła kobieta w czarnej sukni, białym czepku i w białym fartuchu.

- W jakiej sprawie? - zapytała.

- Czy mogłabym się zobaczyć z Halem Roystanem?

- Czy jest pani jego żoną?

Uniosła brwi. Czy wygląda jak żona? Co powie kobieta, kiedy usłyszy, że jest tylko przyjaciółką? Najpewniej jej nie wpuści.

- Jestem... jestem siostrą.

- Ach tak. Dobrze, skoro jest pani krewną, proszę wejść.

Poprowadziła ją szerokim korytarzem i wpuściła do długiego pokoju z wieloma łózkami. Wszystkie były zajęte. Chorzy albo na nich siedzieli, albo leżeli. Dwóch siedziało na drewnianych taboretach obok łóżek. Jeden z nich na widok Mary Ellen zerwał się na nogi. Wyglądał, jakby nie wierzył własnym oczom.

Kobieta nie wskazała Mary Ellen łóżka, lecz zawołała w stronę pomieszczenia, gdzie przy małym stoliku dyżurowała inna kobieta: - Siostra Roystana. - Daj jej dziesięć minut. Najwyżej dziesięć minut. - Kiedy Mary Ellen szła w stronę osłupiałego mężczyzny, przemknęło jej przez myśl: - Wszystko, zdaje się, jest tu ograniczone do dziesięciu minut...

- Witaj, Halu.

Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa. - Witaj, Mary Ellen. Jak się tu dostałaś? - odezwał się wreszcie.

Znów udzieliła takiej samej odpowiedzi na takie samo pytanie: - Dylizansem.

Nie powiedział, że się cieszy z jej odwiedzin, lecz wskazał taboret, sam zaś usiadł na brzegu łóżka. - Skąd wiedziałas, gdzie jestem?

- Odwiedziłam Roddy'ego. Chciał, żebym ci przekazała, że on tego nie zrobił...

- Wiem o tym. Zostaliśmy napadnięci. Jak on się czuje?

- On... nie wygląda dobrze. Został okrutnie pobity. Nikt się nie spodziewał, że przeżyje. Nikt. Ale, Halu, mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego.

Mary Ellen oparła się o brzeg łóżka, a Hal nachylił ku niej głowę. - Odzyskał pamięć - wyszeptwała. - Przypomniał sobie, co się wydarzyło. Nie mogę w to uwierzyć, ale czuję, że to musi być prawda. Przypomniał sobie tę noc, kiedy zginął jego ojciec. On nie obsunął się razem z ziemią w przepaść. Został tam zrzucony, po tym jak zobaczył mężczyznę w dole... i dwóch ludzi grzebiących tego mężczyznę. Ci ludzie zrzucili ojca Roddy'ego ze skały. To samo zrobili z Roddym. Teraz pamięta, kto to był.

- Nie! Nie!

- Właśnie że tak. Więc słuchaj, Halu - wyciągnęła ręce, żeby ucisnąć jego dłoń tak jak dłoń Roddy'ego, lecz zawahała się i cofnęła je, opuszczając na kolana. Zniżyła głos jeszcze

bardziej, tak że sama prawie nie słyszała swych słów. - On twierdzi, że to był pan Bannaman i... i jego leśnik. Znasz go, to pan Feeler. To ten człowiek, co nie ma palców u ręki, i który czasami przychodził do lasu wyciągać ze ściółki małe jodełki. Przynajmniej udawał, że to robi.

- Boże miłosierny! Chryste! - Hal nie patrzył na nią, lecz wyżej ponad jej głową, jakby zaglądał w przeszłość. Musiała znowu zwrócić na siebie jego uwagę. - Mam iść do pana Mulcastera i prosić, żeby wezwał kogo trzeba i kazał kopać. Trzeba udowodnić słowa Roddy;ego.

Popatrzył jej prosto w oczy. - Jak myślisz, kogo chowali w tym grobie?

- Nie wiem - odparła, odwracając wzrok.

Znowu popatrzył w przestrzeń i zaczął mówić: - Wiesz, że w tym czasie zniknął mój ojciec. Ponieważ znaleziono jego konia w Newcastle, wymyślono, że uciekł z pieniędzmi i wsiadł na jakiś statek. Nigdy - zacisnął mocno zęby, zanim dokończył - nigdy w to nie wierzyłem. - Twarz mu pociemniała i popatrzył na nią ponuro. - Nigdy, ani przez chwilę w to nie uwierzyłem - powtórzył. Uścisnął jej ramię. - Nie zwlekaj więc. Bądź przygotowana na to, że mogą być przeskody. Bannaman to nazwisko, które coś znaczy w hrabstwie, przynajmniej teraz. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby się zainteresować, w jaki sposób zbił majątek. Ale wkrótce to się wyjaśni. Jeśli to jest prawda, a wiem, że jest, narobimy wokół niego takiego smrodu, że smród huty będzie przy nim miłym zapachem. - Podniósł się i podnosząc ją także, dodał: - Idź. Wracaj tak szybko, jak tylko będziesz mogła. - Wyciągnął rękę, jakby ją chciał popchnąć, żeby się pośpieszyła, lecz pohamował się.

- Dzięki, Mary Ellen. Nigdy nie będę w stanie należycie odwdziaczyć ci się za ten dzień - powiedział łagodnym głosem.

Uśmiechnęła się blade i rzekła: - Dobrze, Halu. Nie ma za co. Zrobię, jak mówiłeś. - Usprawiedliwiając się, że przyszła z pustymi rękami, dodała: - Przepraszam, że niczego ci nie przyniosłam.

- Och, Mary Ellen, przyniosłaś mi czysty złoty pył. Idź teraz. Dojeżdż do domu bezpiecznie.

- Do zobaczenia, Halu.
- Bywaj, Mary Ellen.

Kobieta zza stolika wstała, otworzyła jej drzwi i wskazała korytarz. - Możesz wyjść sama - powiedziała. - Upewnij się tylko, że dobrze zamknęłaś drzwi. Jesteśmy bardzo zajęte.

Mary Ellen zamknęła za sobą drzwi, a kiedy znowu znalazła się na ulicy, wcale się nie śpieszyła w stronę, gdzie miała nadzieję znaleźć dylizans albo wóz pocztowy. Stała jak przerażone dziecko, obgryzając paznokcie wskazującego palca.

„Co będzie, jeżeli mi nie uwierzą? To znany człowiek, pan Bannaman”, myślała. Może mnie kazać zamknąć za samo przyniesienie takiej wiadomości, bo szlachta sama dla siebie stanowi prawo. A pan Bannaman, chociaż niezupełnie szlacheckiego pochodzenia, był jednak bardzo znaczącym człowiekiem. Czy jej uwierzą, czy nie, czekały ją kłopoty.

*

Była siódma wieczór. Mary Ellen całą drogę od dylizansu przebyła biegiem, minęła zamek i pobiegła do góry przez las do huty, mając nadzieję, że pan Mulcaster wciąż tam jest. Wiedziała, że część palenisk wygasza się wkrótce po szóstej, ale słyszała, że pan Mulcaster i jego urzędnicy często siedzą w biurze do późna. Zapadł już gęsty mrok, kiedy zdyszana zapytała jednego z robotników, czy pełnomocnik jest jeszcze w hucie, czy też poszedł już do domu.

- Nie - odparł człowiek. - Jeszcze siedzi w biurze.
- Wskazał budynki po drugiej stronie podwórza.

Kiedy dopadła do pierwszego z nich, drzwi nieoczekiwanie otworzyły się jakby na jej przywitanie i wyłoniło się z nich dwóch urzędników. Utkwili w Mary Ellen zaskoczone spojrzenia. Nie zwróciła na nich uwagi, patrząc na człowieka kroczącego za nimi.

- Panie Mulcaster, czy mogę zamienić z panem parę słów? Bardzo proszę - wykrztusiła, ciężko dysząc.

Wszyscy trzej stali, patrząc na nią przez chwilę.

- Tak, skoro to takie pilne - odparł pan Mulcaster, dostrzegłszy jej wzburzenie.

- Jest ważne, proszę pana, bardzo ważne.

Urzędnicy zdawali się ociągać z odejściem, lecz pełnomocnik ich odprawił, a ją gestem zaprosił, by weszła. Wziął lampę

z półki koło drzwi i poszedł za Mary Ellen przez korytarz, potem po schodach do pokoju na górze. Zamknął za nią drzwi, popatrzył i spytał krótko: - Co cię tu sprowadza i dlaczego jesteś taka wzburzona? O ile się nie mylę, mam przed sobą Mary Ellen Lee?

- Tak, proszę pana.

- Mów więc, co mi masz do powiedzenia, ponieważ - wyjął zegarek i patrząc na niego, zauważył: - o tej porze zwykłem jeść kolację i szczerze mówiąc spieszo mi do niej.

- Uśmiechnął się jednak dobrotliwie.

Mary Ellen zaczęła opowiadać tak prędko, jak umiała; najpierw przypomniała, co zaszło między jego dwoma pracownikami; potem streściła przebieg swojej wizyty u Roddy'ego i wyjawiała powód swojej obecności.

Milczał, nie przerywając potoku jej paplaniny, dopóki nie skończyła. Patrzyła na niego w migoczącym świetle lampy. Nie odrywając od niej wzroku, spytał, niezmiernie zdumiony jej prośbą: - Naprawdę prosisz mnie, żebym zawiadomił władze?

- Tak, proszę pana.

- Nie mogę tego zrobić. Nie w oparciu o tak słabe dowody. Umysł młodego Greenbanka mógł się pomieszać od pobicia przez napastnika, czy był nim jego przyjaciel, czy - jak utrzymujesz - ktoś inny.

- Panie Mulcaster, proszę pana - złożyła obie ręce jak do modlitwy. - Proszę mi uwierzyć. On jest z całą pewnością przy zdrowych zmysłach. Opisał ojca zrzucanego w przepaść. To samo zrobiono z nim. Co więcej, wie, że gdzieś leży pochowany człowiek. Prawdopodobnie ojciec Roddy'ego ich przyłapał - powstrzymała się przed ponownym wypowiedzeniem nazwiska Bannamana - jak ci ludzie kogoś grzebali. To dlatego na niego napadli. I jest jeszcze coś, proszę pana.

- Coś jeszcze? - twarz mu stężała.

- Poszłam odwiedzić Hala... Hala Roystana i powiedziałam mu o tym. I wie pan, sir, on zawsze niezłomnie wierzył, że jego ojciec nie ukradł tamtych pieniędzy. I nie zrobił tego, proszę pana. Ja... wiem o tym. - W tym miejscu zamknęła oczy. Powiedziała za dużo. Jeśli powie, gdzie są pieniądze, zapytają ją, czemu milczała przez cały czas. Czy mogła

odpowiedzieć, co było absolutną prawdą, że przez te lata po prostu o nich zapomniała? Miejsce to z pewnością do tej pory zarosło chaszczami, nie sposób będzie znaleźć czegośkolwiek.

- Skąd jesteś taka pewna, że nie ukradł pieniędzy? - Potrząsnęła lekko głową i odparła: - Wiem od Hala, że jego ojciec nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. I kiedy Hal usłyszał o mężczyźnie, którego chowali, czego świadkiem był Roddy, od razu pomyślał, że to jego ojciec. I jeszcze jedno, proszę pana.

- Tak? Mów dalej.

- Przez te wszystkie lata natykałam się na człowieka Bannamana, pana Feelera w lesie na górze kamieniołomu. Zawsze mówił, że szuka młodych jodełek, ale teraz wiem, że szukał czegoś innego. Nawet pan Bannaman bywał tam czasami, też udając, że wykopuje jodełki.

- Nie udawał, lecz naprawdę wykopywał młode drzewka, moja droga. Za moim przyzwoleniem.

- Tak, ale Kate, to znaczy pani Makepeace, często dziwiła się, dlaczego przychodzą tutaj w tym celu, skoro bliżej nich są szkółki?

Pan Mulcaster przechylił się z krzesłem do tyłu i zdawał się coś ważyć w myślach. Przypomniał sobie, że sam zadawał sobie to pytanie, ale też odczuwał pewnego rodzaju dumę, że drzewa porastające ten teren są tak dorodne, iż mogą stać się przedmiotem czyjegoś pożądanego. Zsunął lekko kapelusz do tyłu. Nie zdjął kapelusza, nie było potrzeby, gdyż ta osóбка nie była nikim ważnym. Zauważył jednak, że wyrosła na bardzo ładną dziewczynę, właściwie nie wyglądała już jak; dziewczyna, lecz jak młoda kobieta. Jasne włosy spadały wilgotnymi puklami na oba policzki, kapelusz zsunął jej się z głowy. W świetle lampy nie można było określić, czy ma oczy zielone czy orzechowe, lecz na pewno były wielkie, ocienione długimi rzęsami i pełne troski. Miała piękną cerę i figurę, jakiej mogłaby jej pozazdrościć niejedna elegancka dama. Pamiętał ją jako dziecko hasające po okolicy w towarzystwie dwóch chłopców, którzy teraz byli mężczyznami i stanowili oś tego dramatu. Co miał zrobić? Nie mógł donieść władzom, mógł jedynie wszczać poszukiwania, kazać ludziom

kopać w tym miejscu, gdzie przez te lata dwukrotnie osunęła się ziemia. Co z tego wyniknie? Poczekaj i zastanowię się.

- Zostaw to mnie, zastanowię się.

Zaskoczenie to mało powiedziane - osłupienie ogarnęło nadzorcę na bezczelne zachowanie tej młodej służącej - bo tym tylko w istocie była. Mary Ellen śmiało zaatakowała: - Nie ma czasu, by się nad tym zastanawiać, proszę pana. Jeśli nie zawiadomi pan zaraz szeryfa - jeden mieszka tu niedaleko przy drodze do Allendale, będę musiała pójść do niego sama. Nie ma czasu do stracenia, w każdej chwili Roddy może stanąć przed sądem i zostać skazany. Udowodnienie tego, co powiedziałam, wymaga sporo zachodu, więc nie ma czasu się zastanawiać. Myślę, że....

Uniesieniem ręki wstrzymał potok jej słów i powiedział niemal błagalnym tonem: - Jest już ciemno. Poza tym pan Morgan bez wątpienia je kolację. - Lekceważąc fakt, że pan Morgan może się posilać, nalegała: - To niedaleko, proszę pana. Nie więcej niż dziesięć minut konno. Pieszko też mogę tam dotrzeć równie szybko, bo pójdę na przełaj przez pola.

Zsunął kapelusz bardziej na czoło, podparł policzek ręką i ciągle jej się przyglądał. - Chodźmy, dziewczyno - rzekł wreszcie burkliwym tonem.

Pomknęła za nim na podwórze. Kołysząca się lampa wyłoniła z mroku człowieka trzymającego konia za cugle. Idąc w tamtą stronę, pan Mulcaster powiedział półgłosem: - Będziesz szła przy mnie.

Szła więc pieszo przy boku konia, potykając się o nierówny grunt, dopóki nie dotarli do równo wydeptanej ścieżki prowadzącej w dół do drogi poniżej grobli. Zdawali się nie dostrzegać mijanych po drodze ludzi, którzy musieli bardzo się dziwić, co taka ładna dziewczyna jak Mary Ellen Lee robi w towarzystwie nadzorcy, a także dokąd to wybrali się po nocy.

- Wsadziłaś kij w mrowisko, dziewczyno, pół okolicy przekopuje kamieniołom i szuka ciała, którego nie można znaleźć! To już trzeci dzień, jak się do tego zabrali. Ludzie schodzą się zewsząd, a wszystko dlatego, że pewnemu chłopakowi wydaje się, że pamięta to, czego nie widział.

- Widział, proszę pani, widział. Gdyby go mogli sprowadzić, na pewno wskazałyby to miejsce.

- Nie pleć, dziewczyno. Będzie ze trzynaście lat od kiedy to się stało, cokolwiek to było i jeżeli w ogóle było. W każdym razie to było w czasie, kiedy uciekł Gabriel Roystan...

- Może wcale nie uciekł. Tego właśnie się dowiemy. Hal zawsze mówił...

- Hal... Roddy... za dużo mężczyzn jest w twoim życiu, dziewczyno. Wychowywałaś się z nimi, przyznaję, ale jak już kiedyś mówiłam, za długo uganiałaś się z nimi na wolności, kiedy powinnaś była już przyuczać się do pracy. Twój ojciec myślał pewnie, że za dobra jesteś do służby. Nell Bradle wzięłam do siebie, kiedy miała dziewięć lat. Nie miała czasu latać.

- Tak? I co zrobiła, proszę pani? Odleciała stąd, prawda? Wtedy wzięła pani mnie... - Mary Ellen powstrzymała się i, spuściwszy głowę, cicho wyszeptała: - Przepraszam, nie powinnam tak mówić.

Powoli podniosła oczy i popatrzyła na małą, pulchną kobietę, której twarz wyrażała oburzenie. Skarciła się w duchu i żeby udobruchać panią, rzekła: - Nie wiedziała, gdzie jej dobrze. Dla mnie to dobrodziejstwo, że odeszła. Przykro mi, proszę pani, ale tak się martwię...

- I słusznie, że jest ci przykro. - Mała pani najeżyła się, gdy otworzyły się kuchenne drzwi i wszedł farmer Davison. - Nie uwierzysz, Joe, na jakie zuchwalstwo pozwoliła sobie Mary Ellen - zawołała na przywitanie.

Joe Davison uniósł brwi. - Nie mogę w to uwierzyć. Mary Ellen nigdy nie zachowała się zuchwale wobec ciebie. Bardzo cię szanuje. Prawda, Mary Ellen?

- Tak, proszę pana, szanuję.

- A więc? - patrzył na żonę jak na dziecko, które zbłądziło. - Chyba się mylisz w tym względzie.

- Nie mylę się. Całkiem jej się przewróciło w głowie! A wszystko przez urojonych nieboszczyków Roddy'ego Greenbanka.

Davison podszedł do półki nad kominkiem, wziął fajkę z drewnianej podstawki i uderzając nią o kamienną ścianę paleniska, wytrzepał z niej resztki popiołu.

- To naturalne - odparł. - Próbuje go tylko uchronić od wywiezienia z kraju. Biedaczysko wyląduje pewnie w Australii, jeśli udowodni mu, że pchnął nożem młodego Roystana. Najmniej na siedem lat, jeżeli nie do końca życia. Wszystko zależy od sędziów, którzy go będą sądzić.

- Przestań, bo ona za chwilę wyląduje na podłodze!
- Pani Davison podbiegła na drugą stronę stołu i bezceremonialnie popchnęła Mary Ellen na ławę. - Weź się w garść, dziewczyno! Żadnych omdleń w tym domu! Nie ma czasu na takie rzeczy. - Pani Davison wzięła mokrą ścierkę i niezbyt delikatnie zaczęła natrzepywać nią twarz Mary Ellen. Wtem drzwi od kuchni znów się otworzyły i do środka wpadli z hałasem syn, Archie, i wnuk, Lennie, z twarzami rozplomienionymi z podniecenia. - Znaleźli ciało - zwrócił się do starszego Davisona. - To zwłoki Gabriela Roystana! Miał jedną nogę krótszą i nosił but z grubszą podeszwą. Syn go po tym rozpoznał. Ale to Roddy Greenbank, kiedy go przywieźli z więzienia, pokazał na miejsce, gdzie był ten grób. Kate Makepeace też pomogła. Stała na dnie kamieniołomu i pokazywała. Ale wszystko przez te lata porosło drzewami. Roddy wytyczył obszar wokół miejsca, gdzie siedział na zboczu. Utrzymywał, że tam należy kopać. I tam właśnie znaleziono ciało, choć na powierzchni rosty już drzewa. Na miejscu roi się od ludzi. Zwłoki złożono w jednej z szop na terenie huty. I nigdy nie zgadnicie, po kogo pojechali. Sam widziałem po drodze. Nigdy nie zgadnicie.

- Mów dalej. Dokąd pojechali i kto? - Archie Davison podniósł do góry palec. - Po pana Bannamana i po Pata Feelera - odrzekł.

- Pat Feeler? Ten mały typek?

- Ano, ten sam. To jeszcze nie wszystko. Chodzą jeszcze inne plotki; ludzie szepczą i kiwają głowami, ale nikt nie chce powiedzieć. Ale widziałem na własne oczy. Był tam pan Mulcaster, nadzorca z huty, z jakimiś dwoma ważnymi dżentelmenami. Jechali drogą w powozie. Za nimi w zwyczajnej furmance jechało dwóch innych, pewnie to byli konstable. Obok nich siedzieli Hal Roystan i Roddy Greenbank, a raczej to, co z niego zostało. Kiedy go ostatni raz widziałem, był krzepkim facetem, a teraz można by go wziąć za kukłę z bandaży. Opadł w ogóle z ciała, a twarz ma białą jak świńskie sadło.

- Mówiłam pani, mówiłam.

- Dobrze, dobrze. Czy znaleźli w przy nim pieniądze?

- Nie bądź głupia, kobieto. - Farmer Davison wciągnął i wypuścił kłęb dymu ze swojej fajeczki i patrzył, jak leci w górę ku poczerniałym belkom. - Pleciesz najgłupsze rzeczy pod słońcem. Ktokolwiek go zabił i zakopał, zrobił to dla pieniędzy. Pewnie dawno już zostały wydane.

- Może z pożytkiem, może ktoś kupił za nie nowe stado lub coś w tym rodzaju. - Ojciec i syn wymienili spojrzenia, jakby w tej samej chwili wskrzeszali od dawna tajone myśli. Po chwili ich uwagę przykuła pani domu, bo znów zaczęła karcic swą służącą. - Nie próbuj nigdzie wychodzić, panienko. Wstawaj, zrób użytek z nóg i zabieraj się za garnki. Nie wyszorują się same. - Mówiąc to, siłą pociągnęła Mary Ellen z ławy i popchnęła w kierunku zlewu. - Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby już w tej chwili lecieć zobaczyć, co się dzieje z tym, co go tak urabiasz jak ciasto? Wtedy znalazłabyś nogi, prawda?

Ku zaskoczeniu pani i niekłamanemu zdumieniu trzech mężczyzn Mary Ellen odwróciła się i pochyliła twarz nad małą kobietą. - A pewnie! Znalazłabym! - krzyknęła. - Zwracając się w stronę jedyne go, który jeszcze nie otworzył ust, wrzasnęła wcale gromkim głosem: - Tak! Pobiegłabym jak zając. Dowiedzieliście się już! I to wszyscy! - Uciszywszy w ten sposób całe zgromadzenie, odwróciła się do zlewu, wzięła miskę z piaskiem i solą i zaczęła szorować garnek. Domownicy gapili się na nią z niedowierzaniem.

Wybuch gniewu służącej wywarł największe wrażenie na jej pani. Czy to ta sama młoda dziewczyna, którą traktowali

jak równą sobie, pozwalając jej nawet jeść z nimi przy stole? Radzi byliby przyjąć ją do rodziny, gdy tymczasem była nikim więcej jak tylko służącą. Byli w stosunku do niej tak szlachetni, że nie krępowali jej żadną umową przez ostatnie dwa lata. I jak się odpłaciła? Niesłychaną bezczelnością. Do tego doszło! Świat znajdował się w przerażającym stanie: mordowano ludzi, otwierano groby, młodzi ludzie bili się na noże. Ale to wszystko było niczym w porównaniu z faktem, że jej własna służąca ośmieliła się podnieść na nią głos.

8

- Dzień dobry, panowie. Czemu zawdzięczać mogę przyjemność widzenia panów? - Zachowanie Bannamana było jowialne, podobnie jak wyraz jego twarzy. Widoczne spoza zarostu policzki płonęły mu czerwienią. Głowę trzymał wysoko, a podbródek wysunął do przodu. Jediną oznaką zdenerwowania było drżenie szczęki, które wprawiało w ruch bokobrody.

Sposób bycia sędziego Craiga był zgoła odmienny. Na jego okrągłej, gładko ogolonej twarzy nie było śladu jowialności. Ręce wygładzające przód długiego płaszcza drżały ze zdenerwowania. Jego towarzysz natomiast, którego przedstawił jako pana Savioura, pełnomocnika sądowego, niczego po sobie nie okazywał.

Pan Saviour był mężczyzną o nieprzeciętnym wzroście, a przy tym barczystym. Głowa pozostawała w proporcji do rozmiarów reszty ciała. Sposób wystawiania się świadczył o dobrym wychowaniu.

- Jeśli zechcą panowie wejść do środka, poczęstuję panów czymś pokrzepiającym - rzekł Bannaman.

- Dziękujemy. To rzeczywiście się przyda, jako że rano spędziliśmy bardzo pracowicie - odparł pan Saviour.

Sędzia Craig spojrział nieco niepewnie, lecz już po chwili uwaga trzech mężczyzn zwróciła się ku bramie, przez którą właśnie wjeżdżała na podwórze furmanka. Widok dwóch

siedzących na niej ludzi sprawił, że zachowanie Bannamana uległo błyskawicznej zmianie.

- Co to ma znaczyć? Co robi tutaj ten człowiek? - pokazał palcem Roddy'ego, który z pomocą konstabli wysiadał z wozu.

- Jeśli możemy skorzystać z pańskiego zaproszenia i wejść do środka, wszystko wyjaśnimy - udzielił uprzejmej odpowiedzi pełnomocnik.

- Ten człowiek nie wejdzie do...

- Obawiam się więc, że wszystko, co mamy do powiedzenia, będzie musiało zostać powiedziane tutaj - odrzekł sędzia. Popatrzył Bannamanowi prosto w oczy, zobaczył, jak ten zazgrzytał zębami, lecz odwrócił się i szerzej otworzył ciężkie dębowe drzwi.

Obaj mężczyźni weszli za nim powoli; Roddy, Hal i konstable dołączyli do nich.

Zaraz po wejściu do domu Roddy dostrzegł kobiety. Matka i córka stały na drugim końcu długiego korytarza. Jego wzrok tylko przez mgnienie oka spoczął na córce, ale zobaczył dosyć, by odgadnąć, że owładnęły nią lęk i pogarda. Na twarzy matki malowało się jedynie zakłopotanie, co wywołało przelotną myśl, że najpewniej jest ona nieświadoma celu ich wizyty, podczas gdy córka daleka jest od nieświadomości w tym względzie.

Znaleźli się w ogromnym pokoju. Była to zarówno biblioteka, jak i gabinet, gdyż dwie ściany obstawione były półkami pełnymi książek, w drugim końcu zaś stało wielkie biurko zarzucone księgami rachunkowymi. Roddy nie spuszczał oczu z Bannamana, który z udawanym świętym oburzeniem zwrócił się do przybyłych: - No, panowie, a teraz do rzeczy.

Pełnomocnik i sędzia wymienili pytające spojrzenia i sędzia wreszcie zaczął: - Przede wszystkim pragnę powiedzieć, że może pan uniknąć wielu nieprzyjemności, jeśli zechce nam pan towarzyszyć do Newcastle i odpowiedzieć na pytania dotyczące godnej najwyższego ubolewania sprawy, wydobytej na światło dzienne przez obecnego tutaj człowieka.

- Ubolewania godnej sprawy! Z jakąż to ubolewania godną sprawą jestem powiązany?

- Czy pojedzie pan z nami?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi. Może będzie pan tak uprzejmy i raczy mnie oświecić?

Sędzia i pełnomocnik popatrzyli znów na siebie i sędzia wziął głęboki oddech, zanim rozpoczął:

- Wiadomej nocy we wrześniu 1807 roku, kiedy obecny tu mężczyzna był niespełna ośmioletnim chłopcem i wracał ścieżką przez kamieniołom do chaty kobiety zwanej Kate Makepeace, jego ojcu i jemu coś się przydarzyło. Owa kobieta, Kate Makepeace, następnego ranka znalazła chłopca zaczepionego o gałęzie krzewów, podczas gdy ciało jego ojca odnaleziono pod osuniętą skałą. Chłopiec ten - tu skłonił głowę w kierunku Roddy'ego - nic nie pamiętał z tego, co zdarzyło się owej nocy. Kiedy odzyskał świadomość, nie pamiętał nawet swojego imienia. Lecz przez następne lata niepokoili go niewyraźne majaki i senne koszmary. Traf chciał, że niefortunnie ulokował uczucia, zakochując się w młodej damie, nie wiedząc nawet, kim ona jest. I kiedy pewnego dnia, gdy z nią rozmawiał, pan z gniewem go zaatakował, jego słaba pamięć odżyła. Rozzłoszczony pana zachowaniem, a także stwierdzeniem przyjaciela - tu głową wskazał Hala - które reputację damy stawiało pod znakiem zapytania, rzucił się na niego, czego świadkami było wielu ludzi, gdyż bójka miała miejsce na rynku w Hexham. Jednak potem wracali do swoich domów ramię w ramię. Obaj pamiętają, że w czasie wędrówki zostali napadnięci, zarzucono im worki na głowy i ramiona, a następnie pobito do nieprzytomności.

Wiadomo powszechnie, że kiedy ich znaleziono, między żebrami Hala Roystana tkwił nóż, wbity - jak wówczas sądzono - przez pana Greenbanka. Później jednak odkryto, że Greenbank sam został tak brutalnie pobity, że nie byłby w stanie zadać takiej rany. Gdyby zaś przyjąć, że zadał ją, zanim został ciężko pobity, to znów pan Roystan z nożem między żebrami nie mógłby pobić przyjaciela aż tak dotkliwie. Dziwnym zrzędzeniem losu to właśnie ciężkie pobicie sprawiło, że Greenbank odzyskał pamięć i dał znać panu Mulcaterowi przez przyjaciółkę, która odwiedziła go w szpitalu, że przypomniał sobie o wydarzeniach pewnej szczególnej nocy. Przypomniał sobie, że widział, jak jego ojciec został zamordowany i zrzucony z urwiska, stanęła mu w pamięci twarz człowieka leżącego w grobie, ale przede wszystkim odtworzył w pamięci twarz sprawcy. Tak więc - tu zrobił krótką przerwę

- oskarża pana, panie Bannaman, o zamordowanie ojca, a także owego człowieka z grobu, człowieka, który przez lata był uważany za złodzieja, którego posadzono o kradzież pieniędzy swoich pracowników i o ucieczkę za granicę. Człowiek ten był ojcem pana Roystana. - Wskazał ręką Hala, który stał z poszarzałą twarzą i zaciśniętymi ustami. Spojrzenie szeroko otwartych oczu utkwiał w Bannamanie, sprawiając wrażenie, jakby miał się rzucić na człowieka opierającego się o biurko.

- To haniebnie! - ryknął Bannaman. - To skutek złośliwości tego osobnika - wyciągnął rękę i pokazał palcem Roddy'ego - który ośmielił się zalecać do mojej córki. To wszystko dlatego, że zagroziłem, co z nim zrobię, jeśli znów się do niej zbliży. Z pewnością nie można wierzyć jego słowom. Wprawdzie znaleziono grób ze szkieletem, ale twierdzenie, że przyłożyłem do tego rękę, jest czymś wprost oburzającym. Zapłacicie mi za to wszyscy, którzy ośmieliliście się przypuścić, że ja...

Pan Mulcaster zatrzymał potok jego wymowy, podnosząc rękę i mówiąc spokojnie do sędziego: - Patrick Feeler.

- Tak, tak - skinął głową sędzia. - Odwracając się do konstabli stojących nieco za nim, powiedział: - Ten człowiek... leśnik. Przeprowadźcie go tutaj.

- Nie zrobicie tego. Nie życzę sobie leśnika u siebie w domu. Ja...

- Tym razem musi pan uczynić wyjątek, panie Bannaman. - Ton pełnomocnika był lodowaty.

- Proszę mi nie rozkazywać, sir! Znajduje się pan w moim domu. Wszyscy odpowiecie za to oskarżenie.

Sędzia przerwał, unosząc lekko rękę w geście protestu: - Zanim pan powie coś jeszcze, dodam, że pewna kobieta, Kate Makepeace, złożyła oświadczenie. Opowiedziała, że jej syn brał udział w prowadzonym przez pana przedsięwzięciu, które opierało się na przemyśle. Oświadczenie zmierza dalej i powiada, że kiedy okazało się, że pańska działalność oprócz przemyślenia towarów zaczęła także obejmować przemyt ludzi, jej syn okazał sprzeciw. Uczynił to także jeszcze jeden z grupy. Człowieka tego znaleziono martwego, a obok jego ciała leżał syn Kate Makepeace. Wszystko, co był w stanie

sobie przypomnieć to, że za dużo wypił poprzedniego wieczoru. Dalsza część oświadczenia jego matki mówi, iż pan dopilnował, by bezpiecznie opuścić ten kraj, unikając w ten sposób oskarżenia o morderstwo, bowiem wszystkim było wiadomo, że Makepeace i zamordowany byli kompanami do kieliszka. Matka twierdzi, że jej syn był świadomy tego, że szło o pozbycie się niewygodnego świadka, lecz nic nie mógł na to poradzić. Przeczuwał, że jeśli nie zgodzi się na potajemną deportację, skończy tak jak przyjaciel - znajdą go martwego. Co pan ma do powiedzenia na ten temat?

- To samo, co powiedziałem na poprzednie oskarżenie: ta kobieta nienawidziła mnie przez całe życie. To ciemne, nieokrzesane stworzenie, cała jej rodzina taka była. Jest znachorką, czarownicą - kto jej uwierzy? Jeśli chodzi o przemyt, to kto przed laty w tym kraju tego nie robił, począwszy od bogacza, skończywszy na nędzarzu? Może z wyjątkiem kwaków nie ma nikogo, kto mógłby powiedzieć, że nie miał do czynienia z przemycanym towarem. Mogę więc śmiać się ze wszystkiego, co Kate Makepeace wyczarowała w swoim chorym umyśle.

Zza drzwi dobiegły odgłosy utarczki. Kiedy drzwi się otworzyły, dwóch konstabli wciągnęło do pokoju mizernego, zgarbionego człowieczka. Patrick Feeler nie miał jeszcze sześćdziesięciu lat, lecz wyglądał na człowieka po siedemdziesiątce. Stał zgarbiony i drżący, ze wzrokiem utkwionym w twarze, które w tej chwili zwróciły się ku niemu. Jego ciało było wychudzone, a sztruksowa kapota i bryczesy wisały na nim jak na szkielecie. Głos jednak zabrzmiał donośnie, gdy wykrzyknął: - Co tu się dzieje, panie? Co się dzieje?

Dan Bannaman nie udzielił odpowiedzi. Sędzia, zwracając się do Roddy'ego, spytał: - Czy rozpoznaje pan tego człowieka?

Roddy popatrzył na chudą twarz w drgawkach i zgodnie z prawdą odparł: - Nie rozpoznaję go, bo nie pamiętam jego twarzy. Pamiętam rękę. - Kiedy wskazał rękę, Feeler wsunął ją głębiej do rękawa, lecz jeden z konstabli podszedł, złapał ją i wyciągnął, by Roddy przypatrzył się dokładniej. Ręka miała tylko palec wskazujący i kciuk, zamiast pozostałych trzech palców widniały krótkie kikuty.

- Tak, rozpoznaję ją. Zatykał mi nią usta. To nie była normalna ręka, nie wiedziałem wtedy, co to było - powiedział drżącym głosem.

- To nie ja. To nie ja. Ja tylko robiłem, co mi kazano.

- Feeler! - warknął Bannaman. - Opanuj się! O nic się ciebie nie oskarża.

- Nie?

- Nie!

- Ależ właśnie oskarża się! - przemówił sędzia. - Będziecie oskarżeni o współudział w morderstwie na osobie Gabriela Roystana, urzędnika huty w hrabstwie Langley.

- Ja? Nie! Wszystko powiem - skamlał Feeler. - Ja tego nie zrobiłem. Robiłem tylko to, co mi kazano. Zawsze wypełniałem tylko polecenia.

- Czy kazano ci napaść na urzędnika?

- Nie, nie. - Feeler wykonywał ruchy głową świadczące o najwyższej rozpacz. Spojrzał na Bannamana i zaczął błagać: - Powiedźcie panie, że tego nie zrobiłem. Jeden człowiek nie mógłby zrobić czegoś takiego. Pan... pan sam tak powiedział. - Urwał z otwartymi szeroko ustami, a obecni zeszytnieli, nie spuszczać z niego oczu. Wtem ruch w drugim końcu pokoju skierował uwagę wszystkich na Dana Bannamana, który znajdował się właśnie po drugiej stronie biurka i uczynił gest, jakby miał wysunąć szufladę. Sędzia wymówił jedno tylko słowo: - Konstabl!

Dwaj mężczyźni rzucili się do przodu i wytrącili pistolet z dłoni Bannamana. W szamotaninie, która się potem wywiązała, Bannaman wykazał siłę czterech mężczyzn. Jednego z konstabli powalił na plecy i już miał to samo zrobić z drugim, kiedy barczysty urzędnik sądowy skoczył do przodu i znalazłszy się za Bannamanem, oplótł go ciasnym uściskiem, zmuszając do puszczenia konstabla.

W tej samej chwili wydarzyło się coś dziwnego, co sprawiło, że wszyscy obecni skamienieli. Nawet pierwszy konstabl, który dźwigał się z podłogi, przytrzymując się krawędzi biurka, zastygł w połowie drogi i patrzył na wykrzywioną cierpieniem twarz człowieka, z którym przed chwilą stoczył walkę. Ciałem Bannamana targnął spazm, który zgiął go wpół, z rękami zastygniętymi jak dwie wielkie płetwy na ramionach

pełnomocnika. Głowa skrzyła się w bok, usta otworzyły szeroko i wysunął się z nich język.

- Dobry Boże! - Pan Mulcaster ruszył na pomoc osłupiałemu pełnomocnikowi.

- Proszę go położyć - zawołał. - To apopleksja. Musi pan zawołać lekarza. Co teraz? Co teraz?

Sędzia zwrócił się do jednego z konstabli: - Idźcie i zwołajcie służącą albo jego żonę. - Omiótł oczami pokój i patrząc na Hala, spytał: - Gdzie jest ten leśnik?

Hal rozejrzał się dookoła, po czym popatrzył na Roddy'ego, którego wcześniej usadowił na krześle. Roddy odpowiedział po prostu: - Odszedł. Musiał się wymknąć. Ale nie ucieknie daleko, jest zbyt dobrze znany w okolicy. - A gdy Hal biegiem ruszył ku drzwiom, zawołał za nim słabym głosem: - Dokąd idziesz?

- Dopadnę go - odparł złowieszczo Hal. - Nie ujdzie daleko. - Wybiegł, zostawiając otwarte drzwi, przez które Roddy zobaczył dwie kobiety biegnące korytarzem.

Kiedy znalazły się w pokoju, stanęły jak wryte na widok ciała skrzyconego na podłodze. Pani Bannaman poruszyła się pierwsza i podbiegła do męża. Córka podeszła doń nieco wolniej, zatrzymując się w pół drogi obok Roddy'ego, który stał, trzymając się oparcia krzesła. Ogarniał ją wzrokiem pełnym głębokiego żalu, lecz płomień jego uczucia zgasł, gdy wycedziła: - Szumowiny! Ty i tobie podobni, wszyscy jesteście szumowinami. Bez względu na to, co zrobił, nie byłbyś godny być jego lokajem. Gdyby mój brat był tutaj, kazałabym mu kopniakami wyrzucić cię z tego domu.

Każde słowo tej zacieklej napaści było dla niego jak cios, nie tylko dla duszy, ale i dla osłabionego ciała. Poczł przez chwilę, że wraca cierpienie towarzyszące gojeniu się ran po brutalnym pobiciu, kiedy to krzyczał głośno z bólu i płakał jak dziecko.

Przyglądając się jej, jak podeszła i ukłękła na podłodze obok matki, zadawał sobie pytanie, czy naprawdę kiedyś kochał tę kobietę, która teraz wyglądała jak obłąkana. Odpowiedź brzmiała: tak, kochał. Była córką mordercy, człowieka, który mordował wiele razy, i ośmielała się wyzywać go od szumowin i stawiać ojca ponad nim. Narastała w nim nienawiść równa jej nienawiści do niego.

- Siadaj - powiedział Hal, ostrożnie sadzając go na krześle. - Masz dość. Lepiej cię stąd zabierzemy.

Popatrzył w górę na Hala i przeszło mu przez skołatana głowę, że byli niczym bracia, którzy stracili swych ojców jednej nocy. W pewnym sensie była to prawda - ich ojcowie zostali pogrzebani tej samej nocy. Gorycz Hala przerastała jego gorycz, może dlatego, że Hal wycierpiał więcej. Wcześniej tego ranka Hal powiedział: - Chcę widzieć, jak zawiśnie. Nie znam spokoju, dopóki nie zobaczą obydwu na szubienicy.

- Znalazłeś go? - spytał łagodnie Roddy.

- Nie, wywinął się. Wziął konia i pojechał. Ale nie ujedzie daleko. Nie martwię się. Dopadnę go jeszcze wcześniej niż oni. - Złowieszczy ton głosu Hala sprawił, że Roddy'ego przeszył dreszcz. Hal był dziwnym człowiekiem, głęboko kochał, ale równie głęboko umiał nienawidzić.

Sędzia indagował żonę Bannamana: - Kiedy wróci pani syn, pani Bannaman?

- Dziś po południu - odparła kobieta.

- Przykro mi, że muszę nalegać w tej sprawie, mimo stanu, w jakim znajduje się pani mąż - w głosie sędziego brzmiało współczucie dla tej kobiety. - Niestety poborcy będą chcieli przeszukać ten dom. Mam nadzieję, że pani odniesie się do tego ze zrozumieniem.

- Nie, nie rozumiem - padła odpowiedź ledwie słyszalnym, nabrzmiałym łzami szeptem.

- Ja rozumiem - wtrąciła córka. - Może pan szukać, gdzie pan chce, bowiem nie może pan mu już nic więcej zrobić. Jeśli nawet przeżyje, nie będzie pan mógł go oskarżyć. Nie może już pan bardziej zaszkodzić ani jemu, ani nam. Chodź ze mną, mam - dodała. Trzymając matkę pod rękę, wprowadziła ją z pokoju.

Spoglądając za nimi, Hal wycedził przez zaciśnięte zęby: - Mylisz się, panienko. Przekonasz się, że jeszcze wiele więcej można zrobić. Skończysz z nosem w błocie, a ja się będę temu przyglądał. Oby prędko nadszedł ten dzień.

Roddy zwiesił głowę i przez chwilę żałował w głębi serca, że odzyskał pamięć.

9

Mary Ellen aż kipiała od zniecierpliwienia i gniewu. Jej pani celowo znalazła dla niej pracę, która zajęła jej dużo więcej czasu, i wychodne opóźniło się przez to. Na dodatek koszyk, który ze sobą niosła, był o połowę lżejszy niż zwykle. Nigdy nie myślała, że jej dobra, aczkolwiek postrzelona pani mogłaby być mściwa, lecz kiedy rozstrzygnęła się przyszłość Roddy'ego i wypuszczono go na wolność, pani Davison zaczęła się dziwnie zachowywać.

Minęły z górą trzy tygodnie od czasu, kiedy znaleziono ciało ojca Hala, a okolica ciągle jeszcze nie mogła powrócić do normalności. Miejsce to roiło się całe dni od ludzi, którzy pragnęli koniecznie opisać tę historię. Podobno niektórzy przyjechali aż z Londynu. Pani Davison określiła to jako głupstwa, ale nie można było nazwać głupstwem tego, że wielu przybyszów krążyło wokół chaty Kate, chcąc porozmawiać z Roddym. Żurnaliści szukali także Hala, ale nie było go tak łatwo zastać, gdyż przeczesywał wzgórze w poszukiwaniu Patricka Feelera. Pożyczył nawet konia. Od dnia, w którym Bannaman miał atak apopleksji, słuch o leśniku zaginął. Co do Bannamana, ludzie mówili, że litościwy los zesłał na niego tę chorobę, inaczej bowiem czekałby go strycek. Nie mógł mówić ani się poruszać, a jego dni były policzone.

Koło farmy krążyli dziennikarze i żądni sensacji ciekawscy jakby w oczekiwaniu tej chwili.

Najnowsza plotka głosiła, że właściciele huty zamierzali zrekompensować Halowi stratę ojca. Ile było w tym prawdy, Mary Ellen nie miała pojęcia, chciała więc dowiedzieć się czegoś od Kate.

Przez ostatnie trzy tygodnie nie chodziła ścieżką na skróty wiodącą przez kamieniołom, lecz obierała dłuższą drogę bokiem gościńca. Bała się tego miejsca, gdzie znaleziono ciało. Dzisiaj jednak nie wahała się, pragnienie dowiedzenia się czegoś o Roddym przewyciężyło jej obawy. Weszła na ścieżkę i szła po nierównościach, pomiędzy dziurami i rozkopami, gdzie leżały powyrywane drzewka.

Ludzie już przestali przychodzić do kamieniołomu, żeby się pogapić. Nie zobaczyła nikogo z wyjątkiem samotnej sylwetki, stojącej nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Nie była zaskoczona, gdy podeszła bliżej i odkryła, że to Hal. On także nie wydawał się zaskoczony tym spotkaniem. Kiedy podeszła do niego, powitał ją cichym: - Witaj! - Pozdrowiła go również cicho. Przez ostatnie dni żywiła do niego same przyjazne uczucia.

- Mam zamiar położyć tu kamień - powiedział cicho, patrząc na ziemię.

- Myślałam, że on... twój ojciec jest pochowany na cmentarzu.

- Tak. Niemniej położę tu kamień z jednym jedynym słowem: „Niesprawiedliwość”. - Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, dopóki się nie odwrócił i nie wyjaśnił: - Powinni wiedzieć, że taki człowiek jak on nie zrobiłby tego, o co go posadzali. Huta była całym jego życiem. Nie miał innego celu, może prócz mnie. Pamiętam, że był z niej tak dumny, jakby sam był jej właścicielem. Poza tym czym było dwieście siedemdziesiąt gwinei w porównaniu z sumami, które przewoził wcześniej? Miał zwyczaj rozmawiać ze mną o wybiegach, jakie stosował, by ustrzec się przed rabusiami grasującymi w lasach. Mawiał zwykle, że ci są gorsi od rabusiów na gościńcach, bo tamci darowywali ofiarom napadu życie. Ci - nigdy. Bannaman i Feeler nie darowali nigdy nikomu życia. Gdyby miał ze sobą broń, żyłby do dziś, ale on wolał polegać na swoim sprycie.

Patrzyła na niego w milczeniu. Jak dziwnie brzmiało określenie „rabuś” w odniesieniu do pana Bannamana. Ale tak właśnie zaczynał w młodości - znaleziono na to dowód - zgromadzone łupy w sekretnej skrytce w piwnicy. Była ona czymś w rodzaju tunelu wykopanego pod domem Bannamana.

- Znaleźli Feelera? - Spytała głównie po to, by oderwać Hala od jego czarnych myśli.

- Jeszcze nie, ale go dopadną... albo ja to zrobię. Jest cały czas w pobliżu. Czuję jego zapach w powietrzu. - Pokiwała głową, odwrócił się i ruszył, a ona podążyła za nim.

Jakiś czas szli w milczeniu, dopóki się nie potknęła. Wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać. - Nie powinnaś chodzić tędy sama, to nie jest bezpieczne - odezwał się.

- To droga na skróty, a jestem już spóźniona. Pani mnie zatrzymała.

Znowu zapadła cisza, ale przy rozwidleniu ścieżek Hal zatrzymał się. - Nie wybieram się do Kate, właściwie dopiero stamtąd wyszedłem - powiedział. - Przygotuj się na złe wiadomości. To znaczy - wzruszył ramionami - przynajmniej dla ciebie będą one złe.

- Co masz na myśli? Co się stało?
- On wyjeżdża.
- Roddy? Nie czuje się jeszcze dobrze.
- Wystarczająco dobrze.
- Dokąd jedzie?

Dolna szczeka Hala poruszyła się nerwowo. - Na początek do Newcastle - odparł. Jego nowi przyjaciele przyjechali w tym tygodniu z czymś, co nazywają planem kariery. Roztoczyli przed nim wizję Newcastle - opłaconej tam nauki, a potem, kto wie, może Londyn, może cały świat? - Głos jego zabrzmiał goryczą, gdy ciągnął dalej: - Mówili tak górnolotnie, zachowywali się jak bogowie, a on połknął przynętę. To życiowa szansa, powiada. Nie zważa na to, że zostawia Kate - ruchem głowy wskazał Mary Ellen - i ciebie. - I dodał z jeszcze większą goryczą: - Jeśli o mnie idzie... Cóż, mógłbym w ogóle nie istnieć. Jakbym przeleżał ten czas ze swoim ojcem i dopiero co pojawił się w jego życiu. Powiadam ci, Mary Ellen, jedną z dwóch rzeczy, na których mi w życiu zależało, było oczyszczenie imienia ojca. - Tej drugiej rzeczy nie wspomniał. Zamiast tego powiedział, że szczerze pragnąłby, by Roddy nigdy nie odzyskał pamięci. Tak go to odmieniło.

Choć ta hiobowa wieść przeniknęła całe ciało Mary Ellen bólem, rozgoryczenie Hala było tak silne, że na chwilę zapomniała o sobie. - Ależ on darzy cię wielką przyjaźnią - zawołała. - Zawsze tak było, wiesz o tym, przynajmniej powinieś. Często odtrącał moje towarzystwo, żeby pójść z tobą na spacer czy na ryby.

- Nie, Mary Ellen, to ja odtrącałem twoje towarzystwo, żeby pójść z nim, wiesz, że to prawda. W dzieciństwie byliśmy głupcami, zżeranymi przez pragnienia i marzenia, na które nie ma miejsca w prawdziwym życiu. Temu właśnie trzeba

stawić czoło - prawdziwemu życiu. Kiedy kończymy dwadzieścia lat, stajemy twarzą w twarz z życiem. Myślimy, że jesteśmy dorośli, kiedy w wieku dziesięciu lat zaczynamy pracować, i to przekonanie umacnia się w nas, kiedy mamy lat szesnaście czy siedemnaście. Ale nie jesteśmy przygotowani na to, co ma przyjść. Myślę nie o ciele, lecz o zmianach w sposobie myślenia. Kochamy mocniej, nienawidzimy głębiej i przekonujemy się, że cała moc pragnienia na świecie nie da nam tego, czego chcemy. Widzę to tak, Mary Ellen, że życie jest jak paczka zawiązana sznurkiem. Niektórzy nigdy nie zaznają pokusy, by odwiązać sznurek, i żyją w pudełku, w którym przyszedł na świat, aż do dnia śmierci. Dla innych pudełko się odwiązuje i ukazuje przed nimi ich życie. Chcą czy nie chcą, stają przed tym. Ty, Mary Ellen, jeszcze nie otworzyłaś swojego pudełka. I nie patrz na mnie w ten sposób. Jeśli teraz nie wiesz, do czego zmierzam, dowiesz się któregoś dnia. Przynajmniej miejmy taką nadzieję.

Skinął głową w geście pożegnania, odwrócił się szybko i odszedł. Nie poruszyła się. Patrzyła, jak się oddalał. Był naprawdę dziwnym człowiekiem. Mówił jak kaznodzieja. Nie, poprawiła się, nie jak kaznodzieja, bo to, co powiedział, zapadło w niej głębiej niż słowa jakiegokolwiek pastora. Powiedział, że ona jeszcze nie otworzyła swojego pudełka. Co miał na myśli? Pewnie cierpienie. Chyba nie mogła bardziej cierpieć niż w tej chwili.

Ruszyła znów ścieżką wiodącą do chaty Kate. Czuła, że to, co zrobiła dla Roddy'ego, kazało mu myśleć o niej inaczej. Od tamtej pory miała sposobność widzieć się z nim trzy razy i zawsze był dla niej bardzo miły, nawet więcej niż miły, i rozmawiał z nią szczerze. Nawet napomknął o uczuciach do tej dziewczyny, córki Bannamana. - Musiałem być chyba obłąkany, że tak pozwoliłem owładnąć się temu uczuciu - powiedział. - Dzięki Bogu, to się skończyło. Nigdy więcej. Niektóre lekcje bywają bolesne, ale nauczyłem się czegoś. - Jeśli nie znaczyło to po prostu, że już więcej o niej nie pomyśli, to chyba źle usłyszała.

A teraz wyjeżdża! Boże! Nie zniesie takiej straty! Cóż będzie warte życie, jeśli nie będzie mogła widywać go co niedziela?

Kiedy pchnęła drzwi chatki, zastała obraz niepodobny do tego, który zawsze widywała w niedziele: Roddy nie siedział w dużym fotelu koło kominka, a Kate nie siedziała przy stole, przebierając zioła czy nalewając miksturę z dzbanka do małych buteleczek. Przycupnęła na stołku oparta o kamienną ścianę kominka i przyglądała się, jak Roddy pakuje szkice do teczek. Na podłodze obok stołu leżała wypełniona po brzegi podróżna torba.

Mary Ellen zeszywniała.

- Witaj, dziecko! - odezwała się Kate. Słowa były zwyczajne, lecz jej głos lekko drżał. - Witaj, Mary Ellen - głos Roddy'ego również brzmiał inaczej.

Nie odpowiedziała mu takim samym pozdrowieniem, lecz udając, że nic nie wie o mającym wkrótce nastąpić wyjeździe, spytała: - Co to wszystko znaczy?

Położył ręce na stole i odpowiedział z głupia frant: - Ja... jadę do szkoły.

- Do jakiej szkoły? - Spojrzała mu prosto w twarz, a on, czerwieniąc się, wyjaśnił: - To nie jest taka zwyczajna szkoła. Będę się uczył malować i rysować.

- Ale ty umiesz rysować. - Głos Mary Ellen był oschły.

- Tak sądziłem, dopóki nie ujrzałem prac innych artystów. Teraz wiem, że tak naprawdę jeszcze nie zacząłem. To zdumiewające, co potrafią inni.

- Tak, zdumiewające. - Jej głos był cierpki, a wniosek nasuwał się sam. - A co mam tu robić? Siedzieć na tyłku i być ciężarem dla Kate? - natarł na nią ze złością.

- Nie mów tak, chłopcze. Nigdy nie byłeś dla mnie ciężarem i nigdy nie będziesz, wiesz o tym dobrze.

- Nie jestem dosyć zdrowy, żeby pracować w hucie, więc co mam robić? - przechylił się nad stołem i położył na nim ręce: - Mięśnie mi prawie zanikły. Nie jestem w stanie wykonać dniówki fizycznej roboty, żeby utrzymać się przy życiu. Dzięki temu - poklepał teczkę z rysunkami - dano mi szansę, o jakiej nigdy nawet nie śniłem. Taka okazja trafia się raz w życiu. A poza tym - wyprostował się i zwrócił do Mary Ellen - można by pomyśleć, że udaję się na drugi koniec świata. Jadę tylko do Newcastle. Będę tu w każdy weekend. Będę wyjeżdżał w piątek wieczorem i wracał w niedzielę. To

więcej wolnego niż kiedy pracowałem w hucie. Więc o co tyle hałasu?

- Kto robi hałas? Tylko ty. Gryzie cię sumienie, że wyjeżdżasz. I powiem ci coś jeszcze - gdyby nie było tego, co się wydarzyło i tak byś wyjechał. Znam cię. Zajrzę tu może jeszcze później, kiedy już nikogo nie będzie - rzuciła z wykrzywioną twarzą.

Niemal biegiem wypadła z chaty. Kate wstała, przytrzymując się fotela, i popatrzyła na Roddy'ego. - Idź za nią i pogódźcie się - poleciła ostro.

- Ale... co ja jej powiem?

- Nieważne, co powiesz i tak powiedziałaś za dużo. Idź! Zrób to dla mnie.

Niechętnie wyszedł z chaty, zapinając po drodze palto. Zobaczył, że biegnie i jest już dość daleko. - Mary Ellen! Mary Ellen! Zatrzymaj się na chwilę. Proszę cię.

Zwolniła kroku i zatrzymała się. Zadyszał się, nim do niej dobiegł. - Diabeł cię opętał. Nigdy się nie zmienisz. Dlaczego musiałaś pożegnać się ze mną w taki sposób? - patrzył na jej pochyloną głowę.

Nie widział jej twarzy, bo zakrywało ją rondo kapelusika. Położył jej rękę na ramieniu. - Nie żegnajmy się tak, Mary Ellen - powiedział. Sprawiasz mi tym przykrość, bo tyle jestem ci dłużny. Nigdy nie zapomnę, że obok Kate, ty byłaś jedyną osobą, która wyciągnęła do mnie pomocną dłoń. Gdyby nie ty, Bóg jeden wie, gdzie byłbym w tej chwili. Jestem ci bardzo wdzięczny, głęboko, serdecznie wdzięczny.

Uniosła powoli głowę. Wyraz jej twarzy się zmienił, oczy miała wilgotne, a usta jej drżały. - Przykro mi Roddy, lecz miejsce to nie będzie już takie samo bez ciebie. Byłeś tutaj zawsze, jak... - nie chciała powiedzieć "jak brat". - Nigdy sobie nikim innym nie zaprzętałam głowy, tylko tobą. Wiesz, że nigdy. Będę... będę za tobą tęskniła.

Zbliżył twarz do jej twarzy, mówiąc przy tym łagodnie: - Ale wystarczy, że przyjdiesz w niedzielę, Mary Ellen, a będę tutaj, będę przyjeżdżał co tydzień. Niedługo jarmark, a ty poprosisz panią, żeby ci dała wychodne w sobotę. Wybierzemy się tam razem. Jak ci się to podoba?

Uśmiechnęła się. Kiedy chłopak zabierał dziewczynę na jarmark, to coś oznaczało.

- Powiem jej o tym już dziś. Będzie miała czas oswoić się z tą myślą. Nigdy nie miałam całej soboty wolnej - odpowiedziała.

- Kiedy to jest? Za trzy tygodnie czy za miesiąc?

- Za miesiąc.

- A więc obiecuję - wyprostował się i pokiwał głową.
- Będę siedział u Kate, jakbym nigdy nie wyjeżdżał. I będę ci miał wiele do opowiedzenia. Dobrze, Mary Ellen?

- Dobrze, Roddy. Mam nadzieję, że wszystko ułoży się po twojej myśli. - Pokraśniała cała i pogodnie dodała: - Czy to dobrzy ludzie, ci, do których się wybierasz?

- Bardzo mili. Mam pokój na samej górze. To duże poddasze, gdzie mogę pracować, mam tam łóżko i wszystkie rzeczy. Okno wychodzi na rzekę. Tyle po niej płynie statków i barek. I tylu ludzi jest w mieście. Zastanawiasz się, skąd ich się tylu nabrało. To zupełnie inny świat niż ten, który znasz, Mary Ellen - zatoczył ramieniem szeroki krąg. - Tu nie wiemy nawet, czy żyjemy.

Chciała mu przerwać szorstko: - Dobrze wiemy, że żyjemy, i to mocno żyjemy, jeśli wziąć pod uwagę troski i ból. Ludzie dookoła dobrze wiedzą, że żyją. Należeli do nich jej zmarli przedwcześnie rodzice. Ojciec długo zmagający się z chorobą, której nabawił się w hucie, czerpał życie z każdym wdechem. I Lance Ritson, który umarł w zeszłym tygodniu, zostawiając chorą żonę z siedmiorgiem dzieci. Wszyscy oni dobrze wiedzieli, że żyją, bo życie dobrze dało im się we znaki.

Zdołała jednak powstrzymać swój język i zdobyła się na uśmiech.

- Teraz wszystko już dobrze, prawda? - ujął w ręce jej dłoń.

- Tak, Roddy.

- Do zobaczenia.

- Bywaj, Roddy. Uważaj na siebie.

- Ty też.

Pożegnali się, z trudem odrywając od siebie spojrzenia. Mary Ellen poszła dalej w swoją stronę, a on wrócił wolnym krokiem do chaty.

10

Musiała oburącz przytrzymywać kapelusz, walcząc z porwistymi podmuchami wiatru. Był to jednak przyjemny wiatr, odświeżał powietrze. Słońce świeciło jasno, niebo było bezchmurne. Góry jak okiem sięgnąć pokryte były kobiercami żółci, czerwieni i brązu, z przewagą brązu w ciepłych, jasnych odcieniach. Czuła jak krew w niej szybciej krąży, kipi wprost życiem, szczęściem i wolnością. Czuła się wolna jak nigdy przedtem. Co więcej, czuła, że należy do tego jedyne go na całym świecie, do którego należeć pragnęła. Szedł przy jej boku i śmiał się do niej.

Roddy dotrzymał słowa. Nie widziała go przez dwa tygodnie i już straciła wątplą nadzieję, że pamięta o danej obietnicy. Lecz wczoraj wieczorem Kate przekazała wiadomość przez Paula Fowlera. Nadłożył drogi, wracając ze swojej zmiany, i powiedział, że Mary Ellen musi przyjść do Kate wcześniej, jeżeli chce się dostać do Hexham furmanką.

Wcześniej - oznaczało wyjście z farmy najpóźniej o dziesiątej. Choć pani parę tygodni temu przystała na zmianę wolnego dnia z niedzieli na sobotę, nagle zmieniła zdanie mówiąc, że jest dużo pracy i Mary Ellen nie może wyjść przed dwunastą.

Mary Ellen prawie płakała ze złości, ale zawiązała sobie język na supeł. To widocznie udobruchało nieco panią, bo pozwoliła jej wyjść już o jedenastej, wiedząc bardzo dobrze, że i tak będzie za późno na zabranie się jakimkolwiek wozem do Hexham. Kiedy Mary Ellen opuszczała farmę wystrojona w pierwsze w życiu białe bawełniane rękawiczki, które kupiła w zeszłym tygodniu od domokrażcy, pani Davison pożegnała ją przepowiednią: - Nic dobrego z tego nie wyniknie, dziewczyno, z paradowania z chłopakiem na oczach Pana Boga i dobrych sąsiadów. Narazasz na szwank swoją reputację.

Kate odpowiednio wyraziła się o żonie farmera, lecz Roddy się nie zmartwił. - Pójdziemy do Allendale - powiedział. To będzie wspaniały spacer w taką pogodę jak dziś.

Mary Ellen wołałaby wprawdzie, żeby pojechali do Hexham, gdyż od momentu zajęcia miejsca na wozie byłiby

otoczeni przez ludzi, podczas gdy tutaj, na otwartej przestrzeni, nie było żywego ducha oprócz mężczyzny obok niej i szarych plamek pasących się w oddali owiec. Czuła się niemal jak w niebie. Nie miała nawet Roddy'emu za złe, że tyle opowiadał o Newcastle i swoich nowych przyjaciółach, bo mówił do niej tak, jakby chciał, żeby wiedziała wszystko o jego nowym życiu i, jak sądziła, po to, by pozbyła się obaw, że ma jakiegokolwiek inne zainteresowania oprócz swoich rysunków.

- Myślałam, że lubisz mieszkać nad wodą - wykrzyknęła do niego.

- Tak, lubię. To cudowne. Ale cały czas panuje tam hałas i ruch, więc kiedy pan Cottle zaofiarował mi pokój w swoim domu, przystałem na to z radością. Pan Cottle jest portrecistą.

- Myślałam, że to on mieszka na nadbrzeżu, gdzie zajmowałeś poddasze, że to on maluje statki i martwą naturę.

- Nie, to pan Beale. Jest już zawodowym malarzem i lubi ruch. Kiedy dopiero zaczynasz się uczyć, musisz mieć spokój, jakiego na nadbrzeżu się nie znajdzie.

- Chciałabym zobaczyć nadbrzeże.

- Zabiorę cię tam któregoś dnia.

- Zabierzesz, Roddy?

- Tak, na pewno.

Mary Ellen zatrzymała się. Podniosła znów dłonie, żeby przytrzymać kapelusz. Przyglądała się Roddy'emu. Spojrzenie miał szczere i wyraziste. Proste brwi były tak czarne, jak włosy wyglądające spod czapki. Jego skóra o ciemnej karnacji zarumieniła się lekko na policzkach. Rumieniec objął także błękitną smugę ogolonego zarostu. Był przystojny. Daleko więcej niż przystojny, był piękny. Po tym okropnym wypadku stracił sporo ciała, ale to sprawiało wrażenie, że zrobił się wyższy. Był po prostu piękny.

- Kiedy mnie zabierzesz?

- Och! - otworzył usta i roześmiał się. Wszystkie zęby miał całe i zdrowe. - Kiedy tylko ten potwór w spódnicy da ci cały dzień wychodnego, zabiorę cię dyliżansem.

- Dyliżansem?

- Tak, chyba że wolisz pójść tam na piechotę.

Zawtórowała mu śmiechem. Odwróciła się od niego i pobiegła, a spod jej stóp rozpryskiwały się kamyki. By móc

unieść przeszkadzającą jej w biegu spódnicę, puściła kapelusz, który natychmiast sfrunął jej z głowy. Odwróciła się, by zobaczyć, jak Roddy podnosi go z ziemi. Kiedy podszedł, nie wyciągnęła rąk, bo chciała, żeby sam go włożył na jej głowę, lecz tego nie zrobił. Wręczył dziewczynie kapelusz.

- Ile miałaś w nim szpilek? - zapytał.

- Dwie.

- Muszę cię zmartwić - zgubiłaś jedną.

- Ojej! - Uśmiech zniknął jej z twarzy. - Pani dała mi je w prezencie na gwiazdkę. Będzie się gniewać. - Nic pewniejszego, niż to, że nigdy jej nie odnajdziesz - wskazała ręką trawę. - Któregoś dnia ktoś tu usiądzie i się na nią nadzieje.

Znowu się roześmieli, tym razem głośno, wyobrażając sobie tę scenę. Nigdy przedtem nie widziała Roddy'ego w tak doskonałym humorze. Z natury raczej melancholijny, nigdy nie był skory do żartów. Ale coś go odmieniło. Wszystko w nim było inne, nawet jego zachowanie wobec niej stało się cieplejsze. I kiedy, idąc obok, wziął ją za rękę, wiedziała, że ten dzień jest początkiem czegoś cudownego, co wypełni jej życie aż do śmierci.

Uczucie to nie odstępowało jej dopóty, dopóki nie doszli do Allendale. Rynek był zatłoczony. Z wnętrza gospód, przed którymi stało wiele powozów, dobiegały odgłosy śmiechu i kłótni, bo połowa mężczyzn była już pijana.

- Och, Boże, zapomniałem o tym - rzekł Roddy. - Wczoraj był dzień wypłaty. Wszyscy splukują się z pieniędzy. Czeką nas nie lada zadanie: znaleźć miejsce, gdzie będziemy mogli usiąść i coś zjeść. Najpewniej uda się nam tylko coś przegryść na stojąco, jakiś placek z grochem.

- To mi wystarczy. Jestem tak najedzona, że mam dosyć na cały tydzień. Trzeba przyznać mojej pani, że nigdy nie skąpi jedzenia.

- Masz więc dużo szczęścia. - Wziął ją pod ramię i poprowadził, omijając grupę kobiet, farmerskich żon, sądząc po strojach i trzymanyh przez nie koszykach, w stronę odległego krańca rynku, gdzie był kram z ciastami. Nie przeszli nie zauważeni i Mary Ellen poczuła rodzaj wzbierającej w niej dumy, bowiem różni ludzie pozdrawiali ich, pytając:

- Jak idzie, Roddy?

- Z powrotem na starych śmieciach?
- Dobrze wyglądasz.
- Jak się żyje w wielkim mieście?

Na wszystko odpowiadał uśmiechem i pozdrawiającym gestem dłoni, dopóki nie stanęli jak wryci na widok Hala. Przerwał rozmowę, którą prowadził z dwoma mężczyznami, i zmierzył ich spojrzeniem. - No proszę! Wyglądacie jak ludzie nie z tego kraju. Przyszłaś przepuścić swoją wypłatę? - Pytanie było skierowane do Mary Ellen, lecz odpowiedział na nie ze śmiechem Roddy. - A, tak. Ma zamiar mnie nakarmić grochem, ciastem i kufelkiem piwa. Zajrzałem do ciebie dziś rano, ale nie było po tobie śladu - dodał, już teraz poważnie.

- Nie było mnie, bo załatwiałem sprawy ojca. - We trójkę zmierzali do kramu, ale gdy padły te słowa, przystanąli jednocześnie.

- Człowieku! - powiedział Roddy. - Ten, którego szukasz, jest teraz mile stąd. Najpewniej wybrał się w podróż statkiem za morze.

- Nie, nie on. - Źrenice Hala zwężyły się, gdy patrzył ponad głowami tłumu zapełniającego rynek. - Nie, nie miałyby odwagi - powtórzył. - Jest gdzieś w pobliżu. Czuję jego smród w powietrzu. Ktoś go ukrywa i nie jest to jego żona ani córka, co do tego się upewniłem. Przy okazji - popatrzył na Roddy'ego - wiesz, że Bannamanów wyrzucono wczoraj nie stosując żadnej taryfy ulgowej?

- Nie - odparł obojętnie Roddy.

- Tak. - Hal uśmiechnął się ponuro. - Tak bardzo chciałem to zobaczyć, że wzięłem tego dnia drugą zmianę. Po tym jak znaleziono dowody w piwnicy, a poborcy zatrzymali, co tylko mogli, niewiele zostało dla rodziny. Biżuterię przekazano do Newcastle, skąd pewnie będą próbowali ją odzyskać. Cały dobytek, sprzęty przewieziono do Newcastle na licytację. Farma zostanie wystawiona na sprzedaż w przyszłym tygodniu. Za to odjechali powozem wszyscy - matka, syn i córka. Nawet rozmawiałem z nią. Wychyliła się z okna i wrzeszcząc jak stara jędza, przestrzegała mnie: - Wrócimy tu. Zapamiętaj sobie, wrócimy tu! - Wrzasnąłem równie głośno: - Nie wątpię! Na gościńcu z Newcastle do Edynburga złodzieje zawsze świetnie się obławiają!

Od tej chwili jakby zły urok padł na ten dotąd radosny dzień. Mary Ellen stała ze spuszczoną głową, a z twarzy Roddy'ego znikła cała radość. - Co się stało, to się nie odstanie - powiedział posępnym głosem. - Nie możesz wskresić umarłego. Nie tylko ty straciłeś ojca. Pamiętaj o tym.

Hal wydał usta i powtórzył: - Tak, pamiętam. - I ochryple ciągnął dalej: - Ale ja jeden żyłem ze złodziejskim piętnem ojca. Gdyby ojca złapano na kradzieży i powieszono, byłbym synem kogoś w rodzaju bohatera. Lecz tak nie było, mówiono, że uciekł z kraju, zabierając pieniądze. Tego nie można wybaczyć. Ale pewnie już słyszeliście, że mam dostać rekompensatę - w głosie Hala zabrzmiała udawana radość: - Mam stawić się w Newcastle w przyszłą środę i podobno zostaną wynagrodzony za cierpienia dzieciństwa, za niesłuszne napiętnowanie mojego i mego ojca imienia. Jak myślicie, ile dostanę? Zgadnijcie.

- Ilekolwiek by było, mam nadzieję, że cię to zadowoli.

Sztuczny uśmiech na twarzy Hala zastąpiła ponura mina, a w jego głosie zabrzmiała tłumiona złość: - Wiesz co, Roddy? Myślę, że tobie wszystko jedno, co stało się z twoim ojcem. Z tego, że odzyskałeś pamięć, skorzystała tylko twoja skóra. Nic byś nie zdziałał, gdyby nie ona - gwałtownym gestem wskazał Mary Ellen. - Biegła tu jak kot z pęcherzem, żeby cię uratować i jaką odebrała nagrodę? Kate także, jeśli już o tym mowa, i wszyscy inni? Chwyciłeś się pierwszej sposobności, żeby od nas uciec i zamieszkać w Newcastle z nowymi wytwornymi przyjaciółmi. Ale czy pomyślałeś, co się stanie, jeśli nie spełnisz pokładanych w tobie nadziei? Wiesz tak samo dobrze jak ja, że to nie Bóg pobłogosławił cię talentem. Inni też, gdyby dać im trochę czasu, mogliby ci dorównać a nawet cię prześcignąć.

- Tak, masz rację, być może. - Twarz Roddy'ego pociemniała w równym stopniu co twarz jego oskarżyciela. - We wszystkim, co powiedziałeś, masz rację, oprócz jednego: że nie myślę o ojcu. Myślałem o nim równie często jak ty o swoim, a może nawet częściej, tyle że nie otwierałem na ten temat gęby tak często jak ty. Żałuję, że odzyskałem pamięć, bo przynajmniej milczałbyś jak dawniej. Teraz

najwyraźniej nie możesz utrzymać języka za zębami. A jeśli chodzi o rzekomą niewdzięczność wobec tych, którzy mi pomogli - Kate i przede wszystkim Mary Ellen - to nic nie wiesz. Czas pokaże, jak bardzo to doceniam.

Gdy skończył, obaj patrzyli na siebie ponuro, jakby nigdy nie byli przyjaciółmi. Przed odejściem Hal westchnął głęboko. - Ech! Do diabła z tobą! Słyszysz? Zjeżdżaj do diabła! - zawołał.

Przepychał się gwałtownie przez tłum, potrącając przy tym ludzi. Nie miała śmiałości spojrzeć na Roddy'ego, chociaż jego ostatnie słowa zdawały się potwierdzać jej nadzieje. Opanował ją smutek, że dwaj ludzie, niegdyś sobie bliscy jak rodzeni bracia, mogli tak skakać sobie do gardła. Chociaż zawsze miała Halowi za złe jego obecność, zrozumiała, że mimo tego, że był już dojrzałym mężczyzną, potrzebował kogoś bliskiego. Oczyszczenie z zarzutów imienia ojca nie pomogło - nadal wypełniała go gorycz, a tego Mary Ellen nie potrafiła pojąć. Ale nie miało to znaczenia, gdyż jedynym mężczyzną, który liczył się w jej życiu, był Roddy. W pewnym sensie złożył publiczną obietnicę, że wynagrodzi jej to wszystko, co dla niego uczyniła. Nie pragnęła nagrody za ocalenie przed deportacją, ale za wszystkie bezsenne godziny, za tęsknoty i pragnienia. I to się spełni. To właśnie powiedział Roddy.

11

Następnej niedzieli Mary Ellen, pełna podniecenia, biegła przez wzgórza. Czuła się jakby podążała na swoje wesele. I podobnie jak pannie młodej, czekającej na oblubieńca w welonie, serce zabiło jej rozczarowaniem, gdy weszła do chaty Kate. Od razu zapytała: - Czy wyszedł?

Kate siedziała przy stole, tnąc korzenie na deseczce i przywitała Mary Ellen uśmiechem, który rozciągnął jej zasuszoną twarz. Zachowywała się, jakby nie dosłyszała pytania: - Ależ ponury dzień. Tak zimno, że można zamarznąć na kość.

Mary Ellen weszła i stanęła po drugiej stronie stołu. Nie postawiła koszyka, lecz trzymała go oburącz, przyciskając do brzucha. - Gdzie on jest? - spytała, tym razem bardzo stanowczo.

Kate przerwała siekanie korzeni i przechyliła się na krześle.

- Gdzieś w Londynie, o ile dobrze zrozumiałam - wymruczała.

- W Londynie? - Słowa wydobywały się z trudem z gardła Mary Ellen. Kate westchnęła, bo dziewczyna była dla niej jak dziecko, nawet bardziej niż Roddy. Więcej ze sobą rozmawiały i były ze sobą szczerze.

- Rozbierz się i usiądź - powiedziała łagodnie.

Mary Ellen usłuchała jak zamroczona, powoli przyciągnęła krzesło do stołu i siadła naprzeciwko Kate. - A więc był tutaj? - zapytała spokojnie.

- Tak, ale nie dziś ani wczoraj. Przyjechali we wtorek bardzo wcześnie dyliżansem Mains Diligence. Z Newcastle wyruszyli o szóstej rano. Wysiedli w Hexham, a stamtąd wynajęli dwukólkę od jednego z pocztylionów, ale nie ruszyli, zanim nie zjedli dobrego śniadania w oberży. Tak mi powiedziała.

- Powiedziała?

- A tak. Jego nowi chrzestni rodzice, czy coś w tym rodzaju, przyjechali razem z nim. - Z nutą gorzkości dodała: - Widocznie ten człowiek, nazwiskiem Cottle, chciał zrobić tu parę szkiców, a to była dobra sposobność. Ona też się tym zajęła. Narysowała chatę z zewnątrz.

- Czy jest stara?

Kate zaatakowała nożem swoje korzenie, mówiąc: - Nie, nie taka znów stara.

- Ile ma lat?

- No - zastanawiała się Kate - może ze trzydzieści. Ale on był o wiele starszy, mógłby być jej ojcem. - Mary Ellen milczała przez chwilę. Trzydzieści lat. - Jak wyglądała? - spytała.

- Ee, tam. - Kate znów zaatakowała ostrzem noża białą masę na deseczce, jakby miała z nią na pieńku, i odpowiedziała: - Nie przyglądam się dokładnie ludziom. Nie marnuję oczu na rzeczy, które nie mają żadnego znaczenia.

Nieomal podskoczyła na krzesło, kiedy Mary Ellen złapała ją za nadgarstek i zawołała: - Ale to ma znaczenie. Wiesz, że ma znaczenie, przynajmniej dla mnie, Kate.

- Boże miłosierny! - Kate popatrzyła na nóż, który wypadł jej z ręki. - Mogłaś mi odciąć palce. Ten nóż jest ostry jak brzytwa. A wówczas farmer Yates ryczałby na mnie równie głośno jak jego byk, bo nie mogłabym już zrobić proszku z kurzego ziela, żeby przepłukać wnętrzości jego zwierzętom. Muszę to robić, używając siły moich palców, ale do tego muszę mieć palce.

- Przepraszam. Ale wiesz, o co mi chodziło.

Kate szurnęła krzesłem po kamiennej podłodze. Podniosła się i podeszła do półek zajmujących trzecią część ściany. Wzięła stamtąd mały słoik, wróciła do stołu i poczęła nakładać do niego łyżeczką biały proszek z mózdzierza. Kiedy mózdzierz był już pusty, wbrew swojemu zwyczajowi wsadziła tłuczek z powrotem do środka i całość zostawiła na stole obok słoika. Położyła rękę na ramieniu Mary Ellen.

- Musisz przyjąć rzeczy takimi, jakie są, dziecko.

Mary Ellen powoli uniosła głowę podpartą na ręce i spojrzała na starą kobietę. - Nie mogę, Kate. Nie potrafię. Próbowałam, ale nic z tego nie wyszło. Powiedz mi, Kate, jak ta kobieta wygląda? - wyszeptała.

- Dobrze, powiem ci. To wykwinna dama, jej mąż też jest wykwinnym jegomościem. Niepodobni są do artystów, jakimi ich sobie wyobrażałam. Myślałam, że oni wszyscy chodzą z gołymi grzbietami. Jest przystojna, nosi się modnie, jest trochę impertynencka. Może to nie jest dobre słowo. Władcza. Tak, to lepsze. Ona jest głową w tym stadle. Masz moją odpowiedź, ale niech ci nie chodzą po głowie niestosowne myśli. Jest mężatką, pochodzi z wyższych sfer. Dziwi mnie, że mimo to jest artystką. Zawsze myślałam, że artyści zadowalają się kromką suchego chleba. Ale nie tych dwoje, ani też ich przyjaciele w Londynie. Tam właśnie zabierają Roddy'ego, by pokazać mu wystawy i poszerzyć jego wiedzę. Tak powiadają. Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę ci powiedzieć, chociaż może nie powinnam - nieważne jak się wystroi i czego nauczy. I tak będzie odstawał od wyższych sfer, i tak wylezie z niego jego pochodzenie.

Mary Ellen wiedziała, że Kate ma rację, ale to jej nie wystarczyło. - Zostawił dla mnie jakąś wiadomość? - spytała cichutko.

- Tak, zostawił. Nie zobaczycie się przed Nowym Rokiem, ale napisze do ciebie list.

- Powiedział, że napisze list? - otworzyła szeroko oczy.

- Tak powiedział. A dopiero w zeszłym tygodniu mówił, że list z Newcastle kosztuje siedem pensów. Zapytałam, czy ma tyle pieniędzy, żeby je trwonić. Bóg jeden wie, ile będzie kosztował list z Londynu - nie dziwiłabym się, gdyby kosztował nawet szylinga. Tyle pieniędzy przepadnie. Ale list to będzie dla ciebie coś znaczącego, prawda?

- O, tak.

- Zaparzyłam herbaty miętowej. Napijesz się filiżankę?

- Tak, proszę, Kate. - Głos Mary Ellen brzmiał spokojnie. Całe jej ciało utonęło w chwilowej apatii, bo nie było już nic, czego mogłaby wyczekiwać, dla czego warto żyć. Nadzieja trzymała ją na powierzchni przez cały tydzień: jeśli tylko mogliby spędzić ze sobą trochę czasu, może coś by się zdarzyło, może by ją pocałował. Nocami czasem tak dalece puszczała wodze wyobraźni, że niemal czuła dotyk jego ust na swoich. Zasypiała wtedy utulona szczęściem. Nawet dziś rano, kiedy bez końca dźwięczał jej w uszach głos pani, wyolbrzymiającej zalety wnuka i potępiającej niewdzięczne i krnąbrne dziewczęta, trzymała język za zębami. Nawet kiedy pani Davison powiedziała: - Nie potrzebujesz się obawiać, że nie dostaniesz ode mnie weselnego wiana - powstrzymała się od odpowiedzi, że nie wiano się liczy, tylko oblubieniec. Myślała tylko o tym jednym jedynym.

Sięgnęła do koszyka i wyjęła z niego ser i masło. - Och, nie trzeba, mam trochę pieniędzy, żeby kupić co trzeba - rzekła Kate. - Są w tej ścianie - wskazała ręką komin. - Chciałam, żeby je sobie wziął, ale odmówił. Wziął tylko parę funtów na jeden czy dwa prezenty. Niczego więcej nie tknął.

- Jeden czy dwa prezenty - Mary Ellen zeszywniała. Dla kogo? Na pewno nie dla niej. Gdyby miał dla niej jakiś prezent, pewnie by go zostawił.

Kate przerwała jej myśli. - Będziesz zapracowana jak

pszczołka przed świętami. Davisonowie bogato zastawiają stół na Boże Narodzenie, prawda?

- Tak, prawda - powiedziała matowym głosem.

- A ja zjem sobie kurczaka. Kiedy Benny Fowler bije świnię, zawsze przynosi mi trochę żeberek i flaków. Nie lubię zabijania. Czasami się dziwię, dlaczego w ogóle jadam mięso. Można się bez niego obyć. Ale nie mam nic przeciwko temu, żeby czasami zjeść trochę wieprzowiny czy kurczaka. Cóż, napijmy się herbaty. Będzie smakować inaczej niż zwykle, bo dodałam do niej szczyptę rozmarynu. Rozmaryn to bardzo cenne ziele, rzadko rośnie w tych stronach. Farmer Yates przyniósł mi go trochę, kiedy w sierpniu przyjechał od swojego brata. Mieszka daleko stąd, w Lancashire, a rozmaryn rośnie tam u nich na każdym kroku jak chwast. Pamiętał, że jest mi coś winien za to, co zrobiłam dla jego zwierząt. Przyniósł mi więc sporo kwiatów rozmarynu, dosyć, żeby starczyło na dwie butle nalewki. Ale Bóg jeden wie, kiedy go znowu dostanę, bo brat Yatesa umarł. W każdym razie poczujesz się lepiej, gdy to wypijesz, bo rozmaryn przynosi wielką ulgę duszy i ciału.

Mary Ellen wypijała miętową herbatę, która miała tym razem wonną domieszkę, lecz nie poczuła po tym żadnego cudownego polepszenia stanu ducha. Nawet pół godziny później, kiedy otuliła się chustką i pożegnała Kate, magiczna moc rozmarynu nie zdołała ulżyć jej sercu.

Boże Narodzenie nadeszło i minęło, poprzedzając potężne noworoczne obżarstwo i pijaństwo. Następny rok wyglądał tak samo jak poprzedni: padał śnieg, potem nastąpiła odwilż, następnie złapał mróz i przeobraził gościńce w pasma lodu. Potem znów wszystko się roztopiło.

Mary Ellen zdołała dotrzeć do Kate w drugą niedzielę stycznia, obiecanego listu jednak ciągle nie było. Kate mówiła niewiele, oprócz tego, że nie wie, jak przetrzyma tę zimę, bo jej ciało nie trzyma już ciepła jak dawniej.

W trzecią niedzielę, mimo przestróg pani, że nie powinna wybierać się w drogę, bo śnieg wisi w powietrzu, otuliła się ciepło i wyszła. Ledwo znalazła się na drodze, przepowiednia sprawdziła się. Z nieba posypały się pierwsze płatki śniegu. Kiedy zaś dotarła do chaty Kate, śnieg padał gęsty. Otworzyła drzwi i nie wierzyła oczom. Roddy! Przynajmniej tak jej się

zdawało na pierwszy rzut oka, potem nie była taka pewna. Roddy zmienił się bardzo. W rękach trzymał pelerynę, którą zamierzał właśnie na siebie narzucić. Zamiast bryczesów nosił spodnie z beżowej grubej wełny. Ubranie to przypominało strój, jaki zwykli nosić dżentelmeni. Kiedy szybkim ruchem narzucił na siebie pelerynę, weszła dalej, nie spuszczając z niego oczu.

- Witaj. Myślałem już, że cię nie zobaczę - odezwał się. Nie rzekła słowa na powitanie.

- Muszę się pospieszyć - zwrócił się ku małemu okienku - jeśli tak dłużej popada, drogi będą zasypane.

- Już wyjeżdżasz? - spytała cicho.

- Tak, muszę. Powinienem był wcześniej posłuchać rady Kate. - Ruchem głowy wskazał miejsce, gdzie w fotelu siedziała staruszka. - Powiedziała, że zanosi się na śnieg, ale pomyślałem, że wstrzymam się jeszcze trochę, na wypadek gdybyś miała zajrzeć tu trochę wcześniej. Na co patrzysz? Na to? - Powiodł ręką po pelerynie i zaśmiał się zadowolony z siebie: - Jeszcze nie oszalałem, żeby wydać wszystkie swoje pieniądze. To stare ubranie pana Cottle. Jest trochę cięższy ode mnie, więc pani Cottle przerobiła je dla mnie. Nigdy w życiu nie miałem na sobie niczego równie ciepłego. - Zapiął pelerynę. - Przykro mi, Mary Ellen, naprawdę bardzo mi przykro, ale muszę już iść. Kate opowie ci o wszystkim.

Podszedł do Kate i pochylając się nad nią, spytał: - Słyszałaś, co powiedziałem, prawda? - Położył jej rękę na głowie.

- Jakżeby nie, chłopcze. Jeszcze nie jestem głucha. - Te słowa zabrzmiały jak odtrącenie, wyprostował się więc i zwrócił do Mary Ellen: - Uważaj na siebie. Wyglądasz świetnie. Pominęła milczeniem tę uwagę i by go zatrzymać, spytała: - Widziałeś się z Halem?

Potrząsnął głową: - Nie. Przyjechałem wczoraj po południu. Widocznie jest ciągle na swoim polowaniu. Poszedłem do jego domu, ale był zamknięty na cztery spusty, a z komina nie snuł się dym. Doprowadzi się do szaleństwa. Co się stało, to się nie odstanie. Powinna go uradować śmierć Bannamana. Ale on łaknie krwi. To cały Hal.

Kiedy za Roddym zamknęły się drzwi, wydawało się, że zniknął za nimi ktoś obcy. W izbie zapadła cisza. Mary Ellen

stała przy stole, ściskając koszyk obiema dłońmi w rękawiczkach. Z chustki narzuconej na czepek spadały na nie krople stopniałego śniegu. Kate odwróciła się od ognia. - Siadaj dziewczyno. Wyglądasz jakbyś dostała obuchem po głowie - rzekła.

- O jakich to wieściach wspominał?

- Jego przyjaciele wyprowadzają się z Newcastle do Londynu. Chcą go ze sobą zabrać, więc przyjechał wczoraj poradzić się, co ma robić - odparła z rozgoryczeniem. - Dla zachowania pozorów w końcu i tak zrobi to, co będzie chciał. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy: to jest chłopak, mężczyzna, który pójdzie swoją własną drogą. Zrobi to po cichu i możliwie bez hałasu, ale zrobi.

Serce Mary Ellen ciążyło jak ołów. Czuła się tak, jakby właśnie usłyszała, że umarł. Może nawet tak byłoby lepiej, bo wtedy mogłaby o nim myśleć jako o kimś należącym do niej.

- Kiedy wyjeżdża? - zapytała szeptem.

- Na pewno nie wcześniej, niż nadejdzie wiosna, w kwietniu, bo wtedy kończy się coś, co on nazywa semestrem. A i pan Cottle jest związany do tej pory jakąś pracą. Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby to od niego zależało, chyba bardziej od tej kobiety.

Znowu zapadła cisza, w czasie której patrząc na Kate, Mary Ellen zdała sobie sprawę, że nie będzie jedyną osobą cierpiącą z powodu jego odejścia. Był tu jeszcze ktoś, kto opiekował się nim całe jego życie. A teraz ten ktoś był już bardzo stary. Mary Ellen nie miała pojęcia, ile lat ma Kate, nigdy bowiem o tym nie wspominała, ale była pomarszczona jak orzeszek, plecy miała przygarbione, a palce pokrzywione.

Wstała z krzesła i wyjęła z koszyka przyniesione jedzenie. - Muszę już iść - powiedziała. Pochyliła się i pocałowała delikatnie staruszkę w policzek. Kate wyciągnęła rękę i ściskając jej dłoń w powykęcanych reumatyzmem palcach, pożegnała ją łamiącym się głosem: - Do widzenia, drogie dziecko.

Wracając na farmę Davisonów, Mary Ellen rozmyślała: Kate mawiała, że jeśli pomyśli się o czymś z samego rana,

zanim otworzy się oczy, ta rzecz się spełni. Było to w dzieciństwie, kiedy Mary Ellen pragnęła mieć jakąś zabawkę. Przez lata wypowiadała sobie pewne słowa i co jej przyniosły? Nic, oprócz cierpienia. Musi więc je zmienić. Ale czym je zastąpi?

12

Nadszedł maj. Roddy wybierał się do Londynu. To miało być ich ostatnie spotkanie.

Dzień był wyjątkowo ciepły. Wiosna tego roku okazała się niezwykle piękna, choć trochę za sucha, gdyż przez dwa tygodnie nie spadła ani kropla deszczu. Sporo ludzi pochowało już zimowe ubrania, lecz przezorniejsi przestrzegali, żeby nie chować ciepłych okryć, nim nadejdzie maj.

Dłuższy czas szli obok Siebie w milczeniu. To był pomysł Kate, który poddała mu na stronie, by odprowadził Mary Ellen na farmę. Szli ścieżką przez kamieniołom. Poczowała nieodpartą pokusę, żeby zapytać: - „A jeśli ci pokażę, gdzie jest torba pełna złota, czy wtedy zostaniesz?” Jej serce znało odpowiedź, brzmiałaby ona: „To kradzione pieniądze. Trzeba je zwrócić hucie”.

Minęło tyle lat, a ona nigdy nawet nie pomyślała o torbie. Dopiero teraz w ciągu ostatnich, raniących jej serce tygodni, myśli poczęły z uporem krążyć wokół tych pieniędzy. Mogłyby być bogata. Mogłyby kupić sobie kawałek ziemi, tylko jak wytłumaczyć, skąd wzięła na to pieniądze? Chodziło jej też po głowie, żeby otworzyć na rynku w Hexham mały sklepik cukierniczy, bo miała dobrą rękę do pieczenia ciast. Ale to był tylko pomysł, i to bardzo niepewny, właściwie jeszcze jedno marzenie, które nigdy się nie spełni.

Roddy przerwał ciszę. - Nie jadę przecież do Australii, więc nie patrz na mnie z takim smutkiem. Nigdy nie zapomnę, że gdyby nie twoje starania, tam właśnie bym teraz był. - Położył jej rękę na ramieniu. Zatrzymała się i wpatrzyła się w jego twarz w półmroku.

- Och, Roddy.

- Bardzo wiele dla mnie znaczysz, Mary Ellen, zawsze znaczyłaś i będziesz znaczyć - powiedział z czułością. - Musisz o tym pamiętać. Ale... ale...

Kiedy potrząsnął głową, zacisnęła mocno oczy. Odwróciła się od niego i wbiegła pomiędzy niskie zarośla przy ścieżce. Nie zatrzymała się nawet wtedy, kiedy pobiegł za nią, wołając: - Mary Ellen, Mary Ellen, zaczekaj, nie bądź głuptasem! - wołał. - Dobiegła do otwartej przestrzeni, gdzie rzuciła się na porośniętą mchem ziemię. Ukrywszy twarz w dłoniach, zaniosła się niepowstrzymanym szlochem.

Ukląkł przy jej boku i próbował ją podnieść. Leżała jednak sztywno, a całym jej ciałem wstrząsał płacz. Powtarzał więc tylko w kółko jej imię.

Kiedy przestała już płakać, wstała i sięgnęła do kieszeni płaszcza w poszukiwaniu chusteczki. Roddy wytarł jej twarz swoją. - Mech przykleił ci się do policzka - zaśmiał się drżącym głosem. - Wygląda jak broda.

- Roddy, nie wyjeżdżaj. Proszę cię, nie rób tego - wyszeptwała.

- Wiesz, że muszę.

- Roddy - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

- Tak, słucham? - spytał.

- Ja... cię kocham.

- Och, Mary Ellen. To... tylko dlatego, że wychowaliśmy się razem.

- Nie, nie, Roddy. - Utkwiła wzrok w jego twarzy, lecz ponieważ już zmierzchało, a w oczach pełno miała łez, widziała ją jak przez przydymione szkło. Była to piękna twarz, tak piękna, że nie mogła powstrzymać się, by jej nie pogłaskać. Kiedy już trzymała ją w obu dłoniach, wyszeptwała: - Roddy, Roddy. Czy zrobisz coś dla mnie, tylko jedną rzecz, coś, żebym cię zawsze wspominała?

- Wszystko, Mary Ellen.. Co mam zrobić?

Nastąpiła długa przerwa. Ręce zsunęła się mu na ramiona i przylgnęła do niego całym ciałem. - Kochaj się ze mną - poprosiła.

Chociaż poczuła, że jego ciało poczęło drżeć pod jej dotykiem, nie zwolniła uchwytu, lecz znów poprosiła: - Tylko

raz, Roddy. Jeden jedyny raz. Muszę coś mieć, żeby cię na zawsze zapamiętać. Tylko raz. Och, Roddy - znów poprosiła.

- Mary Ellen, nie wiesz, o czym mówisz.

- Wiem, Roddy. Wiem, wszystko o tym wiem. Wiem, co mówię.

- Ale, jeśli... jeśli?

- Nie, nie, nic się nie stanie, tylko... Och, Roddy, Roddy. Proszę kochaj mnie. Proszę! - Kiedy poczuła, że przesywający ją dreszcz znajduje odzew w jego ciele, uniosła twarz, aż ich usta znalazły się o cal od siebie. Przycisnęła swoje usta do jego warg i poczuła, że ciało Roddy'ego zesztyniało. Ale to jej nie onieśmieliło. Położyli się na boku nieruchomo, lecz oboje drżeli. - Mary Ellen! Mary Ellen! Nie, nie. To się nie może stać. Och, Mary Ellen. - Powtarzając jej imię, począł wodzić rękami po jej ciele. Wtedy opuściło ją całe podniecenie i leżała bez ruchu.

Dzienne światło słabło. Jakieś nocne zwierzę wbiegło prawie na nich i przeraźliwie zaskowyczało. Roddy podniósł się pierwszy, ale nie miał siły się wyprostować. Ciało miało obolałe, twarz chował w dłoniach, mrużąc coś niezrozumiale. Mary Ellen leżała bezwładna i odprężona, patrząc w górę, gdzie daleko, daleko pokazała się mała gwiazdka na niebie.

A więc to było to! Ekstaza bliska bólu. Coś przelotnego, co odmieniło nie tylko jej ciało, ale i umysł, rozwiało bowiem wszelkie troski. Czuła się tak, jakby nigdy nie zaznała zmartwień i nigdy już nie miała ich zaznać.

Miała już na nie lekarstwo. Przywiązała do siebie Roddy'ego na zawsze. Jeśli nawet już go więcej nie zobaczy, pozostanie na zawsze jej.

W chwili, w której myślała właśnie, że nieważne, co się jeszcze w życiu wydarzy, bo nie sprawi jej to już bólu; głos Roddy'ego przedarł się przez tę euforię. Cedził przez zaciśnięte zęby: - Nie powinnaś była tego robić, Mary Ellen.

Poczuła, jak się poruszył i wstał. Szukał ubrania. Ona o swoje nie dbała. Nie była nawet świadoma swojego neglizżu. Lecz teraz szybko obciągnęła spódnicę i halki. Uniosła się na łokciu i wtedy znów dobiegł do niej głos. - Nie powinnaś była mnie zmuszać, Mary Ellen. Zawsze musisz dostać to, czego chcesz.

Radość i szczęście pierzchły bez śladu. Porwała się na nogi.

- Czy wiesz, co zrobiłaś, Mary Ellen? Czy ty w ogóle wiesz, co zrobiłaś?

- Tak, Roddy, wiem.

- A jeśli będą jakieś następstwa?

Milczała chwilę, zanim odpowiedziała. Przedtem myślała o następstwach jako o rzeczy nieistotnej. Wyobrażała sobie, że jeśli byłyby jakieś następstwa, on wziąłby na barki odpowiedzialność, pobraliby się, a może nawet pojechałaby z nim do Newcastle.

Nauczyłyby się, jak zachowywać się w towarzystwie jego eleganckich przyjaciół, bo wszystkiego uczyła się bardzo szybko. Lecz gdy go teraz słuchała, w jej głowie i ciele dokonała się kolejna przemiana. Ciało stało się odrętwiałe, jak gdyby nie doświadczyło bólu ani rozkoszy. Jeśli zaś mowa o umyśle, próbowała nie słyszeć tego, co mówił. To był prawdziwy Roddy, nie taki, jakim go wypieściła w marzeniach przez te wszystkie lata. Powtórzył kilkakrotnie, jaka jest samolubna, jak musi zawsze mieć wszystko, czego chce, a jeśli nie dostanie, rozpuszcza swój język. A teraz, proszę, co narobiła, znalazł się przez nią w pułapce. - Boże miłosierny! - westchnął na koniec.

Cóż takiego zrobiła? Zmusiła go, żeby się z nią kochał. Ale czy to, co przeżyła, to była miłość? Kate również kochała Roddy'ego, ale nie była zaślepiona tą miłością jak ona. Przypomniała sobie coś, co Kate powiedziała w zeszłym tygodniu. Wówczas nie rozumiała tego należycie, lecz teraz już wiedziała, o co chodziło. Kiedy wspomniała, że Roddy z jakiegoś powodu ich nie odwiedza, a pogoda jest przecież taka piękna, Kate powiedziała: „Nie nastrojona struna w skrzypkach zmienia całe brzmienie. Tak samo jest u ludzi. Wszyscy mamy takie nie nastrojone struny: słabości, samolubne skłonności”. Teraz poznała jego źle nastrojoną strunę - był samolubny. Czynił jej wymówki, a pomiędzy słowami czaił się zarzut, że postąpiła jak kobieta lekkich obyczajów.

- Jestem zaskoczony, Mary Ellen, i to bardzo, niemniej sam też nie jestem bez winy - powiedział.

- Dziękuję, Roddy.

- Przestań z tymi swoimi złośliwymi docinkami. Wiesz dobrze, że nigdy by się to nie zdarzyło, gdyby...

Nie mogła już nad sobą zapanować i wrzasnęła głośno:
- Tak, tak, wiem!

Prędko wyciągnął rękę, jakby chciał nią zatkać jej usta.
- Boże! Co ty wyprawiasz? Ktoś idący ścieżką mógł cię usłyszeć - zasyczał.

- Nie dbam o to. Pomyślałam tylko, że chciałbyś, by wszyscy wiedzieli, że jestem złą kobietą. Bo tak właśnie o mnie myślisz, prawda? Jestem złą kobietą?

- Nie bądź głupia. Niemądrą, tak. I gotową wszystko zrobić po swojemu.

- Roddy. - Ton jej głosu był niski, jakby wydobywał się z przepełnionej bólem głębi jej duszy. - Pomyśl. Co ja kiedykolwiek mogłam zrobić po swojemu? Byłam zawsze podporządkowana, najpierw rodzicom, zwłaszcza ojcu, potem pani i właściwie wszystkim Davisonom. Teraz moja kolej. Ale chyba zrobiłam wielki błąd, bo myślałam, że jesteś inny. I w głębi serca smutno mi, bardzo smutno, że to odkryłam. To nie Newcastle cię zmieniło ani twoi elegancyści przyjaciele, zawsze taki byłeś. Patrząc wstecz, wiem, że latałam za tobą, odkąd byliśmy dziećmi. Tak było. Ale było i tak, że nie latałam. I co się wtedy działo? Ty przychodziłeś. Nie zdarzało się to często, ale kiedy tylko poszłam gdzieś sama, zaraz się zjawiałeś i pytałeś, czemu nie zajrzałam. Lubiłeś, kiedy się za tobą uganiano, Roddy. Tak samo było z Halem. Hal nie odstępował cię ani na krok. Myślał pewnie, że słońce świeci w tobie, a nie na niebie, a teraz ty odwdzięczasz mu się w ten sposób. Nie dbasz o to, jak przeżywa twój wyjazd. Nie myśl, że to mnie martwi. Wszyscy wiedzą, że ja i Hal żyjemy jak pies z kotem. W każdym razie wiem, że na pewno coś cię odmieniło, odkąd odzyskałeś pamięć. Stałeś się samolubny. Ale tamten Roddy bez wspomnień był podobny do obecnego. Mogę ci teraz spokojnie powiedzieć: Idź w swoją stronę i nie pozwól, żeby dręczyły cię wyrzuty sumienia. Powtarzaj sobie, że wszystko, co się stało, to moja wina.

Kiedy się odwróciła, by odejść, i omal nie przewróciła o ułamaną gałąź, wyszeptał: - Czekaj, Mary Ellen. Posłuchaj.

Nie odwróciła się, szła dalej w kierunku ścieżki. Podążył za nią. Na ścieżce popatrzyła na niego i powiedziała łagodnie:
- Żegnaj, Roddy. Nie idź dalej. Znam drogę.

- Mary Ellen, posłuchaj, proszę. Nie rozstawajmy się skłóceniu.

- Roddy Greenbanku, jedź sobie do Londynu i do piekła! - krzyknęła. - Do piekła, słyszysz! - Poszła przed siebie, wiedząc, że go uciszyła, a nawet sparaliżowała. Poszła swoją drogą po omacku, gdyż z oczu poczęły jej płynąć strumienie łez. Jedną rękę trzymała przed sobą, aby osłaniać się przed wystającymi gałęziami, chwilami bowiem zataczała się jak pijana.

13

Pani Davison martwiła się o swoją służącą. Od kilku tygodni była jakaś nieswoja. Wszystko dlatego, że ten zarozumiały hutnik wyniósł się do Londynu. Dziękowała za to Bogu. Nie stał już na jej drodze, a czas wszystko zmienia, któż to wiedział lepiej niż ona. Czyż Bóg nie stworzył czasu, by zmieniały się pory roku: nic innego tylko czas zmiękczał twardą, zmarzniętą ziemię, czynił glebę żyzną pod uprawę i pozwalał kiełkować roślinom. Nic innego tylko czas prowadził do żniw i zbiorów. Tak, czas zmieniał wszystko, wierzyła więc, że zdoła zmienić stosunek Mary Ellen do jej wnuka. Nie dość, że Lenni miałby żonę pod ręką, gdyż poszukiwanie nie leżało w jego naturze, to jeszcze ona miałaby wyrękę na całe życie, Mary Ellen bowiem była silna jak koń pociągowy. Wystarczy teraz namówić Lenniego, by zaczął trochę bardziej nalegać, i wszystko pójdzie tak, jak sobie już dawno zaplanowała.

Jednak pewnego poranka pani Davison zaczęła się niepokoić jeszcze mocniej. Co się działo z tą dziewczyną? Zmierzniała jak chory kurczak i nie była, tak pewna siebie i zadziorna jak przedtem. Nie opuściła się w pracy, ale coś z nią nie było w porządku. Przez ostatnie dwa, trzy dni biegała w kółko do wygodki. Nie można się spodziewać niczego innego, jeśli ktoś napycha się niedojrzałymi jabłkami. Kiedyś na odmianę wysłała Mary Ellen do sadu, by zebrała strącone przez wiatr jabłko. Kiedy poszła tam sama, by zacerpnąć świeżego

powietrza, zastała Mary Ellen zbierającą jabłka jedną ręką, drugą zaś zajadającą z apetytem jedno z nich. - Co ty wyprawiasz, dziewczyno? - spytała. - Rozboli cię brzuch od niedojrzałych jabłek. Czy nie starcza ci tego, czym cię karmię, że musisz jeść zielone jabłka?

- Lubię zielone jabłka - padła odpowiedź. - To było dziwne.

Pani Davison przysiadła na zydelku koło ognia. Czy kiedykolwiek przedtem Mary Ellen zdradziła upodobanie do zielonych jabłek? Wystarczyło, że szarlotka nie była dość słodka, a dziewczyna już się krzywiła.

Wtem spłynęło na nią olśnienie, aż podskoczyła i jęknęła głośno: - Nie, nie może to być!

Rozglądała się bezradnie po kuchni, w której było miejsce na wszystko i wszystko było na swoim miejscu, jakby szukając odpowiedzi. Znalazła ją. Zadała pytanie w kierunku półki na rondle: - Kiedy on wyjechał? Na początku maja, prawda? - Potaknęła, jakby półka na rondle udzieliła jej odpowiedzi. Potem zaczęła rachować na palcach: - Początek maja do początku czerwca to raz, początek czerwca do początku lipca - dwa, do początku sierpnia - trzy, do początku września - cztery. Zatrzymała się i wpatrzyła w swoją rękę, po czym wznosząc oczy do sufitu, wykrzyknęła: - Święty Boże! - Znowu skierowała wzrok na półkę z rondlami i jakby chcąc odpędzić tę myśl, klepnęła się mocno w udo i wykrzyknęła: - Nie, nie! To te jabłka i ból brzucha. - Ponownie podniosła wzrok na sufit i skupiła uwagę na trzech zwieszających się z belek szynkach. Wisiały w pobliżu otwartego paleniska, gdzie z wolna wędziły się w unoszącym się zeń dymie. Środkowa szynka zdawała się kołysać i mówić: - Idź i zapytaj ją.

Wysłała Mary Ellen do obory, by pomogła Lenniemu przy gnoju. Wiedziała doskonale, że nie ma to jak zapach ciepłej krowy i widok mleka płynącego z wymion, żeby usposobić mężczyznę do zalotów.

Jej korpulentne ciało wytoczyło się błyskawicznie z izby, przebyło podwórze i stanęło w otwartych drzwiach obory, dobywając z siebie głosu potężniejszego niż można się było spodziewać: - Hej, ty! Mary Ellen!

- Tak, psze pani? - Mary Ellen wielką łopatą zgarniała gnój w odległy kąt obory.

- Odłóż to i chodź ze mną. - Mary Ellen zawahała się chwilę. Odwróciła głowę i wymieniła spojrzenia z Lenniem. Jego wzrok wyrażał zdziwienie: „Co wstąpiło w babcię?”

Mary Ellen odgadła to w jednej chwili. Nadszedł dzień, na który czekała od paru tygodni, i zastanawiała się, czemu nie nastąpiło to wcześniej. Zdradziły ją zielone jabłka. Zresztą gdyby nie one, i tak wcześniej czy później wydałby ją brzuch. Był to już bowiem czwarty miesiąc.

Zanim wyszła na podwórze, wytarła ręce o ręcznik wiszący na haku koło drzwi. Wiedziała, co powie pani, wiedziała, co powiedzą wszyscy. Czuła, jaki będzie wynik: wezmą ją do siebie, jeśli zgodzi się wyjść za Lenniego. Była zdecydowana się zgodzić, bo nie miała innego wyjścia, a poza tym to całkiem dobry człowiek. Musiałaby jedynie wytrzymać do końca życia z jego pobożnością i opłacać się ciężką pracą jego babce. I tak było to mniejsze zło. Jakby miała inaczej utrzymać siebie i dziecko? I tak musiała pracować. Ale gdzie? Kto by ją wziął? Chyba tylko biedny rolnik, który orałby w nią jak w łysą kobyłę, byle wycisnąć ostatnie poty.

Tak więc nie bardzo się bała, stając przed panią. Widziała, że pani jest tak wzburzona, że aż trudno jej mówić. Otworzyła usta i jąkała: - Ma... Ma... Mary Ellen, chcę cię o coś zapytać, ale jeśli się myślę, błagam cię o przebaczenie. Ale jeśli mam rację... Och, powiedz, że nie mam racji, Mary Ellen.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale ma pani rację.

- Och, Boże jedyny!

Mała kobieta przycisnęła obie ręce do pyzatej twarzy, aż pulchne palce zniknęły pod nakrochmalonym czepkiem. Korpułentne ciało pochyliła do przodu i poczęła dreptać w kółko. Lecz już za chwilę biła pięściami w stół i krzyczała: - I ty śmiesz stać tutaj, Mary Ellen, i twierdzić, że - o mało nie udławiła się własnymi słowami - będziesz miała bękarta!

Mary Ellen, stojąc ze spuszczoneymi oczami, wybąkała: - Przepraszam, jeśli to tak panią martwi.

- Martwi mnie! - głos kobiety nabierał siły. - Przepraszasz, że mnie zmartwiłaś, a nie za niegodziwy czyn, jakiego dopuściłaś się z tym łajdakiem, co wyjechał do

Londynu. Och! I pomyśleć, że pracowałaś tyle miesięcy w tym domu, zatajając ten grzech!

- Nie uważam tego za grzech, psze pani. - Spokój w głosie służącej zdawał się jeszcze bardziej rozwścieczać jej panią.
- Czekaj, aż pan Davison o tym się dowie. Nie uwierzy własnym uszom.

Podbiegła do drzwi i piskliwym głosem rozdarła się na całe podwórze: - Panie Davison! Panie Davison! W tej chwili proszę do domu!

Zamiast męża zjawili się na podwórzu syn Archie i jej wnuk Lennie. - Co się stało?

- Przyprowadźcie ojca! Natychmiast przyprowadźcie tu ojca!

W parę sekund później wszyscy w pośpiechu wbiegli do kuchni. - Co się dzieje? Komin się zapalił, czy co? - zapytał mąż. Zamilkli i wszyscy trzej patrzyli na Mary Ellen, która stała ze spuszczoną głową, przytrzymując się krawędzi stołu. Następnie ich uwaga skupiła się na pani domu, która obwieściła pogrzebowym tonem: - Przygotujcie się na cios. Ta tutaj, - pokazała palcem Mary Ellen - jest...

Nazwanie stanu, w jakim jest jej służąca, nie mogło przejść kobiecie przez gardło.

- Zgadza się, będzie miała dziecko - dokończył za nią syn.

Zarówno ojciec, jak i syn podskoczyli jednocześnie, kiedy przerażająca myśl przemknęła im przez głowy, lecz Archie szybko rozproszył obawy. - Nie, na Boga! To nie ja. Mary Ellen może to potwierdzić. Może powiedzieć, kto jest ojcem dziecka. Ja tylko zauważyłem, że jak cielne krowy, Mary Ellen zaczęła mieć zachcianki. W jej przypadku były to jabłka.
- Odwrócił się i popatrzył na nią serdecznie; odpowiedziała spojrzeniem pełnym wdzięczności.

- Miałem do czynienia z krowami dłużej niż ty, Archie - odezwał się mąż pani - ale nigdy tego nie spostrzegłem. Wiem tylko, że jestem rozczarowany. Tak, jestem rozczarowany - podniósł głos. - Słyszysz, Mary Ellen? Po tym jak dobra była dla ciebie pani przez te wszystkie lata, ty zrobiłaś jej coś takiego!

Wszyscy sądzą, że zaszła w ciążę tylko po to, żeby zrobić przykrość swojej pani! Jakże głupi potrafią być ludzie!

Niechby się pośpieszyli i przeszli do rzeczy. Zerknęła na Lenniego. Przyglądał się jej oczami jak szparki i widniał w nich nie spotykany przedtem wyraz. Nie była to odraza, ale coś równie nieprzyjemnego. - On mnie nie kocha - zaniepokoiła się, lecz zaraz się pocieszyła. - Zrobi to, co każe mu babcia i jego ojciec, a ojciec nie myśli o mnie najgorzej.

W tej samej chwili jej wyobrażenie o przyszłości w tym domu zniweczyły słowa pani: - Pójdiesz stąd, dziewczyno - powiedziała - wyniesiesz się z tego domu, bo jesteśmy porządnymi ludźmi. Zawsze tak było i będzie, póki tu jestem. Zatrzymam cię do końca tygodnia, zanim znajdę kogoś na twoje miejsce. Wiele dziewcząt będzie się o nie biło. A mnie okrzykną głupią za to, że hołubiłam cię przez te wszystkie lata. Pomyśleć tylko... - Wargi jej drżały, a do oczu napłynęły łzy. Spojrzała na męża i dokończyła: - Pomyśleć tylko, jak mi odpłacono. Co pan Davison powie na moje postanowienie?

Mąż pani zawahał się tylko przez chwilę, po czym cicho potwierdził: - Słusznie. Słusznie.

- Och, ojciec - zwrócił się do niego Archie - nie byłbym taki zawzięty. Zbłądziła, to prawda, ale nie jest pierwszą ani nie ostatnią, której się to przytrafiło.

Cała rodzina znowu popatrzyła na niego podejrzliwie, a matka zgromiła go tonem w dużej mierze przypominającym ten, którego użyła wobec służącej: - Masz czelność stać tutaj, moje ciało i moja krew, i bronić jej, sprzeciwiając się temu, czego ja chcę? Ten dom jest czysty i nie będzie zbrukany przez takie jak ona. Niech leci za mężczyzną, który napełnił jej brzuch i zmusi go, żeby się nią zajął. To on, prawda? Otwórz gębę, dziewczyno. To on, czy nie?

Mary Ellen utkwiała spojrzenie w małej kobiecie, potem przenosiła je po kolei na każdego z trzech mężczyzn. Otrząsnęła się już z wrażenia wywołanego odrzuceniem i odzyskała animusz.

- Kto obdarował mnie tym dzieckiem, to moja sprawa - powiedziała. - I nie zostanę tu do końca tygodnia, do czasu kiedy pani załatwi sobie kogoś innego. Jeśli mam się wynosić, zrobię to teraz, w tej chwili. Ale powiem coś, zanim sobie pójdę. Była pani dla mnie dobra, ale odwdzieczyłam się za to, nie dwa czy trzy razy, lecz setki razy, bo pracowałam jak

niewolnica w domu i w obejściu od dnia, kiedy tu nastąpiłam. I jeszcze mam coś wam do powiedzenia. - Odwróciła się od zbaraniałej niewiasty do jej syna i ciągnęła dalej: - Dziękuję panu, panie Archie, za serce, że się pan za mną wstał. Zawsze będę o tym pamiętać. Ale co do pana - zwróciła się do siwowłosego człowieka - przy pana świętym oburzeniu, że zeszedłam na złą drogę - przez całe lata pana ręce błękały się nie tam, gdzie trzeba, i jakoś wtedy wszystko było w porządku.

Widząc poczerwieniałą twarz pana i panią, która była bliska omdlenia, odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z kuchni do swojego pokoju. Tam otrzepała niedzielne ubranie, zdjawszy je z haka na drzwiach, i rzuciła na łóżko. Podeszła do komody stojącej w kącie, wysunęła najpierw górną szufladę i zgarnęła z niej halki, pończochy i trzy białe chusteczki. Zawinęła to wszystko w zszytą ze ścinków narzutę, która była podarunkiem od matki. Zerwała z głowy nakrochmalony czepek i cisnęła go na podłogę, za nim powędrował fartuch. Usiadła na drewnianym stołku i ściągnęła ciężkie buty, które należały do Lenniego, póki z nich nie wyrósł. Wciągnęła swoje własne i drżącymi rękami pozapinała wszystkie guziczki. Kiedy była już gotowa do wyjścia, zatrzymała się przez chwilę, rozglądając po pokoju, który przez długie lata, od dzieciństwa zapewniał jej jedyną prywatność, jaką znała.

W kuchni zastała panią pocieszaną przez syna. Cisnęła tobołek na stół, rozwiązała go i rzekła: - Proszę to sprawdzić, żeby potem nie było wątpliwości, że zabrałam tylko to, co do mnie należy.

- Dobrze, już dobrze, Mary Ellen - ozwał się, ciągle dobrotliwy, głos Archiego. Zawiazała tobołek i popatrzyła na niego. - Nie zapomnę pana dobroci, panie Archie - powiedziała i wyszła.

Lennie stał na środku podwórza. Spodziewała się, że odezwie się do niej choć słówkiem, ale nic takiego się nie zdarzyło. Patrzył tylko, a jego twarz miała wciąż ten sam wyraz. Zanim dotarła do furki zauważyła, że wyszedł z domu pan Archie i szorstko coś mówił do niego, lecz nie zrozumiała słów. Potem usłyszała za sobą pośpieszne kroki i przez chwilę

myślała, że to Lennie. Gdy się odwróciła, zobaczyła jego ojca. Nigdy nie przepadała za panem Archiem. Był trochę nieokrzesany w mowie i wygadywał rzeczy, od których się rumieniła, lecz teraz patrzył na nią w najpocziwszy sposób. - Tak mi przykro, Mary Ellen - usprawiedliwił się. - Chcę ci to powiedzieć, zanim odejdiesz, a może będzie to dla ciebie pocieszeniem, że nie wszyscy myślą o tobie źle. Oto, co mam do powiedzenia: gdyby było inaczej, gdyby to była moja własna farma, ożeniłbym się z tobą choćby jutro.

Zwiesiła głowę i nie mogła powstrzymać łez spływających po policzkach. - Zawsze będę o tym pamiętać, panie Archie. Bardzo panu dziękuję - powiedziała, unosząc głowę.

Odwróciła się i odeszła, kierując się w stronę chaty Kate, jedyne miejsce, gdzie mogła się schronić. Zrazu szła bez wahania, lecz w miarę upływu czasu zaczęła zadawać sobie pytanie: co będzie, jeśli Kate także zwróci się przeciwko niej? Znała dobrze Kate, nigdy nie zrobi czegoś podobnego. Ale czyż nie sądziła, że zna dobrze swoją panią? O Boże, Boże! Nie pozwól, żebym trafiła do przytułku! Mary Ellen przyspieszyła kroku, po chwili już prawie biegła. Tobołek ciążył jej, przekładała go więc z jednej ręki do drugiej. Po chwili znalazła się przed chatą Kate.

Stanęła jak wryta, bo Kate stała w furtce. Widziała, jak się prostuje i patrzy w jej stronę, po czym odwraca i idzie w stronę chaty. Mary Ellen przyłożyła dłoń do ust, powstrzymując się od wymiotów. Kiedy była już przy furtce, zawołała Kate słabym głosem. Staruszka odwróciła się i podeszła parę kroków w jej stronę. - Więc to byłaś ty? Myślałam, że mi się przywidziało, że to może przypadkowy przechodzień. Co się dzieje, na litość boską? Wchodźże do środka - dodała.

Ulga, jaką odczuła Mary Ellen, wprawiła ją w stan bliski hysterii, bowiem miała ochotę płakać i śmiać się zarazem. Chwiejnym krokiem weszła do chaty, rzuciła tobołek i podbiegła do ognia, rzuciła się na podłogę i złożywszy głowę na skrzyżowanych ramionach, dała upust swemu żalowi we wstrząsającym całym ciałem łkaniu.

Kate nie podeszła do niej ani też nie odezwała się, lecz poszła prosto do półki ze swymi lekarstwami i zdjęła z niej

trzy butelki. Z każdej odmierzyła po trochu i wlała do małego kubka, zamieszała i podeszła do ognia.

- Podnieś głowę, dziewczyno. Podnieś głowę i wypij to - nakazała.

Mary Ellen miała twarz zalaną łzami, a oddech urywany, lecz chwyciła kubek i jednym haustem wychyliła jego zawartość. Zakrztusiła się, rozkaszała i połowę wypluła.

- Ostrożnie. Ostrożnie. To za cenny lek, żeby go marnować. Taka porcja kosztowałaby jaśnie państwa sześć pensów.

- Ostatnim słowem Kate towarzyszył lekki uśmieszek. - Pij powoli.

Mary Ellen popijała miksturę małymi łydkami. Miała smak słodko-kwaśny i drętwiał od niej język, jednak gdy dziewczyna skończyła, miała na tyle siły, by się podnieść, usiąść w fotelu i oprzeć się wygodnie. Nagle poczuła się spokojna. Spojrzała Kate prosto w oczy i zapytała: - Wiesz, dlaczego tu jestem?

Kate przysiadła na stołku i objęła swe chuderlawe ciało równie chuderlawymi ramionami. - Nie muszę zgadywać - odparła. - Od początku zadawałam sobie pytanie, kiedy na to wpadniesz, kiedy wreszcie przyjdiesz do domu, bo przecież przysłaś po to, żeby tu zostać, prawda?

- Och, Kate, Kate. - Mary Ellen pochyliła się do przodu i głowa zaczęła jej opadać, lecz głos Kate, jak zawsze silny, zadający kłam staremu, trzęsącemu się ciału, podniósł ją z powrotem: - Nie zwieszaj głowy, dziewczyno. Wstyd oznacza stawianie siebie pod pręgierzem, wymierzanie sobie kary. Nie rób tego. Patrz prosto w oczy wszystkim, którzy chcą tobą pogardzać. Wyrzuciła cię?

Mary Ellen najpierw oparła się wygodniej, potem się odezwała: - Tak, natychmiast. Chociaż nie natychmiast - poprawiła. - Dała mi czas do końca tygodnia, żeby móc rozejrzeć się za kimś innym, ale powiedziałam, że odchodzę od razu.

- To dobry znak. Przeciwwstawiłaś się jej. Czy wszyscy byli przeciwko tobie?

- Nie wszyscy. Pan Archie wstawił się za mną.

- Archie? No, no. Zrobił, co powinien. W młodości był z niego dziarski chłopak. Żona trafiła mu się jęcząca. Był rad, kiedy umarła, został wtedy stałym gościem Maggie Oates.

- Nasz pan Archie?
- Nie inaczej.
- Powiedział, że gdyby *rzeczy* miały się inaczej, to... to ożeniłby się ze mną.

Kate ogarnął pusty śmiech. - Miłosierny się znalazł. No, mogłabyś gorzej trafić. Ale w końcu trafiłaś o niebo lepiej. W każdym razie, dziewczyno, przyszłaś, by tu zostać, prawda?

- Proszę, Kate.
- Och, nie mów takim proszącym tonem. Przyszłaś do mnie i jesteś dla mnie darem, dziewczyno. Przyznam ci się, że zawsze ciebie chciałam. Owszem, kochałam Roddy'ego. Nadal go kocham, ale już nie tak mocno. Muszę przyznać, że trochę się omyliłam w ocenie ludzkiej natury. Ale co do ciebie, już kiedy byłaś berbeciem, pragnęłam, żebyś była moim dzieckiem. A teraz jesteś.

Podniosła swoje zgarbione ciało ze stołka, pochyliła się nad Mary Ellen i po raz pierwszy w ciągu ich długiej znajomości pocałowała ją. Był to delikatny pocałunek. Ale dla Mary Ellen był to nadmiar dobroci. Zaczęła znowu płakać, aż Kate ofuknęła ją: - Nigdy więcej już nie płacz. Płacz to jedyna rzecz, której położymy kres.

Po chwili Mary Ellen otarła sobie twarz. - Od jak dawna wiedziałaś, Kate? - zapytała.

- Och, od dnia jego wyjazdu. Dojrzałaś do tego. To musiało się stać.

- Nie obwiniaj go za to, Kate, to... ja go zmusiłam.
- Niewątpliwie, niewątpliwie. Tamtej nocy mogłaś...

Mary Ellen znów chciała zwiesić głowę, lecz Kate roześmiała się i rzekła: - Co jest warta dziewczyna, która nie umie nakłonić mężczyzny, żeby zrobił, co ona chce.

- Ale on nie chciał, Kate... i później na mnie krzyczał. To mnie jakoś odmieniło.

Kate wpatrzyła się w dziewczynę. Zwiesiła bezwładnie ręce i powtórzyła: - Krzyczał na ciebie po tym, co się zdarzyło?

- Tak.
- Obwiniał cię?
- W pewien sposób tak - przyznała po chwili wahania Mary Ellen.

- Boże na niebie! Nigdy bym nie pomyślała, że będę musiała się za niego wstydić.

- Proszę, Kate. Miał rację.

- Nie miał racji. - Kate powiedziała to podniesionym głosem. - Mówię to teraz i powiedziałabym mu to w twarz, gdyby tu był. Jestem bardzo rozczarowana. Obciążył cię dziecakiem, ale powinien się tym cieszyć. Ty, nietknięta, ofiarowałaś mu się. Wątpię, czy kiedykolwiek przedtem miał dziewczę. Powiedziałam: wątpię? Dobrze wiem, że nie, w miejscu, do którego chadzał dla rozrywki.

Oczy Mary Ellen zaokrągliły się.

- On... on chodził do...?

- A tak, tak. Powiedz mi, kto z wioski nie chodził.

- Ale do kogo? Do której?

- Nie, nie do tutejszej dziewczyny, ale do płatnych dziwek z Hexham. Nie miał śmiałości pójść do Maggie, bo inni klienci obiliby mu grzbiet. Co to, to nie. Ale dosyć jest takich w miasteczku.

Mary Ellen poczuła, że znów zbiera się jej na wymioty. Była głupia i ślepa. Pragnęła umrzeć ze wstydu. Jakby czytając w jej myślach, Kate odezwała się: - Nie siedź z taką miną i nie pragnij rozstać się z życiem. Był mężczyzną jak każdy inny. Ale, na Boga, powinien był docenić ciebie. Jeśli niczego innego nie mam mu za złe, to na pewno to mam. I Hala.

- Co?

- Tak, Hala. Jak wielu innych ludzi, nic nie widzisz w tym chłopaku, tylko jego powłokę.

- Jak dla mnie to dosyć. Och, Kate, co mam robić?

- A co byś robiła, gdyby ta tłusta, pustogłowa suka nie wywaliła cię na pysk?

Mary Ellen pomyślała. - Pewnie wyszłabym za Lenniego - odparła.

- A co potem?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Do czego podobne by było twoje życie? Praca od poniedziałkowego świtu do ciemnej nocy w niedzielę, nigdy chwili wytchnienia. Nigdy nie pozwolono by ci zapomnieć, co się zdarzyło. Musiałabyś ciężko tyrać. Choć wszyscy musimy pracować, tak czy inaczej.

- Ale gdzie tu w pobliżu znajdę pracę, oprócz rycia ziemi w kopalni?

- Nie pójdziesz ryc ziemi w kopalni. Znajdziesz pracę. Ale zapowiadam - Kate pogroziła palcem - musisz się uczyć. Umiesz czytać i podpisać się, ale to ci wiele nie pomoże. To, o czym myślę, wymaga dobrej pamięci, naprawdę dobrej, bo inaczej nawarzysz sobie piwa. - Uśmiechnęła się, a wokół jej małych, bystrych oczu utworzyły się gęste zmarszczki. Ciągnęła dalej żartobliwie: - O tak, jeśli wlałabyś jakąś moją miksturę do piwa, mogłabyś mieć kłopoty. Pewnie powiesiliby cię za otrucie, jak mieli to w zwyczaju około stu lat temu, w czasach mojej babki. Och, ileż mi naopowiadała!

Mary Ellen przerwała wspomnienia: - Co masz na myśli, mówiąc, że muszę mieć dobrą pamięć, żeby dostać pracę?

- Kate obróciła się i skierowała wzrok na półki z butelkami, słoikami i pudełkami.

- To może stać się twoją nową pracą.

- Robić to, co ty robisz? - spytała Mary Ellen z niedowierzaniem. - Przygotowywać lekarstwa?

- Ano właśnie to. Ale to nie takie proste, jak się zwykle uważa. Jak rzekłam, wszystko zależy od pamięci. Teraz słuchaj. Całe życie głupio szafowałam tym skarbem - wskazała palcem półki. - Wiele lat temu powinnam postarać się o kram na sobotnim targu w Hexham. Żyłabym w dostatku. Kiedy patrzę na tych oszustów, co wlewają do butelek barwioną wodę, cukier i sól, widzę, jaka byłam głupia. Ale nigdy nie lubiłam żądać od ludzi pieniędzy, nawet jeśli dostawali za to dobry towar. Siedziałam i pozwalałam, żeby do mnie przychodzili. Jak ci wiadomo, przychodzili z daleka i z bliska przez wiele lat. Ale cóż mi za to dawali? Wiesz, że nikt nie zapłacił więcej niż sześć pensów za lekarstwo? Gdybym choć brała po sześć pensów za każde, miałabym się nie najgorzej. Ta dziura w ścianie - wskazała komin - nie mogłaby pomieścić wszystkich pieniędzy. Musiałabym wyjąć wszystkie cegły. - Znowu zmarszczyła twarz w uśmiechu. - Ale teraz to się zmieni. Już się zmienia od paru tygodni.

Zaledwie wczoraj powiedziałam do Boba Allena, kowala. Przez lata przychodził po masć na plecy. Czuje się dobrze wiosną i latem, ale gdy tylko opadają liście, zaczyna go łamać.

Zjawił się wczoraj z pensem w garści, a ja mówię: - Przykro mi, Bobie, ale przede mną sroga zima i twoje lekarstwo kosztować będzie od dziś trzy pensy, to jest i tak tanio - powiadam. - Idź na targ do Hexham albo do Allendale do apteki i zobacz, ile zapłacisz za maść, która jest niczym innym jak zwykłym świńskim sadłem. Zapłacisz dziewięć pensów. Mniej niż sześć pensów nic nie kosztuje w aptece. Od dziś u mnie jest po trzy pensy. Po chwili położył trzy pensy na stole. A za nim przyszła Rosie Fowler. Znowu jest brzemienna, podczas gdy najstarsze jej dziecko ma dwadzieścia jeden lat. Jest płodna jak królicza. Przyszła i skarżyła się znowu na zawroty głowy i że robi jej się słabo. Chciała dostać mojego olejku lawendowego i nalewki na zawroty głowy. Całe lata dostawała te rzeczy za jednego pensa. Kiedy powiedziałam jej, że w przyszłości dostawać je będzie po pensie od każdej, porwała się na te swoje obrzękłe nogi i powiedziała: - Lawenda rośnie wszędzie. - Na co ja odrzekłam: - A więc idź i jej nazbieraj. - Stała i wahała się. W końcu dała mi dwa pensy, bo w lekarstwach z lawendy, o czym wkrótce się dowiesz, jest więcej niż tylko lawenda. Jest proszek cynamonowy, utarte orzechy i pestki, a to wszystko wymaga pracy. I jeszcze czasu, kiedy chcesz zrobić trochę olejku z kwiatów. Olejek różany to nic w porównaniu z tym.

- I... i ty masz to wszystko w głowie już tyle lat?

- A tak, mam. Zaczęłam wcześniej, dużo wcześniej niż ty. Zbierałam zioła, mając pięć lat, i umiałam nazwać każdą roślinkę i ziele rosnące w całej okolicy. Ale nie byłam nawet w połowie tak dobra jak moja matka, która jako dziewczynka była na służbie w Midlands, a potem na południu kraju. Tak jak różnych ludzi spotkać możesz w rozmaitych krajach, znajdziesz tam rozmaite gatunki ziół i roślin.

Uśmiechała się teraz szeroko, ukazując wyszczerbione przednie zęby.

- Wiesz, doktor Cranwell, pastor, którego znasz, goni swoich wikarych jak wiatr dmuchawce. Jeden z nich przyszedł do mnie pod drzwi, zapukał i zapytał grzecznie: - Czy to pani jest panią Makepeace?

- Tak - odrzekłam. - Poradzono mi, żebym zgłosił się do pani. W zeszłym tygodniu pogryzł mnie pies, a kuracja, którą zastosowałem, nie goi mojej rany. Czy nie mogłaby mi pani

pomóc? - Mogę spróbować, powiedziałam, jeśli będzie pan łaskaw usiąść i pozwoli mi obejrzeć zranione miejsce. Jego kostka wyglądała bardzo brzydko. Obmyłam ją roztworem z dzikiego tymianku i dałam mu to samo do picia w małych ilościach każdego ranka na czczo. Spytałam, kto go przysłał. Nie bardzo chciał mi powiedzieć, więc żartobliwie rzuciłam: Czyżby pastor? Wówczas zaczerwienił się i odparł szybko: Nie, skądże znowu. I roześmiał się wraz ze mną. Miły młody człowiek. Przeszedł za tydzień po kolejną porcję lekarstwa, a jego rana prawie się zagoiła. Powiedział, że czuje się ogólnie lepiej, a po krótkiej pogawędce zgodziliśmy się co do tego, że pastor nie powinien dowiedzieć się o jego wizycie.

Mary Ellen uśmiechnęła się, wprawdzie słabym uśmiechem i przez łzy. Wyglądała na trochę odprężoną. - Ile mu policzyłaś? - zapytała.

- Och, jakże mogłabym wziąć od niego pieniądze, wiadomo, że biedna mysz kościelna mogłaby niejednego wikarego wyżywić resztkami ze swojego stołu. Czego nie można powiedzieć o pastorach. Mieszkają jak lordowie. Lepiej ci już? - Głos Kate zmienił się, kiedy łagodnie popatrzyła na Mary Ellen. Mary Ellen w odpowiedzi na okazaną jej dobroć rzuciła się na kolana i obejmując ramionami chude, okutane wieloma warstwami odzieży ciało, złożyła głowę na kolanach Kate. - Co ja bym bez ciebie poczęła? - wyszeptwała.

- Nie wiem, po prostu nie wiem. - Odpowiedź miała na celu przywrócić uśmiech na twarzy Mary Ellen, lecz zamiast tego wywołała nowy potok łez. Ręce starej kobiety objęły jasną głowę i przytuliły ją mocno. - No, no. To już ostatni wybuch płaczu, na który sobie pozwalasz. Słyszysz? Ma nie być więcej płaczu, bo to tylko zaszkodzi temu, co masz w środku. Głowa do góry! - Otarła jej palcami łzy z policzków. - Obu nam jest ciężko na sercu z powodu tego samego człowieka, możemy się więc nawzajem pocieszać. Wierz mi, czekają nas dobre dni. Wiesz - głaskała ją po policzkach - miałam w ostatnich dniach przeczucie, że wydarzy się coś dobrego. Miałam wrażenie, że mój Pat pojawi się w tych drzwiach. Czasami wydawało mi się, że jest w tej izbie. Niełatwo mi było w tych chwilach. Zawsze sobie powtarzam, że choć ciało mam stare jak spróchniałe drzewo, to mój umysł

jest ciągle młody i sprawny. Ale jeśli człowiek zaczyna wyobrażać sobie takie rzeczy, nie wróży to nic dobrego... Czułam, że jest bardzo blisko, więc myślałam, że może jest w drodze do domu. Tak może przecież być. Przydarzyła mi się jeszcze jedna dobra rzecz - mam na myśli ciebie. Nie miałam nigdy towarzystwa na stałe, oprócz paru wybranych osób: mojego Daveya, Pata, ciebie, odkąd byłaś małym dzieckiem w ramionach twej matki, potem zaś, rzecz jasna, Roddy'ego. Tylko czworo ludzi. Nie, pięcioro. Zapomniałam o Halu. Skoro już o nim wspominam, coś wisi w powietrzu, bo był tu z samego rana w niedzielnym ubraniu. Powiedział, że wybiera się do Hexham.

- Co masz na myśli mówiąc, że coś wisi w powietrzu?
- spytała Mary Ellen.

- No cóż, być może Florrie Pierce albo jej siostra Fanny usidliła go.

- Dziewczęta Pierce'ów miałyby się ku Halowi?

- Zdajesz się nie dostrzegać, Mary Ellen, że Hal jest przystojnym mężczyzną.

- Cóż, widocznie jestem ślepa, bo tego nie zauważyłam. Owszem, wygląda nieźle, jest postawny, ale to jego zachowanie? Zawsze chadza swoimi drogami... Któż to wytrzyma? No, może - popatrzyła na Kate i obie powiedziały równocześnie: - Florrie albo Fanny Pierce. - Po czym obie wybuchnęły śmiechem.

- Znasz Peggy Fowler, która wyszła za mąż przed paroma tygodniami? - zapytała Kate.

- Znam.

- Ona też miała się ku niemu. Raz nawet weszła przez okno do jego chaty i posprzątała mu w izbie. Nie znaczy to, że Hal miał tam nieporządek - zawsze utrzymywał swój dom w czystości i ładzie. Ale ona czekała tam na niego z obiadem na stole, bezwstydnica. To, co jej wtedy powiedział, musiało podziałać niczym śrut na tyłek, bo wyskoczyła z jego chaty, wrzeszcząc wniebogłosey. Jej bracia, Johny i Frank, pofatygowali się do niego następnego dnia, ale tylko porozmawiać, bo nawet jeszcze przed wypadkiem z nożem Hal zdobył sobie sławę zapaśnika, jakiego nie znajdziesz w promieniu wielu mil.

- Hal zapaśnikiem?

- Tak, dziewczyno, Hal zapaśnikiem. Jedyną rzeczą, jaką wiesz o Halu, jest to, że kiedy ciebie widzi, dobywa miecza, a ty odpowiadasz siekierą.

- Och, Kate, Kate.

- Gdy tak myślę o Halu - Kate przyłożyła rękę do głowy - ciekawa jestem, co powie, kiedy wróci?

- O czym?

- Oj, dziecko, dziecko - Kate wstała ze stołka. - To najważniejsze zdarzenie dnia. Twoje przybycie tak mnie wzruszyło, że tamto zupełnie wyleciało mi z głowy. John Tollet i Will Campbell szli jak zwykle do huty. Przechodzili ścieżką wzdłuż kamieniołomu, a tam o parę stóp od miejsca, gdzie odkopano grób, na jedynym dużym drzewie wisiał Pat Feeler. Wyglądał podobno jak strach na wróble. Musiał przeżywać ciężkie dni, nie było mu wesoło, skoro się powiesił. Jedyna dobra rzecz, która z tego wynika, to ta, że Hal przestanie wreszcie go szukać. Od kiedy to wszystko się wydarzyło, nie przespał spokojnie jednej nocy. Nie wiem, jak on to wytrzymał.

- Powiesił się. Ależ to okropne!

- Nie mniej okropne niż to, że zabił człowieka. A ten drugi, co wysłał mi chłopaka za morze? Nie, wcale nie okropne. Powiedziałabym, że to słuszny koniec. Sprawiedliwości stało się zadość. Ciekawa jestem, jak to przyjmie Hal? Sam chciał z nim skończyć, a teraz jego plany zostały zniweczone. No cóż, wkrótce będziemy wiedziały, bo niedługo wróci z miasta.

14

Mary Ellen spędziła dzień pracowicie. Wyszorowała dokładnie całą izbę, bo nie była sprzątna od dawna. Wspięła się po drabinie i, schylając się pod krokiewiami, wytrzepała łóżko, na którym przez tyle lat sypiał Roddy. Jedynie ostre strofowanie powstrzymało ją od rzucenia się na łóżko i oddania się żalowi. Jakaś mała część pozostawała w niej spokojna, gdyż Mary Ellen czuła, że wreszcie znalazła prawdziwy dom, i do tego miała nauczyć się zarabiać na życie.

Propozycja Kate bardzo ją ucieszyła. Wprawdzie daleko jej było do mądrości staruszki, ale wiedziała, że ma dobrą pamięć i szybko chwyta wiedzę, a gdy zdobędzie większą wprawę w pisaniu, będzie mogła ponalepiać etykiety na butelkach z lekami, które Kate rozpoznawała tylko po barwie, smaku i zapachu.

To właśnie dodawało chacie Kate uroku i pociągało Mary Ellen - zapach. Kate twierdziła, że brał się głównie z lwiej paszczy zwieszającej się z belek pod sufitem. Co za okropna nazwa dla kwiatów! Niestety przypominały otwartą paszczę. Miała wiele do nauczenia się i już nawet zaczęła. Po południu chciała wyjść na dwór i wziąć się za porządkowanie ogrodu, ale Kate jej nie pozwoliła. - Zabierasz się za porządki o tej porze roku? A tymczasem przejdą nam koło nosa pieniądze na zimę.

- Masz rację, Kate - uśmiechnęła się do staruszki.

Gdy dzień miał się ku końcowi, w kominie buzował ogień, a na środku stołu stały rzędem trzy wysokie świece w mosiężnych lichtarzykach. Kate zdjęła z półki sześć słoiczków mówiąc, że na naukę nigdy nie jest za późno. W chwili, gdy stawiała je na stole, ozwało się pukanie do drzwi. Hal okazał się gościem wieczornym. Na ramieniu niósł sakwę podrózną, a w ręku podłużną paczkę. Mary Ellen wstała od stołu i pochyliła się nad ogniem, podczas gdy Kate witała przybysza.

- Co cię tu sprowadza o tak późnej porze, obładowanego jak wielbłąd? Obrabowałeś dyliżans?

- Tak, Kate, w pewnym sensie tak. - Podeszedł powoli do stołu i rzucił nań sakwę, która brzęknęła, jakby były w niej narzędzia. Podłużną paczkę położył na stole z dużą ostrożnością i ze zdziwieniem popatrzył na Mary Ellen. Sięgała, by wyciągnąć coś z popiołu. - Co... co tu robisz? Mamy dziś wtorek - zdziwił się.

Gdy Mary Ellen nie udzieliła odpowiedzi, spojrział pytająco na Kate. - Lepiej usiądź wygodnie - rzekła staruszka. Nie usiadł, lecz pytająco patrzył to na Kate, to na Mary Ellen, która zdawała się nie przyjmować do wiadomości jego przybycia i nadal zgarniała popiół małym pogrzbaczem.

Widać było, że obecność Mary Ellen wywarła na nim piorunujące wrażenie. Popchnął długą zawiniętą paczkę w stronę Kate, mówiąc zwięźle: - To dla ciebie.

- Cóż to takiego?
- Otwórz i zobacz.

Mocując się z zawiązanym na supeł sznurkiem, powiedziała: - Równie dobrze mogłeś mi kazać odwiązać cumę od statku. Nie mogę tego odplątać moimi słabymi palcami.

- Daj mi to.

Rozwiązał sznurek, odwinął papier, otworzył pokrywkę pudełka. - Czy możesz to wyjąć? - Kate pochyliła się nad pudłem i wyciągnęła z niego coś szklanego. Lecz gdy ręce zaczęły jej drżeć ze wzruszenia, Hal rzekł: - Lepiej daj mi to, kobieto. - Odślonił piękną, wysoką lampę z szybkami z różowego szkła.

Gdy postawił ją na stole, cofnął się i przyglądając się Kate, powiedział: - Będzie ci dawać ładne światło, spójrz, jest w niej miejsce na trzy świece. - Szybko odwrócił się do ognia i odłamał kawałek drewnienka od jednej ze szczap ze stosu, a następnie przytknął ją do płomieni, patrząc jednocześnie na Mary Ellen, która nadal nie zwracała na niego uwagi. Minutę później izbę oświetliło delikatne światło. Kate powitała je pomrukiem zachwytu, a Mary Ellen odwróciła się w stronę stołu.

- Chłopcze, co się stało, że o tym pomyślałeś?

- Myślałem o tym od dawna, bo wiedziałem, że kłamałaś, mówiąc, że niepotrzebna ci lampa i wolisz świece. A teraz - zmienił temat - zgłodniałem jak wilk. Nie miałem kęsa w ustach od skromnego obiadu. Siadę więc sobie naprzeciw tej młodej osoby, której naturalnie nigdy przedtem w życiu nie widziałem, i zapytam, jak się nazywa i co tutaj robi o tej porze w nocy.

- Siadaj, Halu, siadaj - rzekła Kate tonem, który natychmiast zgasił jego żartobliwy nastrój. Przynął krzesło bliżej ognia, by usiąść na wprost Mary Ellen, która znów odgarniała popiół. Kate przysunęła swój stołek do dziewczyny i położyła rękę na jej głowie. - Ma nie lada kłopot i wyrzucono ją z pracy - powiedziała.

W izbie zapadła cisza. - Kłopot... jaki kłopot? - powtórzył cicho.

- Ano, Halu, ten kłopot, właśnie ten kłopot.

Nic nie mówiąc, podniósł się z miejsca i popatrzył na rozpłomioną od ognia twarz Mary Ellen. Potem podszedł

do stołu i tak mocno uderzył weń pięścią, że lampa podskoczyła i musiał wyciągnąć ręce, by ją podtrzymać. - Niech się usmaży w ogniu piekielnym! - zaklął podniesionym głosem. - Zepsuty drań! A ty jesteś nikim innym jak słałą, głupią małą dziwką, że mu pozwoliłaś.

Mary Ellen porwała się na równe nogi i też zaczęła krzyczeć: - Zamknij się! Milcz! Nic nie wiesz. To nie była jego wina.

- Mój Boże! - złapał się rękami za głowę i przesunął palcami po włosach - wyglądały, jakby stanęły dęba. - Słyszaleś, co powiedziała? Nawet najgłupsza dziewczka nie powie, że to nie wina mężczyzny. Boże Wszechmogący! - określił się w kółko i stanął twarzą w twarz z Mary Ellen. - Padło ci na rozum, czy co? Stoisz tu i powiadasz, że to ty go wzięłaś? Powaliłaś go na trawę i zrobiłaś mu, co chciałaś? Nie miał wyjścia. Ech, ty, ty!

Obiecała sobie, że nie będzie więcej płakać, ale mimo to łzy potoczyły się po jej policzkach. Widząc je, Hal opuścił głowę. - Przepraszam - wymamrotał. - O, Boże, Mary Ellen, pozwolić, żeby coś takiego ci się przytrafiło. On nie był tego wart. - Odwrócił się od niej i uderzył pięścią jednej ręki w otwartą dłoń drugiej. - Gdybym go tu miał w tej chwili, zabiłbym go, naprawdę. Przysięgam, skończyłbym z nim.

- Ale go tu nie ma, więc z nim nie skończysz - zabrała głos Kate. - Mam za to dla ciebie nowinę. Skoro mowa o rozprawianiu się, znaleziono dziś rano Feelera wiszącego na drzewie w kamieniołomie. Pojechałeś do miasta, zanim ta wieść obiegła okolicę.

Wyprostował się i wziął głęboki oddech. - Powiniennem być ci powiedzieć już rano - rzekł, patrząc jej w twarz.

- Co masz na myśli?

- Tyle tylko, że to ja go tam powiesiłem, a przynajmniej patrzyłem, jak sam to robi. Dałem mu do wyboru - albo ja to zrobię, powoli, albo on załatwi to szybko.

Mary Ellen wydała z siebie jęk, jakby coś ją zabolowało. Oboje odwrócili się ku niej, a Kate prędko podbiegła i posadziła ją na fotelu. - I tak by skończył na szubienicy - dokończył Hal. - Dziewczyna nic nie odrzekła, skierowała tylko wzrok na Hala i przez chwilę zdawało się jej, że wypełnia on sobą całą izbę, a jego oczy świecą jak rozżarzone węgle. Kiedy zrobił krok w jej stronę, wtuliła się głębiej w fotel.

- O co tyle hałasu? Zrobiłem tylko to, co zrobiłby z nim sąd, gdyby go złapano. Tyle że od samego początku ja przyznałem sobie prawo do sądu nad nim. To była moja powinność. Teraz mogę już odetchnąć. Czy miał choć odrobinę litości nad moim ojcem, kiedy go zabijał? Dobrze, może to i było z polecenia Bannamana, ale on to wykonał. Ilu jeszcze zabił, Bóg jeden wie. Pewnie nie ograniczyli się do tych stron, grasowali, gdzie się dało. Więc niech ci się nie robi słabo, bo ja tylko wymierzyłem sprawiedliwość. - Nigdy nie znaleziono pieniędzy, o których kradzież posądzono mojego ojca, prawda Kate?

- Nie, ani pensa.

- No cóż - powiedział lżejszym tonem - jest na świecie trochę sprawiedliwości, bo ja znalazłem, a właściwie Feeler. Musiał je znaleźć przypadkowo, szukając kryjówki, bo gdyby wiedział o nich wcześniej, już by ich nie było. A wiecie, że Feeler był cały ten czas nie dalej niż pięć minut marszu? A ja, szukając go, przejeździłem tyle mil. Poprzedniego wieczora jechałem konno na skróty przez wrzosowisko, śpiesząc się do pracy, i stamtąd ujrzałem w oddali coś, co wyglądało jak unoszący się z ziemi dym. Podjechałem bliżej, by przyjrzeć się dokładniej. Było już ciemno, mimo to zobaczyłem, że stoję w pobliżu wylotu zablokowanego tunelu. Pamiętasz, Kate, jak mi opowiadałaś, że gdy kopano tunele do odprowadzania gazów z kopalni, przy jednym z nich napotkano na litą skałę i nie dokończono go. Później zaś przecięto go przy wydobywaniu skały w kamieniołomie. Poszedłem wzdłuż fałdy aż do szczytu kamieniołomu, gdzie, jak przypuszczałem, mogło znajdować się wejście. Miałem już schodzić w dół skrajem, gdy w krzakach dostrzegłem ukryte zawiniątko. Ktoś zaopatrywał Feelera w jedzenie, pewnie żona albo córka. Nie odmówiłem sobie przyjemności, żeby mu je zanieść. Zachowywał się przebiegle, paląc ognisko w odległym końcu tunelu, lecz jego rzeczy i to - podniósł sakwę i rzucił ją do stóp Kate - znalazłem tuż przy wejściu. - Obrócił torbę dnem do góry i na podłogę sypnęły się małe bręczące woreczki i duża czarna torba złożona z dwóch części. Pokazując to drżącym palcem, ciągnął dalej: - Wszystkie te woreczki stały w szeregu jak żołnierze, wzdłuż ściany. Wszystkie były wcześniej otwierane, a ich zawartość policzona; zawiązano je

ponownie z wyjątkiem jednego, w którym jest o cztery suwereny mniej niż w pozostałych... Prawdopodobnie zobaczył światło mojej latarni, bo musiałem wejść głębiej i wyciągnąć go. Ale do ostatniego tchnienia zaprzeczał, że wiedział wcześniej, gdzie są pieniądze. Musiał przez te lata trzymać je w ukryciu, a ostatnio dopiero z nich skorzystać.

- To nieprawda.

Oboje popatrzyli na Mary Ellen, która stała dysząc ciężko, jakby dopiero co wbiegła do domu. Płatała się teraz: - Nic nie wiedział o pieniądzach. Nie wiedział, gdzie są. To ja... ja je tam schowałam.

- Ty je tam schowałaś? - Hal stał przed nią blisko, lecz kiedy wyciągnął rękę i położył jej na ramieniu, odepchnęła go od siebie. Opadła z powrotem na fotel. - Znalazłam torbę w bagnie pewnego suchego lata - powiedziała. - Twój ojciec musiał wepchnąć ją w krzaki, kiedy go napadli. Tak się domyślałam. Wpadła do błota i utonęła i dopiero kiedy bagno wyschło, zobaczyłam wystającą z niego rączkę. To było wtedy, w tę niedzielę, kiedy ty i Roddy pobiliście się po raz pierwszy i tarzaliście się w trawie... Natknęłam się na tunel, kiedy wcześniej zbierałam jeżyny, więc... schowałam torbę tam. Chciałam powiedzieć Roddy'emu, ale byłam na niego zła. Bałam się powiedzieć ojcu, bo zabronił mi zbliżać się do bagna. Wkrótce o wszystkim zapomniałam. Po latach od czasu do czasu myślałam o torbie. Ale sprawa stawała się coraz trudniejsza do wyjawienia, bo mogliby pytać... władze wypytywałyby mnie, dlaczego nie wyjawiałam tego wcześniej.

Zwiesiła głowę na piersi, a kiedy ją znów podniosła, zobaczyła, że Kate i Hal siedzą naprzeciwko i patrzą na nią ze zdumieniem. - I przez wszystkie te lata, dziewczyno, trzymałaś tę tajemnicę dla siebie? Czy nie wiedziałaś, że to odkrycie mogło oczyścić imię ojca Hala? - odezwała się Kate.

- Ja... ja nie skojarzyłam tego wtedy z twoim ojcem. Skądinąd ciekawa jestem, dlaczego nikt nie znalazł jej przedtem. Pewnie dlatego, że z powodu osuwającej się skały dzieci przestały się bawić w kamieniołomie.

- Och, Mary Ellen. - Hal mówił cicho i spokojnie. To, że na nią nie nakrzyczał sprawiło, że popatrzyła na niego trochę łaskawiej. Ale tylko przez chwilę. - Tak czy inaczej,

trzymając język za zębami, zrobiłaś dobry uczynek, bo mam teraz pieniądze na rozpoczęcie nowego życia.

- Nie masz chyba zamiaru ich zatrzymać?

- A co, twoim zdaniem, mam z nimi zrobić?

- No - patrzyła to na niego, to na Kate - oddać je właścicielom. To były pieniądze na wypłatę!

- Posłuchaj, Mary Ellen - ton jego głosu był znów normalny - co się stanie, gdy jutro rano pójdę do biura i powiem: oto są pieniądze, o których kradzież oskarżano mojego ojca. Po trzydziestu latach. Wiesz, co się stanie. Powiedzą: dziękujemy panu bardzo, panie Roystan, i to będzie wszystko. Pieniądze pójdą do towarzystwa i utoną jak kropla w morzu. Wiesz, ile jest warte towarzystwo Greenwich Hospital? Miliony. Przepuszczalnie wiele milionów. Sami nie wiedzą, jak bardzo są bogaci, prowadzą tyle interesów. Musiałbym być skończonym osłem, Mary Ellen.

- To nie są twoje pieniądze.

- Właśnie że są moje. Każdy parszywy suweren z tej sumy należy do mnie. Jako dziecko chodziłem głodny, bosi i zaszczuty. Kate była mi jedyną przyjazną duszą. Niektórzy chętnie by mnie wtedy zlinczowali, musieli bowiem czekać na wypłatę, dopóki nie przysłano następnych pieniędzy. Powiadam ci, zarobiłem każdego pensa z tych dwustu dwudziestu jeden suwerenów. Nie, Mary Ellen, te pieniądze wyciągną mnie z tej piekielnej dziury. Na pewno nie będę wytapiaczem. - Pokazał palcem swoją pierś i dodał: - Już czuję ten bolesny ucisk, co dokucza bardziej niż nóż między żebrami. Ale nie, nie dam się tak wykończyć. Upatrzyłem sobie małą farmę. Miałem na nią oko już od dawna. Często widziałem w sennych marzeniach wielkie otwarte niebo, a pod nim pośrodku mały domek. Na tej farmie stoi właśnie dom na środku dużej, otwartej przestrzeni. Jest mały, ale porządnie zbudowany. Stare małżeństwo Douglassów ciągnie resztkami sił. Farma nie jest jeszcze na sprzedaż i oczywiście jest dzierżawiona, ale tak jak teraz się rzeczy mają z ziemią, nie sądzę, żeby było dużo chętnych na ich miejsce.

- Ale, chłopcze - Kate przerwała jego potok wymowy - czy nie wzbudzi zdziwienia, skąd masz tyle pieniędzy?

- Nie, Kate, wszystko sobie chytrze ułożyłem. Pamiętasz, że towarzystwo wypłaciło mi rekompensatę za śmierć ojca?

Byłaś jedyną osobą, której powiedziałem, ile mi dano, że było to tylko dwadzieścia jeden funtów i dwa szylingi, równowartość rocznego zarobku mojego ojca. Pozostali snuli domysły, że były to setki funtów, a ja utrzymywałem ich w tym przekonaniu. W pewien sposób przygotowałem sobie grunt.

- Ale towarzystwo wie dobrze, ile ci wypłaciło, a nie jest to suma, za którą można stanąć na nogi i utrzymać farmę.

- Uprzedziłem twoje obawy, Kate. Mam już wszystko przemyślane. Całe życie oszczędzałem i z pomocą siedmiu funtów, które zostawił mi stary Abel, a nie mając żony na utrzymaniu - przelotnym spojrzeniem obrzucił Mary Ellen - ani też żadnego przychówku, mogę iść do banku i powiedzieć: oto czterdzieści funtów. Chciałbym wydzierżawić farmę. Czy udzielicie mi panowie pożyczki, bym mógł ją dodać do tej sumy i kupić bydło? I dadzą mi pożyczkę. Obciążą mnie odsetkami, zawsze tak robią, lecz przypuszczam, że przez dwa lata będę miał taki zysk, że spłacę bank. Jeśli nic nie zarobię, i tak będę miał z czego spłacić. Przez kolejne dwa lata moje stado powiększy się i odtąd ruszę z kopyta, szybciej niż Bannaman na kradzionych pieniądzech. Zabawne, prawda, Kate?

- Myślisz, że jesteś sprytny, prawda? - spod komina dobiegł syczący szept, a Hal błyskawicznie natarł krzykiem na Mary Ellen: - Ano, tak myślę. Jestem sprytniejszy niż inni wokół, bowiem używam głowy, nie tak jak niektórzy cholerni głupcy. - Patrzył na nią ponuro. I nagle, jakby nie było wcale rozmowy o wisielcach, pieniądzech i farmie, zapytał:

- Czy on wie?

- Nie. I się nie dowie.

- Zobaczymy.

Skoczyła z fotela i ścisnęła obie jego ręce, prosząc go błagalnym tonem: - Halu, proszę, proszę. Nie chcę tego. Nie możesz. Nie rób tego, Halu... Ja... ja nigdy nie prosiłam cię o nic, bo byliśmy... - zająknęła się. - Zrób to dla mnie. Nie mów mu nic.

Gdy patrzył na nią w świetle lampy, wyraz jego twarzy złagodniał i już bardziej umiarkowanym tonem zapytał: - A co będzie, jeśli się dowie od kogoś innego?

- Niktę prawdopodobieństwo. - Oboje odwrócili się i popatrzyli na Kate, która pokiwała głową i dodała: - Jest setki

mil stąd. Zrób, o co cię prosi. Tak będzie lepiej. Nikt nie znajdzie szczęścia w sidłach, czy to człowiek czy zwierzę.

- Powinien stawić temu czoło, a nie zostawiać jej tak - mruknął.

- Ona nie jest sama, Halu. Ma mnie... i ma ciebie, prawda? Twarz mu drgnęła i popatrzył na Kate surowo: - Wolałaby mieć przy swoim boku diabła niż mnie, prawda, Mary Ellen?

Nie odpowiedziała, lecz wargi jej zadrżały. Spuściła głowę, zsunęła się z fotela, wzięła pogrzebacz i zaczęła wygarniać kasztany. Na jednym, który zapalił się od płomieni, trzasnęła skorupka. Wyprysnął z paleniska i z sykiem potoczył się po podłodze. Hal zaśmiał się. - To jest jej odpowiedź, Kate. Czyż to nie cała Mary Ellen? Kasztany mówią za nią. Wolałaby się dać zastrzelić, niż mieć mnie przy swoim boku.

15

Zima zaczęła się na dobre. Światło dnia było coraz krótsze, ciemności nocy coraz dłuższe. Przez pierwszych parę tygodni Mary Ellen leżała w łóżku, cierpiąc na bezsenność, ale gdy doszły do głosu ociężałość ciała i całodzienna praca nie miała kłopotów z zasypianiem. Nie było już więcej wstawania o piątej rano. Schodziła po drabince o siódmej, rozniecała ogień i podgrzewała jeden z naparów Kate. Zanosila jej kubek do łóżka, a mniejszą porcję wypijała sama. Kate rzadko kiedy spała o tej porze, Mary Ellen siadała więc na brzeжку łóżka, lecz nie odzywała się, dopóki staruszka nie wysączyła całego kubka. Potem pytała ją o zdrowie i wysłuchiwała, co Kate zaplanowała dla nich obu na dany dzień, mówiąc na przykład: - Dziś jest niedziela, a więc przyjdzie tu Will Campbell. Niedługo całkiem spadnie z niego ubranie. Lekarstwem dla niego jest ziele krzyżownika. W zeszłym tygodniu nauczyłaś się, że stosuje się je na dwa różne sposoby: gotowane w piwie z octem i odrobiną miodu wywołuje wymioty u dzieci, którym zaszkodziły trujące jagody; liście, jak pamiętasz, gotuje się w odrobinie wody albo wina z pasternakiem, zawsze trzymam

go pod dostatkiem, owoce jednak odkładam. Powtarzam Wil-
lowi już od dawna, że nie miałby tyle kwasów w żołądku,
gdyby w sobotę wracał prosto do domu, zamiast siedzieć
w karczmie i pić na umór. Jego wnętrzności nie zostały
stworzone do tego, czym zwykły je napełniać.

Albo może powie: - Mamy dziś piątek. Jane Stubbs wstąpi po
drodze do Haydon Bridge, dokąd wybiera się po mąkę, ziarno
i różne inne rzeczy. Nigdy nie widziałam rodziny, której bardziej
trzymałyby się karbunkuły. Powiedziałam jej już dawno, że
używa za dużo tłuszczu. Mają trzy chlewy i trzymają w nich
pełno świń. Żywią się wszyscy samą wieprzowiną, a tłuszcz musi
się którydyś wydostać - jak nie przez szyję, to przez siedzenie.
Mówiąc o Jane Stubbs i karbunkułach, Kate śmiała się: - To
dopiero będzie! Przeżyje szok, kiedy pokaże nos w drzwiach.
Pensa? Odpowiem jej: - O nie, Jane, to za mało. Jeśli chcesz
dostać tę maść, której przygotowanie zajęło mi cały dzień, musisz
zapłacić trzy pensy. Muszę z czegoś żyć. - I tak dalej, i tak dalej.

Kiedy ceny za lekarstwa i maści wzrosły, klientela Kate
skurczyła się znacznie. Ale to jej nie wzruszyło.

- Wrócą - powtarzała - wrócą. - I miała słuszość. Teraz,
kiedy zima już była za pasem, ludzie poczęli kasłać i kichać,
ból pleców i ramion nasiliły się, i nie minął dzień, żeby ktoś
nie pokazał się na progu. Pewnej godnej zanotowania niedzieli
miały nawet aż dziesięciu gości i zebrały aż cztery szylingi
i trzy pensy. Kate mówiła później, że odkąd sięga pamięcią,
nigdy nie uzbierała takiej sumy przez cały tydzień.

Przez pierwsze tygodnie pobytu Mary Ellen w chacie Kate
liczba klientów płci męskiej znacznie wzrosła. Doprowadziło
to nawet do rękoczynów - Hal pobił się z jednym z nich.
Bardzo zmartwiło to Mary Ellen, ale wywołało jedynie cynicz-
ną uwagę z ust Kate. Ów młody człowiek był dobrze znanym
bywalcem chaty Maggie Oates, i Hal, gdy zastał go roze-
śmianego w kuchni, zapytał, czego tu szuka.

- Tego samego lekarstwa co ty - odparł młody człowiek.

- A więc - odrzekł na to Hal - jesteś o dobrą milę od
lekarstwa, którego szukasz. - A tamten na to ze śmiechem:
- Tak, ale w przyszłości nie będę musiał chodzić tak daleko.
- Hal skoczył z prędkością błyskawicy, złapał go za kołnierz
i wywlókł za drzwi i przez ogród. Znaczenie tych słów dotarło

do Mary Ellen równie szybko. Wspięła się po drabinie na górę i tam się ukryła.

- W tej chwili złaż na dół! - wrzasnęła Kate. - Będziesz musiała znieść wiele gorszych rzeczy, zanim się zestarzejesz. - Kiedy zeszała na dół i stanęła z opuszczoną głową przed Kate, stara kobieta położyła dobrotliwie rękę na jej ramieniu. - Nie będą nas już niepokoili jemu podobni. Hal położy temu kres. Ale chyba będzie musiał ponieść konsekwencje swego postępowania.

Kolejna aluzja nie pozostała bez wpływu na Mary Ellen. Gdy Hal wrócił do izby z rozciętą wargą i zapytał z niepewnym uśmiechem, czy może dostać jakieś lekarstwo na rozwaloną gębę, nie mogła ścierpieć jego widoku.

Nadszedł już grudzień, a dziecko w jej brzuchu osiągnęło siódmy miesiąc. Brzemienność była już bardzo widoczna. Cały wygląd Mary Ellen uległ zmianie: jej dziewczęca uroda znikła, twarz czasami wyglądała pospolicie, a w kącikach oczu zawsze czaił się smutek, którego nie mógł odegnać nawet szczery śmiech. Kiedy zbliżał się jej czas, zaczęła się czuć gorzej. Trudy dnia stawały się coraz cięższe do przebrnięcia, chociaż najcięższe prace zdjął z jej barków Hal. Przychodził przynajmniej dwa, trzy razy w tygodniu i rąbał drwa na opał, kopał torf i przynosił potrzebne rzeczy z miasta.

Życie Hala zmieniło się ponad miarę jego marzeń. Nie zdołał dostać farmy Douglasów, lecz dzięki uprzejmości swego pracodawcy wydzierżawił farmę Barley Moor. Znajdowała się o dwie mile na zachód od chaty Kate, obejmowała osiemnaście akrów ziemi i cztery budynki gospodarcze. Na tej ziemi stała również cegielnia i bardzo go kusiło, by i ją także wziąć w dzierżawę. Czynnosc dzierżawny wynosił jednak czterdzieści osiem funtów i cztery pensy rocznie i gdyby nie oparł się tej pokusie, niewątpliwie wywołałoby to komentarze, nie tylko sąsiadów, ale także i w firmie. Mimo wszystko myśl ta tkwiła mu gdzieś głęboko w głowie i był bardziej niż szczęśliwy, że mieszka teraz w domu, w którym jest salonik, kuchnia z kredensem o marmurowych balustradkach i dwie najprawdziwsze sypialnie na górze. Na zewnątrz była obora z obszernym poddaszem, która mogła pomieścić siedem sztuk

bydła; ponadto był chlew, składzik na węgiel i wreszcie wygodka. Obok domu był także ogród warzywny.

Mebli, które przewiózł z chaty Abła Hamiltona, było niewiele, ale uzupełnił je na wyprzedazach. Miał trzy krowy w oborze, konia w stajni, świnie, która miała lada chwila się oprosić, tuzin kur i cztery kaczki. Od czasu do czasu, gdy wyruszał wieczorem do Kate przez wrzosowisko, dawał się ponieść rozpieszczonej go dumie. Czuł się naprawdę doskonale. Zawsze jednak, gdy docierał do chaty, kładł na twarz maskę obojętności. Opowiadając życzliwemu uchu Kate o swych osiągnięciach, wtrącał niedbale: o tak, sprawy idą dobrze, powoli, lecz dobrze. Czyż to mleko nie dowodzi, że jego krowy nie są jałowe?

Życie odmieniło się do tego stopnia, że z trudem przychodziło mu przypomnieć sobie, jak wyglądało przedtem, wyjąwszy chwile, kiedy spoglądał na wzgórze wznoszące się ponad moczarami Carts. Za wzgórzem tym znajdowała się farma Bannamanów. Wydawało się, że ten dom jest jedyną pozostałością, która łączy go z minionymi latami.

Ani Kate, ani Mary Ellen nie okazały zdziwienia, kiedy we wtorkowy ranek otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Hal, jak zwykle coś niosąc. Postawił na stole bańkę z mlekiem, a worek rzucił na kamienną podłogę. - Przyniosłem wam rzepę. Farmer Gordon w swej dobroci podrzucił mi worek rzepy. - W jego głosie pojawiła się posępna nuta. - Chciał, żebym wynajął się do niego na parę dni. Nazwał to sąsiedzką pomocą. Mógłbym kupić tę rzepę za szylinga. Może chcecie, żeby wam coś kupić w mieście? Właśnie się tam wybieram. Jest targ, a ja chcę kupić młodego buhaja.

- Buhaja? - wykrzyknęły równocześnie Mary Ellen i Kate.

- Ano, buhaja. Wiecie, buhaj - pokazał na migi wielki brzuch, a obie kobiety roześmiały się.

- Dobrze, dobrze. Pokazałeś nam, co to jest buhaj - powiedziała Kate. - Jak myślisz, Mary Ellen, czego nam trzeba?

- dodała.

- Mamy zapas mąki i cukru, ale sądzę, że powinniśmy go powiększyć na wszelki wypadek. Gdybyś napotkał drożdże, byłabym wdzięczna. I trochę jęczmienia na biały pudding.

- Czy chcecie coś specjalnego na Boże Narodzenie?

- głos Hala zabrzmiał cicho. Kate, śmiejąc się, pospieszyła

z odpowiedzią: - A pewnie, przynies mi nową parę nóg, przyniesiesz?

- Przyniosę - zgodził się poważnie. - Jaki rozmiar? Może lepiej je zmierzymy? - uczynił gest, jakby chciał podnieść jej spódnicę.

- Do licha z tobą! - trzepnęła go dłonią.

- Czy możesz mi przynieść trochę wełny, jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby ją kupić? - wtrąciła Mary Ellen.

- Nie mam nic przeciwko temu. Już powiedziałem sprzedawcy, że biorę się za robotki. Znowu się roześmiali.

- Znam dziwniejsze rzeczy. W okolicy mieszka Ben Holt - pracuje w szybach w Allenheads - powiedziano mi, że on szyje. Tak, tak, i to lepiej od niejednej kobiety, smokingi i temu podobne, wyszywa też sztandary jedwabnymi nićmi. Nie potrzebujesz się więc wstydzić, mówiąc, że robisz na drutach, chłopcze. Mógłbyś szybciej tym osiągnąć sławę, niż gospodarząc na farmie.

- Ale, ale, co masz na myśli? Gospodarzę całkiem nieźle.

- Tak, przyznaję. Co zabijesz na Boże Narodzenie, świnię?

- Tak, świnię. - Owinął wokół siebie płaszcz i zapiął się aż pod szyję, zagadując jakby od niechcienia. - Macie może jakieś wieści?

Ani Kate, ani Mary Ellen nie odpowiedziały, skierował się więc ku drzwiom. - No, w końcu, jak przypuszczam, jest dosyć czasu. Do zobaczenia - powiedział.

Chwilę potem, gdy zamknęły się za nim drzwi, Kate odezwała się: - Nie znaczy to też, że mamy wiadomość, że nie przyjedzie; może stanąć w tych drzwiach w przyszłym tygodniu o jakiegokolwiek porze.

Mary Ellen zakasała rękawy, kopnięciem przesuwając wołokową podkładkę pod kolana bliżej gara z parującą wodą. Uklękła na niej i powiedziała: - Mówiłam ci już, Kate, ale mi nie uwierzyłaś; mam nadzieję, że nie przyjedzie. Ja... nie chcę go widzieć. Nie w tym stanie. Nie zamierzam tego nigdy wykorzystać, żeby go przymuszać do czegokolwiek. Zabawne. Patrząc w dal, ciągnęła: - Zanim to się stało, zaprzedałabym duszę diabłu, żeby go skłonić do małżeństwa. Teraz zaś, gdyby mnie prosił... nie zgodziłabym się, nie wyszłabym za

niego, bo to by tak wyglądało, jakby miał broń przystawioną do głowy.

- Inaczej byś śpiewała, gdyby cię poprosił. I na pewno będzie cię prosił, gdy zobaczy, jakiego narobił zamieszania.

- Myślisz, że jestem aż tak słaba, Kate?

- Nie, dziewczyno. W ogóle nie myślę, że jesteś słaba, daleka jestem od tej myśli, ale na nic siła woli, gdy do głosu dochodzi serce. Jeśli taka jesteś silna, zapytaj serce, co czuje i co będzie czuło, kiedy twoje oczy go zobaczą. Wiem, jaka będzie odpowiedź. Szoruj podłogę, dziewczyno.

Wtem Kate wydała z siebie cichy jęk, a Mary Ellen przerwała szorowanie i skierowała wzrok ku górze.

- Znow ten ból?

- Tak.

- Mam ci dać to co zwykle?

- Majeranek? Myślę, że dobrze mi zrobi. Ale nie. Napiję się kropelkę krzyżownika.

- Krzyżownika? Myślałam, że to środek na wymioty przy przejedzeniu albo zatruciu.

- Tak, to prawda, ale maleńka kropelka dobrze robi przy bólu brzucha, zwłaszcza od żółci. Przynieś słoik.

Kate nalała sobie małą porcję lekarstwa ze słoja i wypiuwszy ją, skrzywiła się. - No, jeśli to mi nie pomoże, to już nie ma dla mnie lekarstwa. Przynieś mi moją puszkę ze skrzyni - poleciała.

Mary Ellen posłusznie przyniosła puszkę z dużej czarnej skrzyni pod półkami, na których stały butelki. Zajrzała do środka, a kiedy Kate otworzyła puszkę, zobaczyła coś, co wyglądało jak zwykłe cukierki.

- Ależ to zwyczajne cukierki, Kate.

- Tak, ale jest mała różnica. Zjedz garść tego, a staniesz się wesolutka jak małpa. Wielka ulga kryje się w cukrze z rozmarynem. Zjemy sobie trochę na Boże Narodzenie. Zrobiłam to na początku roku, tylko na szczególne okazje. Mówiąc szczerze - popatrzyła w dal - było to wtedy, kiedy miałam to przeczucie, że mój chłopak lada chwila ukaże się w drzwiach. Zostawimy trochę na wszelki wypadek. Wiele rzeczy, których musisz się jeszcze nauczyć, kryje się w tej skrzyni, moje dziecko. Choć i teraz dajesz sobie dobrze radę. Zaczynają cię już szanować mężczyźni, widzę to.

- A ich żony? Sama mówiłaś, że nie miałaś tyle babskiej klienteli od czasów, gdy urodził się twój syn.

- A tak, to prawda. Rozprawiłam się z nimi, i tylko stałe klientki pokazują tu swoje twarze. Ludzie są podobni do bydła. Chociaż nie. Zawsze zaprzeczam temu twierdzeniu i sama siebie za nie ganię, bo nieraz bydło więcej ma rozsądku i jest bardziej czyste niż niektórzy ludzie, których mogę wymienić z nazwiska. Jednak każdy musi żyć swoim życiem, zawsze ci to powtarzam. Kończ więc szorowanie, potem przynies torfu, a potem - uśmiechnęła się konspiracyjnie - potem siądziemy sobie i będziemy się uczyć o wszystkim, co zawiera czarna skrzynia.

*

Hal, wracając wieczorem, przyniósł im list. Przywieziono go dyliżansem do biura w Hexham razem z pocztą dla nadzorcy huty. Przyjął go urzędnik, który znał Hala, zapytał więc, czy nie mógłby zawieźć go pani Makepeace.

Hal po wejściu do izby nie wręczył Kate listu od razu, lecz chwilę go przytrzymał.

- Mam tu dla ciebie list, Kate - powiedział.

- Skąd przyszedł?

- Z Londynu.

- Ach, z Londynu - głos jej zabrzmiał głucho. - Otwórz go więc.

Otworzył kopertę, po czym patrząc na Mary Ellen, która siedziała przy stole i kruszyła w palcach suche liście, spytał ją cicho: - Chcesz go przeczytać?

- Nie. - potrząsnęła głową i utkwiała w nim spojrzenie. Hal zaczął czytać:

Droga Kate,

Tak mi przykro, gdy kreślę tych parę linijek, i jestem niepokieszony, gdyż nie zdołam wybrać się w podróż do domu na Boże Narodzenie. Być może to samolubnie z mojej strony, ale jestem pewien, że zrozumiesz, gdy Ci powiem, że zaproszono mnie, bym towarzyszył panu Cottle do Paryża na wystawy malarstwa.

To okazja, o jakiej nigdy nie marzyłem, i gdybyś była tu ze mną, pewnie byś rzekła: skorzystaj z niej, bo takie okazje

nie trafiają się często w życiu. Pewien więc jestem, że zrozumiesz, Kate. Będę tęsknił za Twoim widokiem, lecz z nadejściem wiosny przyjadę do domu. Słę Ci wyrazy najgorętszych uczuć.

*Taki sam jak zawsze
Roddy*

Gdy Hal skończył czytać, popatrzył na Kate i powtórzył:
- Słę ci wyrazy najgorętszych uczuć. Taki sam jak zawsze Roddy. Nie ma: przekaz pozdrowienia Halowi. I oczywiście nie pomyślał o Mary Ellen. Oczywiście, że nie - mówiąc to obrócił się, by na nią spojrzeć. Ale zdążyła już wstać z krzesła i pospieszyła w kierunku drabiny prowadzącej na poddasze.

- Nie bądź taka drażliwa i głupia. Wiedziałem, że nie przyjedzie. I ty w głębi duszy też wiedziałaś. Odszedł. Odszedł na dobre. Kate też wie. Zastanów się nad tym - dobiegł ją głos Hala.

- Będę się zastanawiać nad wszystkim, co uznam za pożyteczne. I nie będę ciebie pytać o zdanie. Nigdy się nie zmienisz. Ciągłe tylko te docinki. Och, ty! - zaczęła wspinać się po drabinie.

Gdy jej nogi znikły w kwadratowym otworze, Hal cicho podszedł do ławy i siadając obok Kate, zapytał: - Bez zmian, prawda?

- Dostałeś to, o co się prosiłeś, chłopcze. Trzeba było zostawić ją w spokoju.

- On jest łajdakiem. Samolubnym łajdakiem. Mówiłem to już przedtem i znowu to mówię - słowa padały cicho, lecz dobitnie. - Powodzenie uderzyło mu do głowy. Będę mocno zdziwiony, jeśli kiedykolwiek go tu zobaczę. Wiesz o tym, prawda? - Delikatnie trącił jej ramię, a ona odparła spokojnie: - Wróci. Kiedyś wróci, przywieziony jeśli nie uczuciem, to dumą, bo będzie chciał wszystkim wokół pokazać, do czego doszedł. Bo dojdzie. - Odwróciła się i popatrzyła Halowi w twarz. - Osiągnie pozycję. Tylko to ma w głowie. I musiał się dobrze poczuć wśród nowych przyjaciół, bo inaczej nie wytrzymałoby z nim tak długo.

- Może to nie pan Cottle, ale pani Cottle go tak dobrze przyjmuje.

- Tak myślisz?

- Nie tylko myślę, ale jestem tego pewien. Ta pani, która przyjechała z nim kiedyś, uważa się za zbyt młodą dla swojego męża. Kobiety w tym wieku lubią takich młodych, zwłaszcza jeżeli są związane z podstarzałymi mężczyznami, a z tego, co mi mówiłaś, wnoszę, że on musi mieć około sześćdziesięciu lat. O tak, nasz Roddy wybije się, ale będzie musiał za to słono zapłacić, bo taka kobieta jak ona zażąda ostatniej kropli jego potu.

Kate utkwiała w Halu swoje zwężone i przekrwione oczy.

- Wygląda na to, że wiele się dowiedziałeś o kobietach, Halu - powiedziała.

- Dosyć - potaknął i ujął w rękę pogrzebacz, żeby podsyć dogasający ogień.

- To dlaczego nie użyjesz innej taktyki wobec... - wskazała głową pułap.

- A dlaczego powinienem? To bez różnicy. - Wetknął pogrzebacz w środek ognia i zatoczył nim krąg. - Przyjdzie do mnie wtedy, gdy diabeł pokocha święconą wodę. To beznadziejna sprawa.

- Ale chciałbyś mieć w tym względzie nadzieję, prawda Halu?

- Ja i Mary Ellen? Gdybyś mówiła o Maggie Oates, u niej miałbym jakąś szansę.

Roześmiała się: - Za dużo konkurentów. Mógłbyś nie mieć szczęścia.

- Jest jedno takie miejsce na ziemi, gdzie mam szczęście, jest nim moja farma. Och, Kate, chciałbym, żebyś ją mogła zobaczyć. Przyjadę tu wozem, kiedy się ociepli, i zawiozę cię tam. Nie uwierzysz, jak wyszykowałem ten mały domek.

- Po co? Żeby mieszkać tam samotnie?

- To mi wystarczy.

- Nie bądź głupi, człowieku. Jeśli nie możesz pójść jedną drogą, pójdz drugą. Weź dziewczynę, weź sobie żonę. Dosyć jest chętnych dookoła.

- O, tak. Mało nóg nie pogubią, tak się za mną uganiają. Muszę się Opędząć. Ten dom, Kate, jest pierwszym moim domem w życiu. Chata Abla była jedynie dachem nad głową. No cóż, dobranoc. Wpadnę rano.

- Czekaj. A jak tam twój buhaj?
- Nie kupiłem.
- Dlaczego? Nie było żadnego na targu?
- Były trzy, ale nawet najmizerniejsza krowa nie spojrzalaby w ich stronę. Dobre pod nóż, biedaczyska. Ale dostanę jeszcze swojego buhaja, a wtedy moje dziewczyny będą się biły o niego. Zwykle dostaję w końcu to, czego chcę. Dobranoc, Kate.
- Dobranoc, Halu! - Kate zapatrzyła się w ogień - No, ciekawam. Ciekawam, czy naprawdę dostaniesz wszystko, czego chcesz - pomyślała na głos.

16

Pogoda była zmienna, zamiast obfitych opadów śniegu na przemian występowały zadymka, deszcz i wiatr. Potem nastąpiły dni, kiedy cały świat wyglądał jak przykryty taflą szkła.

Mary Ellen przygotowała się na wszelką ewentualność. Po obu stronach drzwi do chaty piętrzyły się stosy drewna i torfu. Spizarnię zapełniał duży zapas tłuszczu i mąki. Dziecko nie powinno przyjść na świat przed początkiem lutego, mimo to tuż przed świętami Mary Ellen czuła się najpierw zmęczona i ociężała, potem zaś wyraźnie obolała i chora.

W drugim tygodniu stycznia padało bez przerwy cały dzień i noc, potem śnieg trochę stajał, a mróz przeobraził wilgoć w lód. To wszystko znów przysypała gruba warstwa śniegu. Hal opowiadał, że drogi są zasypane, a dyliżanse opóźnione i nie ma nadziei, że będzie można przejechać przez najbliższe dni.

Za każdym razem, gdy przychodził, obserwował uważnie Mary Ellen, a pewnego razu nawet zapytał: - Czy myślisz, że zbliża się twój czas? - W odpowiedzi potrząsnęła tylko głową. Podczas każdej wizyty Hal starał się uzupełniać zapas drewna i torfu przy drzwiach i napełniać dwie stągwie wodą. Zazwyczaj przychodził późnym popołudniem i czasem musiał przyświecać sobie latarnią, żeby tu dotrzeć.

Tego dnia Mary Ellen ledwie zdążyła wejść do chaty po wylaniu pomyj, gdy usłyszała jakiś stukot przy stercie drewna.

Zanim wszedł, zatrzymał się na wycieracze i otrzepał ze śniegu.

- Wcześniej dziś przyszedłeś - przywitała go zaskoczona.

- Pomyślałem, że tak będzie lepiej. Sypie już od paru godzin, a niebo cały czas jest zachmurzone. Może tak sypać jeszcze cały dzień i pewnie nie zdołam tu dotrzeć później, przyniosłem więc więcej mleka i kawałek boczk. Jeśli coś się stanie i nie przyjdę tu rano, nie martw się. Jakoś dotrę później. Kto żyw, wyszedł odgarniać zasy na głównych drogach. To nie tylko ten zatracony śnieg, to także zasy. Żeby choć wiatr trochę ucichł... Jak się czujesz?

Z drzeniem wciągnęła głęboko powietrze. - Muszę się przyznać, Halu, że nie czuję się zbyt dobrze - odpowiedziała.

- Mam iść i powiedzieć to pani Patterson?

- Nie, widziałam ją wczoraj. Wie o tym.

- Jak miewa się ona? - skinieniem głowy wskazał łóżko.

- Całkiem kiepsko. To coś w piersiach. Rano wydobywała słowa z wielkim trudem. Boli ją żołądek. Teraz zasnęła.

- Zabawne - potrząsnął głową. - Niesie pomoc ludziom w cierpieniu, a nie może pomóc sama sobie. Powinien ją zbadać lekarz. Jeśli go spotkam, powiem, żeby przyszedł. Ale słaba nadzieja, że uda mu się tu teraz dostać. Wiesz - przysunął się bliżej - zostałbym z tobą, tylko że... - uśmiechnął się lekko i pokręcił głową - to na swój sposób zabawne. Właściwie nie ma w tym nic zabawnego, źle się wyraziłem. Krowa może mi się ocielić lada chwila, a wiesz, że jestem w tych sprawach nowicjuszem. Choć widziałem farmera Gordona, jak niedawno pomagał przyjść na świat cielęciu, bałbym się bardzo, gdyby coś źle poszło. To pocziwe stare krówsko.

Głos jego zabrzmiał miękko, a spojrzenie napełniło się ciepłem. Mary Ellen nigdy dotąd nie widziała takiego wyrazu na jego twarzy. Odparła głosem, który także zadźwięczał miękko: - Musisz iść, Halu, i przypilnować jej. Mieć cielątko to cudowna rzecz. Nie musisz się obawiać, krowy same sobie dają ze wszystkim radę, chyba że naprawdę dzieje się coś bardzo złego.

- Widziałas, jak się ciela? - twarz Hala ściągnęła się lekko, po czym odpowiedział sam sobie: - Pewnie, przecież pracowałeś na farmie.

- Czasem pomagałam.

- Tak? Więc pewnie wiesz o tym wszystko. Chciałbym bardzo, żebyś mogła ze mną pójść i posłużyć mi pomocą.

- Wymienili uśmiechy, a Mary Ellen zapewniła: - Wszystko będzie dobrze. Zawsze uważałam za zdumiewające, jak małe wstają na własne nogi po około godzinie, kiedy matki je już wyliżą, a krowy zawsze wyglądają wtedy na takie zadowolone. Zawsze lubiłam krowy. Są rozumne, przynajmniej większość z nich, chociaż może się trafić jakaś nieznośna lub z humorami. Widziałam krowę, która ilekroć miała sposobność, kopnięciem przewracała wiadro z mlekiem. Och! - zacisnęła mocno szczęki i położyła rękę na brzuchu, a Hal przysunął się jeszcze bliżej.

- Zaczyna się? - zapytał.

- Nie, nie - skłamała z uśmiechem. - On...ono kopie.

- Uważaj na siebie, dobrze? Przyjdę dzisiaj jeszcze, jeżeli tylko pogoda się poprawi. Jutro będę na pewno, zawieja, śnieżycą czy ulewa.

Z uśmiechem otworzyła mu drzwi. Powoli podeszła do stołu, usiadła i oparła na nim łokcie. - Och, gdyby tylko mógł zostać. Dobry Boże! Co ja pocznę, jeśli zaczniesz się przed czasem? - szepnęła, opuszczając głowę.

Chrapliwy odgłos dobiegający z łóżka postawił ją na nogi. Kate leżała blisko ściany, ale twarz miała odwróconą w stronę Mary Ellen.

- To był Hal? - zapytała.

- Tak. Przyszedł wcześniej, bo zasypało wszystkie drogi w okolicy. Ma przyjść później. Jeśli spotka doktora, powie mu, żeby zajrzał do ciebie.

- Zupełnie niepotrzebnie. Nie chcę doktora. To tobie potrzebny jest doktor. Odpocznij. Połóż się tutaj.

- Położę się za chwilę. Mam parę rzeczy do zrobienia.

Parę rzeczy do zrobienia oznaczało podarcie flanelowego prześcieradła na kawałki, przyniesienie cebra z wodą i postawienie w pobliżu paleniska, przycięcie świec i wreszcie nasypanie porcji owsa do dużego czarnego garnka i wsunięcie go do żaru. Gdy to wszystko było gotowe, podeszła do łóżka i ściągawszy buty wsunęła się pod kołdrę. Kate nie wydała żadnego dźwięku: żuła liście nagietka, które przynosiły ulgę w cierpieniu i działały nasennie.

Kate zawsze powściągliwie wypowiadała się na temat stosowania tego zioła. Ostrzegła tylko Mary Ellen przed zdradliwością afrykańskiego nagietka, po którego zjedzeniu można było spuchnąć jak bania. Ale nawet liści zwyczajnego nagietka nie dawała każdemu, kto o to poprosił. Dodawała jedynie odrobinę do innych ziół, by wzmocnić ich lecznicze działanie. Sama jednak żuła suszone liście. Mary Ellen także czuła w tej chwili potrzebę ulgi, jaką mogłyby jej przynieść te liście. Opanowała jednak tę przemożną chęć. Ból zelżał i zapadła w drzemkę

Kiedy się zbudziła, świece były już wypalone, a w izbie panował przenikliwy chłód. Nie wiedziała, ile czasu spała. Powoli usiadła. Kate się nie poruszała. Drżąc z zimna, postawiła stopy na podłodze i podeszła do ognia. Ledwie się tlił. Podniosła pokrywkę garnka i zobaczyła, że owies dobrze napęczniał i wciągnął całą wodę. Skierowała wzrok na zegar i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wskazywał trzecią po południu. Popatrzyła przez okno, lecz niczego nie mogła dostrzec. Izba pogrążona była w głębokiej ciszy.

Kiedy pochyliła się, by wziąć parę polan i dołożyć do ognia, jej ciałem targnął ból. Za chwilę klęczała na podłodze z głową wtuloną w kolana, obejmując się ramionami, ociekając potem.

To było to. To na pewno było to. Kiedy ból ustąpił, opadła na bok, ramieniem oparła się o ławę, głowę zaś złożyła na ramieniu. Po chwili uklękła i pośpiesznie dołożyła do ognia.

Powlokła się do okna, starła szron z szybki i wyjrzała. Nie widziała nic więcej poza wielką białą rozmazaną plamą. Ostrożnie uchyliła drzwi i twarz jej wykrzywiła się przestraszeniem na widok wysokiej na metr bariery śniegu. Podmuch wichru sypnął jej tumanem w twarz i wcisnął się do izby. Z trzaskiem zamknęła drzwi i oparła się o nie. Stała, łapiąc z trudem oddech, gdy przez głowę przemknęła jej przerażająca myśl: - On się nie przedostanie przez te zasy. Ani pani Patterson.

Kiedy z powrotem zawładnął nią ból, zareagowała krzykiem. Walcząc z własną niemocą, dotarła do łóżka i potrząsnęła ramieniem Kate. - Kate, Kate! Obudź się. Myślę, że dziecko się rodzi, a pani Patterson nie da rady przedrzeć się

przez zaspy. Śnieg sięga do klamki u drzwi i ciągle sypie. Co ja zrobię, Kate!

- Połóż się. Połóż. Jak się ma urodzić, to się urodzi. Ja... nie mogę ci pomóc, ale wszystko będzie dobrze. Kiedy zaczną się bóle?

- Dopiero co, ale silne.

- O, to może potrwać jeszcze dzień albo nawet dwa. Nie martw się. Jeszcze sporo musisz znieść. Wszystko, co masz zrobić, to wstrzymać oddech, złapać się czegoś i przeć. Urodzi się w swoim czasie.

Głos ucichł i Kate odwróciła twarz do poduszki.

Mary Ellen usiadła na brzegu łóżka i walczyła z ogarniającą ją trwożą. Zaczęła jęczeć: - Mamo, mamusiu. - Och, gdyby została u pani Davison. Albo gdyby był tu Hal. Nie, tylko nie Hal, nie teraz, kiedy ona rodzi dziecko. Tego byłoby za wiele - dziecko Roddy'ego przychodzące na świat w obecności Hala. O, nie.

Zaczęła kołysać się bezradnie, póki stanowczy głos z jej wnętrza nie rozkazał: - Dostyc tego! Weź się w garść. Przygotuj wszystko. Weź wanienkę. Połóż w niej prześcieradło. Tak, tak. Kiwnęła na znak zgody głową, jakby to polecenie wydał ktoś inny.

Na środku izby chwycił ją kolejny skurcz i znowu uklękła, tym razem na kamiennej podłodze. Pomyślała jednak, że to nie ma sensu, musi wrócić i położyć się do łóżka. Kate powiedziała, że jak się ma urodzić, to się urodzi. Ale, Panie miłosierny, pragnęła gorąco, by był tu ktoś, kto mógłby jej pomóc.

Nie zdawała sobie sprawy, ile razy krzyczała, ani z upływu czasu. Izba pogrążona była w ciemności, zimna i cicha. Ilekroć przerywała ciszę pełnym cierpienia jękiem albo krzykiem, Kate uspokajająco mruczała: - Już niedługo, już niedługo. Bóle są coraz silniejsze. - Ale większość czasu Kate spała, jakby była już martwa.

Czasami Mary Ellen zdawało się, że także umarła, bo wyobraźnia płatała jej figle. Wydawało się jej, że domek płывa w śniegu. Ona otwiera drzwi i daje nura w zaspę, a potem płynie w niej tak jak chłopcy w stawie. Po chwili ostry ból, skręcający wnętrzności i rzucający na kolana, uświadamiał, że jeszcze żyje.

Kiedy usłyszała stukanie do drzwi, pomyślała, że to także wytwór jej wyobraźni. A kiedy nasiliło się i ktoś zaczął łomotać, niezupełnie umiała powiedzieć, co się dzieje. Dopiero w chwili, gdy ujrzała ośnieżoną postać pochylającą się nad nią, zrozumiała, że oto nadeszła pomoc. W tym momencie znowu złapały ją bóle i poczęła głośno krzyczeć.

Hal zerwał z siebie szal, który utrzymywał mu czapkę na głowie, ściągnął także płaszcz, rozglądając się po izbie dzikim wzrokiem. Podbiegł do kominka, ukląkł i energicznym dmuchaniem rozniecił płomień z dogasającego już żaru. Przez parę następnych chwil dokładał drewno do ognia, chcąc, by rozpalił się dużym płomieniem. Już miał podnieść się z klęczek, gdy znów usłyszał krzyk Mary Ellen, a na ten dźwięk jego twarz też wykrzywiła się bólem. Wchodząc, zostawił drzwi otwarte, by wpuścić do środka trochę światła. Teraz było widać przez nie tunel, który wykopał przedzierając się przez prawie dwumetrową zaspę.

Zanim zamknął drzwi, zapalił świecę. Przypadł do łóżka i ujął Mary Ellen za ręce. - Jak długo już to trwa? - zapytał.

Zamiast odpowiedzi miotła tylko głową w obie strony. Jej stopy w pończochach wystawały spod kołdry. Były lodowate, mimo że jej twarz spływała potem.

Rozejrzał się wokół, mając coraz większy zamęt w głowie. W kącie izby, gdzie stało łóżko, panował półmrok. Nie było tam stołu, na którym można by było postawić świecznik. Nie mógł podejść z drugiej strony łóżka, bo stało przy ścianie, a poza tym leżała tam Kate. Nie zapytał nawet o nią, bo przypuszczał, że zaaplikowała sobie lekarstwo na sen, by ulżyć cierpieniu.

Podskoczył do drabiny i wspiął się po niej na stryszek. Ściągnął pościel z łóżka Mary Ellen i wyrzucił na dół przez otwór. Wyrwał z ramy materac i zrobił z nim to samo.

Gdy znalazł się już na dole, umieścił materac bokiem do paleniska i przygotował pośłanie. Odsunął owsiankę i postawił na ogniu garnek z wodą. Potem podszedł do Mary Ellen i zapytał łagodnie: - Czy dasz radę wstać?

Wyjęczała tylko: - Och, Halu!

- Musisz położyć się bliżej ognia, Mary Ellen. Słyszysz? Kiedy za całą odpowiedź usłyszał: - Och, Halu! - ściągnął z niej kołdrę i narzucił na Kate. Wsunął jedno ramię pod

plecy Mary Ellen, a drugie pod ugięte nogi, po czym dźwignął ją i chwiejnym krokiem poniosł w stronę paleniska. Z wielkim wysiłkiem przyklęknął na jedno kolano i pozwolił jej zsunąć się na posłanie.

Przyniósł z łóżka dwie poduszki i podłożył jej pod głowę. Leżała z nogami wyciągniętymi w stronę ognia. Zdjął pończochy i roztarł stopy szorstkimi dłońmi. Popatrzył na nią i powiedział łagodnie: - Wszystko będzie dobrze. Czy możesz odpiąć spódnice? - Usta miała otwarte, a oczy wytrzeszczone. - Boli, Halu. Bardzo boli - wyszeptła.

- Wkrótce będzie po wszystkim, Mary Ellen. To niedługo minie. Możesz odpiąć spódnice?

Kiedy nie uczyniła żadnego gestu, wyciągnął rękę do paska. Guziki były z boku, już rozpięte, ale nie można było zdjąć spódnicy z jej pękatego brzucha, a także uwolnić jej z halek. Zawahał się chwilę, a potem wyjął szczyryk z kieszeni płaszcza. Rozpruł nim spódnice Mary Ellen. Ale pozostały jeszcze halki. Pierwsza była odpięta, ale druga ścisnęła ją w pasie i z pewnością utrudniała swobodne oddychanie. Przeciął więc obydwie, a kiedy strzępy materiału opadły na boki, ujrzął jej nagie ciało, którego nie miał nadziei nigdy oglądać. Kiedy podkurczyła nogi i wydała z siebie kolejny przyjmujący krzyk, zamknął na chwilę oczy i zacisnął zęby. Chwycił ją za dłonie i powtarzał: - Przyj z całej siły, przyjm mocno...

Przez następną godzinę powtórzył te słowa jeszcze z pięćdziesiąt razy. Położył jej na brzuchu namoczone w gorącej wodzie ręczniki, a ona nawet nie poczuła, że ją parzą, bo była już półprzytomna i coraz słabsza. W pewnej chwili spojrzała na niego i wyszeptła: - Pani Patterson.

- Nie przedrze się przez zasy. Ale nie martw się, wiem co robić - odparł, po czym uśmiechnął się i dodał: - Mam już praktykę. Wiem, co się będzie dalej działo. Wczoraj pomogłem przyjść na świat cielęciu - ciągnął dalej - powinnaś je zobaczyć. Jest prześliczne. Rozluźnij się, nie napinaj mięśni. No dalej, Mary Ellen - poklepał ją po twarzy. - Posłuchaj, dasz sobie radę. Tak, z pewnością dasz sobie radę. Dopilnuję tego. Słyszysz? Znasz mnie, prawda? Ja się nie poddam. Jak coś powiem, tak musi być. Dlatego dasz sobie radę.

Ale kiedy minęła kolejna godzina, ogarnęły go wątpliwości i nawet dał im wyraz. - O mój Boże! Mary Ellen, nie! Nie poddawaj się. Dalej! No, dalej, dziewczyno. Musisz żyć. Jeśli nawet ono będzie martwe, ty musisz przeżyć. Słyszysz mnie, czy nie?

Gdy silniejszy od wszystkich dotychczasowych krzyk przeszył powietrze, ujrzał, że dziecko przychodzi na świat. Wtedy on także jęknął, bo pokazała się nie główka, lecz nóżki. Mary Ellen uchwyciła się kurczowo jego ręki, drapiąc ją paznokciami do krwi. Wolną ręką przytrzymał maleńką nóżkę, wołając z podnieceniem: - Już jest! Jest! Jeszcze raz. Dalej, Mary Ellen, jeszcze tylko raz!

Jakby w odpowiedzi na jego wezwanie dziecko wyślizgnęło się do ramion, po czym zatrzymało się. Znowu jęknął: - O, nie! Boże Wszechmogący, nie! - Wiedział, co musi teraz zrobić i to go przerażało. Widział jak farmer Gordon zachował się w podobnej sytuacji przy ciążącej się krowie. Ale przecież on miał do czynienia z kobietą.

Mary Ellen dyszała ciężko, ale nie płakała. Położył jej rękę na piersi. Serce waliło mocno. - Możesz jeszcze trochę się wysilić, tylko troszeczkę?

Kiedy nie było odzewu, rozejrzał się bezradnie, szukając pomocy. Uwolnił ręce z jej dłoni, wziął nóż i zanurzył we wrzątku. Zrobił to, co należało, a towarzyszył temu przejmujący krzyk, od którego niemal popękały mu bębenki. I oto w obu dłoniach trzymał dziecko, które także zanosilo się od krzyku.

Twarz ociekała Halowi potem. Pochylił się nad maleństwem i nad swymi pokrwawionymi rękami. Obrócił się na kolanach, ułożył dziecko w koszu na bieliznę, który stał przygotowany blisko paleniska, a potem wrócił do Mary Ellen. Obejmując jej twarz dłońmi, powiedział drżącym głosem:

- W porządku, dziewczyno. Ona jest tutaj z nami. Masz córkę. Posłuchaj, jak płacze! Słyszysz, Mary Ellen?

Otworzyła oczy i zmierzyła go wzrokiem, który zdawał się nikogo nie rozpoznawać. Powtórzyła to, co mówiła przez wszystkie ubiegłe godziny: - Och, Halu!

- Już po wszystkim - odpowiedział. - Już po wszystkim. Zaraz cię umyjemy. I wykapiemy córeczkę. - Z trudem

przełknął ślinę. - Zaraz zjesz trochę owsianego kleiku i wnet dojdiesz do siebie.

Godzinę później dziecko było już umyte, zawinięte w kocyk i spało spokojnie. Pomyślał, że powinno zostać przystawione do jej piersi, ale nie wyglądało na to, by Mary Ellen była w stanie je karmić. Ale pozostawało jeszcze dość czasu, godzina czy dwie i będzie gotowa...

Trzy godziny później nadal nie była gotowa. Puls miała przyspieszony, ociekała potem i zaczęła majaczyć. Hal znajdował się w stanie najwyższego niepokoju. Trzeba było nakarmić dziecko, a Mary Ellen dać jakieś lekarstwo. Ale jakie? Była tu stara Kate, lecz nawet nie drgnęła na krzyki i płacze. Miał ochotę wytarosić ją, by się ocknęła. Ale wiedział, że jej stan jest tak kiepski, że równie dobrze mogła się już ocknąć na tamtym brzegu, o którym mówią kaznodzieje, a stamtąd nie ma już powrotu.

Kiedy dziecko zaczęło zanosić się od płaczu, urwał strzępek prześcieradła, owinał wokół palca, umoczył w ciepłym mleku i delikatnie włożył dziecku do ust. Kiedy poczęło łąpczywie ssać, poczuł lekką ulgę. Po powtórzeniu tej procedury jeszcze parę razy dziecko uspokoiło się.

- No, poradziliśmy sobie i z tym kłopotem... Mary Ellen!
- Potrzęsnał nią delikatnie. - Mary Ellen! No, otwórz oczy, nie żartuj, otwórz oczy.

Kiedy posłusznie otworzyła oczy, pojawił się w nich słabiutki przebłysk świadomości i próbowała mówić, lecz tylko wyszeptwała: - Co się stało? - Zaopiekuj się nią. Czy mógłbyś... się nią zaopiekować?

- Mary Ellen, posłuchaj. - Objął ją ramieniem i uniosł z poduszek. - Wydobrzejesz. Posłuchaj, nie odchodź. Słyszysz? Na Boga! Nie odchodź! Mary Ellen, popatrz na mnie. Nie wolno ci umrzeć, słyszysz? Nie mogę żyć bez ciebie. Tak się mają sprawy. Nie mogę dalej bez ciebie żyć. Jesteś wszystkim, co mam i czego kiedykolwiek pragnąłem. Słuchaj, musisz walczyć. O Boże! Nie odchodź. Mary Ellen...

Dotknął wargami jej ust i przesuwając je po całej twarzy, szeptał z rozpaczą: - Mary Ellen, Mary Ellen. Wytrzymam wszystko, nawet to, że go poślubisz, ale musisz tu być. Muszę cię widzieć. Słyszysz? Muszę cię widzieć. Och, kochana!

Kiedy na ramię opadła mu jakaś ręka, wydał z siebie krzyk i popatrzył za siebie w górę, gdzie ujrzał zgarbioną postać Kate. Twarz okalały jej rzadkie, siwe, rozczochrane włosy, oczy miała mętne, wargi zeschnięte, a głos podobny do skrzeku.

- Łożysko - rzekła.
- Co? - odsunął się na bok.
- Łożysko. Czy wyszło?

Potrząsnął głową w odpowiedzi, lecz bardziej do siebie niż do niej. A więc to było to. Nie wyszło łożysko. Myślał, że wie już wszystko o tych sprawach.

Patrzył, jak stara kobieta opada na ławę i pokazuje palcem na przeciwległą ścianę. - Przynieś to małe pudełko - nakazała.

Podniósł się z klęczek i zrobił, co mu kazano, a gdy położył pudełko u jej stóp, gestem dała mu znak, by je otworzył. Zanurzyła rękę w brązowym pudełku. Wyjęła kilka liści i poleciła: - Spal je na szufli.

Zrobił, co kazała. Gdy tylko zapalił liście, po izbie rozszedł się iście szatański smród. Kate zsunęła się na kolana przy głowie Mary Ellen i umieściła szufłę tuż przy jej policzku.

- Zanurz rękę po łokieć w gorącej wodzie, a potem wiesz, co masz zrobić - powiedziała do Hala.

Hal skamieniał. Odebrać dziecko przychodzące na świat to co innego, ale to? Do licha z tym! Gdy zanurzył przedramię w gorącej wodzie, wiedział już, że cokolwiek przyszłość mu przyniesie, czy Mary Ellen będzie martwa czy żywa, czy też wyjdzie za innego, i tak będzie należała do niego.

17

Przez pięć dni Mary Ellen balansowała na krawędzi śmierci - była jedną nogą na tamtym świecie. Na trzeci dzień przedostała się do chaty pani Patterson, a jej proroctwo zmusiło Hala do protestu: - Nie opowiadaj takich rzeczy, kobieto! Najgorsze już minęło.

Kate poiła Mary Ellen swoimi lekarstwami, kropla po kropli wsączając je wprost do gardła. Nieodzowna konieczność pozwoliła Kate odrzucić własną słabość i chorobę. Krzątała się po izbie, doglądając dziecka, ilekroć nie było Hala. Hal jednak był często pod ręką, znikał tylko na godzinę lub dwie, po czym pojawiał się znowu z oszronioną twarzą i przysypany śniegiem.

Na czwarty dzień, kiedy śnieg już trochę stopniał, Hal poszedł do Haydon Bridge i sprowadził doktora. Doktor był nowy i gdy tylko przyjrzał się Mary Ellen, powiedział: - My się już znamy, prawda? - Słowa te wyprowadziły ją na chwilę z ciemności, w której była pogrążona, i wpatrując się w pochylającą się nad nią twarz, rozpoznała człowieka z dylizansu, tego, który zaprowadził ją do Roddy'ego w Newcastle. Ta dziwna twarz utrzymywała ją na powierzchni świadomości przez pewien czas, póki nie usłyszała: - Dobrze, już dobrze. Śpij teraz.

Młody lekarz wyprostował się i popatrzył na stojącą obok staruszkę. Chuda, zgarbiona, wyglądała jak szkielet, na którym ktoś powiesił stare ubranie. Była tak niezwykajna, jak izba, w której się znajdował. Całą jedną ścianę zajmowały półki ze słoikami i butelkami, a z każdej belki pod pułapem zwieszały się wiechcie suszonych ziół. Słyszał o takich jak ona, wiedzmach-znachorkach, ale po raz pierwszy spotkał kogoś takiego. W nie tak odległej przeszłości spalono by ją na stosie. Nigdy nie widział kogoś równie wiekowego. Głos jednak miała silny i mówiła z sensem: - Było gorzej, dużo gorzej. Już po wszystkim - powiedziała, dopełniając jego spostrzeżenia.

Może miała rację, ale droga do wyzdrowienia wciąż była daleka. Dziewczyna nadal była bardzo chora.

Kiedy dowiedział się o przebiegu porodu, postanowił zbadać Mary Ellen dokładnie. Mogło się zdarzyć, że rana ropieje. Ale po badaniu, kiedy ujrzał ranę czystą i gojącą się, stwierdził, że sam nie zrobiłby tego lepiej. Może tylko nie zastosowałby cięć tak dużych, niemniej zostały zrobione w samą porę i pomogły utrzymać dziewczynę przy życiu; to samo dotyczyło usunięcia łożyska. Zdumiewające rzeczy działy się na wsi. Kiedy obejmował tę posadę parę miesięcy temu, sądził, że będzie go nudziła jednostajność wiejskiego życia.

Nie było jednak dnia bez czegoś niezwykłego. Zabawne wypadki, tragiczne wydarzenia. Tragedia czała się wszędzie, zwłaszcza w kaszlu mężczyzn pracujących w hucie ołowiu i w szybach węglowych. Niektórym nie dane było dożyć dojrzałego wieku. Mimo wszystko biedota wiejska różniła się biedoty miejskiej. Mieszkała w lepszych warunkach, zwłaszcza w pobliżu huty. Na przydomowych działkach uprawiano warzywa i hodowano zwierzęta. Nikomu w oczy nie zaglądał głód, jak zdarzało się to mieszkańcom miast.

Dowiedział się ważnej rzeczy: wielu z tych ludzi rodziło się, by naśladować zastany wzorzec życia, lecz ci, którzy odznaczali się rozsądkiem i silną wolą, próbowali je zmienić. Także w tej dziwnej izbie przed paroma dniami rozegrała się batalia siły woli. Dziewczyna umarłaby niechybnie, gdyby czyjaś mocniejsza siła woli nie pokierowała jej losem. Tę wolę wykazał ów młody człowiek, który go poprosił, nie, zażądał, żeby tu z nim przyszedł. Zostawił doktora przed drzwiami, mówiąc, że musi zajrzeć do zwierząt, ale że przyjdzie niebawem. Jedno było pewne - gdyby to on był ojcem dziecka, byłiby już małżeństwem. Co się stało z tym drugim młodym człowiekiem, który spowodował całe zamieszanie z otwieraniem grobów i oskarżeniem bogatego farmera o morderstwo?

- Gdzie ten drugi młodzieniec, którego odwiedzała w więzieniu? - doktor zwrócił się do staruszki.

- Wyjechał do Londynu - padła zwięzła odpowiedź.

- Do Londynu?

Chciał zapytać: czy to on jest odpowiedzialny, czy wie o dziecku, ale błysk w zażawionych oczach dał mu do zrozumienia, że zadał dość pytań jak na jeden raz. Skierował się więc do wyjścia, mówiąc, że zajrzy jutro i przyniesie lekarstwo.

- Lekarstwo? Ona ma wszystkie lekarstwa jakich potrzebuje.

Przeciwstawił się temu z pozycji autorytetu: - Niemniej przyniosę jej lekarstwo, a wy przypilnujcie, żeby je przyjmowała.

Ostatnie słowa starej kobiety, kiedy już wychodził, brzmiały: - A pan myśli, że jak ona z tego wyszła? Proszę zamknąć drzwi dokładnie, wieje wiatr.

Gdy Hal wrócił, powiedziała mu, co nurtowało młodego doktora. - Słyszałem, że to dobry lekarz i zna się na tym, co robi. Jeśli przyniesie jej lekarstwo, będzie musiała je brać. Rozumiesz, Kate? - odparł.

W głosie Kate zabrzmiała ta sama nuta, co w odpowiedzi skierowanej do młodego doktora: - Zrobię, co będę uważała, że jest zdrowe i dobre dla niej. - Wtem wskazała palcem zwierzę trzymające się nogi Hala. - A czyżże on? - spytała.

Hal z półuśmiechem popatrzył na psa i odparł: - A mój.

- Od kiedy to masz psa?

- Od wczoraj. Kupiłem go od irlandzkiego druciarza. Rozbił obóz koło starej stodoły. Miał konia i trzy psy. Poprzedniego dnia zagadnął mnie, czy nie mam trochę rzepy, więc podrzuciłem mu trochę po drodze. I tam był Boyo - ruchem głowy pokazał psa. - Patrzył na mnie i jeśli tylko psy potrafią mówić, ten mówił: Weź mnie! Podobnie jak koń druciarza odżywiał się głównie cygańskim sianem, a to tyle co powietrze. Był najmniejszy z całej trójki i skazany na zmarnowanie, więc ubiłem interes i kupiłem go za sześć pensów.

- Dałeś się ograbić, sądząc po jego wyglądzie.

- Dojdzie do siebie. Ma grube kości, niech tylko nabierze trochę ciała. Właściwie myślałem od jakiegoś czasu o psie. Przechodzący tędy Cyganie nie gardzą cudzym kurczakiem czy sianem. Będzie porządnym psem. Prawda, Boyo? - Poklepał psa po głowie, a zwierzę przytuliło się do jego nogi i popatrzyło mu w oczy. Potem pokręciło się i podreptało do kosza na bieliznę, gdzie leżało dziecko. Obwąchawszy je, pies położył się obok i oparł łeb o brzeg kosza.

- I co ty na to?

- Wie, że dobrze trafił. Wygląda jak mieszaniec.

- Jest młodziutki, ale powiedziałbym, że to krzyżówka owczarka z ogarem. No, dosyć już. - Odwrócił się i podszedł do łóżka. Patrząc na wymizerowaną, bladą twarz wymówił miękko imię dziewczyny. Otworzyła oczy z trudem i zamrugała powiekami, jakby chciała go lepiej zobaczyć. Następnie uniosła rękę i wyciągnęła do niego. Kiedy ją ujął, zacisnął mocno zęby, żeby pohamować drżenie warg, gdyż

gest ten znaczył coś w rodzaju ofiarowania. Nigdy dotąd dobrowolnie nie wyciągnęła do niego ręki.

*

Dzień po dniu Mary Ellen nabierała sił, lecz bynajmniej nie dzięki lekarstwu młodego doktora. Zaraz po jego wyjściu Kate zrobiła po swojemu - wylała je do wiadra z pomyjami, a do buteleczki nalała swojej mikstury, która miała zbliżony kolor.

Śnieg powoli tajał, a z początkiem lutego ukazała się ponownie ziemia. Na terenach położonych wyżej w górach białe czapy śniegu utrzymywały się jeszcze przez jakiś czas.

Za pierwszym razem, kiedy Mary Ellen spuściła stopy z posłania, poczuła się, jakby miała ulecieć w powietrze, tak lekkie wydawało się jej ciało; umysł miała przytomny. Siedziała z kołdrą na kolanach, patrząc w stronę ognia i dziecka w koszyku obok.

- Czy mogę ją wziąć na ręce? - zapytała pani Patterson.

- Oczywiście, jeśli czujesz się na siłach - odparła pani Patterson, zasuszona osóbką o melancholijnym wyrazie twarzy.

- Czuję się na siłach.

Nie pierwszy raz tuliła swoje dziecko w ramionach. Ale do tej pory nie czuła jego ciężaru, bo kładziono je przy jej boku do łóżka. Teraz trzymała córeczkę oburącz i przyglądała się malutkiej twarzyczce. Oczka miała okrągłe i ciemnoniebieskie, lecz Kate mówiła, że większość dzieci ma takie na początku, a potem zmieniają się w czarne, brązowe, zielone czy orzechowe. Policzki dziecka były pyzate, usteczka wyglądały jak otwarty kwiatusek, skórę zaś miało jak aksamit. Było to śliczne dziecko.

- Jak ją nazwiesz? - spytała pani Patterson.

- Kate.

- Kate? No, tak, tak... Należałoby, Kate pomogła ci przecież przetrwać złe chwile. Nie mówiąc już o Halu. Mój Boże! Mów o nim, co chcesz, nie jest to może najmilszy człowiek, ale harował jak wyrobnik przez ostatnie kilka tygodni. Jak on się przedostał do ciebie tamtego ranka, nikt nie ma pojęcia. Musiało mu to zająć kilka godzin, pół nocy nawet. Śnieg unieruchomił wszystkich na dwa dni. Wiesz, że cztery konie zginęły w zaspach pod hutą? A Johna Tolleeta odnaleziono

zamarzniętego prawie na śmierć. Próbował dojść do domu. Jego syn natknął się na niego kilkanaście kroków od drzwi. Jak długo tam leżał, nie wiadomo. Do tej pory stopy ma odmrożone, spuchnięte jak bania. To było okropne! Pamiętam, jak matka opowiadała mi o podobnym śniegu w 1802 roku.

Dziewczyna wsłuchiwała się w monotony głos pani Patterson. We wsi wiadano, że osoba ta z upodobaniem roznosiła złe wiadomości. Była najszczęśliwsza, kiedy udało jej się trafnie przepowiedzieć wszelkie klęski. Mary Ellen pragnęła, by już sobie poszła, żeby zamiast niej był tu Hal. Hal. Mgła pokrywała wspomnienia ostatnich kilku tygodni. Mary Ellen wiedziała jednak, że był tu przez cały czas, a także i to, że zawdzięcza mu życie. Nie lekarstwu Kate, lecz właśnie jemu. Pamiętała przedporodowe męczarnie. Wspomnienie najstraszliwszego bólu wiązało się jednak z nożem zagłębiającym się w jej ciele. Mgła gęstniała potem, lecz Kate opowiedziała jej, co się wtedy działo, i Mary Ellen wiedziała, że gdyby Hal tego nie zrobił, nie byłoby jej już wśród żywych. Przed oczami stawał jej także mglisty obraz jego twarzy nad nią, kiedy już wiedziała, że umiera. Nie rozróżniała słów, ale z tonu głosu domyślała się ich sensu. Wiedziała, że błagał ją, by nie odchodziła, a żarliwość tej prośby zbudziła w niej coś głębszego niż ból. Gdy powracała do sił, uczucie to zapadało coraz głębiej tam, gdzie tkwił cień o imieniu Roddy.

Roddy. Gdyby wiedziała, przez co będzie musiała przejść, czy nakłoniłaby go do tego, co się stało między nimi? Tak, bo w owym czasie nie miała pojęcia, czym jest rodzenie dzieci, liczyło się wtedy tylko pofolgowanie namiętności. Leżała, po całych dniach zadając sobie dziwne pytania. Dlaczego Bóg pozwala żywić takie pragnienia dziewczętom, które jeszcze nie są kobietami? Były to pragnienia wymykające się rozumowi, z czasem stawały się silniejsze, zwłaszcza kiedy skupiały się wokół jednej osoby. Bóg był dziwaczny i bynajmniej nie najmądrzejszy, bo z jednej strony nakazał człowiekowi być dobrym, a z drugiej - obdarzył go czymś, co popychało do czynienia złego. Złego, jeśli nie zawarło się przedtem małżeństwa. Biła się także z mieszanymi uczuciami wobec Hala, który odsłonił przed nią całkiem nowe oblicze. Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że Hal może mieć coś

wspólnego z czułością i delikatnością. Przez parę miesięcy przed narodzinami dziecka był dobry, lecz nigdy taki czuły. Było jeszcze coś, czego nie umiała nazwać. Wiedziała, że gdyby przestał przychodzić, zaczęłyby tak za nim tęsknić, jak za Roddym. Nie pojmowała tego i to ją niepokoiło, zdawało się bowiem przeczyć rozsądkowi. Uczuciu temu należało chyba przypisać całkiem nową nazwę...

*

Upłynął miesiąc, zanim zaczęła znowu krzątać się po kuchni. Młody doktor już nie składał wizyt. Odwiedził ją sześć razy i za każdym razem myślała o tym, jakie to dziwne, że ze wszystkich młodych lekarzy właśnie on trafił w te okolice. Był miłym człowiekiem i darzyła go sympatią. W przeciwieństwie do Kate. Kate była wobec niego opryskliwa. W jej pojęciu słowo „lekarz” było jednym z określeń rzeźnika. Jeden z nich amputował zgangrenowaną nogę jej ojcu, nie dając mu się nawet upić przed operacją.

Mary Ellen podeszła do okna i wyjrzała. Świeciło słońce i wiał wiatr. Ziemia wyglądała pusto, lecz świeżo. Stojąc tak, zauważyła sylwetkę zbiegającą ze stoku. Wokół niej zataczał kręgi pies. Zabawne stworzenie. Nie widziała przedtem psa, który by się zachowywał w taki sposób. Na farmie było wiele psów, wystarczało im tylko wydać polecenie „leżeć!”. Ten zaś, gdy kazało się mu leżeć, podchodził i lizał rękę. Zwykle leżał tylko przy koszyku dziecka. Chyba darzył dziecko szczególnymi względami. Nie licząc jego pana, oczywiście, bo gdy tylko Hal wychodził, na przykład żeby przynieść trochę drewna i torfu, pies niezmiennie mu towarzyszył albo czekał, dopóki Hal nie wrócił.

Zobaczyła, że Hal niesie coś, jak zwykle. W ciągu ostatnich tygodni zawsze przychodził do nich z mlekiem i jedzeniem. Trzeba zapytać go o kobietę, która przyrządzała tak znakomite pasztety.

Odeszła od okna i gdy Hal wszedł do izby, siedziała przy stole, siekając na deseczce cebulę.

- Witajcie - powiedział. - Co słysząc?

- Bez zmian - odparła i powoli popatrzyła w stronę, gdzie przy ogniu siedziała w fotelu Kate. Kiedy podszedł do niej pies, pogłaskała go po łbie.

- Ładne zwierzę z niego wyrosło - stwierdziła.
- Nie ma się co dziwić. Apetyt ma jak koń - odparł Hal.
- Nie przyjechałeś dziś konno?
- Nie. Miałem ochotę się przejść. A poza tym zostawiłem klacz na łące. Ostatnio miała już dosyć, sierść jej się zmierzwiła. Wszystkim nam potrzebny jest odpoczynek od czasu do czasu. A skoro o tym mowa, jak dawno jesteś na nogach?

- Niedawno. - Popatrzyła na zawiniątko na stole. Po kształcie odgadła, co to jest.

- Następne ciasto?

- Tak. Annie przyniosła je wczoraj wieczór. Właściwie to we dwie je przyniosły.

Powiedział „Annie”, do tej pory mówił „jedna z dziewcząt na farmie”.

- Która to z nich? - spytała.

- Najmłodsza. Mówię: najmłodsza, ale musiała jej stuknąć czterdziestka. Nic nie poradzę, że mi jej żal. Była zadowolona, że może wymknąć się choć na chwilę i otworzyć do kogoś gębę, bo nigdy nie ośmielała się tego robić. Gada jak najęta. Z tego potoku słów wnioskuje, że przywykła rozmawiać sama ze sobą, bo wyszedłem w trakcie, a ona nawet nie zauważyła.

- Pomaga ci?

Odrzucił się i spojrzał na nią. - Tak, w wielu pracach - odparł z figlarnym błyskiem w oku. A kiedy zwiesiła głowę i dalej siekała cebulę, nieco zmienionym głosem dodał: - To dobra dusza. Daję jej dwa szylingi tygodniowo, a myśleć by można, że płacę jej złotą monetą. Nie sądzę, żeby zwierzyła się komuś, ile dostaje, ponieważ jej ojciec przysłał mi ją jako zapłatę za różne dorywcze prace, które od czasu do czasu dla niego wykonuję. Zapłata z grzeczności, bo nie wydałby złamanego szeląga. Musiał do tej pory zaoszczędzić nieźle wypchany worek pieniędzy. Ciekaw jestem, co się zdarzy, kiedy on pewnego dnia wyciągnie nogi. Założę się, że cała rodzina zleci się do ich wydawania. Chciałbym to zobaczyć. Zabrałem ich kiedyś furmanką na targ do Hexham.

Hal nalewał mleko z bańki do kubka i uśmiechał się szeroko. Wyglądał miło. Nie powiedziałyby, że pociągająco. Mogła sobie wyobrazić, że Annie lubi dla niego pracować. Dlaczego wcześniej nie odkryła, że w środku Hal miał tyle

dobrych cech? Zdjął palto i powiesił na haku za drzwiami. Podeszedł i usiadł naprzeciwko niej.

- Wiesz, kogo widziałem na drodze do Allendale? Dwoje Bannamanów, brata i siostrę - powiedział już bez uśmiechu.

- Zdąжали do Rooklands. Już drugi raz ich widzę w ciągu ostatnich paru tygodni. Szukają czegoś, gotów jestem założyć się o życie. Całymi miesiącami farma była wystawiona na sprzedaż, lecz, co rozumiałe, nabywców było niewielu. Ciekaw jestem, czego szukali? Nie fatygowali się aż zza Corbridge bez powodu. Może szukają czegoś, czego nie znalazł poborca? Tyle bogactw odkryto w tunelu wykopanym pod piwnicą. W każdym razie będę miał oczy otwarte. Jeśli tylko zobaczą ich w okolicy jeszcze raz, będę pewien, że to nie sentyment przywiódł ich tutaj, chociaż pamiętam, jak Bannamanówna odgrażała się, że tu jeszcze wróci.

- Zostawiłabym ich w spokoju na twoim miejscu, Halu. Rachunki zostały wyrównane - powiedziała cicho.

- Może to tak wygląda z zewnątrz, ale nie w środku. Szczerze mówiąc, nie mogę się uspokoić.

Ujrzała w jego oczach wyraz zaciętości. Przypomniała sobie, że przecież Hal powiesił człowieka, a przynajmniej przyglądał się, jak ten człowiek sam sobie wymierzał sprawiedliwość. Na chwilę zapomniała o dobroci, jaką okazywał jej ostatnio, o wspaniałomyślności wobec Annie, a powróciło stare uczucie, bo w środku pozostał tym samym Halem, z całą swoją goryczą, której nic nigdy nie będzie w stanie wymazać.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zaskoczył ją pytaniem.

- Jak patrzę?

- No, cóż. - Wydał usta. - Tak jak dawniej.

- Prawdę mówiąc, wyglądałaś jak dawniej, pełen rozżalenia, gotów do walki - odparła.

Przyglądał jej się przez chwilę, a potem oparł się na stole i zbliżył twarz do jej twarzy. - Jesteśmy, jacy jesteśmy, Mary Ellen. Nikt nie wie, co dzieje się głęboko pod skórą. Mimo wszystko widzimy w sobie nawzajem to, co chcemy widzieć. Ludzie osądzają nas po wyglądzie naszych twarzy lub po tym, co mamy na języku. Nie chcą zagłębiać głębiej, by ujrzeć, dlaczego wyglądamy tak a nie inaczej. Niby czemu mieliby

to robić? No cóż - wziął głęboki oddech - nic tu po mnie, muszę jechać do miasta. Ciągłe nie mam buhaja, jakiego bym chciał - zaśmiał się. - Pewnego dnia wydarzyła się zabawna historia. Zaszedłem do starego Franklanda, wiesz, tego za Catton. Myślałem, że ma młodego byka na sprzedaż. Rzeczywiście, było tam jakieś zwierzę, które jednak nie zachwyciło mnie, i gdy wyraziłem dobitnie swoją opinię, spytał: - Czego ty właściwie szukasz, ścisłego pokrewieństwa, czegoś podobnego do siebie? - Zaryczał jak byk, przyłączyłem się do niego i potwierdziłem: - Właśnie tak.

- Czego więc właściwie szukasz w tym zwierzęciu?

- Nie umiem określić. Chyba spokojnego faceta.

- Na pewno więc nie będzie do ciebie podobny - roześmiała się.

Natarł na nią jak błyskawica: - Tu się mylisz, Mary Ellen, bardzo się mylisz, tak jak zawsze się myliłaś co do mnie. Przyniosę lepiej trochę drewna i wody - wymruczał i wyszedł z izby.

- Dam sobie radę, Halu! - zawołała za nim.

- Nadejdzie w końcu dzień, kiedy złapię cię za słowo!
- odkrzyknął.

Mary Ellen nie była zaskoczona, gdy z tyłu dobiegł głos Kate: - I naprawdę może tak zrobić pewnego dnia. Zastanów się nad tym, dziewczyno.

18

W połowie kwietnia Hal znalazł wreszcie buhaja. Pojechał konno na farmę leżącą pod Whitfield i kiedy tylko pogładził nos z kolczykiem, powiedział: - Przepląciłem za ciebie, pamiętaj, mój młody byczku.

- Na targu dostałbym za niego o wiele więcej. Jeśli go pan nie chce, nie sprawia mi to różnicy - odparował farmer.

- Skończmy z tym targowaniem się - rzekł Hal. - Obaj jesteśmy zadowoleni i dobrze o tym wiemy. Odbiorę go jutro. Przyjdę pieszo, bo mój koń płoszy się na jego widok.

Miał świadomość, że farmer, jak wielu innych, wiedział o nim wszystko i uważał go za zarozumiałego pyszałka. Cóż, niech sobie ludzie myślą, co chcą, nie martwił się tym. Martwiły go dwie inne rzeczy - dni Kate były policzone, a w zeszłym tygodniu przyszedł do niej list od Roddy'ego. Pisał, że ma nadzieję wkrótce ją ujrzeć. Pierwszym zmartwieniem była pewność zbliżającej się śmierci Kate. Drugim zaś całkowita niepewność, co się stanie, kiedy Roddy przyjedzie i zobaczy owoc swej namiętności i ujrzy Mary Ellen, jaką teraz była. Zniknęła na zawsze dziewczyna, a jej miejsce zajęła bardzo urodziwa młoda kobieta.

Przez ostatnie miesiące ich stosunki układały się dobrze. Raz czy dwa doszły do głosu dawne urazy, którym dali upust we wzajemnych docinkach. Ale wkrótce potem dochodzili znów do porozumienia. Co będzie, jeśli tamten zobaczy, jak się zmieniła i zechce zabrać ją ze sobą?

Zjechał z brzegu doliny i dotarł do drogi wiodącej do Allendale, ale zdecydował się pojechać do domu na skróty. Z tym zamiarem poprowadził konia wąską ścieżką wydeptaną wśród gęstych zarośli. Gdy wyjechał na otwartą przestrzeń, puścił konia kłusem. Nie ujechał daleko, kiedy ściągnął cugle. Dojechał do szerokiego traktu, na którym w oddali ujrzął konia i dwukólkę z dwiema postaciami, znikających w cieniu lasu. Chociaż nie mógł ich z daleka rozpoznać, instynktownie wyczuł, że to Bannamanowie w drodze do Rooklands.

Co teraz? Popatrzył w jedną stronę, potem w drugą. Chwilę wcześniej pragnął wracać, nie tyle do domu, ile do chaty, zobaczyć, w jakim stanie jest Kate, a także ujrzeć Mary Ellen, ponieważ nie zaznawał spokoju bez jej obecności. Ale po co tych dwoje jedzie do Rooklands? Jak często tam jeździli, kiedy ich nikt nie widział? To już trzeci raz, jak ich na tym przyłapał. Nie zastanawiał się dłużej, lecz wybrał drogę do farmy Bannamanów.

Dom był imponujący - zbudowany z kamienia, dwuskrzydłowy z poddaszem. Lecz jeszcze bardziej imponujące były zabudowania gospodarcze - stajnie, wielka stodoła, szopa, spichlerz i cały zespół budynków mleczarni. Był w pobliżu tego miejsca wiele razy, lecz nigdy nikogo nie spotkał. Zaglądał przez okna i widział wysokie, przestronne pokoje i uganiające się po nich myszy. Był też w piwnicy i widział

tunel, który odkryto. I znowu zadał sobie pytanie, czy tych dwoje nie szuka czasami czegoś, co przeoczono w czasie rewizji.

Zostawił konia przywiązanego do drzewa w pewnym odaleniu od drogi wiodącej do wjazdu na podwórze. Było ono okolone wysokim murem. Szedł jakiś czas pod jego osłoną, zatrzymał się na chwilę i przeskoczył mur. Znalazł się na podwórzu.

Stała tam dwukółka, ale nie było żywego ducha. Podszedł do dwukółki, nie kryjąc się, otwarcie. Położył rękę na grzbiecie konia i pogłaskał, by go uspokoić. Zadał sobie pytanie, co tu właściwie robi, a odpowiedź brzmiała, że nie jest pewien. Może chodziło o jeszcze trochę satysfakcji z upadku Bannamanów.

Nie zastanawiał się, co zrobi, kiedy stanie z nimi twarzą w twarz, bo uważał, że ma takie samo prawo przebywać tu, jak wszyscy inni. Dom był wystawiony na sprzedaż. Stałe ktoś przychodził i go oglądał. To było dobre miejsce dla niedzielnych spacerów.

Poszedł wzdłuż frontowej ściany budynku i zajrzał przez okno do pokoju, w którym stał owego fatalnego, przynajmniej dla Bannamanów, dnia.

Odwrócił się powoli, gdy dobiegł go głos: - Czego tu szukasz? - Stali w odległości paru stóp od niego - brat i siostra. Między nimi nie było większej różnicy, właściwie równie dobrze to ona mogłaby być mężczyzną, bo to on miał twarz subtelną, ona zaś zdecydowaną i kanciastą. Na tej twarzy gościł teraz wyraz mroczny i ponury.

- Oglądam, tak jak i wy - odpowiedział spokojnie.

- Nie masz prawa.

- Nie gadaj głupot, kobieto. - Ton jego głosu stał się nieoczekiwanie jadowity. - Każdy ma prawo tu wejść, dokładnie każdy. Postradałaś zmysły? Nie przypominasz sobie, co się z tobą stało, z wami wszystkimi? Trzeba było długo czekać na sprawiedliwość, ale w końcu stało się jej zadość. Za lekką śmierć miał twój ojciec. Powinien był zawisnąć jak ten drugi.

Nie miał zamiaru tego powiedzieć, ale stało się. Twarz jej Pociemniała z wściekłości. - Ten drugi, o którym wspominasz, nie powiesił się, nie zrobił tego sam, prawda? - wrzasnęła.

- Czyżby ktoś mu pomagał?
- Nie miałby odwagi odebrać sobie życia. Gdyby miał, nie zrobiłby tego potajemnie. Został do tego zmuszony, nieprawdaż?

- Skoro tak twierdzisz, panienko, skoro tak twierdzisz...

Szyderstwo w jego głosie uwidoczniło się też na twarzy.
- Teraz ja zadam ci pytanie. Co tu robicie? Żegnacie się ze swoim domem? Nie, żegnaliście się już dwa czy trzy razy, prawda? Nie rozumiem, jak można mieć czelność tu wracać, wiedząc, co zrobił wasz ojciec, ten szatan w ludzkiej skórze. Gdyby to ode mnie zależało, spaliłbym całe to miejsce, by pozbyć się szatańskiego smrodu. Tak - pokiwał głową, patrząc na dziewczynę. - To jest myśl. Wkrótce tak zrobię. Kupię to i spalę, zmiotę z powierzchni ziemi.

Odwrócili się i wymienili spojrzenia. Podnosząc wysoko przód długiej sukni, dziewczyna pomaszerowała przez podwórze do dwukółki, coś z niej wzięła. Stanęła przed Halem z bronią wycelowaną prosto w niego.

Cofnął się, a kiedy szła powoli w jego kierunku i rozkazała: Odwróć się! - mruknął: - Prędzej pójde do piekła. - Kolejnym ruchem było zasłonięcie sobie oczu, bo przemknął mu nad głową strumień śrutu, a trochę wbiło mu się w rękę. Mój Boże! Była szalona i zła, tak zła jak jej ojciec. Co, na Boga, widział w niej Roddy, że się w niej zakochał?

- Rób, co ci każe. Ona nie żartuje - przemówił brat dziewczyny.

- Otwórz drzwi stodoły - rozkazała bratu. Pobiegł przez podwórze, a wtedy ona pchnęła Hala lufą broni, mówiąc krótko: - Ruszaj!

Kiedy wszedł do stodoły, zobaczył, że jest pusta. Tylko na górnej platformie wałały się pojedyncze wiechcie siana i snopki słomy. Kiedy poleciała bratu wejść na platformę, Hal skierował wzrok na belki podtrzymujące starą część stodoły.

Mój Boże, chce mnie powiesić, pomyślał. Po raz pierwszy bał się naprawdę.

- Co chcesz zrobić? - krzyknął.
- To się okaże - odparła. - Włóż na drabinę.
- Będę przeklętym głupcem, jeśli posłucham.

- Czy jesteś głupi, czy nie, wejdiesz na tę drabinę. Liczę do pięciu i wypalę ci prosto w twarz. To jak?

Wspiął się na drabinę i popatrzył na pobladłą twarz młodego człowieka. Już miał się do niego zwrócić, kiedy dobiegł go znowu jej głos. - Połóż się z twarzą ku ziemi - rozkazała, wszedłszy na górę. Hal zawahał się przez chwilę, a potem się położył. Chyba nie ma zamiaru mnie powiesić, pomyślał. - Załóż ręce na plecy. - Zrobił, co kazała. Kiedy zaś znów zabrzmiał jej głos: - Łap to! - a koło niego padł zwój sznura, przeniknął go dreszcz. Klęczała przy nim z bronią przystawioną do głowy. - Wiąż mu ręce! - rozkazała bratu. Kiedy krępowano mu nadgarstki, sznur wrzynał się w ciało i palił żywym ogniem. - Podnieś go na nogi. - Młody człowiek podciągnął go posłusznie. Popchnęła Hala lufą ku przeciwnemu końcowi platformy, gdzie belki i słupy krzyżowały się, opuszczając ku dołowi.

- Co chcesz zrobić? - zapytał zaciekawiony brat.

- Zobaczysz. Leżeć, ty! - Zadała Halowi cios nogą pod kolana, aż upadł i uderzył głową w belkę. Klęczał teraz na podłodze pokrytej sianem. Za chwilę krzyczał z bólu, ponieważ przywiązano mu ręce do nóg, co wygięło ciało w nienaturalny łuk. Kopniakiem przewróciła go na bok. - Daj mi szalik - powiedziała do brata, po czym sama ściągnęła go z jego szyi. Pochylając się nad Halem, poleciała: - Otwórz usta. - Gdy tego nie uczynił, osiągnęła swój cel ciosem pięści w szczękę i zakneblowała mu usta jedwabnym szalikiem. Podniosła się i popatrzyła na swoje dzieło.

- Teraz już wiesz, jak czuje się człowiek, który nie może mówić, ani poruszyć żadną częścią ciała. Mój ojciec leżał tak tygodniami. Żałuję tylko, że tego drugiego nie ma tu z tobą, i nie może podzielić twego losu. Ale jesteś wcale dobrą namiastką. Boisz się, prawda? To samo czuł Feeler, kiedy zmusiłeś go, by się powiesił. To ty zrobiłeś, prawda? Mam rację? Potaknij głową. - Kiedy jej nie posłuchał, rzekła: - Cóż, i tak nie ma to znaczenia. Wiem swoje. Popchnij go bliżej słupa! - zwróciła się do brata. - Każda cząsteczka ciała Hala wyła z bólu, kiedy ciągnięto go w kierunku belki. A kiedy brat ponowił pytanie: - Co masz zamiar zrobić? - odrzekła: - Upewnić się, że się nie przesunie. Weź ten koniec - rzuciła

mu jeden koniec sznura. - Przełóż go przez tę belkę i podaj mi. - Mając już go w dłoni, szarpnęła kilka razy, dopóki ręce i nogi Hala nie zostały przyciśnięte mocno do belki. Przejmujący ból sprawiał, że ociekał potem. Patrzył jak kobieta usypuje kopiec ze słomy walającej się na podłodze.

- Mary, słuchaj, tego już dosyć. Co jeszcze zamyślasz zrobić? - usłyszał szept jej brata.

- Och, tylko zasłonić go słomą i sianem, żeby nikt, kto wetknie głowę na poddasze nie zobaczył tej... nędznej... kreatury. - Kopnięciem przesunęła kopczyk słomy blisko jego twarzy i dodała: - Bóg mi świadkiem, że kiedy cię znajdą, będziesz nędzną kreaturą. Nie będziesz w stanie opowiedzieć, co ci się przytrafiło. A gdybyś nawet mógł, będziemy tam, gdzie nikt nas nie znajdzie. Tak więc, panie Roystan, twoja zemsta ma się ku końcowi. I jeszcze coś - pochyliła się nad nim z obłąkańczym wyrazem oczu - powiedziała to już tamtemu i powtarzam to tobie. Nieistotne kim był mój ojciec, wart był tysiące takich jak ty, ponieważ wy wszyscy jesteście tylko śmieciem. - Wprostowała się. - Będziesz miał dość czasu na myślenie przez te dni, które ci pozostały. Zachowałam się miłosiernie, bo mogłam podłożyć ogień i pozwolić ci upiec się powoli - przecież nikt nie pędziłby gasić pustej stodoły. Prawda? - Zamierzyła się nogą i z całej siły kopnęła go w dolną część brzucha. Hal zamknął oczy i głowa opadła mu bezwładnie.

Gdy po paru minutach otworzył oczy, był już sam. Pomyślał, że to już koniec i im szybciej nadejdzie, tym lepiej, gdyż bólu, jaki przeszywał wszystkie członki, nie da się znieść długo - za chwilę stracił przytomność.

19

Mary Ellen otarła zimny pot z czoła Kate. Stara kobieta była przytomna i myślała jasno, była jednak bardzo słaba. Zaskoczyła Mary Ellen, mówiąc: - Sprowadź tego młodego doktora.

- Chcesz doktora?

- Tak.

- Poślę po niego.
- Hal się spóźnia.
- Tak, poszedł po buhaja. Może ma kłopoty ze sprowadzeniem go do domu.

Była godzina czwarta po południu, a Hal nie zjawił się. Pierwszy raz tak się spóźnił, ale pojechał po swego wymarzonego byka. Tak bardzo się zawział, żeby znaleźć dobrego. Marzyło mu się wielkie stado - planował z rozmachem.

Podeszła do drzwi. Kilku górników wracających z szychty przechodziło zazwyczaj w pobliżu. Czekająca parę minut, a gdy ujrziała ich w oddali, pobiegła ku nim przez pole, wołając głośno. Kiedy się zatrzymali, spytała: - Czy moglibyście przekazać wiadomość dla doktora w Haydon Bridge, jeśli spotkacie po drodze jakiś wóz?

- Za pół godziny powinna przejeżdżać tędy furmanka. Przekażemy furmanowi wiadomość - odparł jeden z nich.
- To do dziecka?

- Nie, do Kate.

- Ho, ho! - zaśmiali się chórem. - Kate potrzebuje doktora? Zdaje się, że go przegoniła, gdy ostatnim razem odwiedził wasz dom.

- Tak, ale teraz prosi o niego.

- To niedobrze. No, ale ona jest prawie tak stara jak okoliczne góry. Jak myślisz, ile ma lat? - odezwał się jeden z nich.

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie mówiła. Ale przypuszczam, że dobrze po osiemdziesiątce.

- Może nawet trochę więcej - wtrącił inny górnik.

- Dobrze, dziewczyno, sprowadzimy doktora tak szybko, jak się tylko da. Pewnie przyjedzie do was jutro z rana.

- Dziękuję wam bardzo. - Odwróciła się i pobiegła z powrotem do chaty.

Kiedy zapadł wieczór i Hal nadal się nie pokazywał, Mary Ellen zaczęła się niepokoić. To nie zdarzyło się jeszcze nigdy. Gdyby źle się poczuł, przysłałby z wiadomością swojego pomocnika. Mały Terry Foster miał dopiero dziesięć lat, ale był bardzo bystrym chłopcem. Gdyby coś się stało, na pewno przybiegłby ją zawiadomić.

Zapaliła świece, nakarmiła dziecko, a potem zajrzała do Kate. Postawiła przy palenisku garnek owsianki na jutro.

Przeprała trochę bielizny i pieluch dziecka. Robiła to wszystko, byle tylko wypełnić czas, dopóki nie nadeszła jedenasta wieczorem. Wtedy położyła się. Większą część nocy tylko drzemała, wstała już o piątej rano i napaliła pod kuchnią. O szóstej otworzyła okiennice i drzwi, wpuszczając do izby trochę świeżego powietrza. Stanęła w progu i przyglądała się górom wyłaniającym się z porannej mgły. Jeśli Hal nie przyjdzie rano, co powinna zrobić? Trzeba będzie pójść i zobaczyć, co się z nim stało. Kiedy przemknęła jej przez głowę niepokojąca myśl, mruknęła głośno: - Nie, nigdy w to nie uwierzę. Ale właściwie, czemu nie? - Annie, o której tyle mówił, zdawała się bardzo uległą osobą i Halowi było jej żal. Dlaczego niby miałyby się z nią nie ożenić, nawet jeśli była od niego starsza? Wystarczy popatrzeć na Roddy'ego i tamtą kobietę. Nie wiedziała wprawdzie niczego o tamtych dwojgu, ale pamiętała, w jaki sposób Kate opisała kobietę.

Hal powinien się ożenić. Kate zawsze tak mówiła. Ale powinien był przecież coś jej powiedzieć, napomknąć chociaż. Ale czyż nie dosyć napomykał o tej kobiecie, mówił, że świetnie gotuje, że nie zaznała rodzinnego ciepła. Współczucie może popchnąć mężczyznę do wielu rzeczy i wiek nie ma tu znaczenia, zwłaszcza jeśli... - nie była w stanie dopowiedzieć - potrzebuje kobiety. Pomyślała, że zaraz po wizycie doktora przyprowdzi do opieki nad dzieckiem panią Patterson, a sama pójdzie do Hala, oczywiście jeśli do tej pory nie przyjdzie. Ale z pewnością przyjdzie.

Doktor przyjechał o jedenastej i pomyślał chyba, że to ona potrzebuje porady. - Wyglądasz, jakbyś miała gorączkę. Co się stało? - zapytał.

- Mnie nic, to tylko Kate chciała pana zobaczyć.
- Prosiła, żebym przyszedł? - uniósł brwi ze zdziwieniem.
- Tak. - Uśmiechnęła się do niego. - Niespodziankom nie ma końca.

Podszedł do łóżka, pochylił się i spojrzał na pomarszczoną twarz. - Jak się dzisiaj czujesz, Kate? - zagadnął.

- Czuję, że zbliża się mój koniec. Pragnę, żeby się pospieszył - odparła.

- Chciałaś mnie widzieć. Czy chcesz, bym ci dał jakieś lekarstwo?

- Wie pan, że nie chcę lekarstwa. Chcę, żeby napisał pan pismo.

- Pismo?

- Tak. Mogłabym poprosić pastora, ale go nie znoszę. Proszę napisać tylko pismo.

Doktor odwrócił się i popatrzył na Mary Ellen. - Chcę, żebym sporządził swojego rodzaju testament - powiedział cicho.

Podszedł do swojej torby, wyjął z niej notatnik i wrócił z nim do łóżka. - Jestem gotów. Co chciałybyś, żebym napisał?

- Niewiele. Tylko to, że wszystko, co posiadam, lekarstwa i zioła, sprzęty, garnki i pieniądze ukryte za kamieniem w kominie, należy się jej - ruchem głowy pokazała Mary Ellen.

- Och, Kate, nie, nie - zaproponowała dziewczyna, zagrzyzając mocno wargi.

Kiedy doktor skończył pisanie, spytał: - Czy potrafisz napisać swoje nazwisko?

- Nie umiem pisać.

- To postaw tu krzyżyk.

Włożył jej pióro do ręki i poprowadził po papierze. Potem złożył swój podpis i napisał coś jeszcze. - Dopisałem, że to twoja wola i że jesteś w pełni władz umysłowych, i że jestem świadkiem, że to ty złożyłaś tu swój podpis - wyjaśnił. - Czy o to ci chodziło, Kate?

- Tak... tak, o to mi chodziło. Ona - kiwnęła głową na Mary Ellen - zapłaci panu za wizytę.

- Nie chcę zapłaty, Kate.

Zerknęła na niego kątem oka. - Dziękuję, bardzo dziękuję, doktorze - odparła.

- A ja dziękuję tobie, Kate. To dla mnie zaszczyt, że mogłem ci pomóc. - Kate zamknęła oczy, a doktor i Mary Ellen odeszli od łóżka. Mary Ellen, z trudem próbując powstrzymać łzy, rzekła: - To dlatego pana prosiła. Myślała o mnie.

- To wspinała kobieta, wielka szkoda, że odchodzi. Jak zrozumiałem, byłaś dla niej niczym córka. Będzie ci jej brakowało.

- Tak, i to bardzo.
- Będziesz mieszkać tu sama?
- Tak, ale... ale Hal, zna pan Hala, wpada tu codziennie...
tak się martwię.

- O Hala?
- Tak. Wczoraj po raz pierwszy nie przyszedł; dzisiaj już prawie dwunasta i jeszcze go nie było, a przynosi nam mleko co rano.

- Może pojechał do miasta?
- Zawsze przedtem zaglądał.
- A więc musisz iść i zobaczyć, co się stało. Może zachorował.

- Mam zamiar tak właśnie zrobić. Przyprawdę tu panią Patterson ze wsi. Zaopiekuje się Kate i dzieckiem do mojego powrotu.

- Będę przejeżdżał koło osiedla, jadąc do huty. Czy mam ją zawiadomić?

- Jeśli pan może, proszę. Będę bardzo wdzięczna. - Odprowadziła doktora do drzwi.

- Jak pan myśli, jak długo Kate będzie jeszcze żyła, doktorze? - zapytała.

- To może się stać każdej chwili, lecz to mocny organizm i walczy z chorobą. Może żyć jeszcze tydzień albo i dłużej.

- Tylko tyle?

- Tak, obawiam się, że tak. - Położył jej rękę na ramieniu i dodał łagodnie: - Nie martw się o nią. Dobrze przeżyła życie, tak jak chciała, była niezależna. To bardzo dobrze dla człowieka, gdy może być niezależny. Jeśli pójdziesz w jej ślady, nie zrobisz źle, Mary Ellen.

- Na pewno nie, doktorze.

- Do widzenia.

- Do widzenia, doktorze, i dziękujemy panu.

Pani Patterson przyszła dopiero po godzinie i zastała Mary Ellen gotową do drogi, w płaszczu i w chustce na głowie.

- Dokąd to się wybierasz, dziewczyno? - spytała.

- Idę na farmę Hala, pani Patterson. Nie przyszedł wczoraj ani też dzisiaj. Niepokoję się o niego, może zachorował.

- Nie przyszedł wczoraj ani dzisiaj? To do niego niepodobne. Nigdy nie omija tych drzwi, co wywołuje mnóstwo

gadania, domyślasz się pewnie. Ludzie zawsze muszą sobie znaleźć jakiś temat do plotek. Ale ty nie jego wybierzesz, bo czekasz na powrót tego drugiego, mam rację? Powiedziałam to Jennie Pratt, która się tym interesowała.

Mary Ellen splotniła się. - Nie, nie ma pani racji, pani Patterson. I może pani powiedzieć Jennie Pratt, żeby pilnowała swojego nosa - odparowała.

- Ludzie zawsze będą plotkować. Nie zawiążesz im języków. - Starsza kobieta najwidoczniej nie znalazła nic obraźliwego w odpowiedzi Mary Ellen. - Mogę zostać tylko godzinę, pamiętaj, więc nie zabaw długo - dodała.

- Postaram się wrócić jak najprędzej. Dziękuję pani.

Wybiegła pośpiesznie z chaty. Do niepokoju dołączyło się wzburzenie. Też coś! Czekać na powrót tego drugiego! Ale czyż nie czekała? Nie! Nie czekała już na niego od dawna.

Mary Ellen poczęła biec. Do farmy były tylko dwie mile, ale myślała, że nigdy tam nie dotrze, zdawało się jej, że ścieżki ciągną się w nieskończoność. Kiedy weszła na podwórze, stał tam Terry Foster i rozmawiał z wysoką kobietą. Oboje odwrócili się na jej widok.

- Gdzie jest Hal... pan Roystan? - zwróciła się do chłopca.

- Właśnie przed chwilą o tym rozmawialiśmy. Myśleliśmy, że jest u ciebie, Mary Ellen.

Mary Ellen popatrzyła surowo na kobietę, która przedstawiała się: - Jestem Annie Gordon. Przychodzę sprzątać i gotować. Nie widziałam go od wczorajszego ranka, kiedy to pojechał do Whitfield obejrzeć buhaja.

Wszyscy troje popatrzyli na siebie w milczeniu, Mary Ellen przerwała je słabym głosem: - Nikt go nie widział od wczorajszego ranka? Mogło go spotkać coś złego. Może spadł z konia i gdzieś leży.

- Tak właśnie pomyślałem, Mary Ellen. Mówiłem to samo do pani Gordon. Prawda, że mówiłem, pani Gordon?

- Tak mówiłeś, Terry.

- Co robić? - Mary Ellen zadała to pytanie bardziej pod swoim adresem. Z miejsca też na nie odpowiedziała: - Najlepiej będzie, jeśli pójdę do huty, może pan Mulcaster coś poradzi.

Nagle do uszu Mary Ellen dotarło psie ujadanie - Boyo? - spytała. Czy wrócił sam?

- Nie - chłopiec potrząsnął głową. - Pan Roystan nie zabierał go ze sobą, kiedy jeździł szukać buhaja, bo nigdy nie wiedział, czy go przyprowadzi, czy nie. Ale Boyo tak skamlał i piszczał, że zamknąłem go, bo się bałem, że pobiegnie za panem.

- Kto dogląda krów?

- Ja - powiedziała kobieta. - Mają się dobrze. Zawsze ich doglądałam, kiedy Hal wyjeżdża. Często go tu nie było ostatnio, ale oczywiście wiesz o tym, prawda? To ty jesteś tą młodą osobą od Kate?

Nie było potrzeby, by Mary Ellen to potwierdzała. Zamiast tego utkwiała wzrok w kobiecie ciekawa, czy tamta dostrzeże urazę w jej oczach. Ciekawa była także, czy kobieta ma jakieś nadzieje względem Hala. Lecz porzuciła tę myśl. Jeśli żywiła względem Hala jakieś uczucia, były to uczucia macierzyńskie. Było to widać na pierwszy rzut oka, choć wcale nie była taka stara, jak przedstawiał Hal. Miała jakieś trzydzieści lat z okładem.

- Czy pomyślałeś, żeby poszukać na wrzosowisku? - spytała chłopca Mary Ellen.

- Nie, czekałem, że może przyjedzie.

- Idę do huty - rzekła prędko. - Mężczyźni będą wiedzieli, co zrobić. - Wybiegła z pośpiechem z podwórka i zbiegła ze wzgórza. W pobliżu karczmy nikogo nie było. Pobiegła dalej ścieżką, potem groblą, wreszcie wdrapała się na strome zbocze i podążyła drogą dla wozów. Zobaczyła grupę mężczyzn przechodzących przez dziedziniec. Przeskakując przez tory i rumowisko kamieni, dopadła do nich, ciężko dysząc. Przez chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa.

- Co się dzieje, dziewczyno?

- Czy ktoś z was widział może Hala?

- Hala? - popatrzyli po sobie, a jeden z szyderczym uśmiechem na twarzy dodał: - To nie wiesz, że Hal nie jest już zwykłym robotnikiem? Jest teraz farmerem, a niebawem zostanie ziemianinem.

- To, co pan mówi, jest prawdą, panie Conway. Tyle że wtedy, zamiast płuć swą niechęcią, będzie mu pan czapkować - odparowała zrećźnie.

- Co się dzieje, dziewczyno, czego od nas chcesz? - zapytał Ben Fowler. - Czy stara Kate zmarła? Dlatego go szukasz?

- Nie, nie dlatego. Hal zaginął. Wczoraj pojechał do Whitfield po byka, a od wczorajszego ranka nikt go nie widział. Przynosi nam zawsze mleko.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. - Może po prostu zabawił się gdzieś w mieście - rzekł jeden z nich.

- Niemożliwe, powtarzam, co rano przynosił nam mleko. A tak przy okazji, panie Conway, powiem panu jeszcze, że ocalił mnie i moje dziecko, kiedy nikt inny nie zdołał się przedrzeć przez wysokie zasy.

Rozległ się odgłos szurania buciorów po kamieniach, po czym inny mężczyzna mruknął: - Dziewczyno, musisz zrozumieć, że nie możemy się stąd ruszyć. Ale to rzeczywiście wygląda kiepsko. Powiedziałyby ci, gdyby miał jechać do miasta, albo że zamierza przestać nosić ci mleko?

- Tak, panie Fowler, na pewno.

- To już będą dwa dni. Powinniśmy chyba powiedzieć nadzorca? Coś trzeba zorganizować. Chodźmy, dziewczyno, do biura.

Pan Mulcaster podszedł do drzwi i popatrzył na Mary Ellen i ludzi podążających za nią. Powiedziała mu, o co tym razem chodzi.

Najpierw uśmiechnął się do niej pobłaźliwie, myśląc niewątpliwie o jej poprzedniej wizycie, kiedy to chodziło o innego mężczyznę. Tego, który później podziękował jej za ocalenie przed deportacją, uwodząc ją, a następnie porzucając. Tym razem zaniepokojona była z powodu przyjaciela tamtego człowieka i o ile to, co mówiono, było prawdą, swojego również. Nadzwyczaj częste odwiedziny Hala Roystana w chacie Kate nie uszły uwagi ciekawskich. Niemniej jej zaniepokojenie było szczere, a i racją było to, co stwierdził jeden z hutników, że nikt nie oddał się z domu na dwa dni bez uprzedzenia o tym kogokolwiek. Wydawało mu się, że należy coś uczynić. Ale młodemu człowiekowi mogło przyjść do głowy, żeby się po prostu zabawić. Młodym zdarzają się takie rzeczy, kiedy przyciśnie ich potrzeba. Dał wyraz tej wątpliwości, ubierając ją w oględne słowa: - Czy nie wydaje ci się, że mógł po prostu wyjechać w interesach?

Popatrzyła panu Mulcasterowi prosto w oczy. - Ma farmę. Kocha zwierzęta. Kiedy wyjeżdżał, powiedział chłopcu, że wróci na obiad. Wszystko zależeć miało od tego, czy przyprowadzi ze sobą buhaja - rzekła cicho.

- Dokąd pojechał po buhaja?

- Na farmę koło Whitfield.

- To będzie pewnie farma Johnsona - odezwał się jeden z mężczyzn.

- Albo Plumera - odpowiedział drugi.

- Plumer ma małą farmę. Nie miałyby pewnie buhaja na sprzedaż.

- Tego nie wiemy - Mulcaster podniósł rękę. - To będzie jedna albo druga. Myślę - zatrzymał się - że najpierw powinniśmy posłać tam kogoś, by sprawdził, czy Hala tam nie ma. Frank, lubisz jeździć konno?

Frank Conway nie okazał entuzjazmu, dopóki nie odezwał się Paul Fowler: - Jeśli ty nie chcesz, to ja pojedę.

- Kto powiedział, że nie chcę. Pojadę. Mogę wziąć konia ze stajni? - Frank Conway popatrzył pytająco na pana Mulcastera.

- Oczywiście. Wrócisz za jakieś półtorej godziny, dasz radę?

- To ponad cztery mile w jedną stronę.

- Weź więc świeżego konia.

Ben Fowler odwrócił się do pozostałych i powiedział:

- A my się umyjmy. Od tego, z jaką wróci wiadomością, zależeć będzie, co zrobimy dalej. Tyle możemy zrobić na razie. Jeśli nie wróci do jutrzejszego ranka, będziemy musieli wezwać konstabli - zwrócił się do Mary Ellen.

Przeszedł ją dreszcz, gdy pomyślała, że Hal może gdzieś leżeć ranny, na przykład na wrzosowisku. Jeszcze jedna noc mogła oznaczać dla niego śmierć, szczególnie gdyby była mgła, która przenika chłodem do szpiku kości. Odgadując jej zdenerwowanie, pan Mulcaster rzekł: - Przestań się martwić i wracaj do domu. Ludzie przyjdą i powiedzą ci, kiedy się już czegoś dowiedzą.

Mary Ellen przełknęła z trudem ślinę. - Dziękuję panu - powiedziała.

Mężczyźni rozstąpili się, żeby ją przepuścić. Idąc, odwracała się na boki i dziękowała każdemu z osobna.

- Nie trap się, dziewczyno, wróci jak zły szeląg. Znając go, na pewno będzie tu rano. - Paul Fowler poklepał ją po ramieniu.

*

Hal jednak nie wrócił jak zły szeląg następnego ranka. Poprzedniego wieczora przyszedł jeden z hutników i powiedział, że Hal istotnie odwiedził farmera Johnsona. Nie zabrał ze sobą buhaja, bo jego koń bał się zwierzęcia. Miał wrócić następnego ranka, ale dotąd go nie ma. Farmer Johnson powiedział także, że młody człowiek był w świetnym nastroju, bardzo zadowolony z zakupu.

Tego samego dnia znaleziono konia Hala pasącego się spokojnie na wrzosowisku. Jedna rzecz zastanowiła poszukujących - na zadzie miał ranę zadaną jakimś narzędziem.

Wszyscy wokół byli teraz głęboko zaniepokojeni. Hal Roystan był wszystkim dobrze znany jeszcze przed odkryciem grobu ojca i upadkiem Bannamanów. Od czasu tamtych wydarzeń na dźwięk jego nazwiska - czy to w Allendale, czy w Haydon Bridge, a nawet w Hexham - wszyscy kiwali głowami na znak, że znają go osobiście.

*

Czwartego dnia od zniknięcia Hala Mary Ellen stała w kuchni jego małego domku i ze łzami spływającymi po policzkach rozglądała się wokół bezradnie. Wszędzie było czysto i schludnie.

Annie właśnie wyszła po sprzątnięciu wszystkiego, co nie wymagało sprzątania. Ona także płakała. Jej ostatnie słowa przed wyjściem brzmiały: - To był kochany człowiek i taki poczciwy. Nie ma takiego drugiego jak on i nie będzie. - Mary Ellen zgodziła się z tym w duchu i sama siebie pytała, dlaczego nie odkryła tego wcześniej. Musiała być ślepa albo po prostu młoda i głupia. Już chciała usiąść, lecz powstrzymała się i powiedziała na głos: - Muszę wracać. Kate jest w bardzo kiepskim stanie, a pani Patterson mogła zostać z dzieckiem tylko przez godzinę.

Pani Patterson działała na Mary Ellen przygnębiająco. Już w drzwiach wyraziła swoje zdanie: - To beznadziejna sprawa. Minęły cztery dni. Powinni dać sobie spokój. Niektórzy ledwie trzymają się na nogach z wycieńczenia. Pracują na swojej

zmianie, potem przeszukują wrzosowisko, a potem znów wracają do pracy. Tak dalej być nie może. - Pokiwała głową nad Mary Ellen i dodała: - Przygotuj się na najgorsze, dziewczyno. Gdziekolwiek on jest, nie wróci żywy, nie po czterech dniach. Okolica została przeczesana jak gęstym grzebieniem. To kolejna zagadka, która pozostanie przez lata nie rozwiązana, tak jak zaginięcie jego ojca. Powiadają, co jest prawdą i co jest dziwne, że po zniknięciu starego Roystana znaleziono w Newcastle jego konia. A teraz znaleziono konia Hala. Wypadki lubią się powtarzać. Ta, co tu leży - pokazała łożko - może na ten temat powiedzieć coś więcej...

Mary Ellen weszła teraz do saloniku i stała, przyglądając mu się. Nic dziwnego, że Hal był dumny ze swojego domu. Znajdowało się w nim wszystko, co potrzeba. Ściągnął tu ładne meble. Domek był wprost uroczy. Och, Hal, Hal.

Gdy do jej świadomości dotarło ujadanie psa, wyszła na podwórze i popatrzyła w stronę budy. Biedne stworzenie - pomyślała. Straciło kogoś bliskiego, zupełnie jak ja. Podeszła do otaczającego budę płotu i otworzyła furtkę. Pies wyciągnął łeb i polizał jej rękę. Rozejrzała się i zawołała: - Nie masz wody biedaku, poczekaj. - Lecz kiedy, wychodząc, zamierzała zamknąć furtkę, pies prześlizgnął się szparą. Biegał po podwórzu, skacząc wokół niej. - Boyo! Boyo! Chodź tutaj! Do budy, Boyo! - zawołała.

Stanął w miejscu, lecz kiedy zbliżyła się, by go złapać za obrozę, odskoczył, podbiegł do drzwi domu, gdzie stanął na dwóch łapach i podrapał kłamkę. Kiedy znów sięgnęła, by go pochwycić, odskoczył, zawrócił i czmychnął z podwórza. - Jak go teraz znaleźć? - złapała się za głowę. Włóczęgo się psa złapią Cyganie albo trafi na cudzy teren, gdzie go ktoś zastrzeli. Ale czy to ma jakieś znaczenie? Westchnęła ciężko. Jeśli Hal nie żyje, pies i tak już jest osierocony. Jeśli nawet ktoś go przygarnie, nie będzie miał z niego pożytku, bo pies słuchał jedynie Hala.

Powłócząc nogami ze zmęczenia, wracała wolno do chaty.

Pani Patterson przywitała ją słowami: - Nie będę pytała o nowiny, bo i tak wiem, że niczego nowego się nie dowiedziałas. W każdym razie ludzie odwołują dziś wieczór po-

szukiwania i zostawiają je konstablom. To ich praca, chociaż tym razem pożytku z niej nie będzie.

- Dziękuję, pani Patterson. Już teraz sobie poradzę.

Kobieta włożyła chustkę. Zanim jednak otworzyła drzwi, powiedziała: - W piersiach mam dziwny ucisk. Przydałaby się kropelka lekarstwa na kaszel. A nasza Mary nie może spać. Kate często dawała mi dla niej proszek.

Za wszystko trzeba było zapłacić. Słowa te brzmiały w głowie Mary Ellen, kiedy odmierzała miksturę na kaszel i nakładała łyżeczką biały proszek na kawałek papieru. Kate zawsze to powtarzała: za wszystko trzeba płacić, nawet za sąsiedzką pomoc w potrzebie. Już trzeci raz w tym tygodniu dawała lekarstwa pani Patterson.

Kiedy kobieta poszła, Mary Ellen podeszła do koszyka i wzięła dziecko na ręce. Ssało zwiniętą szmatkę, w której nie było już ani kropelki mleka. Zrobiła więc następny smoczek z gałganka umoczywszy go uprzednio w mleku, i wsadziła dziecku do buzi. Twarzyczka dziecka była zaczerwieniona, więc Mary Ellen podniosła sukieneczkę i zobaczyła, że pani Patterson znów za mocno ścisnęła pieluszki. Ze złością odwiązała płócienny pasek omotany wokół brzuszka dziecka, które wydało z siebie coś na kształt westchnienia ulgi. - Dlaczego musi zawsze tak ciasno je wiązać? - mruknęła pod nosem. - Biedactwo nie może oddychać. Lecz nawet Kate mawiała, że pieluchy muszą być owijane ciasno, inaczej brzuch dziecka spuchnie jak bania. To chyba przesada. Dziecko było zawsze bardziej zadowolone, kiedy pieluchy nie krępowały go zbyt mocno.

Poprawiła pośłanie, ułożyła małą wygodnie i poklepała delikatnie po policzku. Potem podeszła do łóżka. Kate leżała z szeroko otwartymi oczami, a wargi układały się do słów: - I co? - lecz dźwięk był ledwie słyszalny. Mary Ellen nie odpowiedziała, lecz potrząsnęła głową.

Kiedy Kate znów próbowała coś powiedzieć, Mary Ellen pochyliła się nad nią i przyłożyła ucho do wąskich, sinych ust. Wyszło z nich tylko jedno słowo: Ban...na...man... Brzmiało jak podzielone na trzy sylaby. Mary Ellen popatrzyła na Kate. - Przecież wszyscy wyjechali. Nikt tu nie został. Dom jest pusty - rzekła.

Usta Kate poruszyły się znowu i znów Mary Ellen przyłożyła do nich ucho.

- Ban...na...man... - Mary Ellen popatrzyła Kate w oczy, które ciągle zdradzały przytomność umysłu, i pokręciła głową: - Nie mogą nic zrobić, Kate. Pojechali. Farma jest pusta. Ludzie przeszukiwali jej sąsiedztwo nie dalej jak wczoraj. Zarówno hutnicy, jak i konstable.

- Szukajcie Bannamanów. - Słowa były ciche, lecz wyraźne. - Wróg. Hal jest wrogiem. Znajdź ich.

By uspokoić Kate, Mary Ellen odparła: - Dobrze, Kate, dobrze. Powiem im, żeby odszukali Bannamanów. Jutro im powiem.

Oczy starej kobiety zamknęły się i tylko ledwie dostrzegałny ruch klatki piersiowej zdradzał, że jeszcze oddycha...

Było już późne popołudnie, kiedy Mary Ellen usłyszała, że coś zaskrobało do drzwi. Otworzyła je i ze zdumieniem zobaczyła psa. - Ojej! Boyo. Boyo, wróciłeś. No, chodź, chodź, dobry piesek, dobry.

Lecz pies nie wszedł do izby, ale okręcił się, przebiegł pół drogi do furtki, zatrzymał się i obejrzał na nią. Wiedziała już, co próbuje jej powiedzieć - chciał, żeby za nim poszła. Z rozterką w sercu popatrzyła za siebie, w głąb izby na łóżko i na dziecko. Chwyliła wielką chustę Kate, w którą mogła cała się owinać. Narzuciła ją na głowę, okręciła wokół siebie i zawiązała mocno w pasie. Wzięła dziecko i umieściła w chuście przy piersi. Wyszła z pośpiechem, zamykając za sobą drzwi. Kiedy pies to ujrzał, ruszył przed siebie, biegnąc na przełaj przez pole ku szczytowi kamieniołomu. Dobięła tam za nim i stanęła, łapiąc z trudem oddech. Pies był tylko o parę kroków od niej. Przez chwilę pomyślała, że biegnie do tunelu. Ale to było głupie. Tam już szukała. Była to pierwsza rzecz, jaką zrobiła, kiedy ostatecznie pojęła, że Hal zaginął. Poszła tam, próbując nie pamiętać, że to stamtąd Hal wyciągnął Feelera, żeby zmusić go do samobójstwa.

Pies skręcił jednak w kierunku drogi. Pomyślała, że może zmierza do szybu, lecz pobiegł prosto. W pobliżu szybu zobaczyła dwóch górników i zawołała na nich, nie przerywając biegu za psem. Widziała, jak się zawahali, po czym jeden z nich pośpieszył ku niej. - Co się dzieje? - zapytał.

- Pies - pokazała palcem. - Uciekł dziś rano, ale potem przyszedł do chaty i nie chciał wejść do środka. Chciał, żeby za nim iść. Myślę, że... znalazł Hala, albo coś, co do niego należy.

Mężczyzna krzyknął do towarzysza: - Chodź tu szybko!
- Sam począł kroczyć obok Mary Ellen.

Kiedy drugi mężczyzna przyłączył się do nich, wyjaśnił mu: - Patrz, to zwierzę coś wie. Przybiegło do chaty Mary Ellen. Podobno uciekło rano. Wygląda, jakby biegł prosto do Whitfield.

Ale pies nie zdążył do Whitfield. W miejscu, w którym ścieżki biegły w trzech kierunkach, obrał tę w lewo. - Gonił dzikie gęsi, jakby mnie kto pytał. Ta ścieżka wiedzie do farmy Bannamana, to dobre półtorej mili stąd. Przeszukano już to miejsce - odezwał się jeden z mężczyzn.

- To może być tutaj, może gdzieś w pobliżu.

Mężczyźni zwolnili kroku, żeby dostosować się do Mary Ellen, której w szybkim marszu przeszkadzał ciężar dziecka. Kiedy zatrzymała się, żeby poprawić chustę, pies, biegnący parę kroków przed nimi, zatrzymał się także. - Bestia dobrze wie, dokąd idzie i wyraźnie chce, żebyśmy też tam szli - zauważył któryś z mężczyzn.

- Mój Boże! - po paru minutach mężczyzna wskazał psa.
- Skręcił do farmy Bannamana. Teraz biegnie.

Zbliżając się do bramy, nie widzieli psa, lecz słyszeli jego szczekanie. Kiedy znaleźli się na podwórzu, zobaczyli, że skacze na wrota stodoły.

- Byłem już tam - mężczyzna mówił bardzo cicho. - Nic tam nie ma, tylko trochę słomy na górze. Wszedłem nawet po drabinie na górę, więc czego on tam szuka?

Drugi podbiegł naprzód i odciągnął wrota stodoły. Pies ruszył, pilnie węsząc po klepisku. Zatrzymał się przy drabinie i, patrząc w górę, jął szczekać donośnie.

- Tam niczego nie ma - upierał się pierwszy mężczyzna.

Widząc, że pies próbuje wspiąć się na drabinę, Mary Ellen powiedziała spokojnie: -Wnieście go na górę. Jeden z mężczyzn objął psa ramieniem i wtaszczył na platformę. Tam Boyo zaczął szaleć.

Gdy drugi mężczyzna zaczął się także wspinać, Mary Ellen zawołała do niego, by wziął od niej dziecko. Stanęła na

dolnym szczeblu i podała mu zawiniątko, po czym powoli wdrapała się na poddasze, gdzie stanęła, przyglądając się, jak pies rzuca się na kupę siana.

- Tam w środku musi coś być - odezwała się.

Obaj mężczyźni zaczęli odgarniać siano i stanęli jak wryci. Pies właśnie dopadł do skurczonej postaci przywiązanej do belki.

- Jezu Chryste!

- Na Boga!

- Och, Hał, Hał! - krzyk rozpaczy wyrwał się z głębi jej serca. Rzuciła się naprzód i prędko odwiązała szalik, którym zakneblowano usta Hala. Zamknęła na chwilę oczy, żeby nie widzieć groteskowo otwartych ust w nieruchomej twarzy. Mężczyźni rozwiązywali teraz linę, którą przywiązany był do belki. Kiedy to zrobili, skrzycona postać opadła bezwładnie na bok.

- Nieboszczyk - mruknął jeden z nich.

- Nie, to nieprawda. Zróbcie coś. Przyprawdźcie doktora. Idźcie, sprowadźcie go. - Dwaj mężczyźni przyglądali się sobie przez chwilę - Idź, Billu, idź. I przyprawdź też konstabli.

Kiedy Bill pobiegł, zapytała drugiego mężczyznę: - Czy możecie... odwiązać go? - Człowiek próbował odplatać więzy, mrużąc pod nosem: - Boże miłosierny! Ktokolwiek to zrobił, wiedział jak wiązać supły.

Pies leżał przy Hala i lizał jego czoło, wydając z siebie dźwięki przypominające kwilenie niemowlęcia. Mary Ellen położyła dłoń na jego łbie. - Och, Boyo, Boyo! Gdybym cię wcześniej wypuściła - jęknęła.

Przez cały czas mocując się z więzami, mężczyzna mruknął: - O tak, tak, to mogłoby go uratować. Ktokolwiek tak zacisnął liny, chciał śmierci ofiary. Zrobiłbym mu to samo, gdyby tylko udało się go znaleźć.

- On nie... prawda, że nie? On nie umarł?

- Obawiam się, że tak, dziewczyno. Upłynęły przecież cztery dni, pamiętaj. Cztery dni był skrzepowany w pozycji, jakiej ludzkie ciało długo nie wytrzyma.

Mary Ellen gorączkowo odpięła górny guzik płaszcza Hala, położyła mu rękę na koszuli, ale nie poczuła bicia serca.

Zamknęła oczy, pochyliła się nad nim, podczas gdy wszystko w niej krzyczało: - Halu! Halu! Halu, kochany! Dlaczego? Dlaczego? - Po twarzy potoczyły się łzy. Mężczyzna położył rękę na jej ramieniu, mówiąc: - Nie rozpaczaj, dziewczyno - powiedział. - Nie rozpaczaj. Uspokój się i bądź pewna, że ktoś za to zapłaci. Wiele już rzeczy w życiu widziałem, ale nigdy jeszcze czegoś tak okrutnego. Został skazany na powolną śmierć.

- A jeśli rozmasujemy mu nogi i ręce?

- Nie wydaje mi się, żeby to na wiele się zdało. Musisz przyznać, że wygląda jak nieboszczyk.

- Ale... Ale czy nie moglibyśmy spróbować? Tylko... rozetrzeć je lekko.

- Skoro ma ci to przynieść pociechę, dobrze, zrobmy jak mówisz.

Zaczęła rozmasowywać rękę. Ujęła dłońią sztywne palce i masowała je kolejno jeden po drugim, podczas gdy mężczyzna robił to samo z drugą ręką.

- Teraz ramię, w kierunku od góry.

- Nie sięgnę z tej strony do ramienia, dziewczyno. Poza tym nie sądzę, że powinniśmy go niepokoić. Ale masuj od swojej strony, a ja popracuję nad jego nogami. Bardziej przywykłem do masowania nóg - uśmiechnął się lekko. - Pod ziemią często cierpną nam nogi. Siedzi się tam za długo w jednej pozycji i człowiek cały drętwieje. Najlepiej będzie, jak się wezmę za jego nogi. - Ręce górnik poczęły umiejętnie przesuwając się w górę i w dół po nogach Hala.

Masowali tak blisko godzinę, lecz ze strony zeszywniałych członków nie było żadnego odzewu.

Kiedy usłyszeli ruch na podwórzu, górnik podniósł się i podbiegł do skraju platformy. Czterech mężczyzn wspinało się po drabinie. Kiedy pierwszy z nich rzucił okiem na skręconą sylwetkę i leżące obok liny, zaniemówił. - Powinniście byli go zobaczyć przywiązanego do tej belki, spętanego jak baleron - rzekł górnik. - Ktokolwiek zrobił te supły, nie spodziewał się, że kiedykolwiek będą odwiązywane.

- Nie żyje?

- Po mojemu tak. Nacieraliśmy go, ale bez powodzenia.

- Co mamy z nim zrobić? - spytał cicho jeden z konstabli.

- Proszę was, zaczekajmy na doktora - wtrąciła szybko Mary Ellen. - Doktor będzie wiedział, co czynić. On... on może jeszcze żyć.

- Cóż, łatwo możemy to sprawdzić. - Konstabl ukląkł na sianie. Delikatnie odchylił płaszcz, koszulę i kaftan, po czym przyłożył głowę do zimnego ciała i trwał tak, zdawało się, całe wieki, zanim wreszcie podniósł się i zamrugął powiekami.

- Wydaje mi się, że słyszę bicie serca - zawołał. - Może to być, choć bardzo słabo.

- Jest pan pewien? - głos górnika ożywił się.

- Niezupełnie, ale posłucham jeszcze. - Znowu przyłożył głowę do klatki piersiowej Hala. - Połóżcie go trochę inaczej - polecił po chwili.

Skwapliwe ręce przewróciły ostrożnie zeszywniałe, skrócone ciało na bok, a konstabl jeszcze raz przyłożył doń ucho. Z ożywieniem usiadł i pokiwał głową: - Teraz jestem całkiem pewien. No, dziewczyno, uspokój się. Odsuń się trochę i nie przeszkadzaj. Masz dzieciaka do pilnowania. Siadaj tam! - Odsunął ją na bok. - Oprzyj się o ścianę i pochyl głowę.

Posłusznie pochyliła głowę, podczas gdy z jej wnętrza wydobywał się niemy krzyk: - Wracaj, Hala! O Boże, spraw, żeby wrócił! - Czuła, że za chwilę zemdleje. Jeden z konstabli podał jej zawiniątko, a ona instynktownie wyciągnęła ramiona do dziecka i poczęła kołysać małą, nie odrywając przy tym wzroku z trupio bladej twarzy z szeroko otwartymi ustami.. Rejwach na podwórzu przywołał ją do całkowitej przytomności. Kiedy tylko zobaczyła doktora na wierzchołku drabiny, przyklękała i z pomocą jednego z mężczyzn stanęła na nogi.

Doktor, tak samo jak przedtem konstabl, stanął i patrzył na Hala z osłupieniem, zanim przyklęknął u jego boku. Podobnie jak konstabl wyczuł słabe bicie serca, lecz w głosie jego nie było entuzjazmu, kiedy powiedział: - Tak, może i żyje, ale ma małe szanse. Musimy znaleźć jakieś drzwi. Trzeba go przenieść gdzieś, gdzie będę mógł zaaplikować gorącą wodę i rozgrzany tłuszcz.

- Proszę go zanieść do domu... do Kate.

Doktor odwrócił się i popatrzył na nią. - To za daleko - powiedział. - Jego farma jest bliżej.

- Bardzo proszę. Tam mogę się nim zaopiekować, a poza tym Kate ma wszelkie balsamy i leki.

- Na podwórku jest furmanka - rzekł jeden z mężczyzn.
- Jest nas dosyć, żeby go tam ułożyć.

Parę minut później ostrożnie ułożono Hala na wozie wy-
moszczonym płaszcami, żeby złagodzić kontakt z twardym
drewnem. Na podwórzu było teraz ze dwudziestu ludzi, bo
takie wieści roznoszą się bardzo szybko. Opuszczając farmę,
uformowali się w pochód - dwóch ludzi po bokach, dwóch
popychało wóz z tyłu, doktor jechał konno z jednej strony,
Mary Ellen z dzieckiem szła z drugiej, a pozostali kroczyli
za wozem. Wszyscy milczeli jak w kondukcje pogrzebowym.
Przy chacie doktor powiedział coś konstablom, którzy przy-
ciszone głosem, jakby to była ceremonia pogrzebowa, we-
zwali zebranych do rozejścia się. Posłuchali prawie wszyscy.

Już w izbie, gdy tylko dziecko znalazło się w koszyku,
Mary Ellen nabrała energii. Wyciągnęła materac z kąta i roz-
łożyła koło ognia. Mężczyźni ostrożnie ułożyli na nim Hala.
Wcisnęła wiadro w ręce jednego z konstabli, polecając, by
przyniósł wody. Z półki na ścianie zdjęła wielki słoje gęsiego
smalcu.

Doktor, już bez płaszcza, klęczał przy pacjencie. - Daj mi
nóż - poprosił Mary Ellen. Kiedy go przyniosła, rozciął
rękawy płaszcza Hala i spodnie. Ostrożnie uwolnił go z reszty
ubrań. Okrył nagie ciało prześcieradłem i polecił: - Namocz
ręczniki i prześcieradła w gorącej wodzie.

Podobnie jak Hal, kiedy ją ratował, zanurzyła ręce w nie-
mal wrzącej wodzie. Wyciągała z niej ręczniki i prześcieradła
podając je doktorowi, a ten okładał nimi ręce i nogi Hala.
Czterech konstabli przyglądało się temu w nabożnej ciszy. Od
czasu do czasu kręcili głowami nad wysiłkami, które według
nich były tylko stratą czasu.

Po przyłożeniu gorących okładów doktor nabrał garść
gęsiego smalcu i począł nim nacierać sztywne i zziębnięte
ramiona. Kiedy w pewnej chwili mocniej szarpnął rękę pa-
cjenta, Mary Ellen zdawało się, że dostrzega skurcz mięśni
na bladej twarzy. Nic nie powiedziała, a doktor wziął się za
masowanie drugiej ręki. Ona zaś masowała kolana Hala,
robiąc to ściśle według wskazówek doktora. Dla obojga była

to wyczerpująca praca, ale wreszcie udało im się wyprostować ciało. Hal leżał teraz wyciągnięty na plecach, a do stóp miał przyłożoną gorącą cegłę owiniętą we flanelę. Takie same cegły przyłożyła mu też do obu boków.

Wreszcie doktor podniósł się. - Czy macie w domu spirytus? - zapytał. Mary Ellen w pierwszej chwili zrozumiała, że chce się napić i odparła: - Tylko odrobinę brandy. Kate dostała ją na Boże Narodzenie.

- Przynieś je. I łyżeczkę.

Po chwili patrzyła, jak doktor wlewa brandy, kroplę po kropli, w otwarte usta Hala. Kiedy do gardła spłynęła druga łyżeczka alkoholu, mięśnie twarzy znów lekko drgnęły. Mary Ellen położyła rękę na ustach i popatrzyła pytająco na doktora. Uśmiechnął się lekko i pokiwał potakująco głową. Zaraz potem wlał następną łyżeczkę brandy, mówiąc przy tym: - Mamy go. No, rusz się, rusz się. - W odpowiedzi na to wezwanie Hal poruszył z wysiłkiem szczęką, próbując zamknąć usta. Obecni w izbie konstable jakby też powrócili do życia i zaczęli wymieniać między sobą uwagi:

- O mój Boże, widziałeś?

- Nigdy nie pomyślałbym, że to możliwe.

- To się nazywa wskrzeszanie umarłych.

- Teraz gotów jestem we wszystko uwierzyć.

- Doktorze, wykonał pan kawał dobrej roboty. I ty także, dziewczyno. Zawdzięcza wam życie. Jeszcze jeden dzień, a na pewno byłby nieboszczykiem. Jak pan myśli, doktorze?

- Nie inaczej.

- To pies. - Mary Ellen pokazała palcem stworzenie, które leżało przy koszyku dziecka. Wszyscy popatrzyli na psa, potem na nią i nikt nie odzywał się przez dobrą chwilę. - To pies go odnalazł? - przemówił wreszcie lekarz.

- Tak. Był zamknięty, ale uciekł. Potem wrócił i... - kręciła głową z niedowierzaniem - poprowadził mnie. Idąc za nim, spotkałam pana Bostona i pana Yorka, a oni poszli ze mną.

Doktor odwinął zakasane rękawy i powiedział: - Cuda się zdarzają, nieczęsto, ale się zdarzają. Teraz - zwrócił się do Mary Ellen - może minąć sporo czasu, zanim przyjdzie do siebie. Miej zawsze trochę rosołu pod ręką. Nie pozwól mu

mówić. Musi mieć spokój. Teraz muszę już iść, ale wrócę tu wieczorem. Nie umiem powiedzieć, o której godzinie, ale na pewno przyjadę.

Kiedy podszedł do pozostawionego na krześle płaszcza, mężczyźni rozstąpili się, robiąc mu przejście. Nie skierował się jednak od razu do drzwi, lecz najpierw zbliżył się do łóżka w odległym kącie izby i stał przez chwilę, przyglądając się Kate.

Leżała z otwartymi oczami. Nie uczyniła żadnego wysiłku, by przemówić, on też się nie odezwał, jedynie delikatnie położył jej rękę na czole.

Mary Ellen odprowadziła go do drzwi. Stał na zewnątrz, patrząc w niebo i głęboko wdychając świeże powietrze. Stała obok i także popatrzyła na bezchmurne i rozgwieżdżone niebo.

- Masz osobliwą zdolność do ratowania ludziom życia, Mary Ellen - powiedział cicho doktor.

- Tym razem to pies - powtórzyła.

- Uznajemy zasługę psa, ale ty też miałaś w tym swój udział. Teraz pozostaje odkryć, kto usiłował popełnić taką okropną zbrodnię.

- Nie trzeba szukać daleko, doktorze. To Bannamanowie.

- Trzeba to udowodnić.

- Szal, którym zakneblowano Hala, ma inicjały B.B. wyhaftowane jedwabnymi nićmi. Ich syn nazywa się Benjamin.

- To już należy do wymiaru sprawiedliwości. Ktokolwiek to zrobił, dokonał straszliwej zemsty. - Uśmiechnął się blade i dodał: - A ja myślałem, że na wsi nic się nie dzieje, że to nudne miejsce. Teraz zaś myślę, żeby pojechać do miasta, odpocząć trochę.

- Bardzo by nam pana brakowało, gdyby pan rzeczywiście tak zrobił - odparła z uśmiechem.

- Do widzenia, Mary Ellen. Na razie.

- Do widzenia, doktorze. - Patrzyła jeszcze chwilę za doktorem idącym do furki, gdzie stał przywiązany koń i gdzie szereg zapalonych, kołyszących się latarni ukazywał sylwetki ludzi czekających na wieści.

Gdy weszła do izby, jeden z konstabli oświadczył: - Dwóch z nas musi iść. Dwóch pozostanie, żeby wysłuchać jego zeznania, kiedy oprzytomnieje.

Hal powrócił do pełni świadomości o dziesiątej rano następnego dnia. O drugiej w nocy otworzył oczy i popatrzył na Mary Ellen, która siedziała przy ogniu z głową zwieszoną na piersi.

- Jak się czujesz, chłopcze? - odezwał się jeden z konstabli.

Hal nie odpowiedział, tylko zamknął oczy i znów zapadł w sen. Kiedy odzyskał świadomość, zobaczył Mary Ellen klęczącą u jego boku. Zamrugał powiekami i usiłował przemówić: - Ja... żyję - wyrzucił głosem brzmiącym jak ochryple skrzeczenie.

Ogarnęła ją przemożna chęć, by porwać go w ramiona, przytulić głowę do jego piersi i powiedzieć: - Tak, kochany, żyjesz. - Ale tylko wzięła jego rękę i ucisnąwszy ją, potaknęła: - Tak, Halu, żyjesz. I wydobrejesz.

- Moje nogi.

- Są w porządku.

- W ogóle nie czuję, że je mam.

- Naprawdę nic im nie jest. - Uśmiechnęła się do niego, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy ulgi.

- Demon.

- Co powiedziałeś?

- Ona. Ona jest demonem.

- Kto, Halu, kto?

- Bannamanówna.

Na dźwięk jego głosu konstabl, który właśnie zmienił kolekę, podszedł bliżej i pochylając się zapytał: - Czy wiesz, kto ci to zrobił?

- Bannamanówna - nazwisko zabrzmiało mocniej.

- Boże jedyny! Kobieta? Ona cię tak związała?

- Ona... ona mnie tak związała - zamknął oczy i wyszeptał: - Wyprawiła mnie na tamten świat.

- Wróciłeś, Halu, wróciłeś. - Mary Ellen delikatnie poklepała go po policzku i dała znak konstablowi, by nie zadawał więcej pytań.

Kiedy odszedł i usiadł przy stole, Hal otworzył oczy i spojrzał na Mary Ellen spytał: - To ty mnie znalazłaś? - spytał.

- Nie. Pies.

- Boyo?

Na dźwięk swojego imienia pies ruszył się ze swego miejsca i oparłszy łapy, o materac polizał twarz Hala. A on zagłębił dłoń w futro zwierzęcia i w charakterystyczny dla siebie sposób powiedział: - Irlandzki druciarz. Zapłacę mu podwójnie, kiedy go następnym razem zobaczę.

22

Minęły trzy dni, zanim Hal poczuł się na siłach, by wstać. Twierdził, że czuje się przy tym jak dziecko stawiające pierwsze kroki. Wysilek ten kosztował go wiele cierpienia, szczególnie bolały go stawy kolanowe.

Mary Ellen karmiła go rosołem i czym tylko można było z dań przynoszonych przez Annie. Pierwsza wizyta potężnej niewiasty była bolesnym widokiem, bowiem Annie rozpłakała się, nie wstydząc się swych łez. Mary Ellen zrobiło się jej żal i pomyślała nawet: och, wielka szkoda, że nie jesteś młodszą. Z całej postaci tej kobiety wyzierało poczucie osamotnienia i potrzeba posiadania kogoś bliskiego.

Z twarzą mokrą od łez Annie zapewniła Hala, że jego zwierzęta miewają się dobrze, w domu wszystko w porządku, a Terry sprawuje się bez zarzutu. Nie ma powodu się martwić, tylko... czy mógłby wrócić jak najszybciej?

Po jej wyjściu Hal westchnął: - To taka dobra dziewczyna. Zmarnowała się - powiedział.

Pierwszą przechadzkę odbył w kierunku łóżka Kate, gdzie Mary Ellen postawiła dla niego krzesło. Usiadł na nim i wziął Kate za rękę. Gdy go zobaczyła, znów wymówiła tylko jedno słowo: Bannaman. - Pokiwał głową i potwierdził: - Tak, tak, Kate, Bannaman. - uśmiechnął się słabo. - Mieli zamiar zetrzeć z powierzchni ziemi wszystkich Roystanów, ale nie udało się im tym razem - dodał.

- Znaleziono ich?

- Nie, jeszcze nie, ale ich szukają.

Wpiła lekko paznokcie w jego dłoń. - Mój czas dobiega końca - rzekła. - Mogę odejść zaraz, w każdej chwili... Hалу.

- Tak, Kate? - pochylił się nad nią, a mięśnie jego twarzy steżały.

- Mary Ellen. Opiekuj się Mary Ellen.

- Nie martw się, Kate. Nie martw się. Mary Ellen nic się nie stanie.

- Halu.

- Tak, Kate?

- Opiekuj się nią.

Westchnął ciężko. - Wiem o czym myślisz, Kate - powiedział. - Wiem... Spróbuję.

- Nie czekaj na niego... na Roddy'ego. On jest już przeszłością.

- Czy chciałabyś się z nim zobaczyć, Kate?

Przez jakiś czas nie odpowiadała, zamknęła tylko oczy. - To nie ma znaczenia. To nieważne. Jest tutaj Pat - wymruczała po chwili. - Przyjechał wczoraj. - Uśmiechnęła się blado, a Hal puścił jej rękę i położył delikatnie na kołdrze. Potem podniósł się sztywno i powlókł w stronę postania przy ogniu. Opadł na nie i wpatrzył się w plecy Mary Ellen. Stała przy stole, krojąc mięso. - Myślę, że dobrze byłoby po niego posłać - powiedział cicho:

Jej ręce znieruchomiały. - Myślę to samo - odparła.

- Trzeba będzie wysłać list ekspresowy.

- Dam list woźnicy jadącemu do Hexham, by podał go pocztylionowi z dylizansu do Newcastle. Stamtąd szybko dojdzie.

Nadal wpatrywał się w jej plecy i powtórzył: - Tak, stamtąd dojdzie już szybko. Roddy będzie mógł tu być za jakieś cztery dni, jeśli zechce.

Nie odpowiedziała, tylko w milczeniu dalej kroić mięso.

- Ona myśli, że jest tu jej syn - rzekł.

- Może go zawiadomić, kiedy ona umrze?

- To będzie raczej trudne, bo nie żyje od roku. Kiedyś przyszedł list. Sam go odebrałem od pocztyliona i otworzyłem. Był pisany wprawną ręką pastora. Z listu wynikało, że Pat zginął w bójce. Wtedy właśnie odszedł Roddy i pomyślałem, że to może być dla niej za wiele. Podarłem więc list.

Patrzyła na niego ze zdumieniem. Do czego jeszcze jest zdolny? Stawiał siebie ponad prawem. Jednak to, co zrobił, było podyktowane troską o Kate.

- Muszę zbierać się do domu - powiedział wreszcie. Słowa te sprawiły, że odwróciła się i ostro zaprotestowała: - Niczego podobnego nie zrobisz. Ledwie trzymasz się na nogach. Zostaniesz jeszcze parę dni.

- Wszystko pięknie, ale nie myślisz chyba, że mały chłopiec będzie prowadził farmę sam.

- Nie jest sam, w końcu jest tam jeszcze Annie.

- O tak, Annie - uśmiechnął się blade. - Annie to prawdziwy skarb. Nie wiem, co bym począł bez Annie. - W głosie jego pojawiła się nuta drwiny.

Odpowiedziała całkiem poważnie: - To prawda. Nie wiem, jak byś sobie bez niej poradził, ani też beze mnie. Przez ostatnie parę dni przynosiła nam mleko i jedzenie. Siedź więc na miejscu.

W jakiś czas później, gdy oporządziła Kate, zmyła naczynia po śniadaniu, rozpałała ogień pod kuchnią, przyniosła wody i drewna oraz nakarmiła dziecko, wyjęła z szuflady kartkę papieru i pióro. Usiadła przy stole, pośliniła czubek pióra i zaczęła pisać. Nie rozpoczęła od: **Drogi Roddy**, lecz napisała po prostu:

Kate jest umierająca. Myślę, że powinieneś przyjechać.

Nie podpisała się nawet. Niezdarne pismo pokryło trzecią część kartki. Złożyła papier i napisała na nim adres, a potem podeszła do ognia, wzięła kawałek wosku z gzymsu nad kominkiem i zapieczętowała list. Wiedziała, że Hal pilnie obserwuje jej poczynania. Nie odezwał się ani słowem, dopóki owinięta już chustą nie podeszła do drzwi. - Popilnuj ich. Niedługo wrócę - powiedziała.

- Masz pieniądze, żeby go wysłać?

Zacisnęła wargi. Nie pomyślała o pieniądzach. Wróciła do kominka i uniosła pokrywkę pudełeczka, wydobywając zeń dwa szylingi. - Czy to wystarczy? - spytała cicho, trzymając je w dłoni.

- Aż nadto. Jeden szyling starczy.

- Żeby wysłać ekspresem?

- Tak. Mimo wszystko zapytaj woźnicy. Jeśli będzie to Brodaty Smith, daj mu pensa napiwku, bo będzie musiał nadłożyć drogi, by złapać dyliżans.

Kiwnęła głową na znak zgody i wyszła. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Hal oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Czuł się bardzo chory nie z powodu bólu, który nadal odczuwał we wszystkich członkach, ani też przeżytego strachu. Strach ten zapadł w niego głęboko w ciągu dwóch dni nieopisanej męczarni. Trzeba by kilku żywotów, by stać się mężczyzną takim jak dawniej - nie znającym co to obawa i tchórzostwo. Inne było źródło tej szczególnej choroby. Wiedział, że kiedy Roddy pojawi się w tej izbie, życie nie będzie już takie samo. Uczucia Mary Ellen, wobec niego, Hala, niewątpliwie zmieniły się na korzyść. Wystarczy jednak, że znów zobaczy Roddy'ego, a znajdzie się tam, gdzie była przedtem - u jego stóp.

Popatrzył na dziecko gaworzące w koszyku. Jaka będzie jego reakcja na ten widok? Czy poczuje się zobowiązany, żeby zaproponować Mary Ellen małżeństwo i zabrać ją ze sobą? Wątpliwe. Roddy miał tyle do rysowania w Londynie, że trzymało go to w mieście przez cały miniony rok. W ostatnim liście pisał, jak ciężko musi pracować, przygotowując się do jakichś egzaminów. W poprzednim opisywał wystawę, w której brał udział z polecenia nauczyciela. Wszystko wymówki, same wymówki. Zwyczajny gnojek, samolubny i dbający tylko o siebie gnojek.

Dźwignął się na nogi i popatrzył na nieruchomą postać na łóżku. Ta kobieta także go kochała, tak jak zapewne kochała własnego syna. Ileż musiała przecierpieć przez ubiegły rok. Na Boga! Kiedy tylko Roddy przestąpi próg tego domu, on, Hal, wygarnie mu wszystko. Szkoda, że nie czuje się zbyt dobrze, bo chętnie zamiast języka użyłby pięści i sprząby tę paniczykowaną gębę.

Zadawał sobie pytanie, co właściwie widział w Roddym przez te wszystkie lata. Czemu łąził za nim jak pies. Prawdopodobnie żywił do niego wdzięczność za ofiarowaną mu przyjaźń, w czasach, kiedy wszyscy wokół go odtrącili. Z drugiej zaś strony wiedział, że Roddy także był samotny, co więcej, zagubiony, bo nie wiedział, kim jest ani skąd pochodzi. Ale w takim razie wdzięczność powinna być obustronna. W tym przypadku okazywał ją jedynie on.

Dziecko zakwiliło, podszedł więc do koszyka, wziął je na ręce i utulił w ramionach. Dziwne, że nie czuł urazy o dziecko. Traktował je jakby należało do niego, tak samo jak do Mary Ellen. Co pocznie, kiedy oboje znikną z jego życia? Wiedział, co się stanie - będzie powoli gnął. Ale nie umrze... Ha! Może nawet weźmie sobie Annie dla wygody.

To ostatnie przyszło mu na myśl jako żart, lecz gdy siedział, kołyszając dziecko, pomyślał: może to wcale nie takie głupie? Mężczyzna jest tak stworzony, że do samej śmierci potrzebuje matki w takiej czy innej postaci.

★

Kate umarła tej nocy we śnie. Nie wiedzieli, o której godzinie. Mary Ellen zeszła o piątej rano z poddasza, gdzie spała na wypchanym sienniku. Tuliła w ramionach dziecko. Zdziwiła się, widząc zapaloną lampę, płonący ogień pod kuchnią i w pełni ubranego Hala siedzącego na stołku. Nie podeszła do łóżka Kate, lecz od razu do niego. - Żle się czujesz? - spytała.

- Nie, nie. - Wstał i ruchem głowy wskazał łóżko.
- Umarła.

- Och, nie! - Szybko ułożyła dziecko w koszyku i pospieszyła do łóża zmarłej. Stała, zakrywając ręką usta, co było u niej oznaką silnych emocji. Po jej policzkach potoczyły się łzy. - Och, Kate, Kate - jęknęła stłumionym głosem. Popatrzyła na Hala, który stał w nogach łóżka. - Nie wiem, co bez niej pocznę. Była dla mnie więcej niż matką - rzekła.

- Nie tylko dla ciebie.

Miał rację. Dla niego była jedyną matką, którą znał.

- Rozumiała mnie jak nikt inny - powiedział cicho. - Musiała być naprawdę ładna w młodości - dodał innym już tonem. - Przyjrzyj się jej twarzy. Większość zmarszczek się wygładziła.

To dziwne, ale zmarszczki zniknęły. Nieboszczka wyglądała na szczęśliwą. Śmierć to dziwne zjawisko. Nie, „dziwne” to niewłaściwe słowo, raczej tajemnicze i przerażające. Lecz z drugiej strony wygląd Kate świadczył, że nie ma się czego obawiać.

Poczuła na ramieniu rękę Hala i usłyszała jego głos:
- Chodź stąd. Ona nie chciałaby, żebyś ją opłakiwała. Wiesz,

że byłaś jej bardzo droga. Chodź. - Poprowadził ją na drugą stronę izby i usadowił na ławie. - Ugotowałem owsiankę.

Gdy wręczył jej miskę owsianki i postawił obok kubek mleka, chciała powiedzieć, że niczego nie przełknie. Ale Hal zatroszczył się o nią, więc musiała choć trochę skosztować. Zjadła połowę owsianki, a wtedy Hal rzekł: - Trzeba ją umyć i ubrać. Czy umiesz to zrobić? - Nie - omal nie zakrztusiła się owsianką. - Nie mogłabym. Będę musiała poprosić panią Patterson.

- Tak będzie najlepiej. Nie martw się. Jak się rozwidni, pójde do wsi i powiem jej, żeby przysłała.

- Czujesz się na siłach?

- Muszę kiedyś stąd wyjść w szeroki świat. Jeszcze parę nocy tu spędzonych, a nie pozbędziesz się mnie nigdy.

- Utkwił w niej spojrzenie.

Światło ognia igrało na jej twarzy, a miejsca mokre od łez lśniły blaskiem. Jak tu stanąć twarzą w twarz ze światem po kilku dniach spędzonych z nią razem w jednej izbie? Lecz musiał stanąć i zebrać siły na to, co miało się zdarzyć, kiedy przyjedzie Roddy.

- Dobrze się stało, że wysłaliśmy list wczoraj - powiedział. - Powinien wyjechać dyliżansem pocztowym z Newcastle około wpół do dziesiątej. Zajmie to około półtora dnia, zanim dojedzie. Roddy może tu być za cztery dni.

Zatrzymała łyżkę w połowie drogi do ust. - Jeśli wyjedzie natychmiast - dodała.

- Tak, oczywiście wtedy, gdy wyjedzie od razu.

Nie mógł powstrzymać pytania, które cisnęło mu się na usta: - Co będzie, kiedy się spotkacie?

Odstawiła talerz i odparła spokojnie: - To się zobaczy.

23

Pochowali Kate w poniedziałek. Na pogrzeb przyszli ci, którzy pracowali na drugą zmianę, i ci, którym przez wiele lat przynosiła ulgę w cierpieniach, a także kobiety z okolicz-

nych wiosek. Wszyscy podążali za wozem, który wiozł prostą trumnę przybraną wiązkami polnych kwiatów.

Hal szedł przy boku Mary Ellen za furmanką, która wiozła jedzenie na późniejszą stypę w gospodzie. Powinien iść razem z mężczyznami, jak kazał zwyczaj, ona zaś - razem z kobietami. Cmentarz w Haydon Bridge był oddalony o spory kawał drogi, lecz dzień był pogodny i ciepły. Gdy złożono trumnę w wykopanym uprzednio grobie, większość żałobników rozeszła się. Pozostali jedynie Mary Ellen, Hal i doktor, który dołączył do konduktu przy cmentarnej bramie.

Czekali, aż grabarze zakończą pracę. Wówczas Mary Ellen ułożyła kwiaty u stóp usypanego kopczyka. Twarz jej drżała od powstrzymywanego płaczu. Ruszyła z powrotem, dołączając do Hala, który szedł sztywno ze spuszczoną głową. Przy bramie pożegnała się z doktorem, dziękując mu za opiekę nad chorą. Zapłaciła furmanowi, po czym skierowała spojrzenie ku grupie mężczyzn stojących po jednej stronie drogi. Potem przeniosła je na grupę kobiet zebranych po drugiej stronie. Popatrzyła pytająco na Hala. - Zabiorę mężczyzn do gospody na wódkę, a ty idź z kobietami - powiedział. - Annie czeka z nakrytym stołem.

Nie mówiąc nic więcej, poszli każde w swoją stronę. Mary Ellen przyłączyła się do kobiet. Było ich osiem, głównie z pobliskich chat. Po drodze prawily Mary Ellen same uprzejmości. Kiedy jednak usadowiły się przy zastawionym przez Annie stole, zjadając ze smakiem pikantne paszteciki i ciasta, jedna z kobiet przemówiła w imieniu wszystkich: - Myślałam, że Roddy przyjedzie na pogrzeb, jeśli nie z innych powodów, to z czystej bojaźni bożej.

Mary Ellen popatrzyła przez stół na kobiety. - Nie mógłby zdążyć - odparła. - Spodziewamy się go najwcześniej jutro.

- Dyliżanse z Londynu jeżdżą codziennie - powiedziała inna z kobiet. - Można też jechać nocą. A jeśli chodzi o dyliżanse z Newcastle, nasz Rob powiada, że mkną jak ptaki do każdej części naszego hrabstwa i Durham. Na mój rozum, jeśli miałyby zamiar przyjechać, to już by tu był. - Potoczyła wzrokiem po kobietach, które przytakiwały jej słowom, kiwając głowami. Niektóre spuściły oczy, jakby się czegoś wstydziły. Jedna z nich mruknęła: - Wychowała go, zepsuła i taką odbiera zapłatę. Tak to już jest.

- Mary Ellen, co zrobisz, jeśli on się nie pokaże? - zapytała kobieta, która dotąd zbyt pochłonięta była jedzeniem, by otworzyć usta.

Nie mogąc dłużej powstrzymać języka, Mary Ellen wstała od stołu i odparła: - To samo, co do tej pory, pani Pratt. Będę żyła dalej i pilnowała swojego nosa. Tego nauczyłam się od Kate - pilnować swoich spraw. I do tego nie potrzeba brać żadnych lekarstw.

- No, no! Odzywać się w ten sposób w taki dzień! Nieboszczka jeszcze na dobre nie ostygła w grobie. Cóż za brak szacunku.

- Nie większy niż u pani, pani Pratt. - Popatrzyła wokół i z zaciśniętymi ustami wycodziła: - A teraz, jeśli panie już skończyły, będę wdzięczna, jeśli mnie panie opuszczą.

- Coś podobnego!

- Mary Ellen. To bardzo nieładnie z twojej strony. - Słowa te dobieły się z ust drobnej, cichej kobiety, wstrząśniętej tym, co usłyszała. Wstawała właśnie, otrzepując spódnice. Podnosiły się jedna po drugiej, zabierały swoje chusty i po wymianie spojrzeń i szeptanych uwag kierowały się ku drzwiom.

- Będziemy wiedzieć, co robić następnym razem, kiedy będziesz się darła o pomoc - padło na pożegnanie.

- Nie panią będę o nią prosić, pani Taggart, więc proszę się nie martwić. Nie niepokoiłam pani do tej pory i teraz na pewno nie zacznę.

Kobiety ze zdumieniem wymalowanym na twarzach opuściły dom, zostawiając za sobą nie zamknięte drzwi. Mary Ellen przyglądała się im, gdy szły ścieżką wyraźnie poruszone. Ścisnęła przód czarnej bluzki, w gardle ją dławiono, oczy jej błyszczały. Zamknęła z trzaskiem drzwi i oparła się o nie, życząc sobie w głębi serca, by znaleźć się jak najdalej stąd. Czuła się samotna jak nigdy. Miała tylko Hala, ale on nie uwierzy, że jej uczucia do Roddy'ego wygasły.

Podeszła do ognia, przy którym w koszyku spokojnie spało dziecko. Ciekawe, czy jeśli Roddy je zobaczy i dowie się, że to jego córka, weźmie je do Londynu? To oznaczałoby małżeństwo. Co ona na to odpowie? Dobrze wiedziała co. Zamknęła oczy i targając przód swej bluzki, szeptała jak

modlitwę: - Pospiesz się i przyjeżdżaj. Pospiesz się i przyjeżdżaj, żebyśmy mogła ci to powiedzieć i przyjąć wszystko, co stanie się potem.

24

Nocowała w chacie sama i nazajutrz, we wtorek, obudziła się o piątej. Rada była, że dzień zapowiadał się ładny, bo miała zamiar wytaszczyć z chaty wszystkie meble i je wyszorować. Chciała wywietrzyć materace i wyprać całą pościel, a potem jeszcze pobielić ściany. Czekał ją długi dzień pracy.

Do dziewiątej zdołała wystawić na dwór większość sprzętów. W izbie pozostały tylko rama łóżka, stół, prasa do ziół i przytwierdzona do ściany ława. Gdy nadszedł Hal, stanął i otworzył usta ze zdziwienia. - Co ty wyprawiasz? Masz zamiar rozpalić ognisko? - spytał.

- Chcę pozbyć się tego zapachu.

- Myślę, że to dobra metoda. Ale powinnaś była zaczekać, pomógłbym ci w przenoszeniu rzeczy.

- Nie wygłupiaj się - odparła i odwróciła się do niego plecami, zmierzając do chaty. - Sam ledwie trzymasz się na nogach, nie myśl nawet o pomaganiu komukolwiek.

Hal postawił bańkę z mlekiem na stole. - A gdzie dziecko? - zapytał.

- Zostawiłam ją na górze. Jest jeszcze wcześniej i powietrze jest za ostre.

- Czy noc upłynęła spokojnie?

- Tak, spokojnie.

W istocie pytanie to oznaczało, czy aby nie miała nocą jakichś gości. Martwiła się bowiem, kiedy Hal wychodził ostatniego wieczoru, że ktoś może ją nachodzić po nocy, udając, że chodzi mu o lekarstwo.

Hal postał chwilę, rozejrzał się i powiedział jakby od niechcenia: - Właśnie wybieram się do Haydon Bridge. Muszę kupić paszę dla moich krów i dla tej starej szkapy. Może

któryś furman dostał listy z dylizansu pocztowego. Jeśli coś będzie, to wpadnę, wracając.

Spuściła głowę i nic nie odpowiedziała.

Zmierzając do wyjścia, Hal rzekł: - Naszykowałeś sobie niezłą robotę.

- No cóż, to trzeba zrobić - odparła.

Ponieważ szła za nim, odprowadzając go do drzwi, odwrócił się i zapytał, patrząc jej prosto w oczy: - Jak się czujesz?

- Jak groch przy drodze.

- To znaczy?

- Nie mogę ci powiedzieć. Gdybym potrafiła, odpowiedź byłaby inna.

- Też tak myślę. - Wsiadł na konia i patrzył na nią z góry.

- Może pod koniec tygodnia będziesz wiedziała? - zapytał.

Pozostawiła to pytanie bez odpowiedzi. Pod koniec tygodnia będzie wiedziała. Im szybciej, tym lepiej.

Stało się to szybciej, niż myślała. Wyciągnęła z pralni balie i nianosiła parę wiader podgrzanej na ogniu gorącej wody, by wypełnić ją do połowy. Wrzuciła garść sody i za chwilę dwa niewybielone prześcieradła moczyły się w parującej wodzie. Pochylona nad balia, z której para buchała jej w twarz, Mary Ellen była tak pogrążona w pracy, że nie słyszała turkotu nadjeżdżającej dwukółki. Dopiero gdy zatrzymała się przy bramie, Mary Ellen uniosła twarz i wypuściła prześcieradła z rąk do wody. Uniosła brzeg fartucha i poczęła pospiesznie wycierać ręce.

Roddy wszedł na podwórze i zmierzał w jej stronę. Oto mężczyzna, którego kochała od dziecka. Roddy Greenbank znacznie przybrał na wadze i wyglądał tak, jak wyglądają dżentelmeni. Nie brakowało mu nawet rękawiczek. Lecz najbardziej zmieniła się jego twarz - była gładko ogolona, różowa i nie widać było na niej ani włoska prócz baczków wyglądających spod kapelusza, kończących się na dolnej linii uszu.

- Witaj! - odezwał się pierwszy.

Nawet głos był nie ten sam. - Witaj - odpowiedziała.

Rozejrzał się po stojących w nieładzie meblach. - Co się dzieje? - zapytał.

- Robię porządki. - Głos Mary Ellen zabrzmiał ochryple.
- Co z Kate?
- Och - drgnęła leciutko - spóźniłeś się.
- O czym ty mówisz?
- Pochowaliśmy ją wczoraj.

Przyglądała się, jak pochyla głowę i wbija wzrok w ziemię.

- Przyjechałem tak szybko, jak mogłem - wybąkał.
- To była długa podróż. Zająła ci coś koło roku.

Wstrząsnął głową i zawołał: - Wyjaśniłem jej wszystko. Zrozumiała.

- Nic podobnego.

Wycierając ręce w fartuch, skierowała się do izby, a Roddy podążył za nią. Stał i rozglądał się, jakby nigdy nie widział tego miejsca. - Dlaczego jesteś tutaj zamiast na farmie? - zapytał.

- Wyprowadziłam się z farmy wiele miesięcy temu.
- Żeby opiekować się Kate?
- Nie, skąd - zaczęła mówić głośniej. - Żeby ona mogła opiekować się mną.

Przysiadła na końcu ławy, bo nagle poczuła słabość w nogach. Roddy stanął przy stole, patrząc na nią i powiedział dobitnie: - Chyba należą mi się jakieś wyjaśnienia.

- Dobrze to określiłeś. Należy ci się wiele wyjaśnień.

Wyraz zmieszania zagościł na jego twarzy. - Czy nie masz nic przeciwko temu, że przyniosę sobie krzesło? - zapytał sarkastycznie.

- Nie, jeśli je udźwigniesz.

Zatrzymał się w drzwiach. - Nie zmieniłaś się, prawda? Ta sama dawna Mary Ellen.

- Tu jesteś w błędzie.

Wyszedł bez słowa. Popatrzyła na ławę - było na niej dość miejsca, by mógł usiąść, lecz widocznie nie chciał znaleźć się zbyt blisko niej.

Kiedy przyniósł sobie krzesło, postawił je przy stole o jakieś sześć stóp od niej. Nie odrywała wzroku od paleniska, gdzie po jednej stronie stał wielki kocioł z bulgoczącą wodą, a po drugiej - mały garnek z owsianką, z którego od czasu do czasu wydobywał się leniwy obłoczek pary. Widok gotującej się potrawy skłonił ją, by zapytać: - Jadłeś coś?

- Tak. Jadłem śniadanie w Hexham, jak tylko przyjechałem, koło dziewiątej.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem i spytała: - Nie przyjechałeś wieczorem?

- Nie. Wieczorem dojechałem do Newcastle. O szóstej wsiadłem do dylizansu Adam Mains. W Hexham wynajęłem dwukótkę i oto jestem tutaj, lecz za późno - rozłożył ręce w geście bezradności.

To prawda, za późno. Może i dobrze, bo Kate mogłaby go nie poznać. Ta mowa o podróżowaniu dylizansem, śniadaniu w karczmie i wynajmowaniu dwukółki. Furmanka nie była już dla niego wystarczająco dobra. Dobry Boże! Czy człowiek może się aż tak zmienić w ciągu roku? Głos Kate zabrzmiał w jej myślach: on był taki już wcześniej. W tym człowieku kryło się coś, co pozwoliło mu na taką przemianę, pozwalało mu się zmieniać zależnie od okoliczności.

- Jak się miewa Hal?

- Co proszę?

- Spytałem, jak się miewa Hal?

- Już wyzdrowiał.

- Co to znaczy: już wyzdrowiał? Był chory?

- Można to tak nazwać. Był chory, a nawet bliski śmierci.

- Co się stało? Jakiś wypadek w hucie?

- Hal już nie pracuje w hucie, ale to zupełnie inna historia.

Prawdę powiedziawszy, to, co mu się przydarzyło, było wymierzone przeciwko tobie. Zastąpił cię, ot co.

Roddy nachylił się w jej stronę, a oczy mu się zwężyły. Pokiwała głową: - Tak, tak, dama twojego serca usiłowała go zabić. Nie mogła dorwać ciebie, więc zadowolili się namiastką zemsty.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Chcę powiedzieć, że panna Bannaman znalazła go, kiedy rozglądał się po ich domu. Ona i jej brat związali go w nie-ludzki sposób i przywiązali do belki. Zakneblowali mu usta. Przeleżał cztery dni, przykryty sianem na górze w stodole. Znalazł go jego pies, niemal nieżywego.

- Kiedy to się stało?

- Nie minęły dwa tygodnie.

- Gdzie on jest teraz?

- Na swojej farmie.
- Swojej farmie?
- Och, wiele się tu zmieniło. Może i jesteśmy wsią, ale nie stoimy w miejscu.

- Mary Ellen!

- Nie mów do mnie tym tonem. - Podniosła się, lecz on pozostał na miejscu.

- Może jednak powstrzymasz swój cięty język na czas, gdy tu jestem. Pozwól, żebyśmy rozmawiali jak ludzie cywilizowani.

- Oczywiście możemy być uprzejmi. Jak powiedziałaś, na czas gdy tu jesteś. Nie masz więc zamiaru tu zostać, prawda?

Wiedziała, że nie, lecz musiała to głośno powiedzieć.

- Pracuję w Londynie.

- Pewnie. I twoi eleganccy przyjaciele także.

- To naprawdę przyjaciele.

- Bez wątpienia. A co byś powiedział na to, że masz coś do zabrania do Londynu?

Teraz i on wstał.

- Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

- Chwileczkę, zaraz ci pokażę.

Przechodząc koło umywalni ku drabinie wiodącej na poddasze, zauważyła Hala stojącego przy drzwiach wejściowych. Jak długo tam stał, tego nie wiedziała. Widoczne było, że nie zamierzał ujawniać swojej obecności: widział dwukótkę i domyślił się, kim jest gość. Poszła dalej, udając, że go nie widzi, wspięła się po drabinie, wzięła koszyk z dzieckiem i przyciskając go do biodra, powoli zeszła na dół do izby. Dziecko zniecka obudzone zaczęło płakać.

Podeszła do stołu i postawiła na nim koszyk. Roddy utkwiał w dziecku spojrzenie pełne zdumienia i czegoś jeszcze, co można było nazwać jedynie przerażeniem.

- Jak ci się podoba myśl o zabranii małej i jej matki do miasta i przedstawieniu ich swoim wykwinnym przyjaciółom?

- Mary Ellen! - Dźwięk jego głosu przypominał ryk zranionego zwierzęcia. Widoczne było, że nie może znaleźć odpowiednich słów, za to ona znajdowała ich dosyć. - To dlatego nie pokazywałeś się, prawda? Bałeś się w głębi serca, że możesz coś takiego zastać.

Odzyskał głos. - Czyja to wina? Pytam cię. Zachowywałaś się jak wariatka - wrzasnął.

Stali, mierząc się ponurymi spojrzeniami, z twarzami nabiegłymi purpurą. Ujrzała w nim dawnego Roddy'ego. Opadła z niego maska dżentelmena - głos i sposób zachowania przypominał jej chłopca i mężczyznę, którego kochała. Usłyszała jego krzyk na górze kamieniołomu: „Nie powinnaś mnie była do tego zmuszać”.

Nagle zmiękła, duch walki opuścił ją, a zamiast tego poczuła napływającą falę upokorzenia.

Kiedy opuściła głowę, on także poczuł się zawstydzony. - Przepraszam - wybąkał. - Zawsze zmuszasz mnie do mówienia przykrych rzeczy. Nie martw się. Będę ją utrzymywał. Zaoferowano mi posadę, którą obejmę po skończeniu nauki.

Podniosła głowę i znowu na niego popatrzyła. Będzie utrzymywał dziecko. Ani słowa o małżeństwie czy o zabranii jej ze sobą. Wyraźne wykluczenie z jego życia sprawiło znowu w ruch jej cięty język:

- Dziękuję, ale ona nie potrzebuje twojego utrzymania. Dałyśmy sobie radę do tej pory, damy radę i dalej... Powiedziałeś, że możesz ją utrzymywać, a co ze mną? Nie liczę się, prawda? Nie powiedziałaś: „Mary Ellen, muszę cię stąd zabrać. Będziesz odtąd mieszkać wśród moich eleganckich przyjaciół, a ja pokażę ci nowe życie”. Nie nadaję się do tego, bo nie przerobiliby mnie tak, jak przerobili ciebie.

Natarł na nią, mówiąc cicho, lecz dobitnie: - Masz całkowitą słusność, Mary Ellen. Choć raz w życiu masz całkowitą słusność, bo nigdy nie przystosujesz się, obojętnie gdzie będziesz. Musisz zawsze mówić bez zastanowienia. Tak zawsze z tobą było.

- Dobrze. Taka jestem i taka pozostanę. Ale powiem ci coś. Powiem ci, kim jesteś, czego w zaślepieniu swoim nie widziałam przez te wszystkie lata. Jesteś największym prostakiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Jesteś niczym diabeł jadący konno do piekła i - zapamiętaj moje słowa - znajdziesz się tam pewnego dnia. Przepowiadam ci to. I pozwól, że powiem ci coś jeszcze. Gdybyś po przyjeździe, zobaczywszy ją - wskazała palcem dziecko - poprosił, żebym za ciebie

wyszła, wiesz, co bym ci powiedziała w swój nieokrzesany sposób, prosto z mostu? Powiedziałabym: „Dziękuję ci bardzo, ale spóźniłeś się o miesiące całe, o cały rok”. A teraz ci mówię, że Bogu dziękuję za to, że przejrzałam na oczy. Tamtej nocy, kiedy została poczęta, zrozumiałam nareszcie, że to, co czułam do ciebie, było głupim, dziecinnym zaślepieniem, czymś, przez co przechodzi większość dziewcząt. Ale od tamtej nocy wiem, jaka byłam niemądra, a od dnia jej urodzin wiem już, kogo kochałam i kogo poślubię. Tak, nastaw dobrze uszu, zaraz usłyszysz, kogo poślubię. Tym kimś jest Hal.

Wzrok jej umknął na chwilę z jego twarzy w kierunku drzwi, a kiedy znów na nim spoczął, ujrzała, że zamierza wybuchnąć głośnym śmiechem. Ze śmiechem w głosie odparł: - Hal? Ty i Hal? Mój Boże! Nigdy w życiu! Skakaliście sobie do oczu, odkąd sięgam pamięcią. Ty i Hal?

- Tak, ja i Hal. Masz słuszność, wiecznie się kłóciliśmy, ale nie mieliśmy pojęcia, że to tylko pozory, w każdym razie ja nie miałam pojęcia, dopóki nie uratował mi życia, kiedy ją rodziłam - wskazała dziecko. - Gdyby nie on, nie byłoby tutaj ani mnie, ani jej. On odebrał dziecko i walczył, żeby utrzymać mnie przy życiu przez następne dni. Przedarł się do mnie przez zasypanie do przebrnięcia.

- Cóż za bohater!

- Nie drwij, Roddy Greenbanku, bo był twoim dobrym przyjacielem przez wiele lat. Podobnie jak ja głupio robił, włączając się za tobą tylko dla twoich pięknych oczu - pokiwała głową. - Tak. Przypuszczam, że to nas pociągało. Twoje ładne oczy i gładka buzia. Ale wystarczy popatrzeć na nią teraz. Przyglądałeś się sobie ostatnio? Jesteś spasiony.

- Zamknij się!

- Nie mów tak do mnie.

- To trzymaj język za zębami. W każdym razie przyjechałam zobaczyć się z Kate i załatwić jej sprawę.

- Załatwić jej sprawę! Jakie sprawy?

- Jej osobiste sprawy. Byłam jej najbliższy.

- Ach tak! - zmierzyła go wzrokiem. - Mówisz o pieniądzach w kominie.

- Tak, w końcu tak się składa, że należą do mnie.

- Tak się składa, że należały do niej, mówiłeś jej to niejeden raz.

- Owszem, kiedy żyła, mogła z nich korzystać.

- Cóż, skorzystała z nich po śmierci, bo sporządziła coś w rodzaju testamentu.

- Testamentu?

- Tak, testamentu. - Przeszła przez izbę i wyjęła z szufladki kartkę papieru. Wręczyła mu ją ze słowami: - Poprosiła doktora, żeby spisał jej ostatnią wolę, żeby była ważna przed prawem. Nie wszystkie pieniądze w kominie są twoje. Są tam także jej oszczędności gromadzone przez lata, a szczególnie w ciągu ostatnich miesięcy, kiedy uczyła mnie, jak stosować zioła, żebym miała z czego się utrzymać. Od każdego przychodzącego po radę żądała zapłaty. Pieniądzy w kominie znacznie przybyło, uzbierało się siedemdziesiąt osiem funtów i dziewięć i pół pensa. Zostawiła je mnie, tak samo jak meble - zatoczyła ręką krąg - lecz przede wszystkim i nade wszystko dała mi swoją miłość. Kiedy wyszło na jaw, że spodziewam się dziecka, wyrzucono mnie z pracy na farmie. Drzwi Kate stały dla mnie otworem, tak samo jak jej serce. Obawiam się więc, że powrócisz do Londynu z pustymi rękami. Nie bardzo pojmuję, po co potrzebne ci są pieniądze - wyglądasz wszak jak dżentelmen. Stać cię na to, żeby wynająć dwukółkę, kiedy dawniej furmanka była wszystkim, na co mógłbyś się zdobyć.

Twarz Roddy'ego zrobiła się purpurowa, lecz Mary Ellen ciągnęła nieustraszenie, mówiąc teraz nieco ciszej: - Cała ta parada jest tylko na pokaz, to wszystko podarował ci pan Cottle?

Wciągnął ze świstem powietrze. - Pan Cottle zmarł dziewięć miesięcy temu - odezwał się posępnie. - Mogę ci zdradzić, że biorę ślub z Mary... panią Cottle pod koniec tego roku. Powiem jej o tym - wyciągnął rękę w stronę dziecka leżącego w koszyku. - Jest bardzo wyrozumiałą osobą i najpewniej zaproponuje adopcję.

- Co? Masz czelność proponować coś takiego?

- No cóż. Jeśli to moje dziecko, to chyba najwłaściwsze, co można zrobić, prawda?

Patrzyła na niego chmurnie, a w jej spojrzeniu na chwilę pojawił się strach. - Ale nie możesz tego dowieść, prawda?

Mogłam być z Halem albo i z tuzinem innych, bo muszę ci to wyznać, miałam wiele okazji. Mężczyźni uganiają się za mną jak szaleni. Śmiało mogę iść w zawody z Maggie Oates.

Otworzył usta ze zdziwienia. Kiedy widział ją ostatnio, była młodą dziewczyną, która narzucała mu się ze swą miłością. Zdecydowana była na wszystko. Lecz teraz nie było już śladu po owej dziewczynie, Mary Ellen wyrosła na piękną kobietę. Jej figura mogła budzić zazdrość. Przez chwilę zaznał uczucia żalu i tęsknoty, połączonego z zazdrością o dawnego przyjaciela. Londyn, Mary Cottle, galerie, górnołotne konwersacje, proszone obiady, perspektywa przyszłych osiągnięć w świecie sztuki znalazły się na jednej szali, podczas gdy na drugiej znajdowała się ta kobieta. Czyżby był głupi? Nie, skądże. Co z tego, że jest tak niezwykle urodziwa. Ciągłe jednak to ta sama Mary Ellen ze swoim niewyparzonym językiem. W mieście uchodziłaby prawdopodobnie za dowcipną albo przynajmniej za wygadaną. Lecz, jak sama powiedziała, nie udałoby się jej zyskać ogłady, pozostałaby zawsze tym, kim była - wiejską służącą zdolną do udźwignięcia wszelkich prac domowych. Nie, taka sekutnica jak ona nigdy się nie zmieni. Ostatnią myśl przełożył na słowa. - Wiesz, Mary Ellen, kim jesteś i kim zawsze pozostaniesz? Jędzą.

- Pewnie. I najlepiej dla ciebie, żebyś o tym pamiętał. Tylko spróbuj upomnieć się o małą, a nie będziesz mógł spać spokojnie. Już Hal się o to postara.

- No, tak. Hal, Hal. Wiesz - rozeźmiał się drwiąco - to mnie zdumiewa - ty i Hal. Ty i Hal. Mimo wszystko, życzę wam szczęścia, obojgu. O ile was znam, będzie wam ono potrzebne.

- Znasz nas, albo raczej znałeś. Znałeś nas jako dwoje cholernych głupców łąjących za tobą krok w krok. Skoro jednak życzymy sobie szczęścia, przyjmij i moje życzenia. Bądź szczęśliwy ze swoją starszą panią.

Przez chwilę myślała, że Roddy podniesie na nią rękę - mrużąc oczy, lekko uchyliła głowę. Zazgrzytał zębami i mięśnie jego twarzy zadrgały pod skórą. Ale nie zareagował gniewnie, złapał tylko kapelusz ze stołu i skierował się ku drzwiom. Poczwała coś w rodzaju skruchy i już miała ochotę wybiec za nim i powiedzieć: - Przepraszam, tak mi przykro.

Nie musimy się rozstawać w taki sposób. Nie chcę zadawać ci bólu. - Lecz kiedy podeszła do drzwi i zobaczyła wyraz jego twarzy, kiedy wsiadał do dwukółki, ugryzła się w język. Natychmiast przyszło jej na myśl, że nawet nie zapytał, jak nazwała dziecko.

Kiedy ruszył, postąpiła trzy kroki do przodu i zawołała swoim zwykłym tonem: - Jedziesz na cmentarz? Pochowaliśmy ją po lewej stronie. - Przez chwilę wydawało się, że chciała coś odpowiedzieć, lecz popędził tylko konia i ruszył z kopyta.

Stała, patrząc za nim. Potem prędko odwróciła się i pobiegła za dom, gdzie oparła głowę o ścianę, pochyliła się i zaczęła wymiotować.

Zesztywniała, gdy poczuła czyjąś rękę na ramieniu. Odwróciła się, nie podnosząc głowy.

Hal objął ją ramieniem i poprowadził do umywalni, gdzie prędko wysunęła się z jego ramion i podeszła do miski. Wzięła kubek i zaczerpnęła wody z wiadra, by dokładnie wypłukać usta. Następnie rogiem fartucha starannie wytarła twarz. Nie poruszyła się jednak znad miski, póki nie poczuła ramienia Hala na swoim.

Poprowadził ją do izby i posadził na ławie. Padł przed nią na kolana i wznosił twarz do góry. - Mary Ellen! Och! Mary Ellen - szeptał. Gwałtownym ruchem objął ją ramionami w pasie i przytulił twarz do jej łona. Drżał tak silnie, że zaczęła drżeć także. Położyła ręce na jego głowie i głaskała go po włosach. Ciągłe przytulony, odwrócił głowę nieco na bok i powiedział: - Kocham cię. Kocham cię. Och! Mary Ellen. - Ujęła jego twarz w swe dłonie i pochylając się nad nim, wyszeptała: - Ja też cię kocham, Halu. Słyszałeś wszystko? - spytała, czując ucisk w gardle.

- Tak, słyszałem i nigdy w życiu nie czułem się szczęśliwszy. Może i jesteśmy jak ogień i woda, ale jesteśmy sobie pisani. Wiedziałem o tym od lat. Tylko to, że ty odwzajemnisz moje uczucie, nigdy, nigdy nie przyszłoby mi do głowy. Marzyłem o tym od dawna, ale nigdy nie wierzyłem, że to się spełni. Zacząłem mieć nikłą nadzieję po narodzinach dziecka. Wtedy zmieniłaś swój stosunek do mnie, prawda?

- Nie, Halu - potrząsnęła głową. - To stało się od... - odwróciła wzrok, lekko zawstydzona tym, co miała zamiar

powiedzieć - dziewięć miesięcy wcześniej. Coś się wtedy z mną stało, chociaż nie potrafię tego nazwać. Myślałam zawsze, że nie można przestać kochać tak od razu, że jeśli się kogoś kochało, zawsze się będzie go kochać. Ale kiedy mijały miesiące i dziecko robiło się we mnie coraz cięższe, pojęłam, że istnieją różne rodzaje miłości. Uczucie do Roddy'ego było jak obłąd, który nawiedza młode dziewczęta - wydaje im się, że umrą, jeśli nie dostaną tego, czego chcą. Ja... ja tylko myślałam, że to miłość, a to było jedynie młodzieńcze zadurzenie. Zrozumiałam, co to jest prawdziwe uczucie dopiero wtedy, kiedy zaczęłam cię widywać dzień po dniu: w tych drzwiach, oszronionego i obsypanego śniegiem, przynoszącego mleko i inne rzeczy, opiekującego się nami. Wtedy zrozumiałam, co znaczy prawdziwa miłość. Nie domyślasz się nawet, jak bardzo się wstydziłam tego, jak cię wcześniej traktowałam, jak ci docinałam.

- Musisz przyznać, że zajmujesz drugą pozycję w tym względzie - Hal uśmiechnął się szeroko. - To ja jestem mistrzem. - Zaraz jednak uśmiech znikł z jego twarzy. - Wcześniej siedziałem w rynsztoku. Chyba miałeś około piętnastu lat, kiedy musiałem sprostac temu, co spadło na mnie jak grom. Mary Ellen, kochałem cię od dawna i będę kochał aż do dnia śmierci.

Wstał powoli i podciągnął ją do góry. Pocałował ją, nie delikatnie, nie czule, lecz z zapalczywością, która po chwili zaskoczenia spotkała się z odzewem z jej strony. Przywarli do siebie na dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie się rozdzielili, zerkali na siebie nieśmiało, lecz mocno trzymali się za ręce. Z wolna, równocześnie, ich twarze złożyły się do śmiechu i znów przypadli do siebie, ściskając się jak dzieci.

Kiedy z powrotem usiedli na ławie, Hal powiedział: - Musimy pójść do pastora. To miły człowiek. - Zdołała jedynie kiwnąć głową, bo coś ją dławilo w gardle, a w oczach szczypały słońce łzy.

- A co będzie z tym? - gestem ręki pokazał otoczenie. - To jest wynajęte, prawda? Kosztuje szylinga tygodniowo. Ale nie należy do huty, nie będą więc rościć pretensji do tego, żeby umieścić tu jakiegoś robotnika. Myślałem o tym - coś w rodzaju planowania czy mrzonek, jak wolisz. Chata należy

do Ribbonsów, prawda? A oni nie będą mieli nic do tego, kto w niej mieszka, byle tylko płacił. Pomyślałem więc, że można byłoby umieścić w niej Annie.

- Annie? Miałyby tu przyjść i zamieszkać sama?

- Tak. Biedna stara Annie oddałaby wszystko, by tylko znaleźć się jak najdalej od ojca i jego farmy. Jest tam nikim innym, jak tylko darmową wyrobnicą, podobnie jak reszta rodziny. Jakiś czas temu pytała mnie nawet, czy nie wziąłbym jej na pełną służbę, zamieszkałaby wtedy na strychu. - Zrobił pocieszoną minę. - Wyobraź sobie, jaka by to była woda na młyn dla plotkarek.

- No, no, rzeczywiście. - Odpłaciła mu podobną miną, po czym oboje wybuchnęli śmiechem. Przyciągnął ją bliżej siebie i począł całować, dopóki go nie odepchnęła. - Słuchaj, rozmawialiśmy o Annie - przypomniała.

- A tak, o Annie. Jest świetnym pracownikiem, lepszym od niejednego chłopca. Kiedy się tu przeprowadzi, do chaty z tymi wszystkim sprzętami, poczuje się jak w raju. Jeśli dam jej cztery szylingi tygodniowo i wyżywienie, oszaleje ze szczęścia. Co ty na to?

- Cieszę się. Ale jak ona mnie przyjmie?

- O, przyjmie cię jak należy. Wie, co do ciebie czuję, wie już od dłuższego czasu. Wczoraj nawet powiedziała: - To miła dziewczyna - a to oznacza wielki komplement.

Mary Ellen wpatrywała się w Hala z nieco przechyloną na bok głową. Dwaj mężczyźni w jej życiu i tacy niepodobni do siebie! Jeden myślący tylko o sobie i na tego właśnie zmarnowała tyle lat. Obojętnie czy nazwać to młodzieńczym uczuciem, czy jak kto chce, było to uczucie prawdziwe i stało się udręką. A teraz był tu drugi mężczyzna, który nie miał żadnej z zewnętrznych zalet pierwszego, lecz był dla niej dobry i umiał się troszczyć o innych.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i popatrzyła mu w twarz: - Będę dla ciebie dobrą żoną, Hala. Z bożą pomocą dam ci dzieci, z których będziesz mógł być dumny. I nieważne, jak będzie się nam wiodło, zawsze będę przy tobie. Jak zwykła mawiać Kate: - Lepsza jest wieczerza z ziół, gdzie panuje miłość, niżli dom pełen mięsa, gdzie jest nienawiść.

- Pamiętam. Słyszałem to od niej wiele razy. Lecz pozwól, że ci powiem i przyjmij to jako obietnicę, że nie będziemy

jadać suchego chleba, bo mam zamiar wiele osiągnąć, i wierz mi, nadejdzie dzień, że wprowadzę cię do domu godnego ciebie. Całe swoje młode życie poświęciłaś niewolniczej pracy dla innych. Davisonowie może i byli dobrzy, ale wykorzystywali twoją pracę. Nadejdzie dzień, że będziesz sama miała służącą albo i dwie. Co więcej, będziesz wiedziała, jak je traktować. Obiecuję ci to, Mary Ellen, moja ukochana.

Koniec tomu pierwszego